

Jan Parandowski

Mitologia

Grecja

WIADOMOŚCI WSTĘPNE

Mitologia jest zbiorem baśni o bogach i bohaterach. Naród grecki, podzielony na wiele szczepów, nie był zgodny w tym, co opowiadał o swoich bóstwach. Każde państewko, każda wieś lub gmina podawały zupełnie inne wersje, które znów poeci przekształcali i zmieniali bardzo dowolnie. W ten sposób w ciągu wieków urósł niezmiernie obfity i różnorodny materiał, z którego wybieramy jedynie podania najbardziej rozpowszechnione, przejmując pewne szczegóły z piękniejszych lub ciekawszych odmian.

Mitologia nie jest jeszcze całą religią. Religia opiera się w przeważnej mierze na kulcie, na obrzędach, które, w przeciwieństwie do płynnych i łatwo przeobrażających się mitów, są trwałe, odporne postępowi czasu i przechowują nader odległe formy wierzeń. Dzięki zachowawczości kultu możemy odtworzyć, w ogólnych zarysach, najdawniejszą wiarę Greków, a nawet wskazać, co do niej wniosła ludność, która zamieszkiwała Helladę przed osiedleniem się Hellenów.

Jedną z pierwotnych form religii jest fetyszyzm — oddawanie czci boskiej przedmiotom martwym, uważanym za siedzibę jakiegoś ducha dobrego lub złego. Chłop grecki, przechodząc koło kamienia na rozstajnej drodze, padał na kolana i polewał głaz oliwą. Meteorytom, ponieważ spadły z nieba, przypisywano siłę boską. Obłąkany, usiadłszy na takim kamieniu, odzyskiwał rozum, a zbrodniarz oczyszczał się z winy. Zwyczajnym, nie ogłodzonym okruczem skał nadawano nieraz imiona bogów i przechowywano je w świątyniach.

Podobnej czci doznawały pnie drzew i kłocze z grubsza ciosane. Na wyspie Ikaros nie obrobiony pień drzewa nosił imię Artemidy. Mieszkańcy beockiej Cheronei widzieli największą świętość w kiju drewnianym, który nazywali dzidą; miał on spaść z nieba i znaleziono go w ziemi wraz ze znaczną ilością złota. Corocznie wybierany kapłan przechowywał go w

osobnej kapliczce, składał ofiary i zastawiał przed nim stół z rybami i pieczywem. Pierwotne bałwany, w kształcie stożka, słupa lub deski, ozdabiano wstążkami, a niekiedy strojono w długie szaty, dając im pozór postaci ludzkiej.

Drzewa bardzo stare lub szczególnie piękne stawały się często powszechną świętością, jak ów dąb w Dodonie, siedziba i poniekąd wizerunek samego Dzeusa. Zresztą u wszystkich ludów indoeuropejskich dąb był poświęcony najwyższemu bóstwu. Kult drzew był tak dalece trwały, że w I wieku n. e., a więc w czasach wysokiej cywilizacji, naturalista Pliniusz pisał: "Wedle prastarego obrządku dziś jeszcze prosty wieśniak poświęca bogu wspaniałe drzewo, a i my chętniej czcimy gaje pełne ciszy niżli wizerunki błyszczące złotem i kością słoniową".

Człowiek pierwotny nie tylko nie uważa zwierząt za istoty niższe, ale niejednokrotnie stawia je wyżej od siebie, ceniąc ich siłę lub przebiegłość. Współczesne dzikie plemiona wymieniają nieraz pewne zwierzę jako swego przodka, założyciela rodu. Podobne poglądy mogli mieć najdawniejsi Grecy. W Tebach otaczano szczególną czią łasicę, w Tesalii mrówkę (tesalscy Myrmidonowie twierdzili, że pochodzą od mrówek), na wyspie Samos owcę, w Delfach wilka. Bogom nadawano postać zwierzęcą. Dionizos był bykiem, a wszystkie bóstwa ziemi przedstawiano jako węże. W Arkadii znany był bardzo stary wizerunek Demetry jako czarno ubranej kobiety z łbem końskim zamiast głowy. Z postępem cywilizacji zatracaly się coraz bardziej owe cechy zwierzęce i pozostawiły jedynie drobne ślady. Bóstwa rzeczne, które pierwotnie miały postać byków, zachowały rogi na głowie ludzkiej. Satyrowie z prawdziwych kozłów zmienili się w młodzieńców o spiczastych uszkach i małym, jakby szczątkowym ogonku. W innych wypadkach wspomnienie zwierzęcego wyglądu bóstwa przetrwało w podaniach, które opowiadały o jego dziwnych przemianach. Najczęściej zwierzę, które ongi wyobrażało samego boga, zostawało przy nim jako nieodstępny towarzysz: sowa przy Atenie, wąż u nóg Asklepiosa.

Te odwieczne wierzenia były przeważnie niezrozumiałe dla Greków z epoki wyższej cywilizacji. Ich pisarze, spotykając przeżytki kultu drzew, zwierząt lub kamieni, starali się je wyjaśnić osobnymi legendami. W

Delfach np. był kamień, który w dni świąteczne owijano wstęgami i namaszczano oliwą. Mógł to być dawny fetysz, ale oświeceni Grecy opowiadali, że jest to ten sam kamień, który Reja dała Kronosowi do połknięcia zamiast Dzeusa, i dlatego chowają go na pamiątkę.

Greki odczuwał wokół siebie rozległe i potężne życie sił tajemniczych. Drzewa rosły jakby cudem, a cichy szmer liści jest ich mową; rzeki płyną w jakąś dal nieznaną, a ich wody są dobrodziejstwem dla użyźnionej gleby; ogień rodzi się, pożera swój pokarm i umiera; wiatr goni ponad górami z wyciem złowróżbnym — zewsząd wychodzą na wpół określone postaci, przed którymi człowiek pierwotny korzy się i drży. Chcąc je poznać, chcąc wejść z nimi jakoby w zażyłość, nadaje im imiona i otacza się w końcu nieprzebrany mnóstwem bogów. Najlichsza wioska w Grecji posiadała jakieś własne bóstwo, które mogło być nie znane w sąsiedniej osadzie. Każde zjawisko, niemal każda czynność miała swego patrona. Imiona tych bożków do specjalnych poruczeń przeważnie zaginęły, w chwili gdy w Grecji zapanowali bogowie olimpijscy, którzy przejęli na siebie ich funkcje i atrybuty. W najdawniejszej religii było pełno demonów, mocy nieczystych, szkodliwych dla człowieka w codziennym życiu. Przed nimi starano się bronić wszelkimi magicznymi środkami: przebraniem, tańcami, hałaśliwą muzyką.

Z demonami wiązał się kult umarłych, który w najstarszej religii greckiej zajmował miejsce naczelne. Zwłoki grzebano, składając do grobu kosztowności, broń, różne naczynia, figurki zwierząt domowych — całe gospodarstwo. Wierzono zapewne, że nieboszczyk może wrócić na ziemię, gdyby nagle zatęsknił do pozostawionych bogactw. Skoro zaś weźmie ich część ze sobą, istnieje prawdopodobieństwo, że nie zechce już więcej nawiedzać swego domu.

Zmarły był straszną i mściwą potęgą, lada chwila mógł zjawić się jako upiór. Usiłowano go prześlagać darami i ofiarami. Pierwszą daniną był płacz pogrzebowy — gwałtowny, namiętny — rozdzierano sobie twarz paznokciami, wrywano włosy. Na grobie zabijano zwierzęta i niewolników. Nie tylko w dzień pogrzebu, ale i później od czasu do czasu rodzina przynosiła ofiary. Przez rurę zlewano do wnętrza mogiły krew zarżniętych

zwierząt na pożywienie dla umrzyka.

Po pogrzebie odbywała się w domu stypa i sądzono, że dusza zmarłego jest właściwym gospodarzem biesiady. W Atenach, w czasie święta Antesteriów, na wiosnę obchodzono powszechne zaduszki. Obok świątyni Dzeusa była spora szczelina w ziemi. Przez nią spływały w głąb wody potoku i przez nią .w trzeci dzień Antesteriów dusze wychodziły na ziemię. Zamykano świątynie, aby dusze tam nie weszły i nie splamiły swoją obecnością miejsc poświęconych bogom. Drzwi domów pomazywano smołą, w przekonaniu, że smoła odstrasza siły nieczyste. Każda rodzina zastawiała u siebie ucztę dla zmarłych. Gotowano nasiona wszystkich roślin polnych i zostawiano je w garnku na ołtarzu, w osobnym pokoju, do którego nikt nie śmiał wchodzić. Zaduszki kończyły się wieczorem, gdy otwierano mieszkanie ze słowami: "Idźcie za drzwi, dusze, skończone już Antesterie!"

Grecy wierzyli, że dusza siedzi w ciele w postaci małej laleczki, widocznej przez źrenicę oka, którą dlatego nazywali *kore* (po łac. pupilla) — dziewczynką. W sztuce wyobrażano ją nieraz jako drobną uskrzydloną istotkę. Te nieuchwytnie jestestwa mogły darzyć błogosławieństwem lub wyrządzać szkodę. Dusza staje się na tamtym świecie istotą wieszczą i, jawiąc się we śnie, zsyła marzenia ostrzegawcze. Czasami jednak niewidzialnym dotknięciem sprowadza nagłą chorobę, odbiera rozum lub życie. Szczególnie niebezpieczne są dusze tych, co zmarli przedwcześnie, śmiercią gwałtowną.

Bardziej powszechna cześć należała się poległym w boju za ojczyznę. Patriotyczni Grecy ustanawiali w tym celu podniosłe i wzruszające uroczystości. Oto jak obchodzono rocznicę bitwy pod Platejami: Przy dźwiękach trąby wojennej wyruszała o świcie procesja. Jechały wozy pełne wieńców i gałęzi mirtowych. Prowadzono czarnego byka, za którym postępowali młodzieńcy niosąc wiadra mleka i wina, kubki z oliwą i wonnościami. Pochód zamykał archont, który w zwyczajnym czasie ubierał się na biało i nie śmiał dotknąć żelaza, lecz tego dnia przywdziewał purpurę, przypasywał miecz i niósł urnę, wziętą z ołtarza. Gdy doszedł do grobów żołnierzy, nabierał wody ze źródła, obmywał kolumny stojące na mogiłach, namaszczał je wonnościami i zabijał czarnego byka. Pomodliwszy się do bogów, zapraszał dusze dzielnych wojowników na ucztę z krwi, wina i mleka. Na koniec wylewał na ziemię kubek wina mówiąc: "Wznoszę kielich na cześć tych ludzi mężnych, którzy poświęcili

się za wolność Grecji".

Podobne uroczystości graniczyły z kultem herosów, który rozwinął się z kultu zmarłych. Herosem stawał się po śmierci człowiek wybitny, zasługujący na szczególną wdzięczność ziomków. Herosami więc byli przede wszystkim założyciele rodów, osad, kolonij, dalej prawodawcy, bohaterowie wojenni (Leonidas w Sparcie), kapłani, prorocy, wielcy poeci, wreszcie ci, którzy swoimi wynalazkami udoskonaliли tryb życia ludzkiego. Grób herosa był wielką świętością gminy. Znajdował się zwykle na rynku, koło bramy lub na granicy posiadłości gminnych. Czasami otaczano tę drogocenną mogiłę tajemnicą, w obawie, żeby nieprzyjaciel nie wykraść dobroczynnych relikwii. Nad grobem herosa wznoszono kaplicę — heroon — którą zazwyczaj otaczał gaj oliwny lub cyprysowy, i pod surowymi karami nie wolno było w nim uszczknąć ani gałązki. Przy grobie stał niski ołtarz, z rowem dookoła, dla zbierania krwi ofiar. Nabożeństwo odbywało się nocą lub o zmroku. Zabijano zwierzęta o czarnej sierści i palono je w całości. Przy każdej uczcie z trzeciego kubka wina odlewano kilka kropel na cześć herosów, a wszystko, co podczas jedzenia spadło na ziemię, zostawiano jako im należne. W chwilach trwogi najżarliwsze modły zanoszono do herosów, albowiem ci najbliżsi opiekunowie najłatwiej mogli przyjść z pomocą. Wielu herosów wyobrażano w postaci węzów. Wąż, pełzający po ziemi, ukrywający się w rozpadlinach, miał oznaczać podziemny charakter tych półbogów. Na grobach herosów stawiano świątynie i odbywano igrzyska.

Ze wszystkich bogów najgłębiej i najserdeczniej czcił Grek pierwotny bóstwa chtoniczne — ziemskie. Mieszkając w głębi ziemi, przyjmowały zmarłych, opiekowały się ziarnem i korzeniami roślin. Na ich czele stała Gaja, wszystko żywiąca, życiodajna pani, wyobrażenie nieprzebranej potęgi twórczej.

...tej wielkiej macierzy,

Do której wszystko wraca, by na żywot świeży

*Wypuścić nowe kietki... **

Bogowie ulegają tym samym zmianom, co ich wyznawcy. W miarę rozwoju cywilizacji greckiej i bogowie nabierali coraz więcej szlachetności i dostojności. Najważniejszym czynnikiem była tu poezja epicka. Historyk Herodot mówi: "Hezjod i Homer stworzyli dla Greków cały system bogów i dali bogom przydomki, i każdemu z nich wyznaczyli zakres władzy, i utrwaliłi jego postać". Homer, twórca *Iliady i Odysei*, żył w VIII wieku przed n.

* Ajschylos: *Choefony*. Przekład Jana Kasprowicza

e., a Hezjod w VII wieku napisał poemat pt. *Teogonia*, czyli rodowód bogów. W istocie oni ustalili typowe postacie bogów, których rysy nie uległy odtąd zasadniczej zmianie. Do wielkiej i bezładnej rzeszy bóstw wprowadzili pewien ład, oparty na określonych genealogiach i wzajemnych stosunkach rodzinnych. Właściwym twórcą tego systemu religijnego był Homer. Hezjod jedynie z większą ścisłością opracował jego koncepcję.

Religia Homera była nowością, przewrotem. Różniła się zasadniczo nie tylko od najdawniejszej religii greckiej, lecz niejednokrotnie i od wierzeń Greków pohomeryckich. Stało się to dlatego, że poezja Homera była rycerska i dworska. Poeta starał się jak najdalej odejść od ludowych zabobonów. Jako przedstawiciel wyższej cywilizacji, odrzucił pierwotną grozę, demonizm, krwiożerczość. Ze swej pogodnej fantazji wzięły kształty bogów jasne, wyraziste i przede wszystkim ludzkie.

Bogowie Homera są to po prostu ludzie nieśmiertelni, obdarzeni niezemską urodą i siłą. Każdy z nich ma własne imię i rysy sobie właściwe. Różnią się między sobą pod względem płci, wieku, charakteru i władzy. Razem tworzą jedną wielką rodzinę lub raczej państwo z monarchą na czele, którym jest Dzeus, rozkazujący wszystkim prowincjom: niebu, ziemi, morzu i podziemiu. W ten sposób Homer utrwalił raz na zawsze antropomorficzny charakter religii greckiej.

Żywa, szczerzota poezja Homera stała się wczesnie powszechnym dobrem całej Hellady i wywołała w pojęciach religijnych doniosłą rewolucję. Na dno zepchnięto prastare wierzenia i zabobony ludowe, które tam pozostały przez całą starożytność, a na szczyt religii wyniesiono idealne postacie bogów Homerowych. Rządy i warstwy oświecone wszystkich państw greckich otoczyły tę nową religię staranną opieką. Bóstwa lokalne ustąpiły przed promiennym orszakiem Olimpijczyków, a ponieważ lud nie mógł się z nimi tak łatwo rozstać, wymyślono mnóstwo bajek o walkach, małżeństwach i różnorodnych związkach starych bożyszczy z potężnymi przybyszami. Niekiedy dawny bóg pozostawał przy nowym jako heros lub kapłan i założyciel nowego kultu albo po prostu w świątyni nowego boga pokazywano grób jego poprzednika, którego on pokonał. Bardzo często kult dawnego boga przenoszono na któregoś z Olimpijczyków, nadając mu, jako przydomek, imię wypartego bóstwa. Zdarzało się, że jakieś bóstwo miejscowe było tak szanowane i tak

jednocześnie odrębne, iż nie można go było ani zidentyfikować z kimkolwiek, ani sprowadzić do roli podrzędnej. Na przykład arkadyjska bogini Eurynome nie poddała się najazdowi bogów homeryckich i utrzymała się w swej prastarej świątyni, otoczonej gajem cyprysowym, gdzie stał jej wizerunek wyobrażający postać pół kobiety, pół ryby — dziwaczne zjawisko wśród pięknych i ludzkich posągów reszty bogów.

Zwycięstwo Olimpijczyków nigdy nie było zupełne. Wbrew Homerowi lud grecki nie przestał wierzyć w złowrogą moc zmarłych i nie pozwolił sobie odebrać swych bałwanów z kamienia i drzewa. Nieraz najzarliwsza wiara otaczała imiona takich bóstw, o których żaden poeta nie śpiewał, a człowiek po dawnemu czuł się nawiedzany przez dobre i złe demony i spełniał odwieczne praktyki magiczne. Odtąd były jakby dwie religie: oficjalna, głoszona przez państwo, literaturę i sztukę, oparta na tradycji Homera, i wierzenia warstw niższych, zachowujących zabobony z czasów przedhomerowych.

Nie udało się również wyplenić partykularyzmu religijnego, który stał się trwałą i znamioną cechą religii greckiej. Każda gmina miała swych szczególnych orędowników. Gdy szereg gmin jednoczył się w całość państwową, nie zacieraly się różnice: Hera czczona w Argos nie miała bezwzględnego podobieństwa z Herą ateńską. Bogowie, uznawani przez wszystkie państewka greckie, nie wszędzie cieszyli się tym samym szacunkiem. Podobnie każda wieś, każda rodzina, nieomal każdy człowiek miał własnego boga, którego nad innych wysławiał.

Homer, który pierwotne pojęcia religijne zmienił na bardziej cywilizowane, sam z kolei stanął przed sądem umysłów o dojrzałszej kulturze. Pierwszy z krytyką religii Homerowej wystąpił filozof Ksenofanes z Kolofonu (ok. 570—470 przed n. e.). Raziła go szczególnie chwiejna moralność Olimpijczyków. "Homer i Hezjod — powiada on — przypisują bogom wszystko to, co u ludzi wstyd i hańbę przynosi". A zwracając się przeciw antropomorficznemu wielobóstwu: "Śmiertelni przypuszczają, że bogowie rodzą się tak jak oni, że noszą ludzkie odzienie, mają ludzki głos i ludzką postać. Gdyby woły, konie lub lwy miały ręce i umiały malować i tworzyć posągi jak ludzie, malowałyby swoich bogów z ciałami podobnymi

do własnych. Etiopowie twierdzą, że ich bogowie są czarni i mają nosy perkate. Trakowie zaś, że mają oczy Niebieskie i rude włosy". Ksenofanes bowiem głosił wiarę w jedyne boga: "Jeden jest bóg najwyższy pomiędzy bogami i ludźmi, niepodobny do śmiertelnych ani z postaci, ani z umysłu. Bóg cały widzi, cały myśli, cały słyszy. Bez trudu wszystko w ruch wprowadza rozumem i myślą".

Te idee monoteistyczne w rozmaity sposób przenikały do następnych pokoleń, wciąż na nowo podejmowane przez filozofów i poetów, którzy z wolna wiedli religię grecką ku wyższej etyce i mniej ziemskim pojęciom o bogach. Do ugruntowania nowych poglądów przyczyniały się poniekąd misteria eleuzyjskie (zob. ustęp "Demeter"), a jeszcze wyraźniej urabiali je orficy.

Była to sekta religijna, która podawała za swego założyciela legendarnego wieszca Orfeusza. Religia orficka była mistycznym monoteizmem. Bogowie znani z mitologii stanowili zewnętrzne formy jednej boskiej istoty. Dionizos, zwany Dzagreusem, syn Dzeusa i Persefony, jeszcze w dzieciństwie otrzymał od ojca rządy nad światem. Tymczasem tytani chcieli go zabić. Mały bożek uciekał zmieniając się po drodze w rozmaite zwierzęta. Na koniec przemienionego w byka tytani rozdarli na kawałki, ugotowali i zjedli, serce zaś pogrzebali w ziemi. Atena je znalazła i przyniosła Dzeusowi, który je połknął. Z Dzeusa narodził się później drugi Dionizos, którego świat zna jako syna Semeli. Tytanów Dzeus spalił piorunem, a z ich popiołów uczynił ludzi. Ponieważ zaś tytani przedtem pożarli ciało Dionizosa, przeto w każdym człowieku są dwojakie składniki: dobre — dionizyjskie, i złe — od tytanów. Zadaniem ludzi jest uwolnić się od owej puścizny przekłętej, tj. od ciała, albowiem tylko dusza jest dionizyjska. Trzeba panować nad ciałem, ujarzmić je, gdyż w ten sposób wyswobadza się duszę z więzów cielesnych.

Według orfików dusza po śmierci idzie do podziemia, gdzie odbywają się sądy. Zbrodniarz otrzymuje zasłużoną karę, która nie jest wieczna. Po okresie oczyszczenia dusza wraca na ziemię i wchodzi w nowe ciało, aby pokutować za winy poprzedniego żywota. W ten sposób wciąż odradza się i umiera. Wtajemniczony w misteria orfickie uzyskuje w podziemiu wyrok łagodniejszy i może być zwolniony od powtórnych narodzin. Lecz samo wtajemniczenie nie wystarcza. Jedynie ten, kto życie swe dobrze i cnotliwie przeżyje, znajdzie łaskę u Dionizosa i połączy się z bogiem na zawsze.

Misteria orfickie były prywatne, żadne państwo się nimi nie opiekowało. Odprawiano je pod gołym niebem albo w domach, albo w

tymczasowych kapliczkach. Odbywały się oczyszczenia, wtajemniczenia i symboliczne widowiska. Lecz główną siłą orfików była ich literatura, liczne i rozmaite pisma wierszem i prozą. Kapłani orficcy, na kształt guślarzy, chodzili po ulicach i domach, głosząc naukę Orfeusza i dając ludziom wskazówki, jak się uchronić od kar pośmiertnych. Zmarłym wyznawcom dawano do grobu tabliczki pouczające, jak się mają zachować w zaświatach. Dusza musi znać hasła potrzebne do zbawienia. Oto jak się ma odezwać, gdy przekroczy próg śmierci: "Jestem dzieckiem Ziemi i Nieba gwiaździstego, ale mój ród jest niebiański". Na te słowa strażnicy "zdroju pamięci" pozwolą jej ugasić w nim pragnienie. Stąd idzie dusza przed władców podziemia i oświadcza im, że wydobyła się z bolesnego koła życia, na co jej odpowiadają: "Będziesz bogiem, a nie człowiekiem" i przyjmują do krainy wiecznego szczęścia.

Nauki orfickie, rozpowszechniane przez wędrownych kapłanów i proroków, przyjęły się w całej Helladzie, zwłaszcza u warstw niższych, które w nich znajdowały pociechę i nadzieję lepszego losu. Natomiast poglądy Ksenofanesa znalazły wielu zwolenników wśród filozofów. Ci atakowali religię coraz ostrzej, aż w V wieku dały się słyszeć głosy zupełnego ateizmu. Przeciwdziałała temu pobożność ogółu, oparta na uczuciach patriotycznych. Ateny z czasów Peryklesa i z początków IV wieku w entuzjazmie patriotyczno-religijnym ozdobiły się najpiękniejszymi świątyniami, a jednocześnie zaczęły ścigać sądami i wyrokami wolnomyślicieli.

Ale druga połowa wieku IV odmienia ów stan rzeczy. Państwa greckie słabną i chylą się ku upadkowi, a wraz z siłą państwową gaśnie również i patriotyczno-religijne uczucie. W tych niespokojnych czasach wyrasta ponad inne bóstwa Tyche, bogini szczęśliwego trafu. Przez wyprawy i podboje Aleksandra Wielkiego cywilizacja grecka zdobywa nowe posiadłości na Wschodzie. Odtąd zaczyna przeważać znaczenie Wschodu i Grecja właściwa z wolna, lecz stanowczo ulega wpływom orientalnym. Tę epokę, trwającą aż do I wieku, nazwano okresem hellenistycznym.

Olimp grecki zapełnia się mnóstwem nowych bogów. Co prawda, działo się to już i dawniej. Grecy, jak zresztą wszyscy politeiści, odznaczałi się szeroką tolerancją i wielką uprzejmością wobec bóstw cudzych.

Wierzyli zapewne, że ich nigdy nie jest za wiele i że za granicą łatwo może się znaleźć jakiś bóg, którego warto sobie pozyskać. Zwłaszcza Egipt, odwieczny kraj cudów, nęcił i zdumiewał Greków, wierzących, że w świątyniach nad Nilem ukrywa się jakaś mądrość tajemna. Stamtąd więc wzięli boginię, która od III wieku przed n. e. aż niemal do końca starożytności skupiała dokoła siebie rzesze wyznawców — Izydę.

Izyda, utożsamiana z Io, Selene, Afrodytą, Demetrą i wielu innymi postaciami mitologii greckiej, przedstawiona we wzruszającym obrazie matki trzymającej dziecko w ramionach, otoczona kapłanami, którzy odprawiali nabożeństwa przejęte serdeczniejszym stosunkiem do bóstwa — Izyda, objawiająca w misteriach szereg nauk kosmogonicznych i moralnych, doszła do czci tak wysokiej, że stawała się prawie bóstwem jedynym i chwałę jej głoszono tymi słowami: "Oto jestem macierz wszechświata, pani żywiołów wszystkich, pra-źródło wszechwieków, ja, z bóstw największa, ja, cieni podziemnych królowa, spośród niebian pierwsza, ja, której twarz obliczem jest pospólnym bogów i bogiń wszystkich, której skinienie rządzi świetlistymi sklepieniami nieba, uzdrawiającymi tchnieniami oceanów, rozpaczliwym piekieł milczeniem — ja, której jedno jedyne bóstwo całej czci świat we wielorakim kształcie, w różnym obrządku i pod różnorakim imieniem". Wraz z nią utrwalił się kult jej męża i brata, Ozyrysa, który pod imieniem Serapis rozsiał po całym obszarze świata greckiego okazałą liczbę swych świątyń.

Z bóstw wschodnich najszerzej czczono "Wielką Matkę", macierz bogów — Kybele. Była to bogini frygijska (Azja Mniejsza), w której Grecy rozpoznawali swoją Reję, małżonkę Kronosa. Kapłani Kybeli odbywali hałaśliwe procesje, połączone z namiętą muzyką, a podczas dzikich tańców wojennych zadawali sobie rany mieczem. W swym rytuale mieli wiele gorszących praktyk i nie cieszyli się dobrym imieniem.

Drugim potężnym bogiem ze Wschodu był Mitra, irańsko-babiloński pan słońca. Kult jego poczyna się szerzyć w okresie hellenistycznym, a w II i III wieku n. e. dochodzi do szczytu. Mitra urasta wówczas na bóstwo naczelne całego świata grecko-rzymskiego. Misteria, odbywane w tajemniczych pieczarach, głoszą wiarę w nieśmiertelność duszy i

zmarłych wstanie ciała. Przez wielkie podobieństwo do chrześcijaństwa religia Mitry staje się w pewnym czasie groźną współzawodniczką nauką ewangeliczną.

W dobie wielkich monarchii, a więc od Aleksandra Wielkiego począwszy, dawny ustrój Grecji, oparty na miastach-państwach, przestał istnieć i nie było odtąd owej więzi narodowej, która poszczególnym obywatelom nakazywała czcić bóstwa ojców i dziadów. Ponieważ nowe państwa, owe rozległe monarchie, nie wywierały w tej mierze żadnego nacisku, religia stała się rzeczą prywatną i każdy szukał boga wszędzie tam, gdzie go się znaleźć spodziewał. Wzrosła pobożność indywidualna, silnie zabarwiona mistycyzmem, i bujniej rozplenił się wszelki zabobon wraz z magią i wróżbiarstwem.

Jednocześnie racjonalizm poddawał krytyce wierzenia o bogach. Już od VI wieku objaśniano alegorycznie Homera, aby go uchronić przed zarzutami Ksenofanesa, ale dopiero filozofowie ze szkoły stoików i cyników rozszerzyli alegorię na imiona bogów i treść podań. Zwalczając antropomorficzne pojmowanie bóstwa i wszelkie zewnętrzne ceremonie, głosili naukę o jednej istocie boskiej, która wymaga tylko ofiary czystego serca. Zwłaszcza stoicy pilnie, acz nieumiejętnie, zbierali materiały dotyczące obrzędów religijnych, imiona i przydomki bogów, aby za pomocą dziwnych etymologii objawić ich "właściwe" znaczenie. Mówili, że Demeter wyraża po prostu chleb, Hera — powietrze, Atena — ogień.

Inną drogę obrał Euhemeros, twórca osobliwego poglądu na mitologię grecką. Napisał on w początku II wieku przed n. e. romans podróżniczy pt. *Hiera anagrafe (Święte pismo)*. Opowiadał, że kiedy wyruszył z portu w Arabii Szczęśliwej, zerwał się wiatr i zagnał okręt do nieznannej wyspy, położonej na Oceanie Indyjskim. Wyspa była niezwykle urodzajna i piękna, a w środku niej wznosiła się świątynia Dzeusa. W tej świątyni była kolumna ze złota, pokryta napisami hieroglificznymi. Na prośbę Euhemerosu kapłani wytłumaczyli mu napisy i wówczas przekonał się, że jest to po prostu prawdziwa historia bogów. Przepisał ją tedy w swym dziele, aby udowodnić, że bogowie byli pierwotnie ludźmi, których ubóstwiono bądź z woli narodu, bądź z ich własnego rozkazu. Według

Euhemerosa Dzeus był królem zdobywcą, który wymagał od poddanych czci boskiej, aby zyskać tym większy posłuch. Kronos był władcą łagodnym i poczciwym, którego synowie stracili z tronu. Uranos był księciem bardzo biegłym w astronomii i stąd uznano go po śmierci za bóstwo nieba. W ten sposób wyjaśniał Euhemeros całą mitologię, sprowadzając nieraz dostojne postacie Olimpu do rzędu figur bardzo pospolitych.

Od epoki hellenistycznej aż do II wieku n. e. daje się zauważyć w społeczeństwie greckim prąd, który byśmy dziś nazwali romantycznym: tęsknota za najstarszymi kultami. Odnawiano obrzędy, o których już niemal pamięć zaginęła, podnoszono z gruzów odwieczne świątynie, najdawniejsze igrzyska odprawiano z wielką wspaniałością i radzono się zapomnianych wyroczni. Szczególnie popierał ten ruch cesarz Hadrian (117—138 n. e.), monarcha zhellenizowany, pełen romantycznych porywów i szczerzej miłości dla tradycji greckiej. Ale trwało to krótko i było zbyt słabe, aby uchronić Olimp helleński przed najazdem wschodnich bogów.

Ostatnim wielkim tworem geniuszu greckiego był neoplatonizm, ugruntowany przez filozofa Plotyna (II wiek n. e.), który uważał siebie za ucznia i kontynuatora Platona.

Przez wiele wieków dążyli Grecy do uproszczenia swego politeizmu i do poddania go idei największego boga. To zadanie podjął Plotyn. Stworzył pojęcie boga istniejącego poza wszelką formą zmysłową, którego nie można ani określić, ani nazwać. Bogowie czczeni w świątyniach byli emanacją Istoty istot. Podania rozwiązywali neoplatonicy sposobem alegorycznym, lecz szanowali obrzędy i wszystkie praktyki religijne. Neoplatonizm zappełnił świat demonami. Demony były jakby pośrednikami między ziemią a niebem. Były nieśmiertelne, przewyższały człowieka rozumem i siłą i — zależnie od swojej natury — były dobroczynne lub szkodliwe. Ta wiara w demony rozwarła na oścież podwoje magii i wszelkim sztukom czarnoksięskim.

Neoplatonizm był ostatnim wysiłkiem, aby utrzymać i ożywić starą religię grecką, poszedł jednak na marne, gdyż jedyną religią, która naprawdę odpowiadała potrzebom czasu — było chrześcijaństwo.

Nie zawsze i nie od najdawniejszych czasów świątynia była miejscem czci bogów. Na górach, w gajach, grotach, przy źródłach — modlono się wszędzie tam, gdzie domyślano się obecności bóstwa. Pod gołym niebem ustawiano ołtarze i składano ofiary. Z wolna takie miejsce szczególnie szanowane stawało się okręgiem świętym, w którym budowano świątynię. Tak było w Delfach i w Olimpii — dokoła świętego okręgu skupiły się gmachy publiczne na kształt miast całych.

Ośrodkiem kultu i samego okręgu świętego był ołtarz. Przy nim stawiano wizerunki bóstw i ofiary wotywnie. Okręg święty otaczał mur, a różne przepisy rytualne określały jego nietykalność. (Na przykład do świętego "gaju" Dzeusa w Olimpii w pewnych porach nie wolno było wchodzić kobietom.) Przestrzegano, aby nikt w okręgu świętym ani się nie rodził, ani umierał, albowiem narodziny lub śmierć sprowadzały stan nieczystości.

Świątynia była domem boga, który w niej przebywał pod postacią swego wizerunku. Wierni zazwyczaj pozostawali na zewnątrz, aby nie zakłócać spokoju bóstwa w jego prywatnym mieszkaniu. Wchodzili tam w pewne dni uroczyste, ale i wtedy nie dopuszczano ścisku. Tak nakazywała ostrożność ze względu na drogocenne przedmioty, które łatwo mogły zniknąć w tłumie, zwłaszcza że świątynie były słabo oświetlone. Jedynie tam, gdzie odprawiano misteria (np. w Eleuzis), rzesze wtajemniczonych zbierały się na wspólne nabożeństwa.

Każda świątynia otwierała się ku wschodowi i w tę stronę patrzyły oczy posągu. Okien zazwyczaj nie było. Światło wchodziło przez drzwi, tak że w głębi świątyni panował półmrok. Odczuwało się większą ciszę i jakby modlitewne skupienie. Często otaczały świątynię drzewa rzędem zasadzone.

W Grecji nie istniał jakiś jednolity stan duchowny w naszym rozumieniu. Pochodziło to stąd, że pierwotnie kulty były domowe i ojciec rodziny był zarazem kapłanem. Kapłan grecki ani nie odbywał specjalnych studiów, ani nie odróżniał się od reszty obywateli. Służbę bożą na równi z mężczyzną pełniła kobieta. Kapłan, jako stróż świątyni, miał funkcję państwową. Poza tym był człowiekiem świeckim. W każdej świątyni był jeden kapłan, któremu przydzielano do pomocy strażników i niewolników. Ponieważ nie znano ani dogmatów, ani teologii, kapłani nie nauczali

wiernych. Jedynym ich obowiązkiem było dokonywanie obrzędów. Kapłanów wybierało zgromadzenie ludowe. W niektórych kultach urząd kapłański był dziedziczny. W okresie hellenistycznym przywędrował ze Wschodu brzydki zwyczaj kupowania urzędów kapłańskich. Kapłan musiał być moralnie i fizycznie bez skazy i być pełnoprawnym obywatelem gminy. Dochody jego stanowiły osobne porcje mięsa z każdej ofiary i okolicznościowe honoraria. Niekiedy pobierał rentę z posiadłości należących do świątyni. Przy spełnianiu obrzędów wkładali kapłani starodawny strój joński: długi, nie przepasany chiton biały lub purpurowy, z rękawami. Czasem występowali w stroju bóstwa. Na przykład kapłanka Artemidy w Patraj jechała na wozie zaprzężonym w jelenie, a kapłanka Ateny w achajskiej Pellene przywdziewała w dniu świąteczne hełm i pancerz. W życiu prywatnym ubierali się jak wszyscy.

Głównym aktem obrzędów religijnych była ofiara — dar składany bóstwu celem pozyskania jego łaski. Na stopniach ołtarza zabijano zwierzęta: woły, krowy, owce, kozy, świnie itd. W dniach szczególnie uroczystych liczba ofiar bywała bardzo znaczna — nazywano to "hekatombą", czyli setką ofiar. Pojęcia hekatomby nie należy brać dosłownie. W rzadkich tylko wypadkach zabijano setki bydła ofiarnych, zwyczajnie zaś hekatombą zwano większą ofiarę, złożoną z kilkunastu lub kilkudziesięciu zwierząt. Przeważnie wybierano zwierzęta zdrowe i dojrzałe, ale istniały w tym względzie wyjątki, gdyż każdy kult wymagał zwierząt innego gatunku, płci, maści itp. Zwykle obok ołtarza stała tablica z wypisanymi dokładnie wskazówkami, jak ofiarę składać należy.

Zwierzęta ofiarne miały często rogi złożone, przystrajano je wstążkami i wieńcami. Najpierw kapłan odcinał z czoła zwierzęcia garść włosów, które wrzucał do ognia, po czym sypał na nie ziarnka zboża. Przy dźwiękach fletów zadawano ofierze cios toporem, tak żeby krew zbryzgała ołtarz. Zabite zwierzę dzielono na dwie części: najlichszą (tłuszcz, skórę i kości) palono na ołtarzu, drugą zaś pieczono i zastawiano ucztę dla wszystkich obecnych. Podczas ofiar składanych przez państwo cały lud bywał ugoszczony, a najlepsze kąski dostawali dygnitarze i kapłani. Na wsi, ilekroć chłop zabijał wołu lub cielę, najpierw składał ofiarę, a resztę mięsa

oddawał na użytek domowy.

Inaczej się działo, gdy ofiarę przeznaczano na przebłaganie bóstw podziemnych. Spalano wówczas całe zwierzę i nie wolno było z niego jeść ani kęsa, albowiem kto zjadł bodaj odrobinę, dostawał się pod władzę duchów piekielnych. Tak samo postępowano składając ofiarę w zamiarze oczyszczenia się z jakiejś przewiny lub dla odwrócenia grożącej klęski.

Ubodzy, którzy nie mieli za co kupić zwierzęcia ofiarnego, przynosili ciasto wypieczone w kształcie wołu, krowy lub owcy. Często, w obleżonych miastach, gdy zabrakło mięsa, składano bogom takie zastępcze ofiary. Poza tym religia grecka знаła ofiary całkowicie bezkrwawe, z owoców i wszelkich płodów ziemi, oraz libacje, wylewanie wina; nie tylko podczas uroczystości, lecz i przy zwykłej wieczerzy odlewano z kubka kilka kropel na cześć bogów.

Na równi z dzikimi plemionami sądzili Grecy w najdawniejszych czasach, że najmilszym darem dla bogów jest ofiara z człowieka. Ślady tych wyobrażeń zachowały się w Grecji do bardzo późnej epoki. Przede wszystkim mówią o tym podania (np. ofiarowanie Ifigenii), w których jakiś wróżbita dla zażegnania gniewu bożego nakazuje złożyć ludzką ofiarę. Ale i wieki historyczne dostarczają podobnych przykładów. W Plutarchowym *Żywocie Temistoklesa* czytamy:

“Nazajutrz, skoro dzień zaświtał, Kserkses dla przypatrzenia się flocie i bitwie (było to pod Salaminą r. 480 przed n. e.) osiadł nadbrzeżną górę powyżej świątyni Heraklesa, kędy cieśnina Eubeję od Attyki rozłącza. Po takich z obu stron przygotowaniach, gdy Temistokles czyni ofiary na okręcie naczelnym, przywodzą przedeń trzech jeńców pięknej urody, w sukniach złotogłowych. Mieniono ich siostrzanami królewskimi. Skoro ich spostrzegł Eufrentydes oraz gdy wielki i jasny ogień na ofiarach rozjaśniał i z prawej strony kichnienie słyszeć się dało (dobry znak), wzięwszy prawicę Temistoklesa, każe mu ich zabić dla Bachusa z przydomkiem Omestes, to jest Surowożerca: «od tego właśnie zależy zwycięstwo i całość Grecji». Stał zdumiony Temistokles na tak okropną wróżbę i nie śmiał jej dopełnić. Ale lud, który zawsze w niebezpiecznych przygodach i rozpaczy woli przeciw wszelkiemu rozumowi szukać na ocalenie swoje

nadzwyczajnych pomocy, aniżeli się trzymać zwyczajnego rzeczy porządku i roztropności prawideł, wezwał jednogłośnie Bachusa i młodzieńców przed ołtarzem stawił na ofiarę, jak wieszczek nakazał".

Co więcej, słyszymy nawet o regularnych ofiarach z ludzi w dobie historycznej. Corocznie zabijano człowieka na ołtarzu Kronosa na wyspie Rodos, a w mieście Abdera kamienowano jednego z obywateli, niby kozła ofiarnego, na oczyszczenie całego społeczeństwa. Podobny zwyczaj istniał w Atenach, prawdopodobnie do V wieku. Podczas majowego święta Targeliów prowadzono w uroczystej procesji dwoje ludzi — mężczyznę jako nosiciela grzechów mężczyzn i kobietę za winy niewiast — z łańcuchem białych i czarnych fig na szyi. Po odbytej procesji wyprowadzano ich za miasto i zabijano. Tak działo się i w innych miastach jońskich. Przeznaczano na ten cel zbrodniarzy skazanych na śmierć, ale należy przypuszczać, że w odległej starożytności mniej ostrożnie szafowano życiem ludzkim i ołtarze bogów greckich ociekały krwią niewinnych równie obficie, jak u wszystkich ludów barbarzyńskich.

Z postępowaniem cywilizacji łagodniały te pierwotne zwyczaje. Oto na wyspie Leukas corocznie w święto Apollina zrzucano ze skały do morza jednego zbrodniarza w celu oczyszczenia całego ludu; lecz na dole oczekiwały łodzie ratunkowe — wyławiano go z wody i skazywano na wygnanie. W Halaj, w Attyce, podczas święta Artemidy wybierano z ludu jednego mężczyznę i zadawano mu w szyję lekkie cięcie mieczem: kilka kropel krwi było zastępczą ofiarą za życie człowieka, które niegdyś składano w darze bogini. Jeszcze ciekawszy był zwyczaj na wyspie Tenedos. Kapłani Dionizosa hodowali piękną krowę, a kiedy urodziło się cielę, obchodzili się z nią jak z kobietą w połogu, cielęciu zaś wdziewali buciki na racice i prowadzili, niby dziecko, przed ołtarz boga, gdzie je zabijali. W tym obrzędzie cielę zastępowało prawdziwą ofiarę z dziecka, której niegdyś wymagał Dionizos od mieszkańców Tenedos.

Do wykonywania służby bożej potrzebna była czystość rytualna. Nieczysty był przede wszystkim zabójca, lecz i ten, kto choćby bezwiednie zetknął się z mordercą lub trupem. Taki nie miał wstępu do świątyni, a gdyby wszedł, splamiłby dom boży. Splamioną świątynię oczyszczano w ten sposób: na ołtarzu płonął ogień, z którego kapłan wyjmował głównię i gasił ją w wodzie; tą wodą, jako święconą, skraplał ściany, posągi i zebranych. Przed świątynią zwykle stało naczynie z wodą święconą, w której wchodzący zanurzali dłonie.

Greki modlili się często, lecz nigdy bez określonego powodu; prosili bogów o pomoc lub dziękowali za doznaną łaskę. Przed każdym przedsięwzięciem obiecywał bogom jakąś ofiarę na wypadek spełnienia prośby. Zwracał się do tego bóstwa, które najłatwiej mogło się zaopiekować daną sprawą, gdyż należała do jego zakresu władzy — albo do boga, którego świątynia znajdowała się w pobliżu. Przy modlitwie stawał wyprostowany i podnosił do góry rozłożone ręce. Jedynie bóstw podziemnych wzywał padając na kolana i bijąc dłonią o ziemię, jakby w ten sposób chciał zwrócić uwagę istot tam mieszkających.

Do służby bożej należały również procesje, tańce, igrzyska i wszelkiego rodzaju zabawy ludowe. Było to właściwością Greków, że widzieli we własnej radości i we własnych rozrywkach coś niesłychanie miłego bogom, którzy zawsze brali udział w ich weselu. Na Partenonie jest fryz przedstawiający jedną z najpiękniejszych uroczystości ateńskich, pochod panatenajski; na fryzie tym rzeźbiarz umieścił grupę bogów olimpijskich, którzy, dla oczu ludzkich niewidzialni, radują się widokiem pięknej młodzieży i całego ludu idącego w procesji. Najczęściej po złożeniu ofiar odbywały się tańce. Bez igrzysk nie rozumiano większych uroczystości. Cztery igrzyska osiągnęły największe znaczenie: olimpijskie, pityjskie (w Delfach), istmijskie (na Międzyomorzu Korynckim) i nemejskie (w Argolidzie). Zwały się panhelleńskie — ogólnogreckie — albowiem uczestniczyła w nich cała Hellada.

Podobnie jak każde państwo i każda gmina miały własnego boga, którego uważały za swego patrona, tak znów każda rodzina, obok Hestii, bogini domowego ogniska, czciła swoje bóstwa domowe, będące jej wyłączną własnością. One opiekowały się jedynie swoim domem i dla obcych mogły się okazać wrogie. Kto po raz pierwszy wchodził do domu, czy to nowy niewolnik, czy panna młoda, składał im natychmiast ofiarę, aby pozyskać ich życzliwość. Pannę młodą w dzień ślubu stawiano przed ogniskiem w domu męża i obsypywano figami, orzechami, daktylami — była to ofiara miła bóstwom domowym. Nowo narodzone dziecko musiało również wkupić się w łaski tych duchów mieszkających w kominie, na strychu, w za-kamarkach piwnic, strzegących dobytku i płoszących złodzieja. W kilka dni po narodzinach odbywała się uroczystość Amfidromiów: dziecko obnoszono dokoła ogniska i sadzano je na nim w popiele.

Nie dość jednak pozyskać dobre bóstewka. Należało jeszcze odstraszyć złe duchy, które tylko czekają sposobności, aby wtargnąć do domu. Szczególnie natarczywe są wtedy, gdy w domu rodzi się nowy człowiek. W Atenach zawieszano na drzwiach gałąź oliwną, gdy przyszedł na świat chłopiec, a wstążkę wełnianą, gdy dziewczyna. Te przedmioty odpędzały złe duchy. Podobną siłę przypisywano wieńcom z liści wawrzynu. Ale najwięcej bały się złe duchy hałas: gdy bito w brązowe lub żelazne talerze, uciekały. Wyszędłszy z domu, nigdy się Grek nie odwracał, albowiem za wychodzącymi idą złe duchy i można nagle stanąć wobec nich twarzą w twarz, co zawsze źle się kończy.

W życiu domowym łatwo się popada w stan nieczystości, np. przez dotknięcie położnicy lub umarłego. Matka dopiero w czterdzieści dni po porodzie ma prawo wejść do świątyni. Umarły jest jeszcze bardziej niebezpieczny. Aby obcych ustrzec przed splamieniem się, stawiali Grecy przed domem nieboszczyka cyprys i wodę z gałęzią wawrzynu. Każdy wychodzący zanurzał gałąź w wodzie i skraplał się cały. Tę wodę przynoszono od sąsiadów, albowiem zmarły zanieczyszcza wszystko, co się wokół niego znajduje — nawet ogień, tak że po upływie żałoby brano głównię z cudzego ogniska i rozpalano w domu nowy, czysty płomień. Na drugi dzień po pogrzebie dom zmywano wodą morską.

Za najcenniejszy objaw łaski bogów uważali Grecy wróżby i wyrocznie. Wróżbici i wróżki, ludzie obdarzeni przez boga szczególnymi zdolnościami i natchnieniem, wykładali rozmaite znaki — lot ptaków, uderzenie piorunu, głos skądś, niespodziane spotkanie, ruchy, barwy, układ wnętrzości zwierząt ofiarnych — w tym wszystkim objawia się wola bogów. Niekiedy zaś bóg przemawia wprost przez usta swoich kapłanów i wówczas w jego świątyni powstaje wyrocznia.

Najsławniejszą wyrocznią helleńską była delficka. Wśród gór Parnasu, u podnóża dwóch skał nagich i czerwonych, otoczona gajem, wznosiła się świątynia Apollina, a dookoła zbiegały się liczne budynki i posągi. Z najdalszych stron śliskimi wąwozami schodzili się pielgrzymi, niosąc bogu swoje utrapienia i nadzieje. Po złożeniu ofiary losowano, w jakim porządku ma każdy pytać o radę. Przed progiem domu bożego stał sługa świątynny, który odbierał pytania składane ustnie lub na piśmie i oddawał kapłanowi, aby je powtórzył jednej z natchnionych dziewczyn, zwanych Pitiami. Owe Pitie, wybierane przez kolegium kapłanów, chowały się od dzieciństwa w świątyni, wiodąc życie klasztorne. W najświętszym

miejscu świątyni, tzw. adyton, które było, jak się zdaje, pieczarą, siadała Pitia na trójnogu, w obłokach duszących wyziewów. Starożytni mówili, że te wyziewy szły wprost z ziemi, ale przy odkopywaniu ruin świątyni delfickiej nie natrafiono na ślad żadnej szczeliny, skąd mogłyby się wyłaniać gazy odurzające. Powstało zatem wśród uczonych przekonanie, że w głębi groty spalano mocne kadzidła, które otaczały wrózkę chmurą dymów. Zaczadzona Pitia wpadała w rodzaj ekstazy i na zadawane pytania wypowiadała mnóstwo słów bez związku. Specjalni kapłani, profeci, układali z tych słów wiersze w heksametrach o sensie zagadkowym lub dwuznacznym.

W każdej porze tłum pytających zalegał plac przed świątynią. Byli tam ludzie, którzy radzili się w sprawach małżeństwa, pożyczki, podróży, którzy dowiadywali się, jakie będą zbiory lub kiedy można liczyć na spadek po bogatym wujaszku; którzy szukali skarbów ukrytych pod ziemią lub mieli wątpliwości w wyborze zawodu. Nie tylko ludzie prywatni zwracali się do wyroczni. Czyniły to przede wszystkim miasta i państwa greckie, a nawet i obce, oficjalnie, przed każdym ważniejszym przedsięwzięciem, jak założenie nowej kolonii lub wyprawa wojenna, a zwłaszcza w kwestiach dotyczących religii. Ilekroć państwo nawiedziła klęska (posucha, trzęsienie ziemi, zaraza), którą uważano za dopust boży, wyrocznia wskazywała sposób przebłagania bogów. Niektóre państwa miały nawet jakby stałych ambasadorów odnoszących każdą trudną kwestię do natchnionego sądu kapłanów delfickich. Cały świat grecki skupiał się dokoła tej świątyni, którą uważano za środek ziemi. Szły ofiary i bogate podarki z Macedonii, z Egiptu, znad Pontu, z Marsylii, z Grecji macierzystej i ze wszystkich jej wysp, z miast azjatyckich i z południowej Italii. Ile razy trzeba było świątynię naprawić lub przyozdobić, składały się wszystkie państwa helleńskie.

Bliska sztuce wieszczona była magia. W najdawniejszych czasach była tak z religią związana, że niepodobna jednej od drugiej oddzielić. Później węzły się rozluźniły i magia stała się obca, jeśli nie wroga religii. W religii bowiem główną rzeczą jest modlitwa, która jest prośbą. W magii zaś prośba nie miała znaczenia, lecz akt woli, stanowcze żądanie, rozkaz.

Czarownik rozkazywał podwładnym sobie istotom przyrodzonym i nadprzyrodzonym. Boginią czarów była tajemnicza i złowroga Hekate, która czarownikom dawała moc nad siłami natury i znajomość ziół magicznych. Wierzono, że wszystko może zdziałać czarownik: ściągnąć księżyc na ziemię i latać w powietrzu, duchy wywoływać i wiatry zwracać w inną stronę, chodzić po wodzie i obudzać miłość w sercach obojętnych. Kto chciał, żeby mu się udało polowanie lub połów ryb, kto puszczał konie na wyścigach, kto chciał deszcz sprowadzić na swoje pola, szedł po radę i pomoc do czarownika lub czarownicy. Wykonywali oni swe praktyki według odwiecznych przepisów, zamawiali choroby, przygotowywali lekarstwa, rozdawali amulety i działo się to zarówno w czasach na pół jeszcze barbarzyńskich, jak i w epoce najwyższej cywilizacji, a pod koniec świata starożytnego wiara w magię stała się powszechna i tak silna, jak może nigdy przedtem. Usłudni taumaturdzy, czyli cudotwórcy, wywoływali dla ludzi wykształconych duchy sławnych poetów — Homera, Orfeusza.

W tej religii, bynajmniej nie wolnej od zdumiewających zabobonów i grubych przesądów, uwijało się sporo takich ludzi, jakich przedstawił w swym dziele *O charakterach* pisarz grecki z IV wieku przed n. e., Teofrastos, kreśląc świetny portret zabobonnika: "Zabobonem — powiada — można nazwać obawę przed wszystkim, co demoniczne. Zabobonnik myje ręce w naczyniu z wodą święconą, którą skrapia się całkowicie, bierze do ust liść wawrzynu i tak chodzi przez cały dzień. Gdy mu łasica przebiegnie drogę, nie rusza się z miejsca, dopóki ktoś przed nim nie pójdzie albo też póki nie rzuci na ziemię trzech kamieni. Gdy spotka w domu węża, natychmiast na tym miejscu wznosi kapliczkę. Koło świętych kamieni na rozstaju nie przejdzie, póki ich nie obleje oliwą z butelki, pada na kolana i modli się. Kiedy mysz nadgryzie mu worek z mąką, zwraca się do wróżbity z zapytaniem, co w tym wypadku czynić należy. Jeżeli mu ten powie, że trzeba worek załatać, zabobonnik z odwróconą twarzą spełnia oczyszczalną ceremonię. W domu dokonywa częstych oczyszczeń, mówiąc, że wpuszczono przez drzwi Hekate. Gdy w drodze posłyszysz krzyk sowy, przeraża się i woła: «Ateno, pomagaj!», i dopiero rusza dalej. Pilnie wystrzega się stanąć w pobliżu grobu albo podejść do umrzyka czy

położnicy. Ile razy ma jakiś sen, śpieszy do wykładaczy snów i wróżbitów, aby zapytać się, do jakich bogów lub bogiń ma skierować swe modły i ofiary. Aby się dać wtajemniczyć w misteria, odwiedza z żoną co miesiąc orfickiego kapłana, a jeśli żona nie ma czasu, bierze dzieci razem z piastunką. Należy i do tych, którzy chętnie skrapia ją się wodą morską; a gdy zobaczy jednego z tych, co biegają po rozstajach w wieńcu z czosnku, wówczas umywa się cały od stóp do głowy i wzywa kapłanki, aby przyszły z cebulą morską i szczeniędem i dokonały oczyszczających obrzędów. Ilekroć spotka obłąkanego lub epileptyka, ogarnia go groza i trzy razy spluwa na piersi".

Religia Greków nie była religią czystego piękna, niezmaconej radości i beztroskiego ukochania życia, jak ją zbyt lekkomyślnie określają. Zapewne, te elementy w niej przeważają i czynią ją na pozór niepodobną do żadnej innej. Ale misteria eleuzyjskie i doktryny orfików dają nam niejasno poznać głęboką zadumę religijną owych, "wesołych" Greków, którzy umieli być bardzo poważni, a nawet smutni. Mieli również swą cześć barbarzyństwa w zabobonach i nedorzecznych przesądach. Ich filozofia, nauka, literatura i sztuka — dobro wieczyste i powszechne wszystkich narodów europejskich — tak potrafiły ukryć i zatrzeć owe rysy bardzo pospolite, że jedynie dzięki żmudnym badaniom udaje się nam dzisiaj odkryć pod idealną powłoką bóstw helleńskich ów zabawny i pokraczny grymas pierwotnych demonów.

Kto zaś wejdzie w rojny i barwny świat mitów, nie może się opędzić pytaniu: w jaki sposób radził sobie wśród tych sprzeczności, kaprysów i bezceństw umysł tak inteligentnego narodu. Dają na nie odpowiedź dzieje religii greckiej, w których można dostrzec tysiąc lat walki między rozsądkiem i cnotą a zabobonem i niepowściągliwą fantazją. Oczyszczanie pojęcia bóstwa z grubych przesądów lub niemoralnych mitów odbywało się i w misteriach; i w kolegiach kapłańskich, takich jak delfickie, i u filozofów, jak Platon, i u poetów związanych szczególnie z religią, jak Ajschylos, Sofokles, Pindar. Pojęcia te zmieniały się w każdym stuleciu, lecz dziwnym biegiem rzeczy koniec starożytności był bardzo podobny do jej zamierzchłych początków: wiara w demony opanowała nawet niepospolite

umysły i wśród filozofów ginącego antyku znalazły się figury podobne do cudotwórców, magów i czarowników, jakimi już Homer gardził.

To wszystko jest przedmiotem badań historyków religii zaledwie od stu lat, nikt zaś o to się nie troszczył przez piętnaście wieków, w ciągu których świat bogów greckich oddziaływał na literaturę i sztukę Europy. Zawsze patrzono na mitologię jak na jeden z najpiękniejszych tworów wyobraźni greckiej i była ona zbiorem nieśmiertelnych tematów, motywów, symbolów, bez których i dziś sztuka nie umie się obejść i wciąż do nich wraca.

NARODZINY ŚWIATA

Na początku był Chaos. Któż zdoła powiedzieć dokładnie, co to był Chaos? Niejedni widzieli w nim jakąś istotę boską, ale bez określonego kształtu. Inni — a takich było więcej — mówili, że to wielka otchłań, pełna siły twórczej i boskich nasieni, jakby jedna masa nie uporządkowana, ciężka i ciemna, mieszanina ziemi, wody, ognia i powietrza. Z tej napełnionej otchłani, kryjącej w sobie wszystkie zarodki przyszłego świata, wyłoniły się dwa potężne bóstwa, pierwsza królewska para bogów. Uranos — Niebo i Gaja — Ziemia. Oni dali początek wielu pokoleniom bogów.

Z ich małżeńskiego związku wyszedł wielki ród tytanów, wśród których najstarszy był Okeanos, bóg potężnej rzeki, co szerokim, błękitnym kręgiem opływa całą ziemię dokoła. Młodszym rodzeństwem tytanów byli kiklopowie (cyklopi) i hekatonchejrowie — sturęcy. Cyklopi, potwornego wzrostu, o dzikim wyglądzie, mieli jedno oko w środku czoła, a hekatonchejrowie o stu rękach przerażali swą siłą niezłomną. Uranos nie był zadowolony z tego potomstwa, które było szkaradne lub okrutne. Wszyscy oni napełniali go strachem i odrazą. Nie spodziewając się po nich ani wdzięczności, ani poszanowania swej władzy ojcowskiej, strącił ich w bezdenne czeluści Tartaru.

Stamtąd nie było już powrotu. Tartar rozciągał się tak głęboko pod ziemią, jak wysoko ponad nią rozciąga się niebo. Kowadło z brązu, rzucone z wysokości nieba, leciałoby dziewięć dni i dziewięć nocy, zanim dosięgłoby powierzchni ziemi*. Podobnie długo, a może jeszcze dłużej wędrowałoby owo kowadło do głębin Tartaru, gdzie panuje noc potrójna. Ktoś, kto by tam wszedł, nie zdołałby przez rok cały dojść do ostatecznych granic tego bezmiaru ciemności, ów zabłąkany podróżny pielgrzymowałby bez przerwy, unoszony gwałtownym wichrem podziemnych huraganów. Wieść niesie, że gdzieś pośrodku tych straszliwych mroków stoi smutne dworzyszczce Nocy, otoczone nieprzeniknionymi chmurami.

* Łatwo obliczyć tę przestrzeń. Okazuje się, że w naszym pojęciu niebo greckie nie było zbyt wysokie. Droga owego kowadła wynosiłaby zaledwie półtorej odległości Księżyca od Ziemi.

Gaja słyszała jęk potępionych tytanów dobywający się z przepastnych wnętrzości ziemi. Znienawidziła wyrodnego ojca i zaczęła knuć spisek przeciw jego władzy bezwzględnej. Namowom matki uległ najmłodszy z tytanów — Kronos, dotychczas nie pozbawiony wolności. Uzbrojony w żelazny sierp, zaczął się na Uranosa, okaleczył go haniebnie i strącił ze świetlistego tronu niebios. Z krwi, która wyciekła z rany powalonego boga, zrodziły się trzy straszne boginie zemsty, Erynie, o włosach węzowych. Uranos, ukryty w błękitach nieba, zeszedł z widowni dziejów boskich.

Razem z bogami rodził się świat. Nad ziemią, która jako łąd stały wydobyła się z chaosu, świeciło młode słońce, a z chmur spadały deszcze obfite. Podniosły się pierwsze lasy i ziemię przykryła wielka, szumiąca puszcza. Po nieznanach wzgórzach błędziły rzadkie zwierzęta. Z wolna rzeczy zaczęły przybierać znajome kształty. Źródła znalazły swe groty, a jeziora wygodne kotliny; góry śnieżnym grzebieniem zarysowały się na jasnym niebie. Gwiazdy lśniły w ciemnych przestworzach nocy, a kiedy one bladły, ptaki wydzwaniały jutrzence swą pierwszą pieśń powitalną.

Nad światem rządził Kronos wraz z małżonką Reją. Był to władca ponury i podejrzliwy. Większą część uwięzionych braci pozostawił w otchłaniach Tartaru. Zachował w pamięci klątwę ojca, który mu przepowiedział, że i jemu syn odbierze berło. Każde więc dziecko, które powiła Reja, natychmiast połykał. W ten sposób pięcioro dzieci dostało się do potwornych wnętrzości tytana. Gdy urodziło się szóste dziecko, Reja podała Kronosowi kamień zawinięty w pieluszki. Kronos połknął kamień sądząc, że połyka syna.

Tymczasem Reja zeszła na ziemię. Chciała umyć niemowlę, ale nigdzie nie mogła znaleźć źródelka. Pomodliła się do Gai i uderzyła berłem o skałę. Z twardego głazu wypłynął jasny strumień wody. Wykąpawszy małego, nadała mu imię: Dzeus. Powędrowała na Kretę i w złotej kołysce złożyła go w grocie idajskiej, której wejście osłaniał gęsty las, a po ścianach pełzały lśniące zwoje bluszczu. Dzeus chował się pod opieką nimf górskich, karmiony mlekiem kozy Amaltei. Dziecko kochało ją bardzo. Kiedy Amalteja złamała sobie jeden róg, Dzeus wziął go w swe boskie ręce i

pobłogosławił, tak że odtąd napełniał się on wszystkim, czego zapragnął ten, kto go posiadał. Tak powstał róg obfitości, zwany rogiem Amaltei.

Złotą kołyskę nowego boga otaczała miłość całej przyrody. Gołębie znad brzegów Oceanu przynosiły mu ambrozje, a orzeł co wieczór nadlatywał niosąc w szponach kubek pełen nektaru. Pszczoły zbierały dlań miód najśłodszy. Jedna z nimf sporządziła cudowną zabawkę. Była to przeźroczysta kula ze złotych pierścieni, między którymi wił się bluszcz. Gdy rzucona w powietrze spadała, zostawiała za sobą bruzdę jaśniejącą. Aby zaś płacz i kwilenie dzieciątka Dzeusa nie doszło do uszu czujnego Kronosa, kapłani Rei, kureci, wykonywali nad jego kołyską hałaśliwe tańce wojenne wśród grania bębnow, rogów i piszczałek.

Dzeus dorósł i wyszedł z ukrycia, miał teraz stanąć do walki z ojcem. Poradził matce, aby przede wszystkim dała Kronosowi potajemnie środek na wymioty. Wtedy Kronos, wśród straszliwych męczarni, wyrzucił z powrotem połknięte potomstwo. Był to wcale piękny zastęp młodych bogów: synowie — Hades i Posejdon, i trzy siostry — Hera, Demeter i Hestia. Właśnie umarła dobra koza Amalteja. Nawet po śmierci oddała swemu wychowankowi jeszcze jedną przysługę, albowiem z jej skóry uczynił sobie Dzeus puklerz, którego nie mógł przebić żaden pocisk. Tak powstała egida, cudowna tarcza, którą Dzeus brał zawsze do bitwy. Pierwsza, którą stoczył, była przeciw ojcu. Polem walki były równiny Tesalii.

Kronos z tytanami zajął góry Otrys, Dzeus ze swoimi sprzymierzeńcami opanował śnieżne szczyty Olimpu. Dziesięć lat trwała wojna bez widocznego skutku, gdy Dzeus postanowił wprowadzić nowe siły do tych śmiertelnych zapasów. Uwolnił mianowicie z Tartaru cyklopów i sturękich, trzech olbrzymów, z których każdy miał sto rąk i głów pięćdziesiąt. W owym dniu wywiązała się zaciekle bitwa. Z gwałtownym hukiem morza mieszał się jęk ziemi i nieba. Pod nogami nieśmiertelnych drżał Olimp, a drżenie to dawało się odczuć w najdalszej głębi Tartaru. Z obu stron podnosił się zgiełk nieopisany. Gwiazdy spadały z firmamentu.

Ze szczytów Olimpu Dzeus bez przerwy ciskał pioruny, które dniem i nocą wykuwali cyklopi. Gromy rozbiegały się po górach, a na równiny lał

się ogień święty. Ziemia pękała w płomieniach, lasy całe paliły się jak smolne pochodnie. Morza i rzeki wrzały. Płomienne opary otoczyły tytanów, którym oczy ślepy od niesamowitego blasku. Gwałtowne wiatry wzbijały tumany pyłu, zdawały się unosić w czarnych skrętach pioruny i błyskawice. Gdy na chwilę rozpraszają się chmury, widać było w pierwszym rzędzie walczących trzech olbrzymich sturękich, którzy za każdym razem ciskali w tytanów trzysta skał, okrywając ich jakby chmurą kamienną. Lecz nie byli oni tak groźni jak pioruny Dzeusa, wobec których stawali tytanowie ogłuszeni i bezradni, albowiem nikt z nich dotąd nie widział tej straszliwej ognistej broni. Raz wraz któryś z nich padał omdlały i bezwładny, w potoku czerwonego światła i wśród przeraźliwego huku gromów. Wówczas olbrzymi sturęcy (hekatonchejrowie) chwyтали te ogromne ciała, z których, zda się, życie uciekło, i wrzucali je w przepaści Tartaru, między wygasłe i dymiące kratery, cuchnące bagna i lodowe góry, gdzie brał ich już w swe wieczyste posiadanie nieprzenikniony mrok i noc nieskończona.

Jak wprzód dostojny Uranos, tak obecnie Kronos zwał się w nicłość zapomnienia, z której dochodziły już tylko słabe echa. U ludu nie mówiono o nim źle. Obchodzono ku jego czci prastare święto Kronia, podczas którego weselono się na pamiątkę złotego wieku, jaki za jego czasów panować miał na ziemi. Kronos nie posiadał ani świątyń, ani ołtarzy. W Olimpii istniało wzgórze jego imienia, a nie opodal stało szanowne Metroon, przybytek Rei, "matki bogów". Na posągach, które pojawiają się bardzo rzadko, wyobrażano Kronosa jako poważnego, starszego mężczyznę z brodą: głowę ma nakrytą połą płaszczą. Małżonkę jego, Reję, utożsamiali Grecy z azjatycką boginią Kybele i przedstawiali jako tęgą niewiastę na wozie w lwy zaprzężonym, trzymającą gałąź lub wieniec dębowy i klucz, na głowie zaś miała diadem z obronnych wież i bastionów.

Nowe pokolenie bogów niedługo pożywało owoce zwycięstwa. Powstał przeciw nim ród gigantów, synów Ziemi. Jedni z nich byli podobni do ludzi, chociaż kształtów olbrzymich, inni mieli potworne ciała zakończone splotami węży. Z gór poprzierzucanych stworzyli barykady, aby się dostać na Olimp. Trwoga opanowała bogów, gdy postyszeli z dołu

idące okrzyki i ujrzeli na stokach swej świętej góry odważnych napastników. Dzeus tylko, spokojny i nieustraszony, wyznaczył każdemu z bogów stanowisko i sam jął razić wroga piorunami. Giganci nie ustępowali. Ciskane przez nich skały sypały się niby grad, a spadając do morza zostawały wśród jego fal jako wyspy. Pioruny nie wyrządzały im szkody. Dzeus, zajrzawszy do księgi Przeznaczenia, dowiedział się, że pokonać gigantów może tylko człowiek śmiertelny. Wtedy Atena sprowadziła Heraklesa.

Zaczął się ostatni dzień walki. Dokoła Heraklesa skupili się wszyscy bogowie i wszystkie boginie. Bohater nakładał co chwila strzałę na cięciwę i szył w zbitą gęstwę nacierających. Nagle przyszedł mu z pomocą nieoczekiwany sprzymierzeniec. Dionizos nadciągnął z czeredą swoich satyrów siedzących na osłach. Kłapouchy, popędzane żegadłami, zmieszane wrzawą wojenną i widokiem dzikich postaci gigantów, podniosły ryk tak okropny, że bezmyślny, nieopanowany popłoch ogarnął nieprzyjaciela. W rozsypce łatwo już było dobić uciekających. Pozostał tylko jeden, piękny i wspaniały Alkioneus. Ten pierworodny syn Ziemi drwił ze wszystkich ciosów, albowiem wystarczało mu dotknąć tego miejsca ziemi, na którym się urodził, a natychmiast goiły się rany i wracały mu świeże siły. Herakles porwał go, zaniósł daleko poza granice jego ojczyzny i tam zabił.

Ta walka bogów z gigantami była po wszystkie wieki dla sztuki greckiej niewyczerpanym źródłem natchnienia. Triumf doskonałości, szlachetności, inteligencji nad brutalną, potworną siłą zwierzęcą, opiewany w wierszach poetów, błyszczał pełną chwałą w niezliczonych płaskorzeźbach świątyń, na malowidłach, na rysunkach waz greckich. Po wojnach perskich Grecy chętnie widzieli w scenach gigantomachii symboliczne przedstawienie ich własnych zmagania z przemocą barbarzyńskiej Azji.

Giganci byli dziećmi Gai. Sędziwa bogini nie mogła przebaczyć bogom, że tak okrutnie wytępilli jej potomstwo. Uniesiona pragnieniem zemsty wydała na świat najstraszliwszego potwora, jakiego kiedykolwiek oglądało słońce. Nazywał się Tyfon. Od głowy do łądźwi miał ciało olbrzyma ludzkiej postaci, a zamiast nóg wiły się sploty wężów. Całe ciało miał upierzone, tylko na głowie i brodzie jeżyły się włosy szczecinowate.

Wzrostem najwyższe góry przenosił i aż do gwiazd sięgał. Gdy rozłożył ramiona, palcami lewej ręki dotykał miejsca, skąd słońce wschodzi, a prawa dłoń nurzała się w mrokach dalekiego zachodu. Największymi skałami rzucał jak piłką. Latał w powietrzu napętniając je krzykiem i sykiem. Z paszczy płynęła mu wrząca smoła, a ogień buchał ze ślepiów.

Kiedy bogowie ujrzeli tego potwora u bram niebieskich, ogarnął ich popłoch. Uciekli do Egiptu, gdzie zmienili się w zwierzęta, żeby ich Tyfon nie poznał. Dzeus sam jeden stanął do walki z żelaznym sierpem, okrutną bronią, którą niegdyś Kronos okaleczył swego ojca, Uranosa. Tyfon, zraniony, broczył krwią tak obficie, że góry trackie zabarwiły się na czerwono i odtąd zwano je Hajmos — góry krwi. Na koniec osłabł zupełnie. Dzeus przywalił go wyspą Sycylią. Ilekroć Tyfon stara się wydobyć z tego więzienia, ziemia sycylijska drży, a przez krater Etny bucha ogień z paszczy pokonanego potwora.

Pamięć o tych walkach nie wygasła i dziś wśród ludu greckiego, chociaż tyle wieków upłynęło i tyle się zmieniło na starej ziemi Hellenów. Ale w pojęciach współczesnego chłopca greckiego złąły się postacie tytanów, cyklopów i gigantów w jedną całość. Opowiadają sobie po wsiach o jakichś olbrzymach, zwanych gigantami, nadludzkiego wzrostu i niezwykłej siły, co mają jedno tylko oko w środku czoła, błyszczące jak ogień, i noszą bardzo długie brody. Ojcem ich jest pewien diabeł, a matką jakaś czarownica. Mieszkają w głębi ziemi, gdzie budują olbrzymie gmachy, kładąc wielkie głazy jeden na drugim. Podczas trzęsienia ziemi mówią chłopci: "Na pewno znów jakaś budowla gigantów się wali". W podziemiach zamknął ich Pan Bóg za to, że kiedyś zbuntowali się przeciw niemu.

Kiedy Dzeus osiadł tron niebieski, ludzie już byli na ziemi i przed ich zatrwożonymi oczyma rozgrywały się walki bogów o panowanie nad światem. O powstaniu rodu ludzkiego różne były podania: że wyszedł wprost z ziemi, wspólnej macierzy wszystkiego, co żyje; że lasy i góry wydały ludzi na podobieństwo drzew i skał; że ludzie pochodzą od bogów — tego mniemania byli zwłaszcza królowie i szlachta. Najchętniej jednak przyjmowano baśń o czterech wiekach ludzkości.

Najpierw był, oczywiście, wiek złoty. Panował wtedy Kronos. Rzeki płynęły mlekiem, z drzew sączył się miód najprzedniejszy, a ziemia rodziła wszystko w obfitości, nie przymuszona pracą rolnika. Ludzie żyli jak niebianie, bez trosk, bez trudów, bez smutków. Ciało ich nie starzało się nigdy i żywot swój trawili na nieustannych biesiadach i zabawach. Z

upadkiem Kronosa skończył się wiek złoty, a ówcześni ludzie zmienili się w dobroczynne demony.

Następne pokolenie było srebrne, a więc znacznie lichsze. Ludzie rozwijali się bardzo powoli. Okres dzieciństwa trwał u nich sto lat, a kiedy dochodzili do wieku dojrzałego, życie ich było krótkie i pełne zgrzytów. Byli źli i dumni, bogom nie chcieli składać ofiar ani czcić ich, jak należy. Dzeus wytępił ich do ostatniego, lecz w pamięci ludzkiej pozostali oni jako dusze błogosławione.

W wieku brązowym żyło plemię gwałtowne, miłujące wojnę. Ludzie mieli siłę olbrzymów i serca twarde jak kamień. Żelaza nie znali. Wszystko sporządzali z brązu: i mury miast, i domy, i sprzęty, i oręż. Był to okres heroiczny. Wówczas żył wielki Herakles i dzielny Tezeusz, i bohaterowie spod Teb, i spod Troi. Dokonywano czynów tak niezwykłych, jakie już nie powtórzyły się w wieku następnym, żelaznym, który trwa do dzisiaj.

Inne podania głosiły, że człowiek jest tworem jednego z tytanów — Prometeusza, który ulepił go z gliny pomieszanej ze łzami. Duszę zaś dał mu z ognia niebieskiego, którego parę iskieł ukradł z rydwanu słońca. Niedaleko miasta Panopeus pokazywano chatę z cegieł, gdzie Prometeusz ongi dokonywał swej pracy. Dokoła leżały odłamki gliniastej ziemi, a szedł z nich zapach jakby ciała ludzkiego. Były to bowiem resztki nie zużytego materiału. Dziś jeszcze czerwona ziemia beocka przypomina baśń o stwórcy rodu ludzkiego.

Człowiek Prometeusza był słaby i nagi. Palce miał zakończone zbyt kruchymi paznokciami, by mu były obroną przed pazurami dzikich zwierząt. Jedyne jego postać, niepodobna do otaczających stworzeń, była widocznym obrazem bogów. Brakowało mu tylko ich siły. Niby mdłe zjawy senne błędzili ludzie, bezradni wobec potęg przyrody, której nie rozumieli. Wszystkie ich czyny były nieświadome i bezładne. Widząc to Prometeusz ponownie zakradł się do wielkiego spichlerza ognia niebieskiego i przyniósł na ziemię pierwsze zarzewie. W siedzibach ludzkich zapłonęły jasne ogniska ogrzewając mieszkańców i płosząc drapieżne bestie. Mądry tytan uczył ludzi umiejętności używania ognia, sztuk i rzemiosł.

Nie podobało się to Dzeusowi. Mając w pamięci niedawną walkę z gigantami, obawiał się wszystkiego, co pochodzi z ziemi. Kazał wtedy Hefajstosowi, z bogów najbieglejszemu we wszystkich sztukach, stworzyć kobietę cudnej urody, na wzór bogiń nieśmiertelnych. Gdy misterne to dzieło już było gotowe, Atena nauczyła pierwszą niewiastę pięknych robót kobiecych; Afrodyta otoczyła jej oblicze wdziękiem i w oczy wlała urok uwodzicielski; Hermes dał jej skryty i pochlebny charakter wraz z darem

kuszącej wymowy; w końcu ubrano ją w złoto i uwieńczyto kwiatami. I nazwano ją Pandorą, albowiem była ona darem dla ludzi od wszystkich bogów i każdy z bogów obdarzył ją jakąś szczególną właściwością. W posagu otrzymała glinianą beczkę szczelnie zamkniętą, której zawartości nikt nie znał.

Tak wyposażoną Pandorę zaprowadził Hermes, posłaniec bogów, na ziemię i zostawił ją przed chatą Prometeusza. Mądry tytan wyszedł przed dom przyjrzeć się pięknej nieznamym i od razu zwierzył jakiś podstęp. Nie przyjął jej więc, ale odprawił i innym doradzał tak samo postąpić. Lecz Prometeusz miał brata nie bardzo rozumnego, imieniem Epimeteusz, co się wyklada: "wstecz myślący". Ten nie tylko nie wygnał Pandory, lecz natychmiast z nią się ożenił. Pandora ciekawa była zajrzeć do owej beczki, którą bogowie dali jej we wianie. Ale przyszedł Prometeusz, odwiódł brata na stronę i przestrzegając: "Niemądry Epimeteuszu — rzekł — zrobisz już jedno głupstwo, żeś tę niewiastę, na zło chyba stworzoną przez bogów, przyjął do domu. Nie czyń przynajmniej drugiego głupstwa i nie otwieraj beczki ani żonie nie pozwalaj, bo tak mi się zdaje, że w niej jakieś wielkie лихо siedzi". Epimeteusz przyrzekł, że się nad tym zastanowi. Miał zwyczaj myśleć bardzo długo i powoli, tak że zanim zdążył rozważyć słowa brata, szybkómówna Pandora nakłoniła go do otwarcia beczki. I oczywiście stało się nieszczęście. Ledwo podniesiono wieko, wyleciały na świat wszystkie smutki, troski, nędze i choroby i jak kruki obsiadły biedną ludzkość.

Prometeusz chciał teraz bogom podstępem za podstęp odpłacić. Zabił wołu i podzielił go na dwie części: osobno złożył mięso, które owinął skórą, oddzielnie zaś kości, i nakrył je tłuszczem. Za czym poprosił Dzeusa: "Którą część weźmiesz, będzie odtąd bogom poświęcona". Dzeus wybrał tę, gdzie było więcej tłuszczu, domyślając się pod jego grubą warstwą najdelikatniejszego mięsa. Natychmiast przekonał się, że były to same kości, pokryte najgorszym tłuszczem. Ale wyrok był nie cofniony: te właśnie części zwierząt składano w ofierze bogom niebieskim.

Dzeus zemścił się okrutnie. Na jego rozkaz przykuto Prometeusza do skały Kaukazu. Co dzień zgłodniały orzeł zlatywał, by mu wyjadać wątrobę, która wciąż odrastała. Wokoło było pusto i głucho. Skazaniec nie słyszał głosu ludzkiego ani nie ukazywała mu się twarz przyjazna. Palony gorącymi, promieniami słońca, bez ruchu i spoczynku, trwał Prometeusz, niby wieczny wartownik, dla którego zawsze za późno przychodzi noc w płaszczu gwiazdzistym i za późno zorza poranku roztopia się w ciepłocie dnia. Jego próżne jęki spadały w przepaść gór jak martwe kamienie.

Prometeusz jest jedną z najwznioślejszych postaci w mitologii — bóg, który cierpiał przez miłość dla ludzi. Zanim do nich przemówił, byli jak ślepcy i brodzili w mroku, nie wiedząc ani o sobie nic, ani o świecie otaczającym, były im obce budowy kamienne, strzelające ku słońcu, nie

znali sztuki ciesielskiej. Nie umieli powiedzieć, kiedy następuje kres zimy lub kwietnej wiosny albo jesieni bogatej w plony. Żyli jak mrówki w ciemnych jaskiniach, aż on im pokazał, gdzie wschodzą gwiazdy i kędy zachodzą. Dał im naukę o liczbach, najprzedniejszą wiedzę i objawił kunszt pisma, ten skarbiec pamięci i źródło poezji. Oswoił zwierzęta, konie zaprzął do wozu i na słone morze spuścił płóciennoskrzydłe statki. Dał chorym lekarstwa kojące i wynalazł zioła, które ból usuwają. W głębi ziemi wyśledził cenne metale i objawił, jak ze snu, lotu ptaków i głosów w przyrodzie odgadywać przyszłość. Prometeusz w człowieku rozbudził ducha i dał mu moc panowania nad światem.

Gdy zabrakło jego mądrego kierownictwa, ludzie, nękanici cierpieniami, pełni żądz, których poskramiać nie umieli, stawali się źli i występni. Bogowie, ilekroć zeszli na ziemię, narażali się na zniewagi i obelgi. Na Olimpie mówiono, że winna temu zbrodnicza krew gigantów, którą przesiąknięta była ziemia, z jakiej Prometeusz ulepił ludzi. Gdy więc i Dzeusa spotkała śmiertelna obraza — król Lykaon poczęstował go mięsem ludzkim podczas wieczerzy — na radzie niebieskiej postanowiono wytępić ród ludzki potopem.

Wysłano wiatry, aby zewsząd pospędzwały chmury. Z pierwszym gromem spadły wielkie deszcze. Morza i rzeki wystąpiły z brzegów. Najwyższe domy skryły się pod wodą. Nie było granicy między ziemią i morzem. Człowiek żeglował po polach, po których niedawno chodził za pługiem. Nereidy, zdumione i przerażone, pływały po ulicach miast zatopionych. Wszystko ratowało się bezładną ucieczką. Z białych fal wychylały się płowe grzywy lwów, a wilk prowadził trzodę owiec do nie istniejącej przystani. Ptaki znużone lotem, nie widząc nigdzie oparcia, spadały w głębinę. Ziemię zaległa cisza i pustka. Bogowie ze szczytów Olimpu słyszeli tylko oddech bezkresnego morza.

Najwyższe góry znikły. Ponad falami wyrastał jeden wierch Parnasu, w Beocji. Na bezbrzeżnym oceanie kołysało się nędzne czółno, a w nim drżało z trwogi dwoje staruszków: Deukalion i Pyrra. Ich słaby wzrok nie mógł ogarnąć całego bezmiarów klęski. Po dziewięciu dniach i dziewięciu nocach wędrowania czółno stanęło na szczycie Parnasu. Wody zaczęły

opadać. Z wolna ukazywały się wzgórza, po nich wyższe płaszczyzny, wreszcie niziny pełne szlamu, w którym leżały trupy ludzi i zwierząt.

Pobożni staruszkowie zeszli do groty delfickiej, aby się dowiedzieć, co czynić należy. Chcieli bowiem w jakiś sposób ziemię na nowo zaludnić. Z wróżebnej pieczary posłyszeli głos: "Idźcie, twarze zasłoną przykrycie i rzucajcie poza siebie kości waszej matki". Pyrra, która była córką Epimeteusza i Pandory, oburzyła się mówiąc, że niegodną jest rzeczą rozrzucać święte szczątki rodziców. Ale Deukalion, syn mądrego Prometeusza, zrozumiał, że bóstwo nie może doradzać złych uczynków, i tak sprawę wyjaśnił: wspólną macierzą wszystkiego, co żyje — jest ziemia, a kośćmi ziemi są kamienie.

Wyszli tedy na pole otwarte, twarze okryli zasłoną, odwiązali ze szat przepaski i tak idąc, krok za krokiem, rzucali poza siebie kamienie. A kamienie traciły zwykły kształt i twardość: zmieniały się w ludzi. Z głazów, ciśniętych ręką Deukaliona, powstawali męż-czyźni, Pyrra zaś wywoływała z okruchów skalnych kobiety. Gdy się zmęczyli, usiedli, aby odpocząć. Dookoła świat się odnawiał. Z użyźnionej wielkimi deszczami gleby rodziły się rośliny, ptaki i zwierzęta. Niezmierna, zielona puszcza przykryła ziemię, nad którą śpiewały skowronki, przelatywały bociany i jaskółki. Dopiero z wolna i gdzieniegdzie podnosiły się nieśmiało pierwsze osady. Budowało je plemię wyrosłe z kamieni, a więc zdatniejsze do życia, wytrzymałe na ból i trudy. Deukalion, jak patriarcha, chodził wśród swoich dzieci, nauczał ich rzeczy niezbędnych do życia, krzewił cześć należną bogom i stawiał świątynie.

Z okien dworzyszczca olimpijskiego Dzeus widział, jak świat dźwigał się do nowych przeznaczeń. Przekonał się niebawem, że ludzie, niepamiętni kary, jaka spotkała ich poprzedników, bynajmniej nie stają się lepsi, ale już więcej nie zsyłał na nich potopu.

BOGOWIE OLIMPIJSCY

Olimp

Łańcuch gór, pełen ogromnych skał kształtem przypominających głowy, pokrytych siwizną śniegów, przepastne otchłanie pieczar, w których biją źródła spływające wartkimi strumieniami, ze stromych zboczy porośłych zieloną szczeciną lasów. Olimp. W przejrzystym powietrzu widać stąd całą Macedonię i całą Tesalię, której rzeki rysują się jak na karcie błękitnymi wstęgami; na wschodzie morze zatacza krąg olbrzymi, od góry Atos aż do wyspy Skyros, gdzie chował się młody Achilles wśród córek króla Lykomedesa; na zachodzie łańcuch Pindu zamyka horyzont murem zębatym. Płuca rzeźwią się bezcennym nektarem tego powietrza, o którym dzisiejsi chłopcy tesalscy mówią, że mocą swą cudowną rany goi. Wśród skał i lasów stoi klasztor św. Dionizego, a pod najwyższym szczytem, gdzie ongi wznosił się pałac Dzeusa, do nagich złomisk tuli się nędzna i krucha kaplica św. Eliasza, zbudowana z nie ociosanych kamieni. Dzień i noc dzwony klasztorne zapełniają opustoszałą dziedzinę bogów surowymi dźwiękami pieśni chrześcijańskich. I dzieje się tak chyba już od owej cudnej nocy wiosennej, gdy na tym miejscu zasiadł Apollo z formingą u stóp apostołów i w otoczeniu muz, które dokoła niego "skupiły się na kształt stada białych łabędzi", śpiewał nie zasłyszane dotąd nigdy na wysokościach Olimpu słowa: "Pod Twoją obronę uciekamy się..."*

Olimp był właściwym królestwem Dzeusa, odkąd, po wojnie z gigantami, podzielił się on władzą nad światem z dwoma braćmi: Posejdonem i Hadesem. Wszyscy trzej ciągnęli losy. Dzeusowi dostało się niebo i ziemia wraz z Olimpem, Posejdonowi morze, Hadesowi królestwo umarłych w podziemiu. Dzeus, jako pan nieba, obwołał się bogiem najwyższym, któremu wszyscy winni posłuszeństwo. W początkach bracia burzyli się nieraz, zwłaszcza gwałtowny Posejdon, bywały nawet rewolucje pałacowe, lecz zawsze Dzeus dzięki sile i rozumowi odnosił zwycięstwo, póki wszyscy nie poddali mu się bez szemrania.

I ziemię dzielili bogowie między siebie: każdy z nich otrzymywał jakieś miasto lub jakąś wyspę, gdzie doznawał szczególnej czci od

* Henryk Sienkiewicz: *Na Olimpie*.

mieszkańców. Te działy rodzinne odbywały się zgodnie; podpisywano umowy i zawierano kontrakty. Ale nieraz przychodziło do walki. I tak np. Posejdon nie chciał ustąpić Atenie miasta Aten. Dla pogodzenia zwaśnionych postanowiono, że ten miasto otrzyma, kto jego mieszkańcom złoży dar cenniejszy. Posejdon uderzył trójzębem o ziemię i wyskoczył z niej koń (według innych wytrysło źródło słońce), Atena zaś wywołała z głębi nieurodzajnej ziemi attyckiej drzewo oliwne. Wszyscy bogowie i ludzie zgodnie uznali, że dar Ateny jest cenniejszy jako prawdziwe błogosławieństwo ubogiego kraju. Kiedy już całą ziemię w ten sposób podzielono, okazało się, że dziwnym trafem zupełnie zapomniano o najjaśniejszym z niebian, Heliosie, wszytkowidzącym bogu słońca. Na szczęście, w kilka dni później, wyłoniła się z morza piękna wyspa Rodos, którą ofiarowano Heliosowi. Na tej wyspie, różami pachnącej, miał on świątynie i ołtarze, i wiernych wyznawców.

Pięknie urządził się Dzeus na Olimpie. Dzikie zwierzęta nie miały tam przystępu i nigdy wiatr zimny nie niósł zadymki śnieżnej. Czystego powietrza nie ćmiła żadna chmura. Panowała tam wieczna wiosna. Pod najwyższym szczytem błyszczał pałac Dzeusa, cały ze złota i drogich kamieni, a wśród innych wierchów i po wąwozach stały skromniejsze dwory innych bogów. Wszystkie były dziełem Hefajstosa, niezrównanego mistrza wszelkich sztuk. Wrót Olimpu strzegły hory, dziewczęce boginie pór roku.

Szczęśliwe życie pędzą bogowie na Olimpie. Nie słychać jęków ani stękania chorych, bo choroby nie mają władzy nad złocistymi ciałami niebieskich panów. Czasem tylko bóg któryś, co wdał się niebacznie w mężobójczą wojnę, wraca zraniony, lecz wnet jego rany goją się pod opieką troskliwych lekarzy. Kłótnie i spory trwają zwykle krótko, bo je Dzeus swą powagą rozstrzyga i ucisza. Jedynie małżonka, Hera, czyni panu wszego świata głośniejsze wymówki, ile że jest swarliwa i łatwo daje się unosić podejrzeniom. Bogowie łączą się w bliższe i bardziej zażyłe kółka towarzyskie, a na większe uroczystości i narady schodzą się do przestronnego zamku Dzeusa.

Zebrania bywają mniejsze i większe. Na pierwsze, bardziej poufne,

proszeni są tylko Olimpijczycy, najwyższa arystokracja bogów. Kiedy indziej znów odbywają się prawdziwe wiece i szybkonogi posłaniec bogów, Hermes, musi zbiegać wszystkie lądy i morza, aby zawiadomić o woli Dzeusa cały ten tłum bożków, całą tę hołotkę nieśmiertelną, co ze zdumieniem i z ustami otwartymi, aby lepiej widzieć, przypatruje się wspaniałościom niebieskim, a nie śmie słowa przemówić w obecności potężnych władców, którzy spoglądają z wysoka, jakby się pytali: "Po kiego licha ojciec Dzeus sprasza to wszystko?" A przecież są to bardzo miłe bożki. Oto cisną się tłumem nieprzebrany błękitnookie boginki źródeł i rzek, nimfy drzew o białym ciele i te, które mieszkają wśród gór, i te z łąk wilgotnych. Słowem, wszystkie dobre duchy, co otaczają człowieka codziennie i są mu bliskie, bliższe nawet od tych wyniosłych panów Olimpu, i mówią doń szmerem wód i poszumem liści, i odpowiadają mu głębokim, trzykrotnym echem wśród skał.

Po takich naradach następuje uczta. Wówczas driady wracają do swych drzew w lasach, oready do swych gór, najady do swych źródeł i strumieni, lejmonady z powrotem ukrywają się wśród kwiatów i traw na łąkach i długo jeszcze opowiadają sobie o tym, co widziały w niebie. A tymczasem na Olimpie bogowie zasiadają do stołów lub raczej, zwyczajem starożytnych, układają się na łóżach z kości słoniowej i szylkretu, miękko wyścielonych poduszkami. Dokoła ucztujących uwija się cudna para: bogini młodości Hebe i śliczny chłopczyk Ganimedes, ulubieniec Dzeusa, który sam go porwał z ziemi i uczynił nieśmiertelnym. Hebe i Ganimedes roznoszą ambrosję. Był to zwyczajny pokarm bogów, jakaś dziwnie rozkoszna słodycz, rozplywająca się w ustach: dawała moc ciała, pogodę myślom i nieśmiertelność duszy. W złote puchary nalewano nektar, wino olimpijskie o niewysłowionym zapachu.

Kiedy już wszyscy mieli do syta jadła i napoju, wstawał Apollo i, otoczony orszakiem dziewięciu muz, śpiewał wraz z nimi pieśni cudne i grał na harfie. Radowały się serca bogów w milczeniu szczęśliwym. Charyty, dziewice o białych stopach, ubrane w kwiaty, wiodły tańce wymyślne, wzięwszy się za ręce. A gdy już rydwan słońca przejechał oznaczony bieg dzienny, wszyscy rozchodzili się do domów na spoczynek.

Budziła ich nazajutrz Eos, różanopalca bogini jutrzeńki.

Tak sobie Grecy wyobrażali życie bogów. Było to właściwie życie ludzkie przeniesione w wieczność. Boga od człowieka nie dzieliła przepaść nie do przekroczenia. Z początku i ludzi wybitniejszych zapraszano do stołków olimpijskich. Później zaniechano tego, gdyż goście ziemscy nie umieli się przyzwoicie zachować, a mając zbyt długi język, rozpowiadali swym bliźnim wszystko, co tam posłyszeli. Jedyna różnica między człowiekiem a bogiem była ta, że bóg był nieśmiertelny, a człowiekowi najpiękniejsze chwile w życiu mącił strach przed śmiercią. Bogowie byli nieśmiertelni, ale nie wieczni: każdy z nich urodził się kiedyś i żaden nie mógł powiedzieć o sobie, że nie było nigdy takiego czasu, kiedy jego nie było.

Od starości i śmierci chroniła ich ambrozja. Zawierała ona tajemniczą siłę i nawet zwykły człowiek mógł stać się nieśmiertelnym, spożywając ten pokarm cudowny. Bogowie nie byli wszechobecni, ale mogli poruszać się z niezmierną szybkością i lotem błyskawicy przenosić się z miejsca na miejsce. Wiedzę i potęgę posiadali wielką, ale nie nieskończoną. Ich działalność ograniczała Mojra, czyli Przeznaczenie, a poza tym wzajemnie się ograniczali, ponieważ każdy miał sobie powierzony pewien zakres władzy. Bynajmniej nie zażywali bezkarności. Rządzili się własnymi prawami, którym musieli być posłuszni. Najsurowiej karano krzywoprzysięstwo. Gdy któryś bóg miał przysięgać, Iris, tęczoskrzydła posłanka, zlatywała po wodę Styksową. Albowiem na krańcu świata mieszka straszliwa Styks, najstarsza córka Okeanosa. Z dala od bogów ma swoje domostwo w wysokiej pieczarze skalnej, którą dokoła otaczają pod niebo sięgające srebrne słupy. Iris w złoty kubek nabiera wody Styksowej, co wypływa z onej skały. Przysięgający wylewa wodę na ziemię. Jeśli złamie przysięgę, musi cały rok leżeć bez tchnienia w odrętwieniu podobnym śmierci, a gdy się zbudzi po roku, czeka go jeszcze dziewięć lat wygnanie. Dopiero po upływie tego czasu może zasiąść przy stole bogów.

Więksi, piękniejsi i silniejsi od ludzi, bogowie greccy mieli ciało równie jak ludzkie podlegające znużeniu lub ranom. Krew ich była biała i tryskając z rany rozlewała woń przedziwną. Posiadali prawie nieograniczoną zdolność zmieniania się w przeróżne kształty, lecz prawie nigdy nie zjawiali się w postaciach straszliwych lub pokraccznych. Niekiedy, zbliżając się do ludzi, stawali się niewidzialni. Życie ich było lekkie i szczęśliwe w porównaniu z życiem człowieka. Mieli wprawdzie swoje namiętności, cierpienia i niedole i one im doskwierały nie mniej niż ludziom, lecz Grecy tylko takie życie uważali za prawdziwie pełne i

szczęśliwe, w którym mieszały się ze sobą zarówno zło, jak i dobro.

Dzeus (Jowisz)*

Imię najwyższego boga Grecji spokrewnione jest z indyjskim Dyaus, staroniemieckim Ziu i łacińskim Jupiter (od: *Diovis pater*), gdzie pobrzmiewa wspólny indoeuropejski pierwiastek *div*, co wyraża: rzucać, strzelać, błyszczeć. Jakoż Dzeus jest przede wszystkim panem błyskawic i piorunów. Zmienny jak niebo, nad którym panuje, co chwila daje poznać inne oblicze. W rozjaśnionym lazurze greckim, w eterycznej przejrzystości poranków czuje się łaskawe spojrzenie ojca światłości. On zsyła deszcz, on ziemię okrywa w gronostaje śniegu. Wśród gromów i burzy objawia się potęga władcy, który gromadzi czarne kłębowiska chmur, huraganem podnosi ołowiane fale morza, rozmiata piasek ziemskich dróg i, otwierając upusty niebieskich wód, na szczytach gór zapala ognie grzywiaste. Dzień i noc na dnie dymiących wulkanów cyklopi kują pioruny dla Dzeusa.

Prawdziwie możny bóg. Gdyby linę ze złota uczepić na szczycie niebios i gdyby się na niej uwiesili wszyscy bogowie i wszystkie boginie, nie zdołaliby ściągnąć Dzeusa na ziemię. Lecz gdyby on sam z kolei poderwał linę, wszystkich bogów wraz z morzem i ziemią podniósłby do góry i uwiązał dokoła skały Olimpu. Tak przynajmniej sam się przechwalał. Ares, bóg wojny, który na niewielu rzeczach tak dobrze się rozumiał, jak na wszystkim, co dotyczy siły fizycznej, oburzał się głośno: "Nie przeczę — mówił — że Dzeus jest silniejszy i potężniejszy od każdego z nas, ale żebyśmy wszyscy razem tak mało wobec niego znaczyli, to już nie mieści mi się w głowie". I przypomniał, jak to raz za dawnych czasów wybuchł spisek przeciw Dzeusowi. Hera, Atena i Posejdon napadli go i skrzepowali tak mocno, że nie mógł się ruszyć. Nie wiadomo, co byłoby się stało, gdyby nie boginka morska, Tetyda, późniejsza matka Achillesa. Zbiegła prędko do Tartaru, sprowadziła sturękiego Briareusa i ten uwolnił pana niebios. Tak, to prawda, wszyscy go pamiętali. Ale od Aresa w tym dniu stronili. Przezorny Hermes zbliżył się chyłkiem do wojowniczego boga i szepnął mu na ucho: "Daj spokój. Ani mnie nie jest bezpiecznie słuchać podobnych rzeczy, ani tobie mówić". Miał słuszość. Dzeus był popędliwy i unosił się łatwo, a gdy się rozsierdził, rzucał bez miłosierdzia bogami po salach swego pałacu, aż drżały ściany ze złota.

* W nawiasach podajemy to brzmienie imion bogów, które za pośrednictwem łaciny utarło się u nas od dawna.

Wyobrażenie, jakie mieli Grecy o Dzeusie, zmieniało się z postępowaniem cywilizacji helleńskiej. Gdy byli jeszcze na wpół barbarzyńcami, cenili w nim przede wszystkim siłę i złowrogą moc niszczenia. Później ozdabiali go coraz doskonalszymi zaletami serca i umysłu, aż powstał idealny obraz najwyższego bóstwa, którego mądrej władzy podlegają wszystkie dziedziny życia. Dzeus jest opiekunem praw i jako Horkios ze szczytów swojego tronu, na którego stopniach siedzi bogini Sprawiedliwości, przestrzega świętości przysięgi, którą ludzie składają wznosząc ręce i oczy do nieba i wymawiając jego imię; jako Ksenios broni nienaruszalnego prawa gościnności, jest patronem przybyszów proszących o pomoc i przytułek, pod jego opieką pozostają posłowie i heroldowie, nawet najlichszy żebrak broni się przed zniewagą groźnym imieniem Dzeusa i gdy dłoń położy na krawędzi ogniska domowego, włos mu z głowy spaść nie może. Dzeus jest krzewicielem uczuć szacunku, łagodności i miłosierdzia, przestrzega, aby ludzie nie byli względem siebie surowi i nieubłagani. Stojąc na straży całości społeczeństwa Dzeus żąda posłuchu dla praw moralnych.

Dobry i łagodny, otacza opieką wszelką pracę ludzką. Na złotych szalach waży losy śmiertelnych i wedle wskazań tej wagi zsyła dobro i zło, dołę lub niedolę. Każda osada ma swego Dzeusa z przydomkiem Herkejos (patron zagrody), który czuwa nad prawem własności i nierozzerwalnością rodu lub gminy. Wreszcie otrzymał Dzeus piękne imię Hellenios, jako bóstwo narodowe, które różnorodne szczepy greckie łączy w jedną całość i nie pozwala im przepaść w morzu sąsiednich plemion barbarzyńskich.

Pewnego razu, przebrany za człowieka, udał się Dzeus wraz z Hermesem na ziemię, żeby się przekonać, czy ludzie zachowują jego święte prawo. O zachodzie słońca weszli do jakiegoś miasta i idąc od domu do domu szukali noclegu. Lecz wszystkie drzwi zamykały się przed dwoma podróżnymi. Już noc była, gdy zapukali do małej chatki stojącej na wzgórzu za miastem. Żyło tam dwoje ubogich staruszków: Filemon, i Baucis.

Dobrzy ludziska podsunęli nieznanym stołki i rozniecili wesoły ogień, dorzucając suchych liści i kory drzewnej. Filemon przyniósł z ogrodu trochę jarzyn, które Baucis ugotowała w garnku glinianym. Nakryli do stołu

i ułożyli gości na łóżkach, wyścieliwszy je jak mogli najwygodniej. Widząc jednak, że jedzenia i napojów wciąż przybywa i że ich skromne naczynia zmieniają się w złotą zastawę, poznali bogów i padli na kolana. Filemon chciał złożyć ofiarę i zabić jedyną gęś, która chowała się w domu, ale Dzeus go zatrzymał. Wszyscy czworo wyszli na szczyt góry i w promieniach jutrzenki ujrzeli staruszkowie na miejscu swojej lepianki wspaniałą świątynię przeglądającą się w toni wielkiego jeziora. Bogowie zatopili niegościnne miasto, a jego mieszkańców przemienili w żaby. Filemon i Baucis żyli jeszcze długie lata, pełniąc służbę kapłańską w nowej świątyni, aż pewnego dnia wrosli w ziemię jako dwa drzewa, pniami ze sobą, złączone. Było to spełnienie ich ostatniej prośby: umrzeć razem, aby jedno nie patrzyło na śmierć drugiego. W gałęziach drzew ptaki ścieliły sobie gniazda, a podróżni, wypoczywając w ich cieniu, opowiadali historię o niegodnych mieszkańcach jeziora i pobożnych staruszkach.

Na całym obszarze świata greckiego odbierał Dzeus cześć najgłębszą. We wszystkich większych miastach stały jego świątynie. Na Lykajonie w Arkadii spełniały się dlań tajemnicze obrzędy, splamione krwią ludzką. Ale najświętszymi miejscami były Dodona i Olimpia.

U podnóża epirskiego Tinarosu, w dolinie żyznej i wilgotnej, owianej chłodnymi wiatrami, stała odwieczna świątynia dodońska. Gołębica przyleciała tu z dalekiego Egiptu, ze świątyni w Tebach, i usiadłszy na dębie przemówiła głosem ludzkim. Na ten znak boży zbudowano świątynię, w której służbę pełnili dziwni kapłani, zwani selloi. Wiedli życie surowe, spali na gołej ziemi i nie myli się nigdy, podobni w tym do późniejszych ascetów. Zadaniem ich było objaśniać wolę boga ze szmeru liści dębu. Mówiono, że w pniu tego drzewa samo bóstwo przebywa. W jego koronie gnieździły się święte gołębie, a spod korzeni wypływało źródło cudowne. Stała tam jeszcze miednica z brązu, w której ściany uderzała zawieszona kulka i z tego dźwięku również starano się wyrozumieć przyszłość. Wyroczni udzielali kapłani odpowiadając na pytania, które podawano wryte na ołowianych tabliczkach. W dzisiejszej Dodonie odkopano* sporo takich tabliczek i możemy się z nich dowiedzieć, jakimi to ważnymi

* Miejsce, na którym stała Dodona, odnalazł i pierwsze wykopaliska podjął w drugiej połowie XIX w. Polak Zygmunt Minejko, powstaniec z 1863 r.

kwestiami trapiono boga. Na jednej z nich czytamy: "Agis zapytuje, czy kołdry i poduszki zgubiono, czy też skradziono". Kapłani odpowiadając przemawiali wierszami, które niezmiennie zaczynały się od słów: "Dzeus był, Dzeus jest, Dzeus będzie".

W krainie Elis, na Peloponezie, leżała Olimpia, najświetniejsze miejsce kultu Dzeusa w całej starożytności. U zbiegu dwóch rzek, Alfejosu i Kladeosu, między wzgórzami zarosłymi borem, wśród łąk zielonych, zebrane w świętym okręgu stały liczne świątynie i budowle przeznaczone na mieszkania kapłanów, ćwiczenia zawodników, składy kosztownych podarków. Co cztery lata odbywały się igrzyska, które od r. 776 przed n. e. przetrwały aż do r. 393 n. e., kiedy to zniósł je cesarz Teodozjusz; jego następca w trzydzieści lat później kazał spalić świątynię Dzeusa. Olimpia zmieniła się w to rumowisko, jakim jest dzisiaj, gdzie połamane kolumny i poprzierzucane kamienie porasta trawa pomieszana z rumiankiem.

Olimpia nie była miastem, lecz jakby osadą świątyni, dokoła których kapłani spełniali nakazane obrządki. Ożywiała się jedynie raz na cztery lata, przez kilka dni igrzysk, wypadających w drugą lub trzecią pełnię Księżyca po przesileniu letnim, a więc w połowie sierpnia lub września. Na ten czas ustawały w całej Grecji spory i wojny: ogłaszano "pokój boży", aby szcęk oręża nie mącił powszechnej radości. W dolinie Alfejosu kramarze rozbijali namioty, budy i stragany. Pasterze z Arkadii i Mesenii spędzali trzody bydła, kóz i owiec, które chętnie kupowano na ofiary. Szły gromadnie orszaki pielgrzymów śpiewając pieśni pobożne lub wesole. Ze wszystkich stron ściągali zawodnicy, każdy ze swoim nauczycielem gimnastyki. Na wozach jechali wielcy panowie, których konie stawały do wyścigów. Uroczyste procesje miast greckich wiozły bogate dary dla świątyni Dzeusa.

Igrzyska trwały kilka dni i obejmowały wszelkie popisy zręczności i siły. Nagrodą był wieniec oliwny, symboliczny dar, bezcenny w oczach tysięcy młodych ludzi, którzy z najodleglejszych stron świata greckiego dążyli do Olimpii w nadziei zwycięstwa. Zawodnik ozdobiony tą świętą gałązką wracał do miasta rodzinnego jak triumfator. Stawiano mu posągi, na jego cześć układano hymny. Zajmował pierwsze miejsce na uroczystościach publicznych i miał utrzymanie na koszt państwa. Grecja, rozbita na szczepy, miasta i państewka, jednoczyła się pod dobrotliwym spojrzeniem Dzeusa. W Olimpii ogłaszano powszechnie ważne rozporządzenia i układy, historycy i poeci odczytywali swoje utwory, mówcy i filozofowie występowali z odczytami, wiedząc, że słucho ich naprawdę cała Hellada.*

W świątyni olimpijskiej stał posąg Dzeusa, dzieło mistrza ateńskiego,

* Por. Jan Parandowski: *Dysk olimpijski*.

Fidiasza — jeden z siedmiu cudów świata. Na złotym tronie siedział bóg olbrzymi, osiemkroć przerastający miarę ludzką. Głowę sięgał sufitu, barkami rozpierał się na całą szerokość nawy. Mówiono, że gdyby wstał nagle, rozniósłby całe wiązanie gmachu. W wyciągniętej lewej ręce trzymał boginię Zwycięstwa, prawą zaś dzierżył berło, na którym złoty orzeł roztaczał skrzydła. Fałdzisty płaszcz szczerozłoty, ozdobiony figurami zwierząt i kwiatów, przez lewe ramię z tyłu przerzucony, owijał mu lędźwie i nogi aż ku stopom, odsłaniając nagą pierś z kości słoniowej. Nogi w złotych sandałach opierały się na podnóżku podtrzymywanym przez lwy. Bujne kędziory, ujęte złotym wieńcem oliwnym, spływały po obu stronach twarzy, pełnej majestatu, łagodności i pogody.

Posąg ten, na rozkaz jednego z cesarzy rzymskich przeniesiony do Konstantynopola, spłonął tam w czasie pożaru. Lecz dzieło Fidiasza było dla całej starożytności tak uświęconym wzorem, że tysiące posągów Dzeusa w naszych muzeach pozwalają domyślać się, jak ono mogło wyglądać.

Hera (Junona)

Z ciemnych obłoków wysuwają się dwa pawie. Za nimi druga para, trzecia, czwarta — cały rój pawi. Roztaczają szeroko skrzydła, z których słońce dobywa ogni różnobarwnych. Błękitnawe szyje ptaków wyginają się w locie. Ciągną złocisty rydwan. Lejce, delikatne jak przedza pajęcza, trzyma w białych dłoniach bogini Iris o skrzydłach tęczowych. Tuż za nią, wsparta na berle, stoi druga bogini: wysoka, dumna, ubrana w fałdziste szaty, na głowie ma diadem z gwiazd, spod którego patrzą ciemne, surowe, rozkazujące oczy — Hera, królowa nieba, małżonka Dzeusa. Odbywa ranną przejażdżkę nad światem, który uważa za swoją własność.

W istocie jednak mało się dzieje wedle jej woli. Dzeus ulega jej często, ale nie zawsze, raczej aby uniknąć kłótni, do której Hera jest skora. Gdy mu zbraknie cierpliwości, daje jej odczuć swą wyższość w sposób nieco gwałtowny. Raz związał ją złotym łańcuchem i powiesił za ręce u

szczytu Olimpu, a dla większej męczarni przydał do nóg dwa ciężkie kowadła. Dopiero na prośbę bogów uwolnił ją w kilka dni później.

Była bardzo wrażliwa na wszystko, co mówiono o jej urodzie. Nie znosiła żadnych porównań, w mniemaniu, że królowa nieba powinna być najpiękniejsza na świecie. Poeci, chcąc się jej przypodobać, chwalili olśniewającą białość jej ramion i wielkie, ciemnobłękitne oczy, które przyrównywali do ocz młodej jałówki. Ale kobiety sądziły o tym inaczej. Córki króla Projtosa mówiły głośno, że jej nie ustępują w piękności. Hera zesłała na nie szaleństwo, a one uciekły do lasu, beczały, pały się na łąkach i uważały siebie po prostu za krowy. Inne, podobnie zrozumiąły panny ukarała w ten sposób, że je zamieniła w kamienne schody prowadzące do świątyni. Ojciec ich, który był kapłanem, stąpał codziennie po skamieniałych ciałach córek i słyszał cichy jęk dzieci pod swymi stopami.

Białoramienna bogini była patronką niewiast. Do niej modliły się panny w dniu ślubu, ona opiekowała się macierzyństwem i niosła pociechę wdowom. W Olimpii, gdzie stała jedna z najstarszych świątyń Hery, odbywały się co pięć lat igrzyska dziewcząt. W krótkich koszulkach, z rozpuszczonymi włosami, biegły do mety walcząc o nagrodę, którą była gałązka oliwna i kawał pieczeni ze zwierząt ofiarnych. Zresztą w każdym mieście miała Hera świątynię, kaplicę lub ołtarz. W czasach pierwotnych jej wizerunkiem był prosty słup lub belka. Później przedstawiano ją jako poważną matronę o majestatycznej urodzie. Tak ją wyrzeźbił Poliklet w kolosalnym posągu, który stał w świątyni Hery w Argos. Bogini siedziała na tronie trzymając w jednej ręce jabłko granatu, symbol płodności, w drugiej berło z kukułką, ptakiem jej poświęconym.

Atena (Minerwa)

Dzeus, który od dłuższego czasu odczuwał dotkliwie bóle głowy, wezwał Hefajstosa, z bogów najtęższego kowala, i kazał sobie toporem rozbić czaszkę, aby się przekonać, co jest powodem cierpienia. Ledwo Hefajstos zadał mu cios żądany, gdy z otwartej głowy wyskoczyła dorodna bogini, w jasnej zbroi. W tak dziwny sposób przyszła na świat Atena, bóstwo mądrości. Dzeus kochał ją najbardziej ze wszystkich swoich dzieci, sadzał wysoko na radzie bogów, cenił zawsze jej zdanie i na znak

szczególnej łaski pozwalał używać swej strasznej broni — piorunu.

Była to surowa i niedostępna dziewica, postawy olbrzymiej, wielkiej siły i niezłomnego hartu. Nigdy nie myślała ani o miłości, ani o małżeństwie. Nie miała po prostu na to czasu. Zajmowało ją wszystko. Wynałazała mnóstwo pożytecznych rzeczy, a uczeni i filozofowie widzieli w niej swoją patronkę. Potępiali jedynie jej zamiłowanie do wojny. Lecz Atena zbroję nosiła tylko po to, żeby bronić słusznej sprawy i miast napadniętych zdradziecko. Gałąź z poświęconego jej drzewa oliwnego stała się symbolem zgody między zwaśnionymi. Kapłanom zaś zalecała głosić takie prawa: "Nie wzbronisz nikomu wody ni ognia. Nie będziesz wskazywał fałszywej drogi. Nie zostawisz niczyich zwłok bez pogrzebu. Nie zabijaj wołu ciągnącego pług".

Atena szczególnie celowała w robotach tkackich i wyszywaniu. Ponieważ żadna z bogiń tym się nie zajmowała, przyznawano jej na Olimpie w tych rzeczach niedoścignione pierwszeństwo. Inaczej się działo na ziemi, gdzie pewna księżniczka, imieniem Arachne, zapewniała, że potrafi wyszywać równie pięknie, a może jeszcze piękniej niż sama bogini. Wtedy Atena stanęła z nią do zawodów: która z nich cudniej wyhaftuje tkaninę. Arachne skreśliła igłą na płótnie przedziwne bajki. Był tam Dzeus porywający Europę i Leda bawiąca się z łabędziem, Danae nakryta złotym deszczem i wiele innych rzeczy, a wszystko takie żywe i takie ładne, że Atena, której własna robota nie była piękniejsza, podarła ze złości tkaninę Arachny. Biedna dziewczyna powiesiła się z rozpacz. Teraz dopiero Atena poznała, jak dalece gniew ją zaślepił. Wróciła jej życie i jednocześnie zamieniła w pająka. Odtąd Arachne "srebrne w belkach płócienka przędzie"*, na których zawisają tęczowe źdźbła słońca.

Ze wszystkich miast greckich Atena kochała najbardziej to; które od niej wzięło swą nazwę — dumne, wspaniałe Ateny.* Tam miała najpiękniejsze świątynie i najokazalsze uroczystości. Ateńczycy obchodzili od niepamiętnych czasów, w porze żniw, z początkiem sierpnia, Panatenaje. Były one pierwotnie świętem chłopskim, aż król Pizystrat (VI

* Juliusz Słowacki: *Zawisza Czarny*.

* Albo raczej było odwrotnie: z przedgreckiej nazwy Aten urobiono imię bogini, które w uszach Greków brzmiało jako Atenka.

wiek przed n. e.) uczynił z nich naczelną uroczystość ateńską, sprawianą co cztery lata z wielką wystawnością. W czasie Panatenajów odbywały się wyścigi na wozach, zapasy atletów i koncerty muzyczno-wokalne. Ze wszystkich stron zjeżdżali się artyści i występowali w Odejonie, wielkim gmachu koncertowym, u stóp skały Akropolis. Zwycięzcy otrzymywali pewną ilość oliwy wyciskanej ze świętych oliwek Ateny i przechowywanej w malowanych dzbanach. Po zawodach odbywał się przy akompaniamencie fletów taniec pirryjski, stary wojenny taniec, o którym opowiadano, że pierwsza zatańczyła go Atena po zwycięstwie nad gigantami. Występowały kolejno trzy chóry: chłopców, młodzieńców i mężów — wszyscy nago, z tarczą tylko na lewym ramieniu i z hełmem na głowie. Po konkursie piękności męskiej, do którego stawali najpiękniejsi młodzieńcy i mężowie z całej Attyki, urządzano bieg z pochodniami. Ulice do późnej nocy rozbrzmiewały śpiewami.

Nazajutrz przed świtem gromadzono się przy jednej z bram miasta, skąd miała wyjść uroczysta procesja. O pierwszych brzaskach ruszał orszak, na którego czele widniał okręt święty, posuwany na kołach lub niesiony na ramionach mężczyzn. Na maszcie i rejach rozpościerał się peplos, wspaniała szata z materii wełnianej, barwiona żółto i fiołkowo, pokryta haftami, przedstawiającymi zazwyczaj sceny z gigantomachii. Pracowały nad jej wykonaniem przez cały rok cztery dziewice z najpierwszych rodzin ateńskich pod kierunkiem kapłanki Ateny. Za okrętem prowadzono bydło ofiarne: krowy i owce. Dalej zaś postępował pochód wedle porządku przestrzeganego przez osobnych urzędników: dziewice w bieli ze świątynnymi przyborami, dygnitarze, wojsko, wreszcie konnica, świetne arystokratyczne rycerstwo ateńskie. Ulice na ten dzień starannie oczyszczono, domy ozdobiono zielenią i kwiatami, a rzędem stali niewolnicy i cudzoziemcy z gałązkami dębowymi. Wśród śpiewania hymnów i muzyki procesja obchodziła wszystkie święte miejsca, aż zatrzymywała się przed wejściem na Akropol. Z okrętu zdejmowano peplos i u wrót świątyni oddawano w ręce kapłanki Ateny, która nim przyodziewała prastary posąg z drzewa. Stada była szły pod nóż ofiarnika i w chwili gdy ku niebu wznosił się dym z ognia płonącego na ołtarzu, wszyscy zasiadali do uczy. Najuroczystszy dzień w roku kończył się powszechnym świętowaniem: odwiedzano się wzajemnie, chodzono po ulicach z wieńcami na głowach, nocą śpiewano po gajach i ogrodach.

W ostatnim, dziewiątym dniu Wielkich Panatenajów odbywały się w Zatoce Salamińskiej wyścigi żeglarskie. W blaskach sierpniowego słońca uwijały się roje łodzi i drobnych stateczków. Na słabym wietrze furkotały żagle mieniając się wszystkimi barwami. Piękne święto zamykano obrazem, pozostającym na długo w pamięci — radosną wizją lazurowego morza, złotego słońca i cichego, pogodnego błękitu nieba.

Ateńczycy widzieli w swojej bogini idealne uosobienie samych Aten i najdoskonalszy wyraz wszystkich cnót ateńskich. Dawano jej rozmaite przydomki ze względu na jej rozliczne zajęcia. Zwano ją Ergane, czyli Pracownicą, Polias, czyli Patronką Miast, Promachos, czyli Panią Zastępów, Pallas, czyli Panną, jak to imię objaśnia geograf grecki Strabon, mówiąc: "urodziwą i świetnego rodu pannę zowie się u Hellenów: pallas". Lecz najmilsza była dla niej nazwa Partenos —Dziewica.

Atenie-Dziewicy zbudowano w Atenach świątynię, Partenon, której wspaniałe ruiny do dziś się zachowały. W świątyni był posąg Ateny, roboty Fidiasza, równie kosztowny jak jego Dzeus olimpijski: cały ze złota i kości słoniowej, wysoki na dwanaście metrów. Bogini stała opierając się lewą ręką na tarczy, spod której wychylał się wąż, a w prawej dłoni trzymała skrzydlatą boginię zwycięstwa, Nike. Na głowie miała hełm ozdobny, a ubrana była w długą szatę opadającą do stóp w poważnych fałdach. Była to postać pełna szlachetności, siły i majestatu, tak jak ją widzimy w licznych zachowanych posągach. Ptakiem poświęconym Atenie była sowa, do dziś symbol wiedzy i mądrości *.

Apollo

Apollo był synem Dzeusa i Latony. Urodził się na wyspie Delos, pod drzewem palmowym. Gdy miał przyjść na świat, ze wszystkich stron przyplłynęły łabędzie, a otoczywszy zwartym kołem błogosławioną wyspę śpiewały cudnie. Od tej chwili jałowe skały Delos zakwitły i napełniły się radością świeżej zieleni. Dźwięki muzyki i hymnów wznosiły się ku niebu w błękitnych zwojach kadzidlanych. Rzesze pobożnych wyznawców Apollina szły ku białym świątyniom, ukrytym wśród palm, cyprysów i wawrzynów.

Apollo był najpiękniejszy z bogów. Wysoki, smukły, jasnowłosy, zachował dar wiecznej młodości i boskie przejrzyste oczy, które widziały daleko w głąb czasu i przestrzeni. Był bogiem wyroczni i wróżb, a odbłask jego urody odgadywano w złotym obliczu słońca, którego był panem. Jako

* Por. Jan Parandowski: *Dwie wiosny*, rozdział pt. "Stolica niebieska".

ten, co daje jasnowidzenie, był Apollo patronem wieszczów, śpiewaków i poetów, których zwano "działwą Apollina". Sam grał mistrzowsko na cytrze.

Raz nawet wdał się w zawody z niejakim Marsjasem, który był nieporównanym flecistą. Sędziami obrano pasterzy i pasterki strzegące swych trzód na górze Nysa. Marsjas grał pierwszy i wszystkich zadziwił. Jego fletnia naśladowała kłaskanie słowików, szmer źródeł, daleki głos ech leśnych, poszum burzy, tworząc jak gdyby hymn pochwalny na cześć tej przyrody, której nieuczony Marsjas był dzieckiem i wychowankiem. Już był pewny zwycięstwa, gdy Apollo uderzył w struny swej cudownej cytry. Grał i śpiewał jednocześnie. Co chwila dobywał z dusz słuchaczy to uniesienie radości, to słodkie pragnienie, to znów smutek serdeczny. Przyznano mu pierwszeństwo. Wtedy Apollo schwycił pokonanego Marsjasa, przywiązał go za ręce do drzewa i żywcem odarł ze skóry. Umarł Marsjas i wielki płacz ozwał się z głębi lasów i gór; wszystkie boginki górskie, wszyscy bogowie leśni wylewali po nim łzy tak obficie, że z tych łez wypłynęła rzeka, którą nazwano jego imieniem — Marsjas.

A przy tym zdarzyła się rzecz bardzo śmieszna. Oto król Midas, który był również świadkiem owych zawodów, odszedł niezadowolony. Jemu nie podobała się gra Apollina, on jeden głosował za Marsjasem. Bóg zemścił się i dał mu ośle uszy. Królowi jednak nie wypada mieć oślich uszu. Midas ukrywał swą hańbę pod czapką, której nigdy nie zdejmował. Ale był ktoś, kto znał tajemnicę królewską — nadworny fryzjer, który goląc Midasa widywał go bez czapki. Król pod karą śmierci nakazał mu milczenie. Zaczny balwierz bał się śmierci, ale posiadanie tak niesłychanego sekretu nie dawało mu spokoju. Koniecznie chciał się komuś zwierzyć. Nie mogąc inaczej, pobiegł nad brzeg morza, wykonał tam jamkę w ziemi i w głąb niej krzyknął, co miał sił: "Król Midas ma ośle uszy!" To mu ulżyło. Tymczasem — widocznie za zrządzeniem bogów — na tym miejscu, gdzie była jamka, wyrosła trzcina, cały łąn trzciny. I ledwo tylko wiatr powiał, trzciny jęły się poruszać, szemrzeć, zbierać się w głos, który mówił: "Król Midas ma ośle uszy". Po całym kraju szedł ten zdradziecki szept trzciny i rzecz się stała jawna ku wielkiemu zmartwieniu dobrego króla, którego jedyną wadą było

to, że nie znał się dobrze na muzyce.

Apollo, mimo że należał do najwyższej arystokracji bogów, chętnie przebywał na ziemi. Miał tu swoje sprawy i dawne wspomnienia. Pamiętał, jak raz, wygnany z Olimpu, służył za parobka u króla Admeta w Tesalii, gdzie pasł trzody grając na fujarce. Gospodarze więc modlili się do niego, by bydło chronił od wilków. Mógł to uczynić z łatwością, albowiem jak nikt strzelał z łuku. Mówiono, że strzały jego rażą znieczeka, nie zostawiając śladów, i każdą nagłą śmierć przypisywano gniewowi Apollina.

Jeszcze wyrostkiem był, gdy uważał się za niedoścignionego łuczника. Szydził nawet z Erosa, boga miłości, i przechwalał się, że lepiej strzela od niego. Podrażniony Eros wyjął z kołczana dwie strzały: miłości i nienawiści. Strzała miłości trafiła w serce Apollina, a strzałą nienawiści w płochliwe serduszko nimfy Dafne. Za zbliżeniem się Apollina Dafne uciekała. Gonił ją przez góry i lasy. Nad brzegiem pewnego strumienia już miał ją pochwycić, gdy wtem ona zwróciła swe prośby ku matce Ziemi, która ją natychmiast zmieniła w drzewo laurowe. Rzec tę opisał u nas pięknymi oktawami Samuel ze Skrzypny Twardowski w poemacie *Daphnis w drzewo bobkowe przemieniła się*.

Tak dziwnie się składało, że do kogo Apollo się przywiązał, tego spotykało jakieś nieszczęście. Miał Apollo serdecznego przyjaciela w młodym Hiakintosie, którego uczył strzelać z łuku i grać na cytrze. Tymczasem Zefir, bożek łagodnego wiatru, tak pokochał pięknego młodzieńca, że nie mógł znieść, iż ów porzuca jego towarzystwo dla olimpijskiego boga. Pewnego dnia, gdy Apollo zabawiał się dyskiem, Zefir nagłym tchnieniem tak skierował dysk rzucony przez Apollina, że Hiakintos otrzymał cios śmiertelny. Na próżno syn Latony chciał mu wrócić życie z pomocą ziół leczniczych. Młodzieniec umarł, a z jego krwi wyrósł kwiat, który do dziś nazywamy hiacyntem.

Jako bóg muzyki i poezji, kapelmistrz orkiestry olimpijskiej, był Apollo zwierzchnikiem muz, dziewięciu cór Dzeusa i Mnemosyne (Pamięć). Mieszkały one na szczytach gór, na beockim Helikonie i Parnasie, gdzie bije święte źródło kastalskie, lecz ulubioną ich siedzibą były wyniosłości Pierii pod Olimpem. Tam kwitły łąki rozkoszne, których nigdy nie tknęła

kosa, i na nich wypasały się trzody będące własnością bogów. Grecy dzisiejsi opowiadają, że w górach Pierii gnieźdzą się złe duchy, które zbłąkanych oślepiają szaleństwem i strącają w przepaść.

Lecz w starożytności przynosiły one inne szaleństwo, urocze szaleństwo poezji. Oto jaką wizję otwiera się poemat *Teogonia* Hezjoda, którego muzy same wybrały na swego kapłana:

“Wdzięczne ciała obmywszy w rzeźwiących nurtach Permesu, muzy, Olimpu dziewice, korowód piękny zawiodły na Helikonu wyżynach, stąpając pieśniom do wtóru. Stamtąd, ruszywszy gromadą, w całuny mgielne spowite, szły pośród nocy w dolinę, śpiewając głosem precudnym. One to niegdyś Hezjoda uczyły pięknego śpiewania u Helikonu podnóża, gdzie owce paść białorune. Kostur dały mi potem do rąk, ułamawszy laurową gałąź pięknie rozkwitłą — i boską natchnęły mnie pieśnią”.

W późniejszych czasach powierzono każdej z muz jakąś sztukę, którą się szczególnie miała opiekować, i przedstawiano je w rzeźbach i malowidłach ze stałymi atrybutami, aby je łatwiej rozróżnić.

Kalliope (Pięknolica), muza pieśni bohaterkiej, trzyma rylec i tabliczkę do pisania; Klio (Głosząca sławę) zajmuje się historią i ma zwój pergaminu; Euterpe (Radosna), patronka liryki, gra na flecie; Taleja (Rozkoszna) pokazuje maskę komiczną jako muza komedii; Melpomene (Śpiewająca) jest muzą tragedii i poznać ją można po smutnej masce, którą jej dają za godło; Terpsychora (Kochająca taniec) z wielką lirą w ręku uczy ludzi tańca; Erato (Umiłowana) na małej cytrze wygrywa pieśni miłosne; Polihymnia chodzi w głębokiej zasłonie, jakiej używało się przy obrzędach religijnych, albowiem zsyła natchnienie tym, którzy piszą hymny i pieśni pobożne; Urania (Niebiańska) dźwiga globus astralny, bo jej dziełem jest gwiazdziarstwo.

Apollo był jedną z najjaśniejszych postaci greckiego Olimpu. Nazywano go Zbawcą, gdyż wspierał ludzi w cierpieniu, ratował z nieszczęścia, śmierć odwracał, zbrodniarzy oczyszczał z grzechów. Był lekarzem duszy i ciała — ten bóg światła i pociechy, łaskawy i dobroczynny. Takiego właśnie pokazał Wyspiański w *Akropolis*, gdzie bóstwo

pogańskie zlewa się w jedno z Chrystusem.

W Atenach po zbiorach jesiennych obchodzono ku czci Apollina święto, w czasie którego młodzież niosła gałąź oliwki obwieszoną ligami, bułkami, oliwą i winem w dzbanuszkach, owiniętą wełnianymi wstążkami, stawiała przed każdym domem, jakby u nas z kolędą, oddawała ją gospodarzom, a ci ową gałąź, zwaną ejrezjone, zawieszali na drzwiach aż do następnych świąt; wówczas ją palono i zastępowano świeżą. Chłopcy, idący z ejrezjoną, śpiewali pieśń, którą Książnin tak oddał po polsku:

*Do domu tego przychodzę,
Gdzie samo szczęście przebywa;
Słyszałem wszędy po drodze:
Mąż tu w dostatki opływa.*

*Niechaj otworzą te wrota!
Skarb wnidzie nieprzebrany,
Za nim cześć, zdrowie, ochota
I pokój wszystkim żądany.*

*Użytku rodzaj wszelaki
Zajmie spichlerze, obory:
Pełne owoców przetaki,
Pełne warzywa komory.*

*Narają swachy życzliwe
Synową piękną i młodą;
Niech ją muły niepotkliwe
Do domu tego przywiodą.*

*Tu ona niechaj wyszywa
I nuci u swej kądziele;
A szczęśliwymi szczęśliwa,
Wasze pomnoży wesele.*

*Z jaskółką równie coroczną
Powrócę do was, powrócę,
Nogi tu moje wypoczną
I piosnkę wdzięczną zanucę.*

*Oto już chwila upłynie
Jako stoimy przy progu;
Czy co dacie, czyli nie,
Równo polecim was Bogu.*

W sztuce występuje Apollo jako ideał młodości i wdzięku męskiego, bez brody, z bujnymi kędziorami, które swobodnie spadają na ramiona albo są fantastycznie ufryzowane: jest to element olimpijski. Zazwyczaj nagi, czasem tylko ma przerzuconą przez ramię chla-midę, mały płaszczyk. Na plecach nosi kołczan pełen dzwonych, srebrnych strzał, w ręku trzyma łuk. W orszaku muz widzimy go znów (jako Kitarodosa) w długiej powłóczystej szacie, wysoko przepasanej, z wieńcem wawrzynu na głowie, z lirą w ręku. Wieniec laurowy dawano w nagrodę poetom i zwyczaj ten przeżył starożytność. Widzimy go na głowie i Petrarki, i naszego Janiciusa, przypomina go również wyraz: laureat.

Artemis (Diana)

Artemis była bliźnią siostrą Apollina. Równie jak on piękna, nie pomyślała jednak o małżeństwie i została na zawsze dziewicą, jak Atena. Dawano jej przydomek Czystej i wiadano powszechnie, że nie pozwala nawet spojrzeć na siebie mężczyznom, o czym najboleśniej przekonał się młody Aktajon (Akteon).

Był to zapamiętały myśliwy, przez co mógł być stać się miłym bogini, która tak bardzo kochała łowy. Zgubiła go jednak własna nieostrożność. Pewnego dnia, jak zwykle, od świtu uganiał ze sforą psów po lasach i górach. Ptaki uciekały przed nim, a on je dosięgał w locie pierzastą strzałą; ukryte w kniei zwierzęta wypłaszał niechybnym oszczepem. W samo południe stanął nad brzegiem strumienia leśnego. Schowany w

krzakach, mógł widzieć nie postrzeżony, jak bogini Artemis kąpie się wraz z towarzyszkami. Posunął się krok dalej i trzask suchej gałązki go zdradził. Bogini go dostrzegła. Jakby żartem prysnęła nań wodą; Natychmiast Akteon zmienił się w jelenia. Nie wiedział teraz biedny myśliwy, co począć: czy wracać do domu, czy ukrywać się w lasach. W chwili gdy się tak wahał, własne ogary go wytropiły. Uciekał. Chciał krzyknąć swym wiernym psom: "To ja, Akteon. Czyż nie poznajecie swego pana?" Ale dźwięki, które wydawał, nie układały się w ludzkie słowa. W końcu zaplątał się wśród gałęzi, psy go dopadły i rozszarpały. Tragedię ostatnich chwil Akteona oddał Bolesław Leśmian w następującym fragmencie:

*Powieść o Akteonie: wiosna szumi w borze.
Podpatrzył w blask boginię, skąpaną w jeziorze.
Za karę go w jelenia przedzierzgnęła mściwie.
Pokrwawiła się wieczność o leśne igliwie!...
Psy go własne opadły, szarpiąc, jak zwierzynę!
Wpółśród godzin istnienia miał taką godzinę!...
Próżno bronił obcego, które boli, ciała!
Śmierć go, psami poszczuwszy, z jeleniem zrównała...
Próżno wzywał na pomoc dawnych towarzyszy.
Nastuchując ich kroków na pobrzeżach ciszy!
Nikt nie poznał po głosie i po znoju rany,
Że to człowiek - nie jeleni! Duch - upolowany!*

Artemis była prawdziwą królową lasów. W wysoko podpiętej sukni, w mocnych sandałach, silnymi rzemieniami dookoła nóg uwiązanych, uzbrojona w łuk lub w oszczep, biegła, otoczona zgrają psów, na czele białego orszaku nimf, swych towarzyszek. Chwytało się jelenie, którym rogi zaplątały się w gąszczu; zastawiało się sidła na zające; czatowało w dziuplach wielkich drzew na ociężałe dziki. Pachnący chłód lasu, przelotny skwar otwartej polany, szumiąca świeżość potoków! Rozkładało się ognisko z chrustu i zeszłorocznych liści. Słup gryzącego dymu wikła się wśród ciemnych konarów. Pieczone na oszczepie mięso rogacza ma smak wyborny, gdy się nic nie jadło od rana. Ambrozja, którą podają w niebie, jest mdła, a nektar nie może się równać z wodą źródlaną! A pod wieczór, jeśli księżyc świeci, wszystkie biorą się za ręce i tańczą do późnej nocy. Albo prowadzi je Artemis wiadomymi ścieżkami na szczyt Parnasu, gdzie brat Apollo gra na cytrze i muzy śpiewają. Krzepki, rozkoszny sen obejmuje utrudzone ciało, które z jego uścisku wydobywa różowy pocąunek jutrzeńki.

Lecz lud na Peloponezie czcił Artemidę jako boginię płodności i

śmierci zarazem. Jej poświęcone były źródła, rzeki i moczary, bo dają urodzaj ziemi, a imię jej sławiono i wśród uprawnych niw w dolinach, i wśród lasów na wyniosłościach Tajgetu. Użyczała bowiem błogosławieństwa i roślinom, i zwierzętom, i dzieciom, które polecano jej opiece, i matki wspierała przy porodzie. W Sparcie corocznie przed jej ołtarzem ćwiczą chłopców, tak żeby krew tryskała na posąg bogini. Była to pamiątka jeszcze z tych czasów, kiedy Artemidzie, jako bogini śmierci, składano krwawe ofiary z ludzi. Mieszkańcy Taurydy (dzisiejszego Krymu) prawdopodobnie w czasach historycznych zabijali jej w ofierze schwytanych na wybrzeżu cudzoziemców.

Podobnie jak Apollo, była Artemida dobroczynną boginią. Modlono się do niej o zdrowie drogich osób. Na jej pachnących ołtarzach dziewice składały pukle włosów, a panny młode w dzień ślubu ofiarowały jej zabawki dziecinne. Czytamy taką modlitwę dziękczynną: "Przepaskę o pięknych frędzlach i tunikę złożył Attis u wrót twej świątyni, bogini młodych dziewczyc, córko Latony, albowiem sprawiłaś, że dziecko jego przyszło na świat całe i zdrowe". Pewien rybak wołał ku niej: "Ja, Monis, rybak, daję ci, Artemido, rybę smażoną. Dla ciebie tę czarę napełniłem po brzegi czystym winem i dla ciebie ułamałem kęs czerstwego chleba: ofiara uboga, lecz z głębi pobożnego serca dana. W zamian za to spraw, iżby sieci moje zawsze były pełne ryb". Inni prosili ją o obronę przed złodziejami, obiecując ofiarę z kozy; podróżny, wracając z wędrówki, zawieszał na drzewie, w gaju Artemidy, kapelusz na znak wdzięczności za powrót szczęśliwy.

A w jej świątyni na Delos opowiadano takie zdarzenie. Zjawił się tam pewien młodzieniec imieniem Akontios i ujrzał piękną pannę imieniem Kydippe. Zakochał się w niej od razu, a znając stare prawa tej świątyni wziął jabłko i napisał na nim te słowa: "Przysięgam na świątynię Artemidy, że wyjdę za Akontiosa". I rzucił jabłko pod nogi dziewczyny. Był to podstęp. Kydippe podniosła jabłko, a przeczytawszy głośno napis, odrzuciła je nadąsana. Lecz sama o tym nie wiedząc związała się przysięgą. Po wielu oporach i przygodach musiała w końcu poślubić Akontiosa i była z nim szczęśliwa. Tak czysta bogini czuwała nad świętością przysięg, a znając

serca ludzkie lepiej, niż sami ludzie je znają, kojarzyła błogostawione małżeństwa.

Zwyczajnie wyobrażano Artemidę jako łowczynię w krótkiej, niedbale przepasanej szacie; nogi i ręce nagie; na plecach kołczan, w ręku łuk. We włosach błyszczał diadem w kształcie półksiężyca. W Efezie natomiast, na wybrzeżu Azji Mniejszej, stała świątynia pod wezwaniem Artemidy, którą tam przedstawiano zupełnie inaczej: jako matkę wszego stworzenia, o stu piersiach. Nie była to Artemida, lecz bóstwo azjatyckie, którego kult Grecy tam mieszkający przejęli od sąsiadów i przemianowali je nazwą rodzimą.

W Atenach, w Epidauros i na wyspie Delos nosiła Artemis przydomek Hekate (W dal godząca), przez co utożsamiono ją z boginią czczoną pod tym imieniem w Azji Mniejszej. Ową Hekate pojmowano jako boginię śmierci, która chodzi po grobach, zjawia się w upiornej postaci w noc księżycowe na rozstajnych drogach, w otoczeniu duchów i psów. Aby ją ubłagać, wynoszono jej na rozdroża resztki ofiar składanych umarłym. Była boginią czarów i czarownice wzywały jej pomocy do swych ciemnych praktyk. W najdawniejszych czasach przedstawiano ją jako dojrzałą niewiastę, całkowicie ubraną, z dwiema pochodniami w ręku. Około zaś połowy V wieku przed n. e. rzeźbiarz Alkamenes wykonał jej posąg, na którym boginię przedstawiały trzy kobiece postacie tyłem do siebie zwrócone; w rękach trzymały pochodnie i dzbanki. Często na gemmach spotykamy tę dziwną sześcioramienną boginię, otoczoną węzami, zgoła niepodobną do bogów greckich, a przypominającą raczej bóstwa indyjskie.

Lecz bogowie greccy dziwnie się zmieniają zależnie od czasu i miejsca. Któż by rozpoznał to groźne bóstwo straszące po rozstajach w owej wzniosłej postaci, jaką opiewa najstarszy po Homerze poeta grecki, Hezjod? Jego Hekate, córka Persesa i Asterii, w samym swoim rodzie jest jakby gwiazdzista. Umiłowana przez bogów, faworytka Dzeusa, któremu piastowała dzieci, jest łaskawa dla ludzi: zsyła bogactwo, siłę i sławę, osłania żołnierzy w bitwach i żeglarzy na morzu, czuwa nad sprawiedliwością w sądach i prowadzi zawodników do zwycięskiej mety. Przy każdej ofierze wzywano jej imienia.

Hermes (Merkury)

Hermes, syn Dzeusa i Mai, urodził się nad ranem na górze Kyllene w Arkadii. Przespawszy parę godzin wstał i wyszedł z pieczary.

Po drodze zabił żółwia i z jego skorupy uczynił cytrę, nawiązawszy siedem strun ze skręconych jelit baranich. Około południa zakradł się do obory króla Admeta w Tesalii i wyprowadził z niej trzodę powierzoną opiece Apollina. Aby zmylić ślady, wiódł bydło krętymi ścieżkami, wciąż zmieniając kierunek. Owinął sobie stopy liśćmi lauru i tamaryszku i nie pozostawiał odcisków na piasku. Gdy mijał jakąś wieś, zobaczył go starzec pracujący w winnicy. Hermes pogroził mu palcem i nakazał milczenie. Nad Alfejosem wypoczął trochę, rozpałił ogień, zabił wołu i upiekł sobie kawał wyborowego mięsa. Zaczem zgasił ogień, rozmiótł popiół na wszystkie strony, popędził krowy i ukrył je wśród gór. Miało się już pod wieczór, gdy wrócił do Kyllene. Cicho i lekko, niby powiew letni, wsunął się do swej pieczary przez dziurkę od klucza, wśliznął się do kołyski i zasnął jak małe dziecko.

Ale nazajutrz przybiegł Apollo i narobił wielkiego hałasu. Wtedy Maja zaprowadziła go przed kołyskę, w której spał Hermes. Mówiła, że chyba Apollo nie podejrzewa jej syna, który jest malutki i nie tylko nie mógłby ukraść stada bydła, lecz nawet nie wie jeszcze, co znaczy krowa. Słyszac to chłopak nie wytrzymał i zaśmiał się głośno. Od razu się wszystko wydało i Hermes, aby przebłagać rozgniewanego brata, ofiarował mu cytrę ze skorupy żółwia: Apollo tak się ucieszył, że dał mu w zamian laseczkę z leszczyny, która miała cudowną właściwość uśmierzania sporów i godzenia nieprzyjaciół. Gdy ją Hermes rzucił między dwa walczące ze sobą węże, one natychmiast przestały się gryźć i zgodnie oplótły się dokoła laski, nachylając ku sobie głowy. Tak powstał kaduceusz, z którym Hermes nigdy się nie rozstawał i który przetrwał starożytność w postaci pastorału używanego przez biskupów greckiego kościoła. Szelmostwa Hermesa uczyniły go bogiem złodziei. Ledwo bowiem wszedł na Olimp, już nazajutrz Ares chodził bez miecza; Posejdonowi gdzieś przepadł trójząb, którym zwykł się podpierać! Afrodyta przy rannej toalecie zauważyła brak przepaski na biodra; Hefajstos nigdzie nie mógł znaleźć obcęgow. Spostrzeżono się wkrótce, że to wszystko Hermes kradnie. Takiego boga jeszcze nie było! "Pięknie chowasz swego jedynaka" — mówiono do mai. A ona tylko ramionami wzruszała. Dzeusowi mało piorunu nie ukradł, ale się poparzył i narobił hałasu. Wówczas ojciec wypędził go z Olimpu.

Wszyscy bogowie lubili Hermesa, choć niejednemu wypłatał takiego figla, jak Apollinowi, któremu za jego sprawą piekarczowa ateńska wylała szaflik praśnego ciasta na promienną głowę*. Miał w sobie tyle młodości i świeżego wdzięku, że Olimp bez niego wydawał się ponury i pusty. Dzeus więc odwołał go z wygnania i mianował swoim ambasadorem, posłem i gońcem. Wybór był doskonały, albowiem szybkonogi bożek w mig spełniał wszelkie rozkazy, był sprytny, orientował się w każdym położeniu i umiał być w potrzebie dyskretny. Powoli i inni bogowie i boginie zaczęli korzystać z jego usług i Hermes musiał sobie sprawić małe skrzydełka u nóg, aby się wywiązać ze wszystkich zadań.

Żaden z bogów nie miał tylu zajęć. Już o świcie zamiatał salę biesiadną na Olimpie i przebiegał wszystkie pokoje, w których zbierali się bogowie na wspólne uczyty lub narady, aby sprawdzić, czy wszystko jest w należyтым porządku. Ukończywszy tę ranną robotę czekał, aż się Dzeus przebudzi. Ledwo postyszał mocne ziewnięcie syna Kronosa, biegł po rozkazy. I od tej chwili przez cały dzień biegał i latał. Wracał zziębnięty, zdawał sprawę ze wszystkiego, co załatwił, i zaraz brał się do nakładania ambrozji na złote półmiski, z których jedzą szczęśliwi bogowie. A i w nocy nie miał spokoju. Musiał zbłąkanym wskazywać drogę wśród manowców, ludzi usypiać i śpiącym zsyłać senne widziadła. A kiedy już niebo i ziemia spały, on prowadził dusze zmarłych do podziemia i przy sądzie piekielnym pełnił obowiązki woźnego. Gdyby nie był bogiem nieśmiertelnym i wiecznie młodym, dawno opadłby z sił i umarłby z wycieńczenia.

Hermes miał być wynalazcą ćwiczeń gimnastycznych. Uważano go za patrona palestry i gimnazjonu, gdzie młodzież w codziennych ćwiczeniach pielęgnowała zdrowie i siłę ciała. Na placach publicznych, w sądach i zgromadzeniach ludowych czczono go jako boga wymowy, bo chytry jest i umie drugich przekonać. Kupcy widzieli w nim szczególnego swego orędownika i nieraz można spotkać posągi Hermesa trzymającego w ręce woreczek z pieniędzmi.

Hermes miał wszędzie świątynie, ołtarze i posągi, ale najbardziej czczono go w Arkadii, gdzie była góra Kyllene, miejsce jego urodzenia. Arkadowie widzieli w nim główne bóstwo pasterskie, które troszczy się o zdrowie i paszę ich owiec i kóz. Obchodzono ku jego czci święto połączone z igrzyskami i przedstawiano go jako "dobrego pasterza" (Hermes Krioforos) z barankiem na ramionach. Gospodarze, wypędzając z rana

* Zob. Henryk Sienkiewicz: *Wyrok Zeusa*.

trzody, mówili: "Idźcie, kozy krzyworożce, idźcie i paście się zieloną trawą wśród gór, i nie bójcie się wilków, bo Hermes czuwa".

W starej sztuce greckiej pojawia się Hermes jako mężczyzna w średnim wieku, ze spiczastą bródką. Lecz dość wcześnie zaczęto go wyobrażać jako pięknego młodzieńca, zwykle nagiego, z przerzuconą niedbale chlamidą. Na głowie ma często kapelusz podróżny, petasos, ze skrzydełkami; podobne skrzydełka ma u nóg; w ręce trzyma kaduceusz.

Hefajstos (Wulkan)

Hefajstos jest najpracowitszy z bogów. Rzadko tylko spotyka się go na przyjęciach u Dzeusa i wszyscy przywykli widzieć w nim samotnika. On jednak nie jest samotny. W swej cudownej kuźni na wyspie Lemnos lub we wnętrzu Etny, wśród wiernych cyklopów, boski mechanik dniem i nocą pracuje, jak gdyby spoczynek był mu niepotrzebny i jakby tylko w rozgwarze twardej roboty czuł się dobrze. Kuje pioruny dla Dzeusa, naprawia rydwan Słońca; komu potrzebna tarcza, komu miecz, komu piękny pancerz ze złota — ten idzie do Hefajstosa i wie, że mu kulawy kowal nie odmówi. Gdy ma więcej wolnego czasu, zrobi berło dla jakiegoś króla albo zabawia się biżuterią, której boginie Olimpu nigdy nie mają dosyć.

Wszystko, co wychodzi z jego rąk, jest dziwnie piękne i misterne. Czasem zaś wykonywa rzeczy wręcz cudowne: niewolnice ze złota, które poruszają się jak żywe; fotele, które same biegną na salę rady bogów; krzesło... O, to było straszne. Dwaj cyklopi zjawili się u bram Olimpu i powiedzieli, że przynoszą podarek od swego pana dla królowej nieba. Było to krzesło. Śliczne krzesło. Całe ze złota i drogich kamieni. Wygodne bardzo. Hera kazała je ustawić w swoim pokoju i zaraz na nim usiadła. Ale wtedy, nie wiadomo skąd, wysunęły się jakieś kleszcze czy więzy, które trzymały tak mocno, że bogini z miejsca się ruszyć nie mogła. Kto wie, co by się stało, gdyby nie uproszono złośliwego mechanika, który na koniec sam przyszedł i uwolnił Herę z tego śmiesznego więzienia.

I znowu wrócił do swej kuźni. Olbrzymi piec bucha wiecznym płomieniem, podsycany sapiącym oddechem potężnych miechów. W potwornych, okopconych tyglach pлавią się rozmaite metale: złoto, żelazo, miedź, srebro płynie lśniącem strumieniem. Potworne cęgi gryzą czerwone

sztaby, po których młoty uderzają, aż ziemia drży. Zgiełkliwy hałas napęła kuźnię, a Hefajstos, kulejąc i ocierając pot z czoła, chodzi koło robotników i wydaje rozkazy.

Czasem się zatrzyma, stanie w miejscu i przez otwór w górze patrzy na niebo, objęte złocistą chwałą słońca. Z wysokiego Olimpu słychać śpiew i muzykę. Apollo gra na lutni, a muzy śpiewają nowy hymn. Hefajstos myśli o swej młodości. Przecież był synem Dzeusa i Hery, królewskim synem. Chował się na Olimpie i wszyscy przepowiadali, że kiedyś wyrośnie na bardzo mądrego boga. Kochał matkę i ujął się za nią wówczas, gdy Dzeus powiesił Herę za ręce u szczytu Olimpu. Ojciec w gniewie zrzucił go na ziemię. Hefajstos leciał przez dzień cały, aż nocą, niby meteor, spadł na wyspę Lemnos z połamanymi nogami. Zaopiekowała się nim bogini morska Tetyda i zaniosiła do swego domu z koralami, gdzie światło przenika przez modre zwierciadło wód. Wielkie algi pną się po ścianach groty, a duchy morskie grają na muszlach.

Wracał do zdrowia. Srebrnonogim boginkom, z wdzięczności za opiekę, wyrabiał cudowne ozdoby: naszyjniki tak delikatne, jakby były z puchu piany morskiej, naramienniki, pierścienie, diademy, a wszystko to błyszczało w szmaragdowej głębinie niby migotanie zatopionych gwiazd. Przez dziewięć lat tak żył, aż zapomnieli o nim i ojciec, i matka, i cały Olimp. Wszyscy byli przekonani, że zginął gdzieś w przestworzach oceanu. On zaś nie chciał wracać do świata, z którego tak boleśnie go wygnano.

Dopiero Bachus, bóg wina, spoił go raz, wsadził na osła i sprowadził na Olimp. Radość była ogromna. Wiedziano bowiem, że z Hefajstosa w potrzebie jest dobry towarzysz, dowcipny i mądry, a przede wszystkim taki pożyteczny: wszystko zrobi i wszystko naprawi. Dzeus, chcąc go uczcić i wynagrodzić dawne krzywdy, dał mu za żonę najpiękniejszą boginię, Afrodytę.

Ale nie było to szczęśliwe małżeństwo. Bogini piękności nie mogła się pogodzić z trybem życia swego męża. Ona lubiła świat, bogów i ludzi, on tylko swoją kuźnię, ona chciała być wszędzie tam, gdzie wesele i pląsy, on poza pracą nie znał innych rozkoszy; wyrabiał najcudowniejsze klejnoty, a sam chodził jak ostatni niewolnik, wiecznie osmolony i brudny. Nie

pomyślano tylko o jednej rzeczy: że Hefajstos był niegdyś młody, piękny i radosny, jak wszyscy bogowie, a dopiero potem stał się opuszczony i ponury. A że mu Dzeus dał za żonę najpiękniejszą boginię, to uważał za nowe szyderstwo ze swojej brzydoty.

Hefajstos był bogiem ognia, tej dźwigni wszelkiego postępu. Kochał ludzkość i uczył ją obrabiania metali i wykonywania dzieł sztuki. Czczono go szczególnie na wyspie Lemnos. Tam był, jak się zdaje, najstarszy ośrodek kultu Hefajstosa, związany z wulkanem, który na tej wyspie od najdawniejszych czasów był czynny i wygasł dopiero za Aleksandra Wielkiego. Lemnijczycy utrzymywali, że właśnie w głębi tej góry ognistej znajduje się kuźnia Hefajstosa. W Atenach obchodzono w październiku Chalkeje — święto kowali. Na cześć Hefajstosa odbywały się lampadoforie — bieg z pochodniami. Piesi i konni nieśli pochodnie i zwyciężał ten, kto z płonąca pochodnią pierwszy dobiegł do celu. Składano bogu ognia ofiary całopalne.

W sztuce przedstawiano Hefajstosa jako muskularnego, brodatego mężczyznę, a dając mu siedzącą postawę, ukrywano jego kalectwo. Zwykle ma przy sobie młot lub inny przedmiot wskazujący na zawód kowala.

Afrodyta (Wenus)

Afrodyta nie miała ani ojca, ani matki. Mimo to nie uważała się za biedną sierotę. Pewnego bardzo pięknego poranku wyłoniła się po prostu z piany morskiej, niedaleko Cypru. Widocznie jej oczekiwano, albowiem na brzegu powitały ją Wdzięki, Uśmiechy, Igraszki, wesołe i miłe bóstewka, które odtąd pozostały w jej orszaku. Z każdym krokiem Afrodyty wyrastały pod jej stopami najcudowniejsze kwiaty. Służebnice wytarły jej ciało, namaściły wonnymi olejkami, wykręciły wilgotne włosy i ubrały. Na głowę włożyły złotą koronę, w uszy wpięły kolczyki z pereł, na piersiach zawiesiły naszyjnik ze szmaragdów. Odziały ją w koszulę tak delikatną jak mgła i w płaszcz tak barwny jak tęcza. Potem sprowadziły śliczny wózek wykładany szylkretem i zaprzęły doń gołębie. W ten sposób bogini piękności

pojechała na Olimp. Za jej zjawieniem się o spiżowe ściany Dzeusowego pałacu obito się wielkie aa! wszystkich bogów, aż zazdrość ukąsiła w samo serce Herę, panią nieba, Atenę, wyniosłą królową mądrości, i inne boginie, które, szepcząc między sobą, zmawiały się, jak by poskromić tę przybłędę.

Lecz nic jej nie uczyniły, albowiem wszystkich podbiła swym wdziękiem. A miała na sobie przepaskę cudowną, która sprawiała, że wszystkie serca stawały się jej uległe i posłuszne. Została boginią miłości. Lecz wpieryw sama się zakochała i poznała tego uczucia wszystkie słodcze i wszystkie cierpienia.

Wybrańcem jej serca był Adonis, piękny myśliwy. Bogini, przyzwyczajona do wygodnego życia, wstawiała skoro świt, aby towarzyszyć Adonisowi na polowaniu. Delikatne stopy krwawiła o ciernie i kamienie, jej lekkie szaty dały się wśród gąszczów leśnych. Pewnego dnia, pod cedrami na szczytach Libanu, poszarpał Adonisa dzik. Za późno przybyła bogini z pomocą. Adonis schylił głowę w jej białe ramiona i wyzionął ducha. Afrodyta poląła krew kochanka nektarem i krew czerwona zamieniła się w kwiat zwany anemonem.

Niepocieszona bogini poszła do Dzeusa z prośbą, by kazał wyprowadzić duszę kochanka z podziemi i oblekł ją w dawne piękne ciało. Spełniono jej życzenie i odtąd Adonis sześć miesięcy spędzał przy Afrodycie, a na drugą połowę roku wracał do Hadesu. Oddawano mu cześć boską. Ośmiodniowe święto Adoniów było zarazem smutne i wesołe. Przez pierwsze cztery dni opłakiwano jego śmierć nad sztucznym grobem, w którym leżała drewniana figura, a przez następne cztery obnoszono jego posągi głosząc zmartwychwstanie młodzieńca. Po domach ustawiano "ogródki Adonisa", wazoniki z roślinami, które, jak rzeżucha, szybko wschodzą i prędko więdną — symbol przemijającej młodości lub lata ginącego pod srebrną kosą zimy.

Afrodyta najchętniej przebywała na Cyprze, wyspie, która widziała jej narodziny. W Pafos miała sławną świątynię, gdzie opowiadano cud, jaki zdarzył się za sprawą bogini w domu Pigmaliona.

Był to król Cypru, który zamiast państwem zajmował się sztuką rzeźbiarską. Chcąc wcielić swoje marzenia w kamień, wyrzeźbił kobietę tak

cudną, jakiej nie było na ziemi. I zakochał się w niej, i cierpiał, albowiem marmur nie mógł doń ani przemówić, ani się uśmiechnąć, ani mu podać dłoni. Gdy tak raz zatopił się cały w swej miłości i w swoim cierpieniu, poczuł, że czyjaś ręka dotyka jego ramienia. Obejrzał się: przed nim stał ukochany posąg, łaską Afrodyty zmieniony w żywą kobietę. Nazywała się ona odtąd Galatea. Pigmalion uczynił ją swoją żoną i królową, a ona dała mu syna, Pafosa, który założył miasto swego imienia i zbudował w nim wspaniałą świątynię dobrej bogini.

Wyobrażano sobie, że bogini miłości buja po powietrzu na wozie zaprzężonym w gołębie:

...której ciche wozy

Przez błękit gołąb niósł i gołębica —

jak powiada Słowacki w *Beniowskim*. Była boginią kwiatów, ogrodów, gajów i wiosny.

Święta Afrodyty obchodzono zwykle na wiosnę, nocą, w ogrodach, z tańcami i śpiewami. Rzadko tylko zabijano dla niej na ofiarę zwierzęta (zające, kozy, prosięta). Mówiono, że krwawych ofiar nie lubi i że w swej świątyni na górze Eryks, na Sycylii, sama co noc zmywa ołtarz ze śladów krwi garścią trawy zwilżonej rosą. Palono dla niej wonne kadzidła i poświęcano jej róże, jabłka, granaty, mirty.

Pochwałę tej wielkiej bogini, pani wszystkotworzącej miłości, wyśpiewał w wierszach natchnionych poeta łaciński Lukrecjusz (I wiek przed n. e.) na wstępie swego poematu filozoficznego pt. *O przyrodzie rzeczy*:
“Matko narodu rzymskiego, rozkoszy ludzi i bogów, łaskawa Wenus! Ty morze żeglarskie pod gwiazdami niebieskimi leżące, ty ziemię plony rodzącą nawiedzasz, albowiem dzięki tobie powstaje wszystko, co żyje, i tylko dzięki tobie ogląda światło słońca. Gdy się pojawisz, uciekają wiatry i chmury niebieskie, pod nogi ci ściele ziemia miękkie kwiaty, do ciebie śmieją się mórz roztocza i niebo lśni ku tobie światłością szeroką. Albowiem skoro rozewrą się wrota wiosny i powieje rodne tchnienie zefirów, ciebie, bogini, najpierw ptaki powietrzne zwiastują; niesforne

bydłęta skaczą po łąkach wesołych i przepływają rwące potoki, gdyż wszystko idzie, posłuszne, za twoim urokiem. Przez morza i góry, i rzeki wezbrane, i przez liściaste domy ptaków, i przez pola zielone, powszędy przelata tchnienie twojej miłości. Ty jedna rządysz wszechświatem, bez ciebie ani dzień jeden nie zarumieni się świtem, bez ciebie nie rodzi się nic, co jest radosne lub miłe".

W najdawniejszych czasach przedstawiano Afrodytę, jak zresztą wszystkie boginie, w długiej, do kostek sięgającej szacie; w ręce trzymała jakiś owoc lub kwiat, u stóp jej siedziały gołębie. Począwszy od IV wieku przed n. e. jawi się Afrodyta w sztuce greckiej naga lub do połowy obnażona, zwykle w kąpeli lub jako Anadiomene, tj. "wychodząca z morza", a więc w chwili swych cudownych narodzin. Najpiękniejszy posąg bogini miłości był dziełem ateńskiego rzeźbiarza Praksytelesa (IV wiek przed n. e.). Oryginał się nie zachował, lecz przetrwał w niezliczonych kopiach. Postać Afrodyty odtwarzali z równym zamiłowaniem i malarze starożytni. Na freskach pompejańskich widzimy ją łowiącą ryby na wędkę lub płynącą w muszli po morzu w otoczeniu małych Erosów.

Eros (Amor)

Kim jest właściwie Eros i jak wygląda? Czy jest chłopczykiem figlarnym, który z malutkim łukiem i strzałeczkami uwija się po świecie na motylach skrzydełkach? Czy też jest to bóg potężny i wielki, a starszy od Dzeusa i Kronosa? Właściwie i jedno, i drugie, albowiem w różnych epokach rozmaicie go sobie wyobrażano.

Od niepamiętnych czasów, zanim jeszcze Grecy zajęli swe późniejsze siedziby, czcił go jakiś bliżej nam nie znany lud w beockich Tespiach, w Parion nad Hellespontem i w Leuktrach w Lakonii, gdyż wszędzie tam spotykamy ślady jego prastarego kultu. W Tespiach czczono go pod postacią nie obrobionego głazu, który był największą świętością w tym mieście, i wierzono, że Eros jest synem boga urodzajów, Hermesa, i podziemnej bogini Artemis. Hezjod zaś, jeden z najdawniejszych poetów

greckich, który żył w Beocji, głosił, że Eros należy do najstarszego pokolenia bogów, że zrodził się z Chaosu, razem z ziemią i niebem.

Później górowało inne podanie. Oto Eros stał się synem i nieodłącznym towarzyszem Afrodyty. Uważano go odtąd za najmłodszego z bogów, który nigdy nie miał czasu wyrosnąć i dojrzeć: pozostał na zawsze małym chłopcem i psotnym łobuzem.

*Kupido, bożku zuchwały,
Składny do łuczku i śmiały...*

śpiewano u nas w XVII wieku, podczas zabaw tanecznych.

Dzeus, przewidując złośliwą naturę bożka, chciał go uśmiercić zaraz po narodzeniu, lecz Afrodyta ukryła dziecko w lasach, gdzie żywiło się mlekiem lwicy i tygrysicy. Były to plotki, które wymyślali o nim zawiedzeni w miłości, oskarżając go, że ich serca przeszył jadowitą strzałą. Ale wszyscy inni sławili go raczej jako tego, który życie ludzkie ozdabia kwiatami najpiękniejszych uczuć. Kochała się w nim poezja. Poeta Agaton taką wypowiedział pochwałę Erosa: "On chłody serc ludzkich rozprasza, on je ciepłem okrasza; on łagodność pomnaża, gwałtowność umarza; on rozbudza przyjaźń, ostudza nieprzyjaźń; dla dobrych łaskawy, dla mądrych ciekawy; on dla bogów cud, dla straconych dziw, dla wybranych skarb. W nim jest wykwintny wdzięk, w nim źródło powabów pieściwych, on rozkosznego rozemdlenia bóg. On o dobrych dba, on odtrąca złych. Czy troska, czy trwoga, czy serce coś marzy, czy rozum coś waży, on wtedy sterownik, doradca i zbawca najlepszy. On bogów radością, on ludzi pięknnością, ozdobą..."*

Była sobie raz królewna i nazywała się Psyche, co po grecku znaczy: dusza. Była tak piękna, że poddani modlili się do niej zapominając o Afrodycie. Zagniewana bogini wezwała Erosa i kazała mu w sercu Psyche obudzić miłość do najszkaradniejszego potwora, jaki się znajdzie na ziemi. Lecz Eros, ujrawszy dziewczynę, sam się zakochał i dał jej pałac cudowny. Przychodził do niej nocą i upominał, aby nigdy nie starała się poznać, kim

* Platon: *Uczta*. Przekład Władysława Witwickiego.

on jest, bo gdy jego twarz zobaczy, zaczną się dla niej dni niedoli. Siostry, którym to opowiadała, szydziły z niej, mówiąc, że jej kochanek jest zapewne okropnym smokiem. Mówiły tak, gdyż zazdrościły jej bogactw i splendoru. Ale Psyche uwierzyła. Nie mogąc przełamać ciekawości, pewnej nocy, gdy Eros spał, zapaliła lampę oliwną i podeszła do łóżka. Olśniona niezmierną piękną, zadrżała i kropla gorącej oliwy spadła z kaganka na obnażone ramię boga. Eros obudził się i znikł. Znikł również pałac cudowny i królowa została sama na dzikiej, pustej skale. Afrodyta mściła się na niej zsyłając zgryzotę i ból, i mękę. Ale Eros, który kochał ją zawsze, niósł jej pomoc i pociechę. Na koniec Dzeus ulitował się nad parą kochanków i przyjął Psyche na Olimp, gdzie odbyły się jej zaślubiny z bogiem miłości.*

Dopiero w V wieku przed n. e. pojawia się Eros w sztuce. Najpierw jako pacholę, jeszcze bez skrzydeł, z kwiatem, lirą lub wieńcem. Później dostaje skrzydła, łuk i strzały. Od końca IV wieku przemienia się w chłopaka i nagle, zamiast jednego, widzimy całą gromadę tych bożków, które wypełniają malowidła i płaskorzeźby. Są to bawiące się dzieci: biegną za kołem, łapią motyle, łowią ryby na wędkę, latają w powietrzu, towarzyszą ze wścibstwem wszystkim bogom i bohaterom, płatają im psoty, przedrzeźniają rozmaite zajęcia ludzkie. Czasem, niby małe ptaszki, zamyka się je w klatce i wystawia na sprzedaż jak kanarki.

Charyty (Gracje)

Charyty są boginiami pogodnego wdzięku i radosnych uroków. Za ich sprawą powstaje wszystko, co miłe i nadobne. Młodzieńcy i dziewczęta zawdzięczają im urodę, a najpiękniejsze źródła mają wody tak jasne i przejrzyste dlatego, że charyty się kiedyś w nich kąpały. One są mistrzyniami ceremonii na Olimpie i urządzają biesiady bogów. One upiększają życie człowieka. Gdziekolwiek ludzie zbiorą się na tańce, zabawę, ucztę, tam jawią się niewidzialne charyty, wnoszą serdeczną

* Zob. Apulejusz Madaureńczyk: *Metamorfozy albo Złoty Osioł*. Przekład E. Jędrkiewicza. Lwów 1924. — Jerzy Żułowski przerobił ten mit oryginalnie w obrazie scenicznym pt. *Eros i Psyche*, a Ludomir Różycki na operę.

pogodę, swobodną uciechę i przestrzegają, by nie przekraczano granic wesela, które wówczas może się zamienić w ponure rozpasanie. Lubią towarzystwo boga wina, Dionizosa, i na ich cześć spełnia się przy stole pierwsze puchary. Rozmiałowane w śpiewie, przestają chętnie z muzami i garną się do Apollina, gdy tylko weźmie cytrę w swe boskie ręce. Służą Afrodycie. Co rano, po kąpieli, namaszczają ją olejkami, przygotowują dla niej pachnące szaty i wieńczą ją kwiatami, że z ich rąk miękkich wychodzi piękna, świeża, wesoła — prawdziwa "radość bogów i ludzi".

Prastary kult charyt istniał w mieście beockim Orchomenos. Przez długie wieki nie miały one tam innych posągów prócz nie obrobionych kamieni, które były w wielkim poszanowaniu, gdyż opowiadano o nich, że niegdyś spadły z nieba. Ku czci dobrych bogiń obchodzono święto Charitezje z muzycznymi popisami i nocnymi tańcami, po czym rozdawano ludowi ciastka pszeniczne z miodem.

Zwykle wymieniano trzy charyty: Eufrozyne, Taleja, Aglaja. Przedstawiano je jako urodziwe dziewczęta, w dawniejszej sztuce pięknie wystrojone, później nago. Trzymają się zwykle za ręce, jakby do tańca. W Atenach u wejścia na Akropol stała grupa charyt, dzieło Sokratesa, z czasów, gdy filozof zajmował się jeszcze robotą rzeźbiarską w pracowni swego ojca, Sofroniska.

Jako atrybuty mają charyty: różę, mirt, instrumenty muzyczne, jabłko lub flakonik z wonnym olejkiem, czasem kłosa lub maki.

Ares (Mars)

Ares był synem Dzeusa i Hery. Jako dziecko nie objawiał żadnych zdolności, więc oddano go na wychowanie jednemu z tytanów. Mistrz sam nic nie umiał i zaprawiał ucznia jedynie do ćwiczeń fizycznych. Wyrobił mu silne muskuły i wpoił przekonanie, że najpiękniejszym zajęciem jest wojna. Ares zamówił u Hefajstosa cały arsenał mieczów, tarcz i włóczni i zeszedł na ziemię. Ludzie nie znali dotychczas wojennego rzemiosła. Zabijali się w sposób nader nieumiejętny. W razie sporu brali kije lub kamienie, a ich

walki odznaczały się brakiem wszelkiego ładu. Najzacieklejsze waśnie kończyły się kilku guzami. Wojowniczymi czynił ich strach lub interes. Dopiero Ares nauczył ich bezinteresownego bohaterstwa i stali się okrutni. Sporządzili sobie broń na podobieństwo tej, którą im pokazał, i zmienili się w żołnierzy. Odtąd wojna nabrała właściwego znaczenia. Zorganizowane okrucieństwo było zajęciem pięknym, zaszczytnym i korzystnym.

Gdy jednak wybuchł bunt gigantów i wszystkich bogów Zeus powołał pod broń, Ares nie dokonał nic godnego uwagi. Tak się przynajmniej zdawało, albowiem nikt go nie widział tam, gdzie by się mógł przydać naprawdę. Dopiero po dokonanym zwycięstwie zdumiał wszystkich hałaśliwym opowiadaniem o swych niebywałych przewagach. Aż pewnego dnia znikł bez śladu. Hermes, który wszystko potrafi wyśledzić, znalazł go w ciemnym lochu, gdzie zamknęli go dwaj zbójce. Przesiedział tam piętnaście miesięcy w wielkiej nędzy i pohańbieniu. Długo nie pokazywał się na Olimpie. Upodobał sobie Trację, kraj dzikich gór i jeszcze dzikszych ludzi, którym opowiadał o wojnie, o swoim męstwie i swojej sile. Biegał wszędzie tam, gdzie słychać było szczęk oręża. Zakuty w zbroję stawał na rydwaniu, do którego zaprzęgały ogniste rumaki dwa bóstwa: Bojaźń i Strach, a Niezgoda i Mord trzymały lejce. Rzucał się w największy wir bitwy, zabijał, tratował, łamał szeregi, szczęśliwy, że walczy z ludźmi, nie z bogami.

Atena czuła do niego nieprzepartą odrazę. Szukała z nim zwady, aby go pokonać i upokorzyć. Raz zadała mu włócznią dotkliwą ranę "w dołek brzucha", gdzie końce pasa schodzą się ze sobą. Ares raniony tak wrzasnął, jakby wrzeszczało dziewięć lub dziesięć tysięcy mężów, i wznosił się do nieba niby chmura ciemna. Tam zasiadł obok Dzeusa i wskazując na krew nieśmiertelną, co lała się obficie z rany, zaczął się skarżyć na ludzi i na Atenę. Ale Zeus spojrział nań surowo i rzekł: "Ani się waż tu stękać. Jesteś mi naj-nieznośniejszym z bogów. Zawsze ci tylko wojna w głowie". Ares zamilkł i poszedł szukać lekarza niebiańskiego Pajeona, który na Olimpie pełnił służbę sanitarną. Ten przyłożył mu leki do rany, która się wnet zagoiła. Potem umył się, przebrał i siadł cichutko przy stole bogów.

Grecy żywili dla Aresa mniej więcej te same uczucia, co jego własny

ojciec. Nie stawiali mu świątyń i poza paru kapliczkami niepodobna stwierdzić jakiegoś bardziej powszechnego kultu. Sztuka przedstawiała go jako młodego, silnego mężczyznę, czasem z brodą i w pełnej zbroi, częściej nagiego i bez zarostu. Najpiękniejszym z zachowanych posągów jest Ares Ludovisi: siedząc założył nogę na nogę i ręce wsparł na głowicy miecza, spod nóg wychyla się mały Eros i figlarnie spogląda ku zamyślonemu Aresowi. Jest to jakby ilustracja do słów filozofa Arystotelesa: "Wojownicy są przeważnie bardzo kochliwi".

BOGOWIE ŚWIATŁA I POWIETRZA

Helios (Sol)

We wszystkich religiach indoeuropejskich istniał kult słońca, ogromnej, życiodajnej siły, zawartej w tym wielkim ognisku, które co dzień zapala się w różach jutrzeńki i gaśnie w szkarłatach zachodu. Grecy podzielili królestwo słoneczne między dwóch bogów: Apollo, pan życia i śmierci, wyobrażał dobrą i wielką potęgę słońca; Helios zaś był woźnicą wyjeżdżającym o świcie znad brzegów Oceanu, aby znów o zachodzie, po drugiej stronie widnokręgu, zanurzyć się w falach tej rzeki otaczającej ziemię dokoła i orzeźwić siebie i swoje konie chłodną kąpielą.

Miał on pałac cudowny, cały ze złota, pełen drogich kamieni i ozdób z kości słoniowej. Podwoje srebrne, na których wyrzeźbiono rozmaite dziwne historie — otwierały się wprost ku wielkiej sali, gdzie w purpurę odziany siedział na tronie ze złota Helios, w otoczeniu Dni, Miesiący, Lat i Stuleci, w koronie promienistej, tak jasny i błyszczący, że nawet syn jego Faeton nie śmiał mu spojrzeć w oblicze, z obawy, by wzroku nie stracić.

A właśnie miał ważną i pilną sprawę do ojca. Od progu tedy przemówił. Oto na ziemi drwią z niego, mówią, że nie jest synem słońca. Jeśli ojciec go kocha, niech mu powie całą prawdę i niech spełni życzenie, z którym tu przyszedł. Helios odparł, że Faeton jest jego dzieckiem, i nie pytając, czego by pragnął, przysiągł, że każde jego życzenie wypełni. Wówczas młodzieniec prosił, aby mu zezwolił raz jeden wyjechać na wozie słonecznym. Zatrokał się Helios i zaczął przedkładać chłopcu, że to rzecz bardzo niebezpieczna, bo kierowanie wozem słońca jest trudem wielkim i wymaga wielkiej siły. Chłopak jednak nie chciał ustąpić. Cofać się było za późno, dał bowiem Helios przysięgę.

Z promiennego pałacu słońca wyjechał Faeton na wozie ognistym i wzbił się pod lazuruwe sklepienie. Wnet poznały rumaki nieśmiertelne, że jakaś miękka i niewprawna dłoń je prowadzi. Zboczyły zaraz ze swej drogi. Raz wznosiły się tak wysoko, że eter zaczynał płonąć, to znów opadały tak

nisko, że aż rzeki wysychały. Wtedy to Etiopom poczerniała skóra, a zielone pola Afryki zmieniły się w pustynię. Ziemia, której ogień już palił wnętrzności, jęknęła i, podniósłszy ręce do nieba, zaczęła wzywać pomocy Dzeusa. Król bogów, widząc bożyca pędzącego na zbłąkanym rydwaniu i konie spłoszone, raził go piorunem. Faeton spadł z wozu do rzeki Erydanu. Tak zakończył swą podróż podniebną syn złotowłosej Klymeny. Jego imię przetrwało w nazwie lekkiego powozu, który dziś wyszedł z mody.

W Egipcie było "miasto słońca" — Heliopolis, z którym wiązano historię "ptaka słonecznego" — Feniksa. Wielkości orła, miał na głowie czub szkarłatny, na szyi złociste pióra, ogon biały, a oczy jak gwiazdy. Żył pięćset lat albo i więcej. Karmił się żywicą balsamicznych roślin. Gdy czuł zbliżającą się śmierć, budował gniazdo z wonnych liści i ziół — mirry, cynamonu, nardu — na szczycie palmy. W tym gnieździe umierał spalony przez promienie słońca. Z jego kości rodził się nowy Feniks, który dorósłszy unosił swoje gniazdo będące zarazem grobem ojca i składał je w świątyni słońca. Tacyt zapisuje w szóstej księdze swoich *Roczników*, że za czasów Tyberiusza pojawił się w Egipcie Feniks, którego tam nie widziano od dwustu kilkudziesięciu lat. Na monetach cesarza Trajana widzimy słonecznego ptaka z nimbem dokoła głowy, z gałązką w szponach, a cesarz Konstantyn kazał go na swoich monetach przedstawić siedzącego na szczycie góry i trzymającego w łapach jaje. Tak zachodnie zorze kultu Heliosa rzuciły jeszcze pod koniec starożytności swój ostatni refleks.

Był zwyczaj wzywać Heliosa na świadka podczas przysięgi jako wszytkowidzące bóstwo i modlić się doń o wschodzie i zachodzie słońca, ale nie miał on w Grecji ani świątyń, ani licznych ołtarzy. Jedynie wyspa Rodos oddawała mu cześć przed wszystkimi innymi bogami. U wjazdu do wyspy stał jego posąg, zaliczany do cudów świata, tzw. Kolos rodyjski. Cały z brązu, wznosił się na wysokość trzydziestu metrów niby latarnia morska. Nogi spoczywały na dwóch skałach u wejścia do portu, tak że okręty mogły swobodnie pod nim przepływać. Wewnątrz schody prowadziły na sam szczyt pomnika, skąd roztaczał się rozległy widok aż ku brzegom Syrii. Krótkie było jego istnienie: uległ trzęsieniu ziemi i rozbił się w kawałki, które spadły do morza. Dopiero w r. 651 n. e. Arabowie, którzy zajęli

Rodos, sprzedali pozostałe resztki pewnemu Żydowi: on kazał je z wody wyłowić i wywiózł na dziewięciuset wielbłądach.

Przedstawiano Heliosa jako młodego, pięknego mężczyznę w promienistej koronie na głowie.

Eos (Aurora)

Zanim pojawi się na niebie złoty wóz słońca, znad brzegów Oceanu wyjeżdża na lekkim rydwanie Eos, różanopalca bogini jutrzeńki. Piękne oblicze młodej bogini jaśnieje rumieńcem zorzy porannej, a wśród szarych świtów zakwita jej szata barwy szafranu.

W jakiejś wiosenne rano ujrzała Eos z wysokości nieba urodziwego królewicza Titonosa i zakochała się w nim, i zapagnęła go poślubić. Ale że był człowiekiem, uprosiła wpierw Dzeusa, by mu dał nieśmiertelność. Lata mijały w szczęśliwym pożyciu małżonków, gdy nagle Eos zauważyła zmianę: oto barki Titonosa pochyliły się, włosy stały się rzadkie i siwe na skroniach, twarz, dawniej tak cudna, pokryła się zmarszczkami. Titonos starzał się z każdym dniem bardziej. Gorzko płakała młoda bogini! Zapomniała bowiem prosić Dzeusa, by wraz z nieśmiertelnością dał mu wieczną młodość. Nie było już rady. Titonos mając kilkaset lat zgrzybiał zupełnie, zdziecinniał i stał się taki maleńki, że żona kładła go do kołyski i ze wstydu przed bogami chowała za parawanem, skąd dochodziły jego słabe jęki i skomlenia. W końcu Dzeus przemienił go w świerszcza.

Nieszczęśliwa w małżeństwie, nie doczekała się Eos również pociechy ze swego syna Memnona. Był on piękny i silny, i mężny, ale spotkał Achillesa i poległ z jego ręki. Różanopalca bogini z płaczem przypadła do nóg Dzeusa: "Ze wszystkich bogów — mówiła — jestem najniższa, bo nie mam nawet własnych świątyń na świecie. Lecz nie przyszedł cię prosić ani o świątynie bogate, ani o dni świąteczne, ani o ołtarze. Oto syn mój padł z ręki Achillesa. Spraw, najwyższy władco bogów, aby miał on jakąś cześć u ludzi, i w ten sposób złagodź cierpienie matki". Wysłuchał Dzeus jej prośby i kiedy złożono ciało Memnona na stosie, spośród dymu i płomieni wyleciały białe ptaki, które podzieliły się na dwa stada, po czym wróciły i stoczyły nad zwłokami Memnona zacięty bój, składając w ten sposób na jego grobie ofiarę z własnej krwi.

W czasach cesarstwa rzymskiego związano z imieniem Memnona

ciekawą legendę. Oto na zachodnim brzegu Nilu, niedaleko Teb, było wielkie pole ruin, wśród których stały do dziś zachowane dwa kolosalne posągi Amenofisa III. Podróżni, którzy je zwiedzali, zauważyli, że gdy pierwsze blaski świtu padły na kamienne piersi posągu, słyszeć się dawały jakieś dźwięki czy szmery. Pamięć o faraonach egipskich już przygasta i nikt nie umiał odczytać napisów hieroglificznych, nazwano więc te statuy "kolosami Memnona" i wierzono, że pod promieniami jutrzeńki, które są jakby pocałunkiem matczynym, kamienie na chwilę nabierają życia i odpowiadają głosem podobnym do jęku. Liczni podróżnicy zjeżdżali się, by podziwiać to osobliwe zjawisko, i ryli na stopach kolosów swoje imiona i zachwyty, które my dzisiaj czytać możemy.

Eos często przedstawiano w sztuce niosącą zwłoki Memnona i tego rodzaju wyobrażenia chętnie umieszczano na nagrobkach. Poza tym widzimy ją na wozie, gdy różanymi palcami otwiera wrota dnia; albo pod postacią nimfy, w wieńcu kwiatów, w ręce trzyma pochodnię i róże sieje po ziemi.

Selene (Luna)

"Selene ma skrzydła przestronne, a blask, który rozsiewa po niebie, rodzi się z jej głowy nieśmiertelnej i ogarnia całą ziemię. Poświętą swoją ozdabia wszystkie rzeczy, a jej złota korona rozświetla ciemne powietrze. W połowie miesiąca boska Selene kąpie się w Oceanie i, ubrana w szaty świetliste, zaprzęga jasne rumaki do wozu, z którego lecą dalekie promienie. Wtedy moc jej największa, a jej światło staje się wróżbą dla ludzi". Tak śpiewa o tej bogini jeden z hymnów greckich. Lecz powszechnie uważano Artemidę za boginię księżyca, stąd kult Selene należał do rzadkości. W pewnych tylko miejscowościach oddawano jej cześć w przekonaniu, że zsyła rosę, która w porze posuchy jest wybawicielką urodzajów. Podania o niej były skąpe. Najbardziej znany jest mit o Endymionie.

Był to pasterz tak piękny, że Dzeus, nie chcąc, żeby zmarszczki zeszcpecły czystość jego rysów, dał mu wieczną młodość. I jeszcze jedną

rzecz dziwną: sen nieprzespany. Endymion spał w grocie góry Latmos, nie budząc się nigdy, podobny do białego posągu z marmuru. Pewnej nocy Selene, jadąc po niebie, ujrzała śpiącego Endymiona. Pokochała go i odtąd ilekroć wyjeżdża na swym srebrnym wozie, zatrzymuje się nad grota latmijską i długo patrzy w oblicze pasterza. Mówią, że nieraz, w porze kiedy śpiewają słowiki — schodzi na ziemię i gładząc złote włosy młodzieńca szepce nad nim zaklęcia, które go jednak obudzić nie mogą.

Iris

Iris była pokojówką Hery. Pomagała królowej niebios przy nocnej i rannej toalecie i ścieliła jej łóżko. Sama nie kładła się nigdy. Nie zdejmując trzewików i nie rozwiązując pasa drzemała gdziekolwiek bądź, czujna na każde wołanie. Miała szerokie skrzydła i latała nawet prędzej od Hermesa. Posyłano ją nieraz na ziemię i wówczas wyglądała tak, jak ją opisał Słowacki w *Królu Duchu*:

*...Irys, którą na świat znosi szklanny
Obłok... a tęcze świecące nad niwą
Tyle kolorów i słońc tyle mają,
Że ją nad ziemią na światłach trzymają...*

Iris jako bogini tęczy rozpiniała ów cudny łuk siedmiobarwny, co ziemię łączy z niebem.

Dziwy niebieskie

Gdy Grek spojrział na niebo wyiskrzone gwiazdami, jeśli nie był uczonym, nie myślał o astronomii, lecz widział wiele rzeczy dziwnych: historie bogów i bohaterów, wyhaftowane tymi migotliwymi światełkami, które Noc, milcząca bogini, wysypuje z zanadru swjej czarnej szaty. Gwiazdy bowiem były pochodzenia boskiego. Przysięgano na nie i wzywano je na świadectwo w ważnych sporach. Każda gwiazda była

niegdyś bożkiem lub boginką — śliczne potomstwo jednego z tytanów, Astrajosa. Lecz zbuntowawszy się przeciw Dzeusowi uległy te bóstwa przeraźliwej mocy jego piorunów i zdruzgotane rozsypały się po firmamencie pyłem świetlistym. Liczba gwiazd wzrastała, gdyż wola bogów umieszczała w ich gronie rozmaitych bohaterów, nimfy, a nawet przedmioty martwe.

Oto Wielka Niedźwiedzica. Za życia była piękną królową i mieszkała w Arkadii, a nazywała się Kallisto. Artemida kochała ją bardzo i przyjęła do swego orszaku. Ale dziewczyna nadużyła zaufania czystej bogini i potajemnie widywała się z Dzeusem. Gdy Artemida o tym się dowiedziała, zamieniła ją w niedźwiedzicę. Dzeus nie mógł znieść żalostnego widoku swej kochanki, która teraz, pokryta grubym futrem, chodziła na czterech łapach i pomrukiwała dziko. Zabrał ją więc do nieba, gdzie błyszczą siedmiu jasnymi gwiazdami.

Nie opodal jest konstelacja Małej Niedźwiedzicy, którą Grecy nazywali Kynosura. Była to jedna z piastunek Dzeusa. Gdy skończył się bieg jej życia, wdzięczny wychowanek przeniósł ją na sklepienie niebieskie. Trwa zawsze na jednym miejscu i jako Gwiazda Polarna żeglarzom wskazuje drogę. Między tymi dwiema konstelacjami wije się Smok do wielkiej rzeki podobny, a w otwartej paszczy jarzy się jedna gwiazda biała. Na ziemi pilnował ogrodu Hesperyd, póki go Herakles nie zabił. Męka jego nigdy się nie kończy, albowiem przy nim widać klęczącego olbrzyma, który go dusi.

Tuż obok jaśnieje Wieniec z dziewięciu gwiazd uwity. Zdobitł niegdyś głowę jasnowłosej Ariadny, królowny kreteńskiej. Jak wiadomo, poślubił ją Dionizos, a w dzień wesela zdjął jej wieniec i na niebie zawiesił.

Nieco z dala stoi Panna z kłosem w dłoni. Póki na ziemi panowały spokój, miłość i zgoda, nie gardziła niebiańska dziewica towarzystwem ludzi śmiertelnych. Nazywano ją Sprawiedliwością. Kiedy po złotym wieku nastał srebrny, rzadziej widywano ją wśród mieszkań ludzkich. Czasem, wieczorami, schodziła z gór i przypominała nowemu pokoleniu cnotę minionej epoki. Skoro jednak z nadejściem wieku żelaznego serca ludzkie stały się złe i nielitościwe, Dziewica weszła na niebo, aby już nigdy nie

wrócić.

Dwie jasne gwiazdy, blisko siebie świecące — to Kastor i Polideukes, dwaj bliźni bracia, którzy tak się kochali, że i po śmierci chcieli być zawsze razem. Kasjopea rozkrzyżowała ręce jakby w rozpacz o córkę Andromedę, która tuż obok świeci jasno, jak wówczas, kiedy przykuta do ciemnej skały leżała nad brzegiem morza czekając w trwodze na smoka, co ją miał pożreć. Nad nią pomyka w przestrzeni wszechświata koń skrzydlaty, Pegaz, a świetlany bohater Perseusz biegnie na ratunek Andromedy.

W przeciwną stronę kroczy wielki łowca Orion. Był to mąż cudnej urody i tak olbrzymiej postawy, że stąpając po dnie morza, miał głowę ponad falami. Mówią, że na jego widok serce Artemidy, nie znające drgnień miłosnych, zadrżało. Dziewicza bogini myślała nawet o małżeństwie. Ale Skorpion pozbawił go życia. (O, patrzcie, tam spod liści wieńca Ariadny wystaje zdradzieckie żądło Skorpiona!) Orion i wśród gwiazd nie zapomniał łowów. Z podniesionym oszczepem, cały nagi, z cudną gwiazdzistą przepaską dokoła bioder, goni Zająca, który mu spod nóg umyka. Za nim biegnie jego wierny Pies, w którego pysku gore jedna z najwspanialszych gwiazd, Syriusz.

Zebrane w gromadkę siedmiu gwiazd trzymają się razem Plejady, córki Atlasa. Wszystkie były żonami bogów, wszystkie urodziły sławnych synów, a po chwalebnym życiu przeszły na sklepienie niebieskie, gdzie swoim zjawieniem się w maju zapowiadają wiosnę i czas bezpiecznej żeglugi. Patrzyła na nie poetka grecka Safona w pewną noc bezsenną, która wiecznie trwa w jej wierszu:

Zaszedł księżyc i zaszły Plejady

Już północ...

Na sklepieniu niebieskim zebrano wszystko, co było kiedyś drogie bogom lub herosom. Lutnia, którą Hermes sporządził ze skorupy żółwia; Strzała, którą wypuścił z łuku malutki Apollo; Orzeł, który porwał Ganimesesa; Delfin, ów Delfin przemyślny, który namówił oporną Amfitrytę, aby została żoną Posejdona; nawet Osły, których krzyk przeraził gigantów, gdy wpadły między szeregi walczących niosąc Dionizosa i satyrów. A tam daleko, po cichych przestworzach żegluguje okręt Argo, który wioził Jazona na wyprawę po

złote runo.

Oto co widział Grek, ile razy leżąc w miękkiej trawie, w noc wiosenną, gdy świdwy trzęsły się od śpiewu słowików, patrzył na rozgwieżdżone niebo. Z zapartym tchem śledził zawikłane historie bogów, które fantazja jego przodków wypisała na nieobjętym obszarze nocy.

Wiatry

Mówiono, że wiatry są boskiego pochodzenia, lecz nie wszyscy byli zgodni w podaniach o ich rodzie i miejscu zamieszkania.

Boreasz, Notos, Zefir i Euros, bogowie czterech głównych wiatrów: północnego, południowego, wschodniego i zachodniego — uchodzili za synów Astrajosa i bogini jutrzeńki Eos. Natomiast groźne wichury, wyobrażone pod postacią harpij, potworów o głowie kobiecej i ciele drapieżnego ptaka — były dziećmi Taumasa i Elektry; a te najgorsze, nawałnice, cyklony, trąby powietrzne kręcące statkiem na morzu, póki go nie roztrzaskają o skały przybrzeżne — to potomstwo Tyfona, którego ongi Dzeus w strasznej walce pokonał.

Najczęściej za ojczyznę wiatrów uważano Trację, kraj dzikich gór pokrytych śniegami. Tam przede wszystkim Boreasz ma swój pałac podniebny, a w jego sąsiedztwie po różnych pieczarach mieszkają inne wiatry. Boreasz jest z nich najsilniejszy i najbardziej groźny. Z przeraźliwym wrzaskiem rzuca się na morze, wzdyma fale, rozbija je w białą pianę, niesie burze i mroz, co rzeki lodem ścina.

Zefir, który przychodzi ze wschodu, jest najbardziej łagodny. Od morza idzie jego wilgotne tchnienie i on jest zwiastunem wiosny. Ożywiający chłód niesie wśród lata i z jego pomocą rosną drzewa i kwiaty rozkwitają. Zlatuje na swych skrzydłach delikatnych bez szmeru prawie i przesuwają się nad ziemią, jakby ją całował muśnięciem swych ciepłych warg.

Z *Odysei* Homera poszła inna jeszcze powieść o wiatrach. Istniała mianowicie jakaś kraina baśniowa, Eolia, której starożytni szukali na jednej z Wysp Liparyjskich, na północ od Sycylii. Eolia była wyspą pływającą,

której wokół strzegły wały spiżowe. Na niej mieszkał Eol (Aiolos), uciążliwy przyjaciel bogów, król wiatrów. Miał on dzieci dwanaścioro: sześć córek i sześciu synów. Pożenił ich ze sobą, aby się z nimi nie rozstawać. Żyli tedy w "wonnym gmachach", w dostatku i szczęściu. Dzeus oddał mu pod straż wszystkie wiatry: raz je ucisza, to znów dąć im każe. Musi jednak wciąż czuwać nad nimi, bo inaczej wyrwawszy się z więzów mogłyby ziemię i niebo przewrócić do góry nogami.

Kult wiatrów był rozpowszechniony, zwłaszcza wśród rolników i żeglarzy. Składano im w ofierze koguty, czarne barany, budowano świątynki, kaplice, najchętniej nad brzegiem morza. W sztuce, zwłaszcza w płaskorzeźbach i malowidłach, przedstawiano bądź poszczególne postaci, bądź mity, które się łączyły z bogami wiatrów. Najslawniejszym pomnikiem jest ośmioboczna Wieża Wiatrów w Atenach, ozdobiona fryzem z wyobrażeniem ośmiu wiatrów. W tym budynku mieściło się horologium — zegar wodny, wskazujący dokładny czas. Od Wieży Wiatrów biegnie dziś w Atenach ruchliwa i malownicza ulica Eola.

BOGOWIE ZIEMSCY

Hestia (Westa)

Najświętszym miejscem w każdym domu greckim było ognisko. W czasach najdawniejszych stało ono w głównej świetlicy, w megaronie, między czterema słupami, a dym uchodził przez otwór w pułapie. Każdy przybysz, gość lub zbieg, o ile nie był pewny dobrego przyjęcia, chwycił się brzegu ogniska i to wystarczało, aby go uważano odtąd za stojącego pod opieką bogów. Nie wolno go było zabić ni w jakikolwiek sposób skrzywdzić: był bezpieczny, jakby się znajdował w świątyni.

Tę tak zwyczajną kupę cegieł, kamieni i zardzewiałych rusztów zmieniała w dostojny ołtarz obecność bóstwa. Opiekunką tej świątyni domowej była Hestia, najstarsza córka Kronosa i Rei, siostra Dzeusa i Hery. Ślubowała dziewictwo i nie miała własnej rodziny, ona, co stała na straży wszystkich innych rodzin. Była jakby uosobieniem gospodyni domu: przyjmowała pannę młodą i wprowadzała ją do nowej zagrody. Gdy bowiem młoda małżonka wkraczała w progi męża, szła na przedzie jej matka, niosąc w ręce pochodnię zapaloną przy własnym ognisku domowym i tą pochodnią rozniecała zarzewie na ognisku córki i zięcia.

Gospodynie domu miały szczególne nabożeństwo do swej patronki. Przez całe życie oczekiwały od niej wszelkich dobrodziejstw, a umierając zlecały jej opiece swoje sieroty. Tak zaś wielkie i ogólne było poszanowanie tej dobroczynnej bogini, że we wszystkich modlitwach jej imię kładziono na pierwszym miejscu. Ilekroć kto wyjeżdżał z domu, prosił Hestię, żeby mu dała wrócić szczęśliwie do progów rodzinnych; gdy wracał, witał ją modlitwą dziękczynną. W piąty dzień po narodzeniu dziecka obnoszono je dokoła ogniska, oddając w opiekę Hestii, a była to doniosła uroczystość, połączona z nadaniem imienia.

W oczach starożytnych gmina, miasto lub państwo były tylko rozszerzoną rodziną, przeto wszystkie te zrzeczenia społeczne miały również swe ogniska święte. Niejednokrotnie był to "ogień wieczny", który

wciąż podsycano, aby nigdy nie zagasł. Płonął on w jednym z budynków publicznych, zwykle w ratuszu, a kapłanami Hestii byli najwyżsi urzędnicy. Gdy wysyłano kolonistów do założenia nowych siedzib na dalekich wybrzeżach, dawano im żagiew zapaloną u ogniska Hestii w rodzinnym mieście, aby ten sam płomień ogrzewał ich i na obczyźnie, aby ci sami bogowie opiekowali się nimi i pod obcym niebem.

Hestia nie potrzebowała świątyń ani ołtarzy. Świątynią jej był każdy dom, ołtarzem każde ognisko domowe. Gdy spośród suchych gałęzi strzelał jasny płomień, był on zarazem jakby wizerunkiem samej bogini. Dlatego posągi jej są bardzo rzadkie. Przedstawiana bywa jako poważna niewiasta, w postawie siedzącej lub stojącej, w szatach matrony, zawsze spokojna, o łagodnym spojrzeniu.

Demeter (Ceres)

W poszarpanej szacie, z rozwiązanymi włosami, pełnymi prochu i popiołu, idzie żałobna i smutna starożytna mater dolorosa — Demeter. Wyschły w jej ręku kłosa zboża i zwiędł czerwony kwiat maku. Przymglone oczy, w których już łez nie ma, wloką się z przedmiotu na przedmiot, zawiedzione i bezradne. Matka szuka zaginionej córki.

Oto zostawiła ją na łące, nad brzegiem Oceanu, bawiącą się z nimfami. Odchodząc zabroniła jej zbierać narcyzów, kwiatów zwodniczych, poświęconych bóstwom podziemnym. Persefona była posłuszna. Zrywała tulipany, dzwigające na krępej łodyżce kielich żółty lub purpurowy, hiacynty, w których pachnie dusza pięknego młodzieńca, i ciche, dobre fiołki, i niebieskie oczka niezapominajek, a z daleka omijała narcyzy, albowiem — jak mówiła matka — w ich białych płatkach śpi pragnienie, a ich woń odwraca myśli od nieba. Wtem ziemia wydała kwiat, jakiego słońce nigdy nie widziało. Z jednego korzenia wyrastało sto głów, rozgorzałych złotem przykoronków, a karbowane brzegi białych płatków płonęły jasnym szkarłatem. Cudowna woń napełniła niebo, ziemię, przeniknęła do słonej głębinie morza, aż wszystkie nereidy podniosły się ze swych szmaragdowych łóżek i zawołały: "Ach!"

Persefona obejrzała się wokoło, czy jej nikt nie widzi, i prędko zerwała kwiat. Upiła

się jego zapachem, oczy jej zaszyły mgłą i ciemność ogarnęła duszę. Wtedy rozwarła się ziemia i Hades, bóg piekieł, porwał Persefonę na wozie zaprzężonym w czarne rumaki. Gdy się ocknęła, wołała, krzyczała. Żaden bóg nie słyszał jej głosu, żadna z nimf, z którymi bawiła się na łące, nie nadbiegła z pomocą. Tylko mała Kiane, rusalka wodna, rozłożyła słabiutkie ręce, chcąc zagrozić drogę gwałcicielowi. Ale czarne rumaki przeleciały nad nią, boginka zalała się łzami i rozplynęła w strumień. Otoczeni chmurą pędzili ze świstem huraganu ponad ziemią i morzem. Z oczu Persefony znikły znajome wybrzeża, wysypały się kwiaty z jej trzcinowego koszyka, wreszcie otwarła się czeluść Tartaru.

Na próżno matka pytała o nią każdego przechodnia. Ani bóg, ani człowiek, ani ptak żaden nie podał jej wieści o córce. Błądziła po wszystkich łąkach i morzach. Nocą zapalała pochodnię i przy jej czerwonym blasku przeszukiwała załomy skał, uroczyiska leśne, zakamarki starych świątyń, dziuple drzew spróchniałych. Przez dziewięć dni i dziewięć nocy szukała Persefony i nie było na ziemi kąta, do którego zajrzałyby rozpacz matki.

Na koniec, utrudzona i bezradna, przywlokła się do Eleuzis nad Zatoką Salamińską i usiadła przy Dziewiczej Krynicy. Kamień, na którym spoczęła, nazwano Skałą Smutku, a źródło Piękmem, albowiem jej łzy były jak perły. Właśnie w tym czasie szły po wodę do krynicy córki króla Keleosa. Spostrzegły biedną staruszkę w łachmanach, mówiły do niej "matko", nie wiedząc, jak bardzo ranią jej serce. Pocieszały ją, jak mogły i prosiły, by poszła z nimi. Zgodziła się mówiąc: "Mogę być pożyteczna w domu. Znam się na robotach kobiecych i umiem ścielić łóżka dla państwa. Znam dużo ładnych bajek i potrafię pieścić małe dzieci". Królowny ucieszyły się, albowiem właśnie urodził się im braciszek.

Gdy Demeter stanęła na progu, wydała się królowej Metanirze majestatyczna i dostojna. Królowa podbiegła do nieznajomej i prosiła, by usiadła. Demeter uczyniła według jej życzenia i w tej siedzącej postawie znów wyglądała na jedną z tych staruszek, co w pałacach królów bawią dzieci lub prowadzą gospodarstwo. Kobiety jej nie poznały, gdyż trudno śmiertelnym rozeznąć boga. Widząc jej smutek zaczęły ją bawić żartami. W końcu uśmiechnęła się, przemówiła i wzięła jadło, które jej podano.

Z wdzięczności za gościnę Demeter zajęła się wychowaniem najmłodszego z królewiczów, dziecka wątłego i chorowitego. Chcąc je uczynić nieśmiertelnym, brała w nocy niemowlę z kołyski i kładła w ogień, aby płomień strawił w nim wszystko, co ziemskie i zniszczalne. Metanira zobaczyła to raz przez szparę w drzwiach i wpadła z krzykiem do pokoju,

sądząc, że obca niewiasta chce spalić jej syna. Dziecko wymknęło się z rąk Demetry i umarło w płomieniach. W tej chwili świetlica napełniła się wonią jakby zbóż, owoców z sadu i wszystkich kwiatów ziemi. Z łachmanów starej kobiety wyrosła piękność niebiańska. Złote włosy, podobne kłosom dojrzałej pszenicy, rozjaśniły dom niby błyskawicami. Metanira przypadła do jej nóg poznając wielką boginię. Zanim odeszła, ofiarowała Demeter królewiczowi Tryptolemosowi ziarna zbóż i wóz zaprzężony w skrzydlate rumaki i kazała mu przelecieć ziemię od końca do końca i rozsiewać życiodajne ziarno, gdy skończą się dni posuchy.

Pani urodzajów okryła pola żałobą. Przeklęta "łanów zieloną chwałą" i zasiewy zmarniały, i trzody nie miały świeżej karmy, i ludzi nawiedził głód. W żarnej spiekocie wyschły rzeki i krynice, a z opustoszałych ołtarzy nie wznosił się ku bogom dym ofiar. Trzeba było przebłagać Demetrę. A ona właśnie dowiedziała się całej prawdy od wszystkowiedzącego Słońca i zagniewana na bogów ukryła się tak, że nikt jej znaleźć nie mógł. Dopiero Hermes odszukał ją w zapadłej pieczarze gór arkadyjskich, gdzie osiadła, z dala od świata, sama jedna ze swoją żałobą. Dzeus wysłał do niej muzy i charyty, najmiłsze i najwymowniejsze boginki — nie słuchała, co mówiły. Wtedy nakazał bratu Hadesowi zwrócić porwaną Persefonę. Król piekieł spełnił zlecenie, lecz rozstając się z Persefoną, podał jej jabłko granatu, a ona zjadła kilka ziarenek nie wiedząc, że ta odrobina wiąże ją na zawsze z państwem cieniów. Odtąd corocznie, na przeciąg trzech miesięcy, musiała wracać do męża.

Gdy Persefona wychodziła z podziemia, świat miał się wszystkimi kwiatami wiosny, tak wielka była radość Demetry. Ale równie wielka była boleść przy każdym rozstaniu. Żegnały się, jakby się już nigdy więcej nie miały zobaczyć. Jedną z najpiękniejszych scen *Nocy listopadowej* Wyspiańskiego jest takie jesienne pożegnanie matki z córką. Demeter mówi:

*O córo, żegnaj ukochana,
matczyne serce pogardzone;
już mnie nie trefić twoich włosów,*

*ostatni raz tve plotłam kosy;
już mnie nie stroić tobie szatki,
już idziesz precz od matki...*

I wówczas, jak w owe pierwsze dni żałoby, Demeter odchodzi od pól i ogrodów i wszystko zamiera:

*Porwano oto pełne życie
w pełni świeżości kras
i uwiedziono w noc i grób,
i uwiedziono na rozdroża i łęgi zapadłe.
Patrzajcie, krzywda się stała:
Oto wszystko widzicie umarłe,
powiędłe i zgaśłe, i zbladłe;
Ziemia się stała jak trup;
drzewa obnażone z szat,
zdeptany owoc i kwiat...*

Zima. A gdy przeminie, wraca Persefona do matki, niosąc ze sobą nową wiosnę. W tej legendzie zawiera się całe życie ziemi, jej rozkwit i uwiąd, ból i radość matki — albowiem ziemia jest "matką".

W ostatni dzień przed swoim odejściem z Eleuzis Demeter zebrała dokoła siebie rodzinę królewską i usiadłszy na wzgórzu objawiła obecnym święte tajemnice. Na tym miejscu później zbudowano świątynię Demetry, gdzie corocznie odprawiały się wielkie misteria. W złociste dni wrześniowe szły pochody z Aten do Eleuzis. Kapłani, urzędnicy, obywatele, niewolnicy i cudzoziemcy postępowali za wozem wiozącym w koszach jakieś tajemnicze świętości, odwieczne wizerunki i symbole bóstw o kształtach dziwnych i strasznych. Po długich postach i wstrzemięźliwości przystępowano do obrzędów, w których mogli brać udział tylko wtajemniczeni. Dla nich otwierały się w końcu wrota telesterionu, wielkiej sali, jakby teatralnej, otoczonej z trzech stron rzędami siedzeń, kutymi w żywej skale.

Przedstawiano dramat święty, który składał się ze "stacyj" męki

Demetry. Przy dźwiękach muzyki śpiewał chór nimf, demonów, cieni zmarłych i dusz błogosławionych.

Widziało się rozpacz bogini i jej próżne poszukiwania. Persefona w wieńcu z narcyzów siedziała na tronie obok Hadesa, pośród duchów piekielnych, trzymając w dłoni pęk maków. Na koniec wracając do matki córkę witała radość istot niebieskich. Wstrząsające widowisko potęgował mrok świątyni, którą rozjaśniało na krótko jaskrawe światło otaczające posąg Demetry, odświętnie przybrany, po czym znów zapadała ciemność i pod sklepieniem pojawiały się nietrwałe błyski, aby oświecić jakieś widma lub potwory. Ciszę przerywały nagłe gromy. Aż w końcu, wśród nieprzerwanego milczenia, otwierały się wysokie podwoje i przy blasku pochodni odsłaniał się w głębi rozkoszny sad, pełen drzew, kwiatów i woni. Kapłan dyktował święte statuty, objawiał dzieje powstania świata i ukazywał wtajemniczonym a sprawiedliwym lepszy los na tamtym świecie, właśnie w takiej krainie szczęśliwości, gdzie ciągną się nieskończone płąsy i przechadzki po łąkach kwiecistych, których powietrze rzeźwi łagodny wiatr, kochanek srebrnej topoli.*

Demeter — to bogini jedna z najczcigodniejszych. Jej imię oznacza: "gleba-matka", a ona sama jest uosobieniem tej urodzajnej warstwy ziemi, w którą człowiek składa ziarna. Bóstwo, ze wszech miar dobroczynne, dało ludziom oprócz zbóż drzewo figowe, kwiat maku, a w okolicach suchych i skalistych otwierało źródła. Demeter opiekowała się osadami rolników, ich życiem i obyczajem. Na wiosnę, kiedy rodzą się jagnięta, Demeter przebywała na polach, jesienią chodziła dokoła stodół jako dobry duch snopów; jej obecność odczuwały gospodynie, gdy wsadzały do pieca pierwszy chleb z nowego plonu.

Ale ta patronka bytu rolniczego czuwała i nad innymi sprawami. Jej imienia wzywano przy zawieraniu układów, a urzędnicy i sędziowie, obejmując swe stanowiska, składali przysięgę Demetrze, iż przestrzegać będą praw pisanych i zwyczajowych.

W Arkadii istniał prastary wizerunek Demetry z głową końską; trzymała w jednej ręce gołębia, w drugiej delfina. Albowiem ta odwieczna bogini w wyobrażeniu najdawniejszych mieszkańców Grecji była stworzycielką i ptaków, i ryb, boginią całej żyjącej przyrody. A gdy Grek wymawiał słowo "przyroda", nie tylko widział wówczas pola i łąki, lasy

* Zob. Jan Parandowski: *Dwie wiosny*, rozdział pt. "Droga mistyczna".

pełne zwierząt i wody pełne ryb, ale też niemal oczywiście odczuwał tę moc twórczą, która tkwi w ziemi i w wodzie i sprawia, że wszystko, co dookoła widzimy, żyje i wciąż się odradza. A więc Demeter była boginią życia, jak znów Persefona (zwana często: Korą, "córka") boginią śmierci.

Atrybutami Demetry i Persefony są kłosa i maki, narcyz i jabłko granatu. Zazwyczaj składano im w ofierze krowę lub maciorę. Wyobrażana była Demeter jako poważna bogini o oczach pełnych zadumy; na głowie ma wieniec z kłosów, a w ręce trzyma pochodnię; powłóczysta szata opada jej do stóp.

Dionizos (Bachus)

Pewnego dnia, za panowania króla Penteusa, mieszkańcy Teb zobaczyli na swoich polach dziwny orszak.

Na przedzie szły parami osły uginające się pod ciężarem miechów skórzanych, w których słychać było bulgotanie wina. Otaczała je zgraja dziwnych istot z różkami na głowie i małym figlarnym ogonkiem poniżej pleców. Jedni z nich byli brodaci, drudzy o gładkich policzkach. Wszyscy mieli nogi kosmate, zakończone rozszczepionymi kopytkami. Kłócili się, krzyczeli, potracali się wzajemnie, rozdając sobie mocne kuksańce. Co chwila któryś z nich przybiegał do bukłaków niesionych przez osły i odlewał sobie złocistego wina w dwuuszny puchar.

Za nimi jechał na ośle łysy starzec o tłustym, obwisłym brzuchu, podobny z wejrzenia do tamtych. Był przywiązany do osła girlandami kwiatów. Ledwo się trzymał staruszek, a pił dalej i wciąż mu jeszcze dolewano. Prowadził sam z sobą jakieś nieskończone rozmowy. Niewyraźne, bez związku słowa ocierały się o jego grube, mięsiste wargi. Dokoła uwijały się roje małych i dużych istot o nóżkach kosmatych. Szumiał nad nimi śmiech jak chrzęst leśnego potoku spadającego wśród kamieni i wykrotów.

Grały fletnie, bębny, cymbały. Dziewczęta i młode kobiety rozhukaną cizbą tłoczyły się, to znów rozbiegały ze śmiechem szalonym, krzykiem i

śpiewaniem. Strojne były w powój, gałęzie dębu i jodły, umajone bluszczem. Na białe odzienie z wełny narzuciły pstre skóry zwierzęce: jelonka, lamparta lub pantery. Niektóre otoczyły szyję splotami fig purpurowych. Nad głowami wywijały zielonymi prętami z zatkniętą u góry szyszką (tyrsami). Jedne tańczyły w biegu jakiś płas o nieuchwytnym rytmie, inne trzymały w rękach kawałki rozdartych żywcem zwierząt, owijały swe szyje dymiącymi trzewiami, chłeptały gorącą krew, która spływała im po policzkach i bryzgała na szaty. Włosy na wiatr puszczzone zwisały nad głowami chmurą czarną lub złotą. Co chwila któraś z nich wznosząc tyrs wołała: Eue! Bez ustanku grały bębny i cymbały. Od czasu do czasu, gdy opadały z nich mdlejące dłonie, wśród nagłej ciszy dobywały się śmieiej słodkie jak miód tony frygijskich fletni.

Szeregi dziewcząt rzedniały. Za nimi wysunęły się najpierw dwie pantery, całe ubrane białymi różami, potem szły łagodnie dwa lamparty w girlandach z róż czerwonych, a na końcu dwa lwy w ozdobie kwiatów rozmaitych. Ten potrójny zaprząg ciągnął złocisty rydwan. Na purpurowych poduszkach leżał prawie nagi młodzieniec dziwnej urody. Oczy miał łagodne jak leśne fiołki. Usta miał czerwone jak pęknięte jabłko granatu. Włosy miękkie, połyskujące złotem, spadały mu na ramiona.

Ani król Penteus, ani nikt z jego otoczenia, ani nikt z całego ludu tebańskiego nie wiedział, co znaczy ten orszak ni kto jest ów młodzieniec leżący na purpurowych poduszkach. Dopiero pewien stary wieszcz tak rzecz objaśnił:

“To jest bóg Dionizos i z naszej on ziemi pochodzi. Matką jego była Semele, córka króla Kadmosa, a ojcem Dzeus. Semele prosiła najwyższego boga, by się jej ukazał w całym majestacie gromowładcy. Dzeus spełnił jej życzenie, ale oczy śmiertelnej kobiety nie mogły znieść blasku i grozy pana ognistego i Semele spłonęła wydając przedwcześnie na świat małego Dionizosa. Dzeus oddał niemowlę na wyżywienie nimfom góry Nysy, która leży w Arabii Szczęśliwej. Milutkiego chłopca muzy uczyły śpiewu i tańca, a mistrzem jego był Sylen, ten gruby staruszek, który jedzie na ośle; jest to mądry bożek leśny, co zna wiele tajemnic, zakrytych przed oczyma ludzi.

Dionizos był jeszcze pacholęciem, gdy wybuchła wojna z gigantami. Brał w niej udział pod postacią lwa i bardzo dzielnie stawał. A w kilka lat

później zdarzyła mu się taka przygoda: stał nad brzegiem morza, ubrany w piękną, powłóczystą szatę z purpury. Właśnie przepływał statek piracki. Rozbójnicy wzięli pięknego młodzieńca za jakiegoś królewicza i porwali go spodziewając się wielkiego wykupu. Gdy go związali, kajdany wnet same opadły. Sternik widząc, że musi to być jakiś bóg, namawiał towarzyszy, aby jeńca wypuścili na wolność. Ci jednak śmiali się ze starego. Wtedy maszt zakwitł winną latoroślą, a na miejscu, gdzie stał młodzieniec w purpurze, zjawił się lew, który rzucił się na bandę rozbójników. Przerażeni wskoczyli do morza i zostali tam na zawsze, bo ich moc boża zmieniła w delfiny.

Dionizos pierwszy z bogów żył na ziemi, przenosząc jej góry, bory, morza, łąki nad złoty przepych Olimpu. Każde stworzenie przychodziło doń chętnie, gdyż był dobry i łagodny. Czarował drapieżne bestie i przenikając do głębi kniei wyprowadzał stamtąd duchy leśne, tych wszystkich kozłonogich satyrów, którzy mu służą i głoszą jego chwałę swą bujną wesołością. Wydobył z ziemi winną latorośl i uczył ludzi, jak się sadzi jej drzewka i jak delikatne jej gałązki przewija się między konarami wiązu. Chcąc dać wszystkim swój wynalazek zwędrował świat cały. Szedł przez Lidię o biało-kamiennych miastach, przez urodzajne pola frygijskie, przez rozpalone w słońcu równiny Persji, przez Medię, na której górach wieczny śnieg leży, przez Szczęśliwą Arabię i Azję, której bogate miasta kąpią się w morzu. W końcu na ostatnich rubieżach ziemi podbił Indie, kraj sennych dziwów. Mówią, że Egipcjan nauczył uprawy roli i bartnictwa. W wędrowce towarzyszyły mu bachantki i menady, ubrane w cętkowane skóry jelonków, i wywijając tyrsami śpiewały pieśni dzikie, szalone. Kozłonogie satyry i pany, syleny o końskim ogonie i centaury mające postać pół końską i pół ludzką cisnęły się gwarnym tłumem za jego rydwanem, bijąc w bębny i cymbały, grając na fletach i piszczałkach.

Teraz właśnie wraca ze Wschodu, krainy wszelkich cudów, i zaprowadza nowe obrzędy, które święcić należy nocą, po wąwozach gór, śpiewając na jego cześć pieśni wesołe. A kto mu nie ulegnie i kto w nim boga nie uzna, ten poniesie srogą karę.

Oto straszliwy przykład córek Minyasa. Były to trzy śliczne królewny, które umiały

cudnie wyszywać. Po całych dniach haftowały, tak że kilka największych komnat w pałacu zaległy od podłogi do sufitu stopy wyszywanych tkanin. Gdy przyszedł święta Bachusa, całe Orchomenos wysypało się na pola i lasy z krzykiem nabożnym. Tylko królowy zostały w domu, przy swojej robocie, mówiąc, że gardzą tymi dzikimi obrzędami. Nagle, już późną nocą, świetlicę napełnił dziwny hałas, jakby cymbałów, trąb i fletów. Powietrze przeniknęła woń mirry i szafranu. Tkanina, którą siostry wyszywały, pokryła się zielenią. Z krosien wyrosły latorośle winnej macicy. Światła pogasły, po pokoju przelatowały zapalone pochodnie, z ciemnych kątów ozwał się ryk dzikich zwierząt, pałac zakołysał się i zadrżał w posadach, jakby miał runąć. Strwożone królowy chciały uciekać, gdy wtem ich ciała skurczyły się, a biała skóra zamieniła się w ciemną błonę. Przemienione w nietoperze, unikają odtąd światłości dziennej i nocą latają wokół domów".

Tak mówił mądry wieszczek, a cały lud tebański słuchał w skupieniu. Lecz król Penteus zgromił go i zapowiedział, że w swym państwie nie pozwoli na święcenie hałaśliwych uroczystości, które zakłócają porządek publiczny, i że bóg pijaków nie jest żadnym bogiem. Słyszając jawne bluźnierstwo, wszyscy go opuścili i przyłączyli się do orszaku Dionizosa. Wówczas sam poszedł na góry kitajrońskie, gdzie słyhać było śpiewy nocne, aby swą powagą królewską położyć kres wyuzdanej zabawie. Lecz bachantki, wśród których znajdowała się jego matka Agaue, rzuciły się na Penteusą i rozszarpały go w kawałki.

Dionizos wyobraża nie tylko dobroczynnego ducha wina, ale niejako duszę wszystkiego, co żyje. Rządzi rodzeniem, śmiercią i zmartwychwstaniem i objawia się w bujnej przyrodzie wiosny. Od niego pochodzą trzy tajemnicze panny: Ojno, Spermo, Elais, które posiadają cudowny dar przemieniania wszelkich rzeczy na wino, ziarno i oliwę. Dionizos sam stwarza z niczego mleko i miód, a pod uderzeniem jego laski ze skał wytryska woda. Cała twórcza potęga ziemi tkwi w tym krewniaku Demetry — na równi z nią jest roz-dawcą ukrytego zdrowia ziemi i wszystkich jej bogactw.

Wierzono, iż bóg śpi w zimie, a budzi się na wiosnę, i obchodzono uroczyste ten jego sen i przebudzenie. W Elis i w Argos niewiasty wczesną wiosną wywoływały go z morza śpiewaniem hymnów, a w Delfach, gdzie jego kult był prastary, istniała piękna ceremonia mistycznego zmartwychwstania. Corocznie, około zimowego przesilenia, gdy zaczyna dnia przybywać — kapłanki zbierały się nocą w świątyni, w której był "grób

Dionizosa", z pochodniami w ręku otaczały jego ołtarz, śpiewały i tańczyły, budząc w ten sposób boga ze snu zimowego. Zdaje się, że pojmowano to jako "boże narodzenie", albowiem jednocześnie kapłanki huśtały w świętych jasłach jakiś symboliczny obraz.

Zresztą w całej Grecji Dionizos był szczególnie czczony w okresie zimowego przesilenia. Grudniowe święta obchodzono w nocy. Kobiety z zapalonymi pochodniami, wśród śpiewów, biegały po wąwozach górskich. Obrzędy te nazywano orgiami, od słowa greckiego orgé — podniecenie. Szalone tańce, dzikie okrzyki i ogłuszająca muzyka wytwarzały ekstazę, zapamiętanie religijne, uważane za duchowe połączenie się z bóstwem. Zdawało się ludziom biorącym udział w tych świętych orgiach, że dusze ich opuszczają ciało, że sam bóg w nie wchodzi, że stają się "pełni boga". To poczucie odrębności ciała i ducha prowadziło do wiary w nieśmiertelność duszy, która jest częścią człowieka niezniszczalną i po śmierci ciała przechodzi w nowe kształty.

Do niedawna panowało przekonanie, że Dionizos był w Grecji zjawiskiem nowym, że przybył do niej gdzieś z Tracji czy Frygii (Azja Mniejsza), dziś jednak, po odcyfrowaniu tabliczek glinianych z epoki mykeńskiej (XV—XIII w. p.n.e.), ten pogląd uległ zmianie. Na tych tabliczkach, o sześć wieków starszych od Homera, pojawia się imię Dionizosa wśród innych znanych bogów — Dzeusa, Hery, Ateny, Apollina — co dowodzi, że nie był on późnym przybyszem. Może jednak podania o Penteusie i córkach Minyasa przechowały pamięć czasów, kiedy sprzeciwiano się wprowadzaniu szalonych obrzędów dionizyjskich, może ten sprzeciw zrodził się w kołach arystokracji rycerskiej w momencie, kiedy pod obcym wpływem dawny bóg zmienił swój charakter — nie widzimy bowiem, żeby od początku, w dobie mykeńskiej, był bogiem winnic.

Tragik ateński Eurypides tak go słał: "Dionizos jest bogiem rozkoszy. Panuje pośród uczt i wieńców kwiatnych. Dźwiękiem swojej fujarki roznieca tańce wesole. Z niego rodzą się śmiechy szalone i on rozprasza czarne troski. Jego nektar płynąc na stołach bogów zwiększa ich szczęście, a ludzie czerpią z jego radosnej czary sen i zapomnienie". Wielkiej czci doznawał w Atenach, gdzie pod jego wezwaniem odbywały się

cztery ważne święta: Małe (czyli wiejskie) Dionizje jesienią — święto winobrania; Lenaje w styczniu — święto wytłaczania wina; Antesterie z końcem lutego — święto otwierania beczek z młodym winem, które wówczas próbowano. Wielkie (czyli miejskie) Dionizje w końcu marca i z początkiem kwietnia.

Te ostatnie były najokazalsze. Wypadały w porze, kiedy na krótki czas twarda i sucha ziemia attycka, zwilżona wiosennymi wodami, zieleni się i zakwita. W pierwszy dzień świąt, po złożeniu ofiary, śpiewano uroczystą pieśń, zwaną dytyrambem. Od rana do późnej nocy przeciągały ulicami gromady ludzi uwieńczonych bluszczem. Każdy niósł kubek albo dzban wina, przepijano do siebie, witano się świętym okrzykiem Euae, nucono piosnki wesołe i rubaszne. Nazajutrz o świcie ruszała procesja z Lenajonu, małej świątyni Dionizosa na południowym stoku Akropolis, gdzie znajdował się prastary drewniany posąg boga. W pochodzie niesiono ową szacowną świętość do kaplicy Dionizosa za miastem, skąd odprowadzano go z powrotem do Lenajonu pod wieczór, przy czerwonym świetle pochodni. Od połowy VI wieku przed n. e. podczas Wielkich Dionizjów odbywały się przedstawienia teatralne.

Prosty ludek z winnic attyckich miał znów swoje Małe, czyli wiejskie Dionizje, obchodzone w grudniu, w czasie chowania do spichrzów nowego wina, a połączone z jarmarkiem garncarskim. Zabijano kozła i krwią jego podlewano korzenie winorośli. Wsie i podmieścia ożywały bujną wesołością. Radość była powszechna, bo nawet niewolnicy w tym dniu mieli zupełną swobodę. Wędrownie grajki i komedianty mieszały się z gospodarzami, którzy przysłaniali twarze zabawnymi maskami z kory drzewnej, inni chodzili posmarowani osadem winnym lub nawet farbą garncarską, podobni do starych, nieokrzesanych bożków, pomalowanych na czerwono. Oczywiście wino przelewało się strumieniami.

Najstarszymi wizerunkami Dionizosa były proste słupy, na które zwykle nakładano brodatą maskę i ubierano je w szaty. Dionizos brodaty, w stroju powłóczystym, tak zwanej bassara (stąd Dionizos Bassareus), panuje w całej sztuce greckiej do IV wieku przed n. e. Odkąd zaś Praksyteles przedstawił Dionizosa jako młodzieńca bez zarostu, nagiego, z

przerzuconą tylko skórą jelonka — typ ten stał się powszechny. W tysiącach posągów, płaskorzeźb i malowideł widzimy Dionizosa młodzieńczego, pięknego, świeżego, o dziwnie miękkich, jakby wypieszczonych kształtach, w wieńcu z bluszczu lub z liści winogrodu, z tyrsem, z kiścią winogron lub dwuoszonym pucharem (kantaros). Wypoczywa w cieniu winnej latorośli albo jedzie na wozie zaprzężonym w lwy lub tygrysy. Zwykle ma przy sobie panterę, lamparta, tygrysa i czasem pochyla się ku nim, aby dać im pić wino z dzbana. Składano mu w ofierze kozła lub zająca, czyniono obiady z wina zmieszanego z wodą.

Pan

Dionizos miał liczną świtę. Zbierały się dokoła niego duchy dobre lub złośliwe, istoty na wpół zwierzęce, przedstawiciele dzikiego życia przyrody. Wśród nich najpoważniejszy był Pan.

Urodził się w Arkadii. Przyszedł na świat z nogami i rogami kozła. Uszy miał długie, kosmate, capią brodę i cały był porośnięty tą sierścią. Przeraziły się płocze nimfy arkadyjskie, ujrawszy poczwarne dziecko. Ale Hermes, który, jak się zdaje, był jego ojcem, zabrał kozłonoga i zaniósł na Olimp, gdzie zabawne stworzenie weseliło swym widokiem szczęśliwych bogów. Oczywiście, tam nie pozostał. Życie olimpijskie nie przypadło mu do smaku. Wrócił na ziemię, gdzie mógł skakać po górach jak młody kozioł i bawić się z białymi trzodami, które pasą się na łąkach pachnących. Śmiano się z niego, lecz on niewiele sobie z tego robił, rósł prędko i chował się na tęgiego bożka. Był dobrego o sobie mniemania i nie sądził, żeby mu jego koźli wygląd nie pozwalał myśleć o małżeństwie.

Pokochawszy młodą Syrinks, córkę bożka rzeczno Ladona, chodził za nią po całych dniach i prosił, żeby została jego żoną. Nieszczęśliwa dziewczyna, nie mogąc się pozbyć natręta, westchnęła do bogów o pomoc: ci przemienili ją w trzcinę. Widząc to Pan poznał, że jest brzydki, i było mu bardzo smutno. Usiadł wśród owej trzciny i płakał żałością. Wiatr zaś potrząsał trzcina rosnącą nad brzegiem strumienia i Panowi,

zasłuchanemu w szum wiatru i szmer wody płynącej, zdawało się, że i roślina wydaje takie same dźwięki żałosne. Uciął z niej kilka łodyg, zrobił z nich siedem piszczałek nierównej długości, połączył je razem w jednym szeregu i tak powstała ulubiona fujarka pastusza, zwana syringą. Pan wygrywał na niej swe żale za piękną nimfą.

I znów zakochał się Pan w nimfie Pityś. Cóż z tego, że mu była życzliwa, skoro miał współzawodnika w Boreaszu? Srogi bóg wiatru północnego, nie mogąc zdobyć wzajemności, stracił biedną dziewczynę ze skały. Pityś umarła, a z ciała jej wyrosła pierwsza sosna, drzewo odtąd Panowi poświęcone. Aby zapomnieć o swych cierpieniach, kozłonogi bożek ruszył w podróż. Zaciągnął się do orszaku Dionizosa i z nim przewędrował świat.

Zaczem wrócił do ojczystej Arkadii. W swoich górach czuł się prawdziwym panem. Wieczorem, po łowach, kładł się nad brzegiem potoku i grał na fujarce. Żaden ptak nie mógł dorównać słodkiej melodii tego instrumentu, w którym płakała smutna dusza nimfy Syrinks. Gdy grał, zbiegały z gór mgliste boginki, śpiewały lub wzięwszy się za ręce tańczyły na leśnych polanach przy świetle księżyca. Wtedy pasterze budzili się w swoich schroniskach i słuchali w milczeniu muzyki rozkochanego boga.

Nasz Asnyk, patrząc na piękny fresk pompejański, taką miał wizję kozłonogiego bożka:

*Na głązie zarośniętym jedwabistą pleśnią,
W cieniu starych kasztanów siedzi Pan rogaty,
Ucieszne bóstwo lasów, i weselną pieśnią
Wypełnia rozbawione, szalejące światy.
Kosmate koźle nogi podwinął pod siebie
I, uwieńczon różami, w flet zawzięcie dmucha,
A śpiew płynie po ziemi, po wodzie i niebie
I kwili, wzdycha, pieści i miłośnie grucha,
Aż sam Pan, upojony własnych brzmień słodyczą,
Twarz przekrzywia podziwem i muska swą brodą
Patrząc się jak artysta z miną tajemniczą*

*Na płasające nimfy, nadobne i młode.
Te, przywabione pieśnią, wybiegły z ukrycia
I tańczą lotną stopą po miękkiej murawie...*

Otaczali go wciąż pasterze. Składali mu na obiady miód i mleko kozie. Bali go się jak ognia. Nabożnie przestrzegali spoczynku południowego, który jest "godziną Pana". Wtedy gorąco jest największe. Powietrze, nawet w lesie, jest parne i sosny ronią woń żywiczną. Wiatr nie wieje i las staje nieruchomy. Liście zwieszają się na drzewach senne i omdlałe. Ptaki milkną, czyni się wielka, święta cichość. Pan wypoczywa w cieniu i nie lubi, żeby mu zakłócać sen głośnym krzykiem, śpiewem lub graniem. Wtedy wstaje zły i rozsiewa "strach paniczny", tak że pasterze umykają goniąc przed sobą spłoszone trzody, które spadają ze śliskich ścieżek górskich w przepaście. Niekiedy szerzył popłoch w szeregach nieprzyjaciół i Ateńczycy przypisywali swoje zwycięstwo pod Maratonem pomocy Pana, który zmusił Persów do ucieczki. Z wdzięczności wystawili mu kapliczkę na północnym stoku Akropolis.

Do większego znaczenia doszedł Pan dopiero w czasach po Aleksandrze Wielkim, albowiem wtedy mieszkańcy wielkich miast zapłonęli nagłą miłością i tęsknotą do życia pasterskiego i na tle tych uczuć rozwinęła się poezja sielankowa. Idylliczne życie Arkadii wydało się nerwowym i zmęczonym ludziom ówczesnym stanem dziwnej błogości i wśród pochwał "szczęśliwej" Arkadii zaczęto śpiewać chwałę Pana jako boga pasterzy i ich życia bez trosk. Mniej więcej około tego czasu uległo zmianie samo pojęcie Pana. Filozofowie, na podstawie błędnej etymologii, tłumaczyli imię "Pan" jako wszechświat i widzieli w nim jakieś bóstwo rozlane w całej przyrodzie, twórcę i władcę wszechrzeczy.

Za panowania cesarza Tyberiusza (14—32 r. n. e.) krążyła w świecie rzymskim dziwna opowieść. Oto pewne towarzystwo jechało z Grecji do Italii, gdy wtem nastąpiła przerwa w podróży wskutek nagłej ciszy morskiej. Po wieczerzy pasażerowie pili, zabawiali się, a kiedy już mieli iść spać, z głębi wyspy ozwał się potężny głos, który wołał po imieniu Tammuza sternika. Tammuz odpowiedział na wołanie dopiero za trzecim

razem i wtedy otrzymał od tajemniczego głosu rozkaz, by skoro okręt przyjedzie w naznaczone miejsce, obwieścić, że wielki Pan umarł. Kiedy okręt zbliżył się do tego miejsca, Tammuz zakrzyknął z całych sił: "Wielki Pan umarł!" Na te słowa ze wszystkich stron ozwały się skargi i jęki przeraźliwe. Wszyscy obecni na okręcie byli świadkami tego zdarzenia. Wieść o nim szybko doszła do Rzymu. Cesarz Tyberiusz kazał sprowadzić owego Tammuza, a po rozmowie z nim zebrał uczonych filozofów, aby zasięgnąć ich opinii. Wszyscy byli zdania, że chyba w istocie umarł wielki bóg lasów.

W wiekach średnich uważano go za demona i postać jego dała początek znanym wyobrażeniom diabłów. Przedstawiali go bowiem Grecy z brodą, o nogach kosmatych, zakończonych rozszczepionymi kopytkami, o uszach spiczastych, z zakrzywionymi rogami na głowie.

Syleny

Syleny były to pierwotnie bóstwa rzek i źródeł, czczone w Azji Mniejszej u Jończyków i Frygów, którzy je przedstawiali pod postacią pół koni i pół ludzi. Ów Marsjas, który tak nędznie skończył, wdawszy się w spór z Apollinem, był jednym z tych jońsko-frygijskich sylenów. Na kontynencie greckim, zwłaszcza w Atenach, sylenowie przyłączyli się do orszaku Dionizosa i tu zmienili nieco swój wygląd, przede wszystkim na bardziej ludzki. Dawano im jeszcze czasem ogony końskie, ale potem mieszały się zupełnie do niepoznania z satyrami, przyjęli ich skórę kozłą i ich zwyczaje. Skończyło się na tym, że owe bóstwa, niegdyś samodzielne, straciły wszelką indywidualność na rzecz satyrów i został tylko jeden Sylen, o którym mówiono, że był wychowawcą Dionizosa.

Ten miły staruszek nigdy nie jest zupełnie trzeźwy. Lubi nadmiernie wino i satyrowie poją go nim do syta. Często zaśnie gdzieś w jakiejś grocie z dzbanem pod głową i wówczas zbiegają się doń swawolne boginki

górskie lub leśne, wiążą go mocno wieńcami z kwiatów, a czoło i skronie pomazują mu sokiem leśnych jagód. Nie gniewa się o to staruszek i gdy się obudzi, opowiada im wszelkie dziwy, jakie kiedykolwiek oglądało wszechwidzące oko słońca, one zaś słuchają, dopóki wieczór cichymi krokami nie zbliży się ku szczytom gór.

Kiedy Bachus wędrował po wszystkich krajach ziemi, Sylen mu towarzyszył jadąc na ośle. Pewnego razu, podczas wypoczynku, zabłąkał się we wspaniałym parku i usnął wśród kwiatów, ów park był własnością króla Midasa, tego samego, któremu Apollo przypiął ośle uszy. Co rano setki robotników przychodziły porządkować wielki ogród królewski. Kilku z nich znalazło uśpionego Sylena. Poznali go natychmiast, związali girlandami kwiatów i niby jeńca zaprowadzili wśród śpiewów i śmiechów do króla. Midas ugościł serdecznie wesołego bożka i kazał go odprowadzić do Dionizosa, którego orszak bawił w okolicy. Dionizos, ujęty uprzejmością króla, zjawił się w pałacu i obiecał spełnić wszelkie jego życzenia. Midas poprosił, aby wszystko, czego się dotknie, zamieniało się natychmiast w złoto. Jakże się cieszył, widząc, że bóg go wysłuchał. W jednej chwili stał się najbogatszym człowiekiem na ziemi. Każdy najlichszy przedmiot pod dotknięciem jego ręki zmieniał się w szczerze złoto. Uradowany zasiadł do obiadu. Wtem zbladł nagle. Kęs chleba, który niósł do ust, zaciążył mu w ręce bryłką świecącego metalu, wino, które pił z kubka, tężało mu w ustach w złote płytki. Ogarnął go lęk śmiertelny. Poznał całą głupotę swego życzenia. Nie zwlekając pobiegł za Dionizosem i na klęczkach błagał, aby mu bóg odjął ten straszny dar przemieniania wszystkiego w złoto. Dionizos kazał mu wykąpać się w rzece. Midas tak uczynił, czar opuścił jego ciało, a na dnie rzeki Paktolos od tej pory znajdowano złoto.

Sylen był to mądry bożek, który znał przeszłość, rozumiał terażniejszość i głęboko wzrokiem sięgał w tajniki przyszłości. A że był wesoły i towarzyski, zapraszano go wszędzie i ugaszczano rześcicie. Wyglądał rubasznie, lecz umysł miał żywy, subtelny, stąd częstym bywał gościem na Olimpie, gdzie zabawiał bogów dowcipami, dykteryjkami i wykładem swej wesołej filozofii.

Dawni kronikarze zachowują się nieraz tak, jakby Sylen nie umarł

wraz z innymi bogami starożytności, ale przeżył znacznie świat antyczny. Oto np. podają, że w r. 1599 marszałek de Beaumanoir znalazł w lesie podczas polowania łysego Sylena, który spał zagrzebany pod mierzwą zwiędłych liści. Marszałek kazał go pojmać, związać i oprowadzał po zamkach i dworach swoich znajomych. Staruszek, który pamiętał Kronosa, nie mógł znieść takiej hańby: umarł w trzy miesiące później ze wstydu i zgryzoty. Pochowano go na cmentarzu Saint-Côme.

Satyrowie (Fauny)

O satyrach nie wiadomo, ani ilu ich jest, ani skąd pochodzą. Było ich wszędzie pełno. Mieli nogi koźle, zakończone rozszczepionymi kopytami, porośnięte aż do pasa gęstą sierścią. Górna część ciała była ludzka, ale grube, czerwone wargi, capia broda i spiczaste uszy nadawały ich twarzom wygląd zwierzęcy. Niektórzy mieli rogi na głowie, jak Pan. Po lasach zabawiali się z nimfami, ludzi sprowadzali na manowce omylnym wołaniem lub błędnymi ognikami, pasterzom kradli kozy i owce, straszili dokoła chat chłopskich. Krnąbrni i nieustępliwi, napadali nawet boginie i raz wyrwali Irydzie kilka piór tęczowych z prawego skrzydła. Ich królem, ich władcą, ich ukochaniem był Dionizos, którego dzieckiem nosili na rękach i kołysali do snu graniem na fujarce. On im pozwalał na wszystko i poił winem, którego nigdy nie mieli dosyć.

Dyktator rzymski Sulla, któremu biografowie starożytni nie szczędzą cudownych przygód, miał znaleźć raz uśpionego satyra niedaleko miasta Apolonii w Epirze, w dolinie pokrytej pięknymi łąkami. Zadawano mu pytania w rozmaitych językach i narzeczach, ale on nie umiał dać żadnej odpowiedzi, tylko odzywał się głosem dzikim i ostrym, w którym było coś z rżenia końskiego i beku kozła. Sulla przestraszył się i kazał go precz odegnąć.

Liczne są posągi, płaskorzeźby, malowidła z wyobrażeniem tych wesołych bożków, którzy tańczą, grają, śpiewają, niosą bukłaki z winem, bawią się jak młode kozły albo zmęczeni i pijani śpią oparci o pień drzewa,

bezwładni, z uśmiechem na grubych wargach. Są oni nam równie bliscy dziś jak przed wiekami. Nieraz w lesie zdaje się, że za chwilę posłyszemy, jak po mchach cwałują kosmate nóżki leśnego licha, które nagle stanie przed nami, jakby uciekło z obrazu Jacka Malczewskiego. I nie dziwi nas, że Kochanowski wprowadził bożka, co miał "twarz nie prawie cudną", i przez jego usta skarżył się na bezmyślne niszczenie lasów w Polsce i głupią pogoń ludzi za pieniądzem.

Nimfy

Nimfa (po grecku: dziewczyna) była to istota pośrednia między bogiem a człowiekiem. Nimfy żyły bardzo długo i nie starzały się nigdy, ale przecież w końcu umierały. Przebywając w pobliżu człowieka i dzieląc z nim śmiertelność, lepiej niż Olimpijczycy rozumiały jego troski i potrzeby. Na opuszczonych grobach sadziły kwiaty, a w uciążliwej drodze prowadziły wędrowców do źródeł krzepiących. Trzodom dawały paszę, a pasterzy uczyły śpiewu i grania. Szmer potoków, szum lasu, brzęczenie owadów, wszystkie głosy wiosny i lata były jakby ich śpiewem. Drobnymi, różnymi stopami przebiegały leśne polany. Były uosobieniem wszystkiego, co miłe, wdzięczne, wrażliwe, delikatne w przyrodzie.

Poświęcano im piękne źródła, albowiem woda była ich właściwym żywiołem. W skalistej Grecji woda jest zawsze bezcenną rzadkością. Najlichsze źródło może się wydać czymś boskim, godnym najtkliwszej opieki. Kto po kilku godzinach drogi wśród spiekoty odnajdywał pod kamieniem bijący w górę stożek wody, przyklękał, pił, a następnie, przygiąwszy gałąź drzewa, które rośnie nad źródłem, zawieszał na niej swój kubek jako dar wdzięczności dla uroczych boginek, przyjaciółek ludzi. One czuwały nad czystością i dostatkiem wody i za ich sprawą brzegi rzek i strumieni mały się świeżą trawą i kwiatami.

Pewne źródła były lecznicze, stąd nimfy uważano za boginie zdrowia. Mogły również dawać jasnowidzenie i same przepowiadały przyszłość. A gdy zbrodniarz umył w źródle ręce skrwawione, nimfa tam mieszkająca

porzucała swe schronienie i wędrowała gdzieś dalej. Były to bowiem istoty czyste, kochające życie, nienawidzące zła, i mówiono o nich, że pierwotnych dzikusów oduczły ludożerstwa.

Mieszkały albo w samych źródłach, albo w grotach. Pod dachem z szarego listowia oliwki biegło wejście do pieczary, zwrócone na północ, którędy szli ludzie i przylatywały pszczoły, mające we wnętrzu swoje ule. Drugie wejście, owiane południowym wiatrem, przeznaczone było dla bogów i wiodło wprost do komnat, gdzie stały kamienne warsztaty tkackie, na których nimfy wyrabiały prześliczne tkaniny barwione purpurą morza. Po dniu pracowitym zwoływała je Artemida na nocne tańce.

Nimfy wodne zwały się najady. Oprócz nich była jeszcze mnogość niezmiernie innych nimf: oready mieszkały w górach, lejmoniady — na łąkach wilgotnych, driady — wśród lasów, hamadriady — w samych drzewach. "Razem z nimi — głosi Homerycki hymn do Afrodyty o hamadriadach — razem z nimi, w chwili ich urodzenia, wyrosły z gruntu dąb i świerk i kwitły pięknie wśród gór. A kiedy wreszcie nadeszła przeznaczona godzina ich śmierci, przede wszystkim te piękne drzewa usychały: kora z nich opada naokół, a gałęzie zlatują; i razem dusza z nich uchodzi przed światłem słońca". Jedna z driad powitała króla polskiego w Zamchu, opowiadając mu o sobie i swych siostrach wierszem Jana z Czarnolasu:

*W lesiech lata swe trawiem z fauny rogatymi,
Co wy podobno mężami zowiecie dzikimi.
Tam albo wieńce wijem, albo tańczujemy,
Trafi się, że z Dyjaną czasem polujemy;
To są nasze zabawy, póki topór ostry
W modrzewiu nie namaca dusze której siostry.*

Był sobie młodzieniec imieniem Narcyz. Wszystkie nimfy go znały, bo wciąż przesiadywał w lasach i górach. A był tak piękny, że wszystkie się w nim kochały. Ale on nawet nie obejrzał się na żadną. Kochał tylko łowy i nie chciał słyszeć o innej miłości. Gdy jednak raz nachylił się nad strumieniem, by napić się wody, ujrzał w czystej toni własne odbicie. Zdumiał się nad swą pięknnością i z owego zdumienia zrodziła się najniezwyklejsza

miłość. Narcyz zakochał się sam w sobie. O całym świecie zapomniał, wpatrzony w zwierciadło wodne. W końcu umarł z próżnej tęsknoty, a gdy go złożono w ziemi, na grobie wyrósł kwiat o białych płatkach i złotym sercu, który nazwano — narcyzem.

Nimfy nie miały własnych świątyń, posągi ich ustawiano w grotach, a na drzewach im poświęconych zawieszano rozmaite dary wotywnie. Żołnierz wracający z wojny ofiarowywał hełm lub dzidę, rybak sieć, panny młode, wychodząc za mąż, oddawały nimfom lalki, którymi bawiły się w dzieciństwie. Najzarliwiej czcili je wieśniacy, składający im w ofierze pierwociny z trzód i pól, zwyczajne kozy i jagnięta, albo libacje z miodu i oliwy. Do ich grot zanoszono ciastka, owoce, winogrona, a płatki róży rzucono na wody ich strumieni. Pamięć dobrych boginek trwa do dzisiejszego dnia w Grecji. Na Krecie jest kościół Świętych Dziewic, a niedaleko bije źródło, które pozostaje pod ich szczególną opieką, jakby te Dziewice były starożytnymi najadami.

Asklepios (Eskulap)

Asklepios był synem Apollina. Matka, nimfa Koronis, umarła przy jego narodzeniu. Niemowlęciem opiekowała się koza, która je karmiła, i pies, który strzegł kozy i dziecka. Apollo zajął się Asklepiosem, gdy chłopak już podrośł. Wtedy go oddał do szkoły Chejrona.

Był to bardzo mądry starzec, który miał postać pół ludzką i pół końską. Takie istoty Grecy nazywali centaurami. Chejron znał się doskonale na myślistwie, bo w młodości towarzyszył nieraz Artemidzie, zajmował się wróżbiarstwem, gimnastyką, a zwłaszcza medycyną. Odkrył dziwne tajemnice muzyki i potrafił chorych uzdrawiać za pomocą kilku dźwięków. Do jego grot, u stóp góry Pelion w Tesalii, schodzili się bogowie, bohaterowie i ludzie po radę i opiekę. Chejron uczył Asklepiosa i objawiał mu wszystkie sekrety swej wiedzy. Ale syn boży wrychle przewyższył mistrza. Poznał sposoby wskrzeszania zmarłych i między ludzi poszła dobra nowina, że jest ktoś, co śmierci odjął moc nad światem. Gdy jednak umarli zaczęli wracać do swoich domów, spostrzeżono, że sztuka Asklepiosa jest bardzo niebezpieczna. Bogowie również uważali, że to

narusza porządek rzeczy. Wówczas Dzeus zabił go piorunem.

Cześć Asklepiosa, jako boga-lekarza, z Tesalii rozszerzyła się stopniowo po całej Grecji. Odrzucając poetycką legendę o jego śmierci naród wierzył, że Asklepios żyje w głębi ziemi jako wąż obdarzony wielkim rozumem i ludzką mową. Świątynie Asklepiosa stały zwykle w pewnej odległości od miast, na wzgórzach, pośród gajów świętych, w okolicy suchej, zaopatrzonej w czystą wodę źródlaną. Służbę dokoła świątyń pełnili kapłani, którzy zawodowo zajmowali się leczeniem. W początkach bowiem wiedza lekarska była własnością pewnych rodzin kapłańskich i ojciec synowi powierzał jej tajemnicę. Chorzy, przestępując próg świątyni, poddawali się pewnym praktykom, jak posty i kąpiele, oraz obrzędom oczyszczającym. Po ich spełnieniu chory układał się na skórze zwierzęcia zabitego na ofiarę lub na jednym z łóżek stojących dokoła posągu Asklepiosa. Wśród ciszy i mroku świątyni, po której kątach snuły się oswojone święte węże, chory zapadał w sen wróżebny. W marzeniach zjawiał się bóg i wskazywał, co uczynić należy. Nazajutrz chory opowiadał sen kapłanom, którzy go wyjaśniali i rozpoczynali leczenie. Uzdrawieni opuszczając świątynię zostawiali w niej eks wota, rzucali pieniądze do świętej sadzawki lub wpisywali na tablicach historię choroby i uleczenia.

Od IV wieku przed n. e. cześć Asklepiosa tak się wzmogła, że dla niektórych stał się najwyższym, a może nawet jedynym bogiem. Nazywano go zbawicielem. Pod koniec starożytności jeden z ostatnich wyznawców religii helleńskiej, cesarz Julian (361—363), tak pisał: "Syn boży, Asklepios, zstąpił z nieba na ziemię i w Epidauros zjawił się w ludzkiej postaci. Tu rósł, tu się wychował i w czasie swej wędrówki po ziemi podawał ludziom dłoń pomocną. Przebywa on wszędzie, i na lądzie, i na morzu, ale nie do każdego przychodzi. Jest zbawcą zarówno grzesznej duszy, jak i chorego ciała".

Nieraz przedstawiano go jako węża, a w późniejszej sztuce jako poważnego mężczyznę z brodą, o rozumnym i zamyślonym obliczu, ubranego w płaszcz i trzymającego laskę, dokoła której wije się wąż. Obok niego spotyka się jego córkę Higieję, boginię zdrowia. Był zwyczaj, że chory po wyzdrowieniu zabijał na ofiarę Asklepiosowi koguta. Lekarzy

nazywano asklepiadami, czyli potomkami Asklepiosa, co przetrwało
poniekąd do naszych czasów w żartobliwej nazwie "eskułap".

KRÓLESTWO MORZA

Było, jak wiadomo, trzech braci: Dzeus, Posejdon i Hades. Po zwycięstwie nad Kronosem i tytanami podzielili się władzą i żeby wszystko odbyło się sprawiedliwie, ciągnęli losy. Wtedy Posejdonowi dostało się królestwo morza. Ale to mu nie wystarczało. Mówił, że jest starszy i że jemu należy się najwyższe stanowisko w świecie bogów. Dzeusa nazywał publicznie uzurpatorem i wcale go słuchać nie chciał. Dzeus kazał przed nim zamknąć bramy Olimpu i zagroził mu piorunem, jeśli ośmieli się stanąć na progu niebios. Musiał więc iść na wygnanie między ludzi i wstąpił na służbę u króla trojańskiego, Laomedonta. Pracował jako prosty mularz przy budowie murów obronnych. Po dziesięciu latach robota była skończona, a Dzeus dał się przeprosić i pozwolił mu wrócić do pałacu bogów.

Posejdon mógł się teraz ożenić. Chciał nawet tego bardzo, albowiem się zakochał. Razu pewnego był na wyspie Naksos, na przyjęciu, które wydawał stary bóg wodny Okeanos. Po uczcie tańczyły jego córki, a z nich najpiękniejsza była Amfitryta o jasnych warkoczach. Posejdon oświadczył się ojcu o jej rękę i został przyjęty. Lecz panna go nie chciała. Czuła doń po prostu odrazę. Posejdon nie był brzydki, ale pomimo potężnej budowy ciała nie mógł uchodzić za ideał piękności. Miał śniadą cerę, włosy zwichrzone i nadmiernie bujne, brodę wiecznie wilgotną i pełną mułu, a oczy jego, palące się złowrogo pod krzaczastymi brwiami, budziły przestрах w lękliwym sercu dziewczyny.

Smutny wrócił Posejdon do swego samotnego pałacu w głębinach morza. Wówczas podpłynął ku niemu delfin, najmądrzejszy ze stworzeń zamieszkujących przestworza wód, i obiecał Posejdonowi, że sam wszystko pomyślnie załatwi. Nazajutrz był u Amfitryty i opowiadał jej o niezmiernych bogactwach wszechwładnego pana wodnego żywiołu, o jego posiadłościach, które zdają się nie mieć granic, o dziwnych mieszkańcach morza, co legnie całe u jej stóp i będzie jej cześć oddawało jako swej królowej:

"Mieszka on w pałacu błękitnym, który ma dach z muszli, a one w czasie odpływu otwierają się ukazując wewnątrz cudne perły. Ze ścian wyrastają żywe kwiaty, a przez okna z bursztynu zagląдают ryby. W sadzie drzewa szafirowe i czerwone rodzą złote owoce. Algi układają się na powierzchni fal, aby światło przechodząc przez nie mieniło się barwami tęczy. Wśród gałęzi koralu zabłąkane gwiazdy morskie rozniecają słabe, migotliwe światełka. Pająki mkną szybko na szcudłowatych nogach, lilie morskie wyrastają z dna jak drobne palmy o wielolistnej koronie. Gąbki szkliste wyglądają jak małe karty o wielkich siwych brodach, a gdy przepłynię orszak świecących głowonogów, w prześlicznej grze barw sypią się z góry błękitne, czerwone i białe skrzące się kulki, które opadają jak deszcz gwiazd różnokolorowych. Kiedy morze jest spokojne, widać z głębi słońce niby otwarty kielich wielkiego, purpurowego kwiatu".

Nimfa zamyśliła się, potem zapytała jeszcze o to i owo, a w kilka dni później zasiadła na szmaragdowym tronie obok Posejdona jako królowa morza. Na głowę włożyła diadem z morskich roślinek świecących i jak powiada Słowacki:

*miała powozy z delfinów, z gołębi
i kryształowe pałace na głębi,
i księżycowe korony w noc ciemną.*

Delfin nie kłamał. Życie Amfitryty było naprawdę rozkoszne. Otaczał ją dwór tak wspaniały, jakiego nie miała Hera, królowa nieba. Zbiegły się do niej wszystkie siostry, okeanidy, córki starca morskiego Okeanosa. A było ich trzy tysiące. Gdy płynęły dokoła jej rydwanu, fale okrywały się białą pianą, jak gdyby wszystkie srebrne obłoki spadły z nieba na wodę. Służyło jej pięćdziesiąt nereid. Były to boginki wesole, które witały swą panią śpiewem i zapraszały do tańca. Lecz Amfitrycie nie wypadało tańczyć, więc tylko siadała w ich gronie na jakiejś skale, a one, rozłożywszy się u jej stóp, czesały swe zielone włosy. Wtedy wychodził z kryształowego pałacu ojciec Nereus i opowiadał przedziwne historie o czasach, kiedy jeszcze bogów nie było na świecie. Przeszkadzały mu w tym trytony o rybich ogonach, niesforne łobuzy morskie, które straszyły nimfy zgrzytliwym graniem na wydrążonych muszlach lub tarzały się w białej pianie wzburzonych bałwanów. Pod wieczór przyjeżdżał Posejdon i zabierał swą małżonkę na Olimp, gdzie zasiadali wśród najwyższych bogów przy stole biesiadnym.

Nad morzem panuje wszechwładna wola Posejdona. W głębi swego podmorskiego pałacu wie wszystko, co się dzieje na ruchliwej powierzchni. Gdy wiatry nieopatrznie wzburzą fale, zjawia się Posejdon i jednym spojrzeniem ciemnych oczu uśmierza bałwany, a burze niesforne precz rozpędza. Trójzębem dźwiga okręty uwięzione wśród skał lub osiadłe na mieliznach, a rozbitkom posyła wartkie prądy, które ich niosą do bezpiecznych brzegów. Przed jego gniewem drży ziemia, morze i człowiek rzucony w lichej łupinie na wodne obszary, a on pamięta o malutkim ptaszku, zimorodku. Po słotach listopadowych nastają w grudniu dni ciepłe i łagodne, właśnie w czasie, kiedy samiczka zimorodka wysiaduje jajka w gnieździe pływającym. Dla jej spokoju Posejdon wygładza fale i poskramia wiatry, a okręty, burzą zimową zatrzymane w obcych przystaniach, wracają do domów.

Zazwyczaj surowy, nie był Posejdon nieczuły na ludzką niedolę. Pewna dziewczeczka, imieniem Amymone, poszła z dzbankiem po wodę. Była wtedy straszliwa posucha i wszystkie źródła umarły. Zmęczona upałem i daleką drogą usnęła pod drzewem. Obudził ją trzask suchych gałęzi. Niedaleko pał się jeleń. Amymone naciągnęła łuk i wypuściła lotną strzałę. Ale chybiła. Strzała poszła w gąszcz i ugodziła śpiącego satyra. Przestraszyła się Amymone widząc okrwawione licho leśne, które biegło wprost ku niej. Zaczęła uciekać. Nogi pod nią mdlały z trwogi i znużenia. Wtedy wezwała głośno pomocy Posejdona. Zjawił się natychmiast. W goniącego satyra rzucił trójzęb tak mocno, że żelazo przeszedłszy ciało zaryło się w pobliską skałę. Bóg zapytał dziewczeczkę, czego by szukała w pustej okolicy sama jedna. Powiedziała, że wody. Wówczas kazał jej podejść do skały i wyjąć trójzęb. Gdy to uczyniła, trysnęło chłodne, jasne źródło.

Posejdonowi podlegały razem z morzem wyspy, nadbrzeża, przystanie. Straszliwym trójzębem poszarpał lądy i worał się głęboko w ich ciało tworząc zatoki i cieśniny. Trzęsienia ziemi były objawami jego gniewu.

Cały świat grecki czcił tego boga. W miastach portowych, które żyły z handlu morskiego, miał okazałe świątynie, na wyspach, górach

nadbrzeżnych, na przylądkach stały poświęcone jemu kaplice, ołtarze i posągi, aby żeglarze nie tracili ich z oczu wśród walk i niebezpieczeństw. W najmniejszej osadzie rybackiej odbierał hołdy ludzi żyjących z morza. Zwyczajnie składano mu w ofierze konia białego lub delfina. Ku jego czci odbywały się igrzyska, z których najokazalsze były istmijskie, urządzone przez miasto Korynt.

Przedstawiano Posejdona jako silnego starca o szerokich barach. Z rysów twarzy podobny do Dzeusa, miał ten sam majestat w oczach, lecz bardziej groźny. Włosy i broda wyglądają, jakby wiecznie były wilgotne i pełne muszli. W ręce trzyma trójząb. Czasem jedzie na wozie zaprzężonym w hippokampy, dwunożne konie morskie.

Zanim Posejdon, po zwycięstwie nad starymi bogami, stał się panem wodnego żywiołu, rządził królestwem morza jeden z tytanów, Okeanos. Ale i on musiał ustąpić przed władzą syna Kronosa. Był już za stary, aby mógł się opierać. W wojnie udziału nie brał, więc go Dzeus nie strącił do Tartaru, ale ustanowił bogiem tej wielkiej rzeki, która pod nazwą oceanu opływa całą ziemię dokoła. Grecy bowiem wyobrażali sobie, że ziemia jest wyspą, na kształt tarczy, w której środku stoi delficka świątynia Apollina. W tej świątyni pokazywano obły kamień — omfalos, czyli "pępek ziemi". Okeanos po stracie tronu zdziwaczał zupełnie. Przeniósł się na sam koniec świata i nigdy nie opuszczał swego pałacu.

W południowych zaś morzach żył inny dziwak, przemądry Proteusz. Pod jego okiem chowały się trzody fok Posejdona. Znał przyszłość i umiał wróżyć wybornie. Ale był to odludek i grubianin, który z własnej woli nikomu nie pomógł. Kto chciał dostać od niego radę, musiał go wpiery schwytać i obezwładnić. Codziennie w południe Proteusz opuszczał głębiny morza i drzemał w którejś z grot na wybrzeżu. Wtedy można go było złapać. Ale musiało się mieć nie lada siłę i odwagę, aby opanować tego sprytnego czarownika. Umiał bowiem zmieniać swą postać. Stawał się tygrysem, lwem, smokiem; rozpływał się w wodę, płonął jak ogień, wyrastał drzewem, wreszcie, jakby życie zeń uciekło, przeistaczał się w twardą skałę. Przez cały czas trzeba go było krzepko trzymać i zaciskać jeszcze więzy, a nic się nie bać. Wyczerpany, ulegał w końcu i wówczas

dawał rady nieomyślne i niechybne przepowiednie.

Gdy morze jest spokojne i błękitnieje nad nim pogoda, wypływa na powierzchnię Glaukos i rozgląda się smutno, jakby czegoś szukał. Był on niegdyś prostym rybakiem. Razu pewnego zauważył, że ryby, które woda wyrzuca na brzeg, nabierają nowych sił i wkrótce znów uciekają do morza. Pomyślał, że chyba trawa na tym wybrzeżu ma jakieś dziwne właściwości, i natychmiast jej skosztował. Gdy to uczynił, ogarnęła go nagle nieprzewyciężona ochota rzucić się w morze i pozostać tam na zawsze. Fale rozstały się pod nim i młody rybak został bożkiem morskim. Wtedy ujrzał piękną Skyllę, jak siedząc na skale pośród wód czesała złote włosy. Zakochał się i prosił o jej rękę. Skylla jednak, nie wiadomo dlaczego, nie chciała wyjść za Glaukosa. Nieszczęśliwy bożek udał się do czarownicy Kirke, aby mu dała taki napój, który by serce Skylli zjednał dla niego. Ale że był niezwykle piękny, Kirke sama się w nim zakochała i robiła wszystko, żeby zapomniał o swej Skylli. W końcu, dotknięta obojętnością młodzieńca, dała mu żądany napój. Glaukos wylał go do źródła, w którym Skylla zawsze się kąpała. Ledwo nimfa weszła do wody, gdy otoczyły ją zewsząd szkaradne potwory. Chce uciekać, lecz widzi, że one ciągną się za nią. Przerażona rzuca się do morza — potwory nie odstępują: oblepiły jej ciało, jakby do niego przyrosły. W istocie przyrosły. Czarami złośliwej Kirke została biedna Skylla zamieniona w straszdyło morskie.

Okropna to była poczwara: miała dwanaście łap drapieżnych, sześć karków, a na każdym łeb sprośny, w każdej zaś paszczy trzy rzędy zębów. Osiadła na wybrzeżu Sycylii, w jaskini skalnej, nad którą latem i zimą wisała gęsta chmura, nigdy nie ozłocona promieniem słońca. Biada przejeżdżającym statkom! Nie ma tak zwinnej łodzi ani tak szybkiego okrętu, żeby uciec, zanim potwór porwie z pokładu kilku żeglarzy. Ominąć zaś Skylli niepodobna: czujna, dojrzy na zmiennej powierzchni morza nawet najmniejszą rybę.

Starożytni wierzyli, że wszystkie rzeki, nawet w głębi lądu, mają podziemne połączenie z morzem i pozostają pod opieką bóstw osobnych, wywodzących swój ród od Okeanosa lub Posejdona. Domyślano się, że w głębokiej grocie, skąd strumień wypływa, bóg rzeki posiada pałac

tajemniczy. W otoczeniu nimf, które mu służą, dowodzi biegiem swych wód, ustala i zmienia ich łożyska. Bogom rzeczonym stawiano świątynie i ołtarze, zabijano na ofiarę byki lub konie. "Niechaj nikt — mówi poeta Hezjod — nie waży się przejść rzeki, póki się wpierw nie pomodli, a oczyma zwróconymi ku jej jasnym wodom, póki rąk nie umoczy w jej fali miłej i przeźroczej".

Rzeki w Grecji są przeważnie małe, lecz w okresie przyboru stają się groźne, rzucają się na pola, ogrody, winnice z siłą i pędem rozjuszonego byka. Stąd bogów rzecznych przedstawiano nieraz w postaci byków albo ludzi z byczymi rogami. Częściej spotyka się inne wyobrażenie: bóg rzeki, jako poważny starzec o wspaniałej brodzie miękko spływającej na nagie ciało, leży wśród sitowia, oparty o przewróconą urnę, z której wysnuwa się strumień wody, a dookoła bawią się roje małych dzieci — symbole urodzaju.

KRÓLESTWO PIEKIEŁ

Za wielu, wielu rzekami, za wielu, wielu górami, na ostatnich krańcach zachodu, gdzie ziemia się już kończy, gdzie nigdy nie dociera najślabszy promień słońca — jest wejście do podziemia, czyli do piekieł. Można się tam dostać jeszcze w innych miejscach, przez rozmaite rozpadliny i jamy, z daleka cuchnące siarką, ale od niepamiętnych czasów wszystkie dusze wędrują do Hadesu przez ową bramę na zachodzie. Po drodze mija się miasto Kimeryj-czyków, którzy brodzą wśród mgieł i chmur nieprzeniknionych, a słońce znają jedynie z opowieści. Przed samym wejściem do podziemia roztacza się na kilka mil wokoło smutna równina, porośła z rzadka wierzbami i topolami okrytymi czarną korą.

W przedsionku piekielnego państwa tłoczą się dziwne i straszne postacie. Tam Smutek przechadza się w gronie swych sióstr, Trosk. Błede Choroby i wynędzniała Starość, i wiecznie dygocąca Trwoga, i obdarta Nędza snują się po wilgotnych kątach. Praca ze Śmiercią rozmawia, Wojna idzie pod rękę z Niezgodą. Nieco dalej, na otwartym dziedzińcu, rośnie wiąz ogromny, w którego gałęziach siedzą Sny i Marzenia. Pod drzewem leży sturęki olbrzym Briareus, straszliwy w swej bezczynności.

Odtąd zaczynają się błota i grzęzawiska Acherontu (rzeka boleści), którego wody łączą się ze strumieniami Styksu. Największa z rzek piekielnych opływa dziewięć razy całe podziemie. Na jej czarne, nieruchome wody przysięgają Olimpijczycy. Jednym ramieniem wylewa się Styks w koryto Kokytosu (rzeka lamentu), od którego początek bierze Lete — rzeka zapomnienia. Kto z niej napije się wody, traci pamięć wszystkiego, co widział i przeżył na ziemi.

Dusza chcąc dostać się do świata umarłych musi przepłynąć te wszystkie rzeki. Ale sama tego uczynić nie może, bo nie starczyłoby jej sił, choćby płynęła tysiące i tysiące lat. Trzeba więc prosić Charona, żeby przeprowił na tamtą stronę. Brzydki i niechlujny dziad, zrzęda i gbur, syn Nocy, stoi w czarnej łodzi i żerdzią odpycha garnący się ku niemu tłum dusz. Wpuszcza tylko tych, którzy mają czym zapłacić. Za przewóz bierze niewiele: obola, drobny miedziany pieniążek. Ale należy go mieć przy sobie, bo Charon jest nieubłagany i gotów biedną duszę zostawić nad

brzegiem Styksu, gdzie błąkać się będzie przez wieczność całą, bez celu. Dlatego nieboszczykowi, przy pogrzebie, wkłada się w usta monetę.

Przeprawione na drugi brzeg dusze zbierają się w gromadkę, struchlałe i drżące. Bo oto wychodzi naprzeciw Kerberos (Cerber), potworne psisko o trzech paszczach. Już z daleka słyhać jego szczekanie, które chrapliwym zgiełkiem napełnia mroczne pustkowia. Trzeba mu rzucić ciastko pieczone na miodzie, aby był spokojny. Zresztą można się go nie obawiać: dla wchodzących jest bardzo uprzejmy. Ale niech kto spróbuje oszukać jego czujność i uciekać z powrotem na ziemię. O, wtedy jest straszny. Rzuca się na swoją ofiarę, przewraca ją, tłamsi łapami, szarpie i wlecze w najgłębsze czeluście piekieł.

Królestwo cieniów to nieobeszła równina, chłodna i martwa, po której szamocą się ostre wiatry, pędzące tam i sam mdłe dusze. Chodzą po niej umarli, a każdy z nich ma wyznaczone sobie miejsce. Osobno skarżą się duszyczki niemowląt, osobno błędzą nieszczęśliwi, którzy padli ofiarą niesprawiedliwych sądów. Bardziej odludne okolice zamieszkują samobójcy, a po ścieżkach zapomnianych włóczą się ci, co umarli z miłości nie odwzajemnionej. Gdzieś słyhać nieuchwytny szcęk broni: to wojownicy, zabici na polu walki, ćwiczą się dalej w rzemiośle żołnierskim; tam znów cień człowieka, który był rolnikiem, cieniem bicz poganina cienie wołów. Wszyscy czekają na sąd. Oto na podwyższeniu wznosi się trybunał, gdzie siedzą trzej królowie: Minos, Ajakos i rudy Radamantys. Niegdyś sprawiedliwie panowali na ziemi, a po śmierci wola Dzeusa ustanowiła ich sędziami podziemia. Przed nimi stają dusze, a oni ważą ich błędy i dobre uczynki. Po wyroku cienie odchodzą tam, gdzie im przeznaczono pozostać na zawsze.

Przez wiele krętych dróg, przez moczary i bagna, przez jeziora zastygłe i pustynie tchnące siarką idzie się do zamku pana tych włości Hadesa. Dookoła jeżą się strome skały. Pałac otaczają mury obronne trzykrotnym kręgiem. Pod murami płynie strumień ognisty, Pyriflegeton. Olbrzymia brama wspiera się na kolumnach diamentowych tak mocno, że żaden z bogów nie ruszyłby jej z zawiasów. Ponad nią dźwiga się żelazna baszta. W przestronnej, czarnej sali stoi złoty tron, a na nim zasiada bóg Hades w zębatej koronie na głowie, z berłem w prawej dłoni, obok swojej małżonki, Persefony. Spiżowe ściany powtarzają głuchym echem wieczny płacz i jęki pokutujących w Tartarze.

Tam właśnie, pod zamkiem Hadesa, jest ów złowrogi Tartar, miejsce najsroższych

każni dla zbrodniarzy. Straż trzymają Erynie, trzy potworne siostry. Uosobienie srogich i nieustępliwych wyrzutów sumienia, ścigają złoczyńców na ziemi i w piekle. Ich czarne szaty rozwiewają się w locie jak skrzydła nietoperza. Z warg sinych spływa im piana, a oddech mają tak zatruty, że któreśdy przelecą, tam przestają rosnać kwiaty i zioła i rodzą się choroby. Uzbrojone w węże jadowite i płonące pochodnie, uganiają po Tartarze pilnując, by każdy godnie wypełniał włożoną nań karę. Pomagają im w tym kery, istoty piekielne. Wiecznie spragnione krwi ludzkiej, wydostają się na ziemię, ilekroć postyszą odgłos wojny. Gdy żołnierz pada ranny, rzucają się nań, wpijają mu w ciało pazury, chłepcą gorącą posokę, póki dusza z niego nie wyjdzie. Stąd również wychodzi na świat demon Eurynomos, który pożera ciała umarłych, póki nie zostaną z nich nagie szkielety. Malarz Polignotos, w jednym ze swych obrazów, dał mu barwę ciemnobłękitną, jak u much żywiących się ścierwem.

Komu trzech sędziowie przyznają, że żył sprawiedliwie, ten odjeżdża na Wyspę Błogosławionych. Za zbliżaniem się do tej krainy wiecznej szczęśliwości ogarnia duszę już z daleka cudownie miłe i wonne powietrze, w którym czuć zapach róż, narcyzów, hiacyntów, lilij, fiołków, mirtu, wawrzynu i kwiatu winnego. Płyną tam rzeki jak kryształ przezroczyste, łagodne wietrzyki potrząsają z lekka lasem, a w potrącanych gałązkach dźwięczy bez ustanku czarowna pieśń, niby miękkie tony zawieszonych gdzieś piszczałki. Pośrodku wyspy jest miasto błogosławionych, całe ze złota, obwiedzione dokoła murem szmaragdowym. Bruk w mieście z kości słoniowej, a wszystkie świątynie bogów z berylu, ołtarze zaś z olbrzymich głazów ametystu. Dokoła miasta płynie rzeka wonnych olejków. Mieszkańcy tej krainy, nieuchwytnie i nikłe postacie, ubrane w szaty z purpurowej pajęczyny, nie starzeją się nigdy i chodzą spokojni wśród wiecznie trwających jasności zorzy porannej. Panuje tam wieczna wiosna. Kwiaty łąk i cieniste drzewa nigdy nie więdną; winne latorośle dojrzewają co miesiąc, a pszenica rodzi już upieczone bochenki chleba. W tej rozkosznej krainie życie upływa na biesiadach, przechadzkach i zabawach. Miejsce biesiad leży na tzw. Polu Elizejskim. Jest to prześliczna łąka, otoczona gęstym lasem przeróżnych drzew rzucających cień na biesiadników, gdy leżą na sofach z kwiatów. Dokoła sali biesiadnej stoją olbrzymie drzewa z najprzeźroczystszego kryształu, a rosną na nich czarki z winem rozmaitego kształtu i wielkości. Słowiki i inne śpiewaki leśne, unoszące się ponad nimi, zasypują ich, niby śniegiem, kwieciem, które

zbierają swymi dzióbkami na sąsiednich łąkach.

U schyłku starożytności filozof Porfiriusz w podniosłym hymnie tak jeszcze przemówił do dusz stojących na progu zaświatów:

*Oto się już pozbyłeś ciała i nieśmiertelną
Duszę wyrwałeś z grobu, by wejść do świata dajmonów:
Wdzięk tu panuje i piękno, miłość i luba tęsknota
Pełna czystego wesela, bo ambrozyjskie ją zdroje
Sycą wciąż z boskiej krynicy i eter słodki owiewa.
Idziesz, gdzie siedzą dwaj bracia, Dzeusa złote potomstwo
Minos i Radamantys, a z nimi i Ajakos prawy.
Tutaj moc święta Platona i Pitagoras cudowny,
Tutaj radość wieczysta, tu już wśród świętych dajmonów
Zżujesz z swej duszy więzy bolesnych żywotów...*

Takie miejsce spotkania wielkich ludzi marzyło się Sokratesowi, mówił o nim Platon, opiewał je Wergili w *Eneidzie*, a po wiekach Dante odnajdzie to ustronie spokoju i ciszy, gdzie przebywają poeci i myśliciele starożytni.

Ale wróćmy raz jeszcze do podziemia. Dowiemy się tam dziwnej historii Orfeusza i Eurydyki.

Orfeusz był królem-śpiewakiem Tracji, jak król Wenedów u Słowackiego. Tylko że nie był stary. Był młody i bardzo piękny. Śpiewał i grał na lutni tak pięknie, że wszystko, co żyło, zbierało się dokoła niego, aby słuchać jego pieśni i grania. Drzewa nachylały nad nim gałęzie, rzeki zatrzymywały się w biegu, dzikie zwierzęta kładły się u jego stóp — i wśród powszechnego milczenia on grał. Był po prostu czarodziejem i za takiego uważały go następne pokolenia, przypisując mu wiele rozmaitych dzieł, w których wykładał zasady sztuki czarnoksięskiej.

Żoną jego była Eurydyka, nimfa drzewna, hamadriada. Kochali się oboje bezprzykładnie. Ale jej piękność budziła miłość nie tylko w Orfeuszu. Kto ją ujrzał, musiał ją pokochać. Tak właśnie stało się z Aristajosem. Był to syn Apollina i nimfy Kyreny, tej, co lwy jedną ręką dusiła — bartnik zawołany, a przy tym dobry lekarz i właściciel rozległych winnic. Zobaczył

raz Eurydykę w dolinie Tempe. Cudniejszej doliny nie ma w całym świecie, a Eurydyka wśród łąk zielonych, haftowanych kwieciami różnymi, wydawała się jeszcze bardziej uroczy. Aristajos nie wiedział, że ona jest żoną Orfeusza. Inaczej byłby, oczywiście, został w domu i starał się zapomnieć o pięknej nimfie. Tymczasem zaczął ją gonić. Eurydyka uciekała. Stało się nieszczęście: ukąsiła ją żmija i nimfa umarła.

Biedny był wówczas Orfeusz, bardzo biedny. Nie grał, nie śpiewał, chodził po łąkach i gajach i wołał: "Eurydyko! Eurydyko!" Ale odpowiadało mu tylko echo. Wtedy ważył się na rzecz, na którą nie każdy by się ważył: postanowił pójść do podziemia. Wziął ze sobą tylko swoją lutnię czarodziejską. Nie wiedział, czy to wystarczy, ale nie miał żadnej innej broni. Jakoż wystarczyło. Charon tak się zasłuchał w słodkie tony jego muzyki, że przewiózł go za darmo i bez oporu na drugi brzeg Styksu; Cerber, nawet sam Cerber nie szczekał! A kiedy stanął Orfeusz przed władcą podziemia, nie przestał grać, lecz potrącając lekko struny harfy, skarżyć się zaczął, a skargi układały się w pieśni. Zdawało się, że w królestwie milczenia zaległa cisza większa i głębsza niż zwykle. I stał się dziw nad dziwy: Erynie, nieubłagane, okrutne, bezlitosne Erynie płakały!

Hades oddał Orfeuszowi Eurydykę i kazał ją Hermesowi wyprowadzić na świat z powrotem. I jedno jeszcze powiedział: Eurydyka iść będzie za Orfeuszem, za nią niech kroczy Hermes, a Orfeusz niech pamięta, że nie wolno mu oglądać się poza siebie. Poszli. Droga wiodła przez długie, ciemne ścieżki. Już byli prawie na górze, gdy Orfeusza zdjęło nieprzewyciężone pragnienie: spojrzeć na żonę, bodaj raz jeden. I w tej chwili utracił ją na zawsze. Hermes zatrzymał Eurydykę w podziemiu, Orfeusz sam wyszedł na świat. Próżno się wszędzie rozglądał: nigdzie jej nie było. Nadaremnie dobijał się do bram piekieł: nie wpuszczono go po raz wtóry.

Orfeusz wrócił do Tracji. Skargami swymi napełniał góry i doliny. Pewnej nocy trafił na dziki, rozszalały orszak bakchiczny i obłąkane menady rozerwały jego ciało na sztuki. Głowa spadła do rzeki i mimo że była już zimna i bez życia, jeszcze zmartwiały ustami powtarzała imię Eurydyki. Popłynęła aż do morza i zatrzymała się na wyspie Lesbos. Tu ją pochowano i na jej grobie powstała wyrocznia. Muzy, którym Orfeusz wiernie służył przez całe życie, pozbierały rozrzucone jego członki i pogrzebały je u stóp Olimpu.

Inny był los Aristajosa, który stał się przyczyną śmierci Eurydyki. Był to jeden z

tych dobroczynnych przewodników, jacy trafiali się ludzkości w początkach jej bytu. Nauczył ludzi bartnictwa, uprawy winorośli i oliwki, pokazał, jak przyrządzać miód do picia i mleko zsiadłe. Wędrując po świecie miał wiele przygód, złych i dobrych, wreszcie osiadł samotnie w górach, ale pewnego dnia znikł bez śladu. Po jakimś czasie znów się pojawił w innych stronach i tak samo znikł, aby po trzystu latach objawić się w italskim Metaponcie. Zdaje się, że za zezwoleniem Hadesa miał on dar uciekania ze swojego ciała i powracania do niego, ile razy chciał, a w przerwie między jednym a drugim życiem ludzkim jego dusza biegła w postaci jelenia. W końcu znalazł świetlisty spokój wśród gwiazd, gdzie jako Wodnik jest jednym z dwunastu znaków Zodiaku.

Hades, tajemniczy bóg, rzadko pojawiał się na ziemi. Zresztą miał czarodziejską czapkę z psiej skóry, która go czyniła niewidzialnym. Wiedział, że jego widok nie może być miły ani ludziom, ani bogom. W biesiadach olimpijskich nie brał udziału. Czcili go Grek każdy, ale w trwodze i w milczeniu. Starano się nigdy nie wymawiać jego imienia. Oddawano mu hołdy lękliwe, jak gdyby po kryjomu, po jaskiniach i pieczarach, w których pachniało siarką. Zabijano mu na ofiarę barana o czarnym runie. Krew spuszczano do otworu w ziemi, a resztę zwierzęcia palono w całości, by ktoś, zjadłszy kęs tego mięsa, nie poddał się mimowolnie pod władzę króla piekieł. W Elidzie miał świątynię, którą otwierano tylko raz w roku, i jedynie kapłan mógł tam wchodzić. Poza tym nie budowano mu sanktuariów ni ołtarzy. Ludzie woleli, aby o nich raczej zapomnieli. Dopiero około wieku V przed n. e., pod wpływem misterii eleuzyjskich, w których go czczono na równi z Demetrą i Persefoną, groźna postać Hadesa nieco wyszlachetniała. Zaczęto mu dawać nowe imię: Pluton, czyli rozdawca bogactw. Stał się jednym z bóstw urodzaju, które sprawia, że ziarano, rzucone na ziemię, nie marnieje, lecz rozwija się czerpiąc soki z wnętrza gleby. Przemienił się we wcielenie sił ukrytych, rządzących śmiercią i zmartwychwstaniem. Hades pojawia się w sztuce greckiej jako majestatyczny król siedzący na tronie z koroną na głowie i z berłem lub widłami w ręce. U stóp władcy łąsi się wierny pies, Cerber. Często obok męża siedzi na tronie Persefona trzymająca pochodnię.

BÓSTWA DOLI I SPRAW LUDZKICH

Eirene (Pax)

Były trzy hory, córki Dzeusa i Temidy: Eunomia — Praworządność, Dike — Sprawiedliwość i Eirene — Pokój. Ta ostatnia była szczególnie czczona w Atenach, gdzie Kimon wystawił jej ołtarz, a później obchodzono jej święto w 16 dniu miesiąca Hekatombajon, czyli z początkiem sierpnia, bardzo uroczyście i z wielu ofiarami. Spełniano je koło posągu bogini, który był dziełem rzeźbiarza ateńskiego Kefisodotosa, ojca Praksytelesa. Artysta przedstawił ją w postaci dojrzałej kobiety trzymającej na ręku roześmiane dziecko — bożka bogactwa, Plutosa; była to jakby ilustracja do słów Pindara, który w jednej ze swoich ód nazywa Eirene "matką bogactwa i czarów wiosny". Jej imieniem ozdobił Arystofanes jedną ze swoich najpiękniejszych komedii, poświęconą pochwalę pokój. Eirene, w zmienionej wymowie, trwa do dziś w imieniu Ireny.

Rzymianie przejęli ją od Greków i czcili pod łacińską nazwą Pax. Pierwszy Cezar poświęcił jej w Rzymie ołtarz, jego następca, August, szczególnie otoczył ją czcią, a zbudowany przez niego olbrzymi ołtarz, Ara Pacis, zachowany w licznych fragmentach, należał do najpiękniejszych pomników na Polu Marsowym. Cesarz Wespazjan wznosił jej świątynię, słynne Templum Pacis, gdzie uczeni odbywali zebrania naukowe, jakby pod skrzydłami pokoju. Na medalach i monetach rzymskich bogini Pax pojawia się z rogiem obfitości i różdżką oliwną.

Hymen

Hymen albo, jak go często zwano, Hymenajos, nie urodził się bogiem, lecz był najpierw człowiekiem, a dopiero po śmierci wdzięczność Ateńczyków otoczyła jego pamięć czcią boską. Zdarzyło się bowiem pewnego razu, że rozbójnicy porwali kilka dziewcząt ateńskich. W całym mieście panowała okrutna żałoba, gdyż panny miały właśnie wyjść za mąż i wszystko już przygotowano do uroczystości ślubnych. Ale jak nagle znikły, tak niespodziewanie wróciły, a przywiódł je właśnie ów Hymenajos, szlachetny i dzielny młodzieniec, który je wyratował z rąk korsarzy. Wśród

powszechnej radości odbyły się wesela tych panien. Ateny trzęsły się od okrzyków: "O, Hymen, o Hymenaje!" Odtąd zawsze tym wołaniem odprowadzano do domu nowożeńców.

Hymena przedstawiają jako piękne, długowłose pacholę o kształtach miękkich, delikatnych, niemal kobiecych. W ręce trzyma pochodnię, wieniec lub berło.

Hypnos

Hypnos, syn Nocy, bliźni brat boga śmierci, jako pan snu ma władzę nad ludźmi i nad bogami; jedni i drudzy muszą mu ulec, gdy zleci nad nimi i rozsieję senne znużenie.

Sen mieszka na ostatnich krańcach zachodu, dokąd nigdy nie docierają promienie świtu. Nad całą okolicą wznoszą się gęste mgły. Wielkiego milczenia nie przerywa żaden zwierz swym głosem ani ptak szelestem skrzydeł. Tylko cichy szmer Rzeki Zapomnienia szepce usypiającą pieśń. Tam właśnie jest jaskinia, w której mieszka Hypnos. Przed wejściem do pieczary kwitną maki i niezliczone zioła, z których soku Noc wyciska uśpienie. Nie ma tam drzwi, aby skrzypieniem snu nie płoszyły, nikt nie pilnuje samotnego domu. Pośrodku grotty stoi hebanowe łożo, pokryte najbardziej miękkim puchem. Na nim śpi bożek snu, Hypnos. Dookoła niego leżą senne marzenia, naśladujące rozmaite kształty, i jest ich tyle, ile ziarn piasku na wybrzeżu morskim.

Hypnos pojawia się w sztuce jako młodzieniec łagodnie uśmiechnięty; zwykle w ręku trzyma kwiaty maku, czasem zaś ma skrzydła u ramion lub u kapelusza, jak Hermes.

Mojry (Parki)

Grecy wierzyli, że ponad światem bogów istnieje Przeznaczenie, któremu cały Olimp musi ulegać. Nawet bogowie nie potrafią człowieka

wybawić od śmierci wbrew woli przeznaczenia. Lecz mitologia grecka jest jednym splotem cudów, nie dziw więc, że i w tej mierze bywają wyjątki i że bogowie zwycięsko opierają się przeznaczeniu, któremu powinni być bezwzględnie posłuszni. Te wierzenia, z początku dość niejasne, ukształtowały się w podaniu o trzech Mojrach.

Mojry są córkami Nocy i nazywają się: Kloto, Lachezis, Atropos. One to przędą nić żywota ludzkiego, którą w końcu najstarsza z nich, nieubłagana Atropos, przecina w godzinę śmierci. Platon wyobrażał je sobie jako potęgi wyższego porządku świata: siedzą w niebie, na tronie, w białych szatach, z wieńcami na głowach, zajęte pracą przędzenia przy dźwiękach harmonii sfer.

Od nich zależało życie ludzkie: wzywano je przy urodzeniu dziecka, państwo młodzi składali im ofiarę w dzień ślubu, a jeźdźcy czynili im obiady przed wyścigami. Widziano w nich strażniczki ładu panującego we wszechświecie i w stosunkach ziemskich. Miały swoje ołtarze i świątynie, w ofierze dawano im owoce, wodę zmieszaną z miodem i kwiaty — jak bóstwom ziemi. Rzadko natomiast spotykamy ich posągi. Wyobrażano je w sztuce jako niewiasty poważne, z kądzielą w ręce, z wagą albo zwojem papiirusu, na którym piszą nieomyłne słowa przeznaczenia.

Surowe te prząśniczki przetrwały starożytność i w niezmienionej postaci, pod tym samym imieniem, żyją do dziś w wyobraźni ludu greckiego. Owszem, czego nam nie dopowiedzieli o nich pisarze starożytni, to odnajdziemy w żywej tradycji chłopów współczesnej Hellady. Grecy dzisiejsi opowiadają, że Mojry, stare, pomarszczone kobiety, zawsze czarno ubrane, przebywają wśród wierchów Olimpu albo też kryją się w tajemniczych jaskiniach. W trzecią noc po urodzeniu się dziecka przychodzą do domu, stają nad kołyską i wypowiadają los, jaki będzie rządził życiem nowego człowieka. Czasem, na znak swej bytności, zostawiają na jego czole znamię. Chcąc je dobrze usposobić, trzeba im złożyć ofiarę: kładzie się przy noworodku wino, trzy kromki chleba, ciastka i pieniądze. Jeśli Mojry to wezmą, znak, że dziecko będzie szczęśliwe. Raz matka obudziła się w chwili, gdy do pokoju weszły Mojry, i postyszała, jak jej córeczce hojnie wróżyły. Pierwsza dała jej piękność anielską, druga

powiedziała, że gdy się dziewczę zaśmieje, dwie róże pachnące spadać będą z jej policzków, a trzecia, że gdy zapłacze, z oczu jej sypać się będą perły. Ale nie trzeba Mojra ani podpatrywać, ani podsłuchiwać, gdyż osoby boskie lubią wchodzić i wychodzić potajemnie. Najlepiej dziecko położyć w pustym pokoju i tylko drzwi zostawić otwarte: czasem bowiem Mojry zmieniają swą postać i zjawiają się jako czarny kot. Dziewczęta posyłają niańki, aby w grocie poświęconej Mojrom zostawiły w ich imieniu ciastka i miód: boginie, zjednane darem, sprawią, że dziewczyna prędko wyjdzie za mąż i będzie szczęśliwa w małżeństwie. Taka jest wiara w odwieczne Mojry w dzisiejszej Grecji.

Nemezis

Jest to jedna z najstarszych personifikacji w mitologii greckiej. Imię jej pochodzi od słowa: nemein — udzielać. Była ona więc siłą boską, która udziela człowiekowi jego doli, czuwa, żeby nie wyszedł z granic swego losu, nie sięgnął po większy udział szczęścia. Można ją po polsku nazwać Dola, co znaczy to samo, i Wyspiański mówi nieraz o Doli jako o bóstwie.

Grecka mądrość nakazywała umiarkowanie w słowach, czynach i pragnieniach. "Nic nadto!" — brzmiała jedna ze złotych myśli siedmiu mędrców greckich. Kto się wynosi ponad innych, dufny w swe siły i powodzenie — tym samym urąga bóstwu i prędzej czy później spadnie nań kara. Przykładów tego jest sporo w bajecznych opowiadaniach, a nie brak ich i w historii. Dość wspomnieć króla Polikratesa ze Samos lub Krezusa — obaj po dniach szczęścia i dobrobytu skończyli nędzną śmiercią.

Nemezis była mścicielką zbrodni, a zwłaszcza prześladowała tych, co dopuścili się pohańbienia grobów. W życiu codziennym obawiano się jej bardzo. Kto chciał odwrócić od siebie złe spojrzenie zawistnej bogini, splotował trzykrotnie.

Najsławniejsza jej świątynia stała w Ramnus, małej miejscowości na wybrzeżu Attyki, niedaleko Maratonu. Obchodzono tam święta doroczne, połączone z zawodami atletów i przedstawieniami teatralnymi. W tej

świątyni znajdował się posąg Nemezis, który podobno wykonał Fidiasz. Wysoki na kilka metrów, był cały z jednego kawału paryjskiego marmuru, a przedstawiał boginię w pozycji stojącej z gałęzią jabłoni w lewej i z czarą w prawej ręce. Dziwne były losy tego posągu. Persowie, wyruszając na podbój Grecji, wieźli ogromny złom pięknego białego marmuru, aby zeń wykuć pomnik zwycięstwa. Stało się jednak inaczej. Po klęsce zadanej Persom pod Maratonem znaleźli Ateńczycy ów marmur, a dowiedziawszy się o jego przeznaczeniu, oddali go rzeźbiarzom. W pobliżu Maratonu, w Ramnus patrzącym na morze, które dzieli i łączy zarazem Azję i Europę — stanął ów monument, posąg bogini karzącej zuchwałość, dla Aten jako pomnik zwycięstwa, dla Persów pamiątka hańby.

Nike (Wiktoria)

Bogini zwycięstwa jest późniejszym tworem poetyckiej wyobraźni Greków. Homer jeszcze jej nie zna, dopiero Hezjod podaje jej rodowód. Odtąd Nike, córka tytana Pallasa i bogini podziemnej rzeki Styks, wchodzi do mitologii greckiej. Czarnowłosa dziewica ma wielkie skrzydła u ramion. Towarzyszy bitwom i zawodom szermierzy, spełnia ofiary po odniesionym zwycięstwie, leci nad ziemią z wieścią o szczęśliwie zakończonej wojnie, trąbą głosząc triumf bohaterów. Szczególnie umiłował ją Aleksander Wielki, który stawiał ołtarze Nike na wszystkich etapach swego zwycięskiego pochodu. Wszyscy późniejsi królowie uświetniali swoje pomniki tą cudowną skrzydlatą postacią.

Jeden z takich posągów greckiej Nike sprowadzono do Rzymu i pod łacińskim imieniem Wiktorii cesarz August umieścił go w senacie. Bogini stała na kuli wyobrażającej glob ziemski, w wyciągniętej prawicy trzymała wieniec, w lewej zaś dłoni gałąź palmową. Przed rozpoczęciem obrad senatorowie zbierali się dookoła posągu i na ołtarzu składali ofiarę z kadzideł i wina. "Dziewicza stróżka cesarstwa" była w oczach Rzymian uosobieniem nieodpartej potęgi i przeznaczeń Rzymu, zwłaszcza odkąd posąg cudem ocalał, nie tknięty płomieniem podczas pożaru za Nerona.

Dopiero cesarze chrześcijańscy kazali go usunąć z senatu, ku wielkiej zgryzocie wiernych tradycji Rzymian, którzy widzieli w tym niechybny koniec Romy.

Tanatos

Tanatos, syn Nocy, zlatuje na czarnych skrzydłach, wchodzi niepostrzeżony do pokoju i złotym nożem odcina konającemu pukiel włosów. W ten sposób, niby kapłan umarłych, poświęca człowieka na ofiarę bóstwom podziemnym i na zawsze odrywa od ziemi. Raz spóźnił się i spotkała go niemiła przygoda.

Oto król tesalski Admetos umierał. Apollo, który po wygnaniu z Olimpu służył u niego czas jakiś za pasterza, chciał mu uratować życie. Poszedł do piekła i wziął od bogów podziemnych obietnicę, że Admet nie umrze, jeśli kto inny za niego się poświęci. Rodzice Admeta byli starzy, a jednak, gdy im powiedziano, żeby się oddali śmierci dla uratowania syna, nie chcieli — ani ojciec, ani matka. Nikt również ze służby nie myślał dobrowolnie rozstać się ze światem, który ogrzewa jasne słońce. Zgodziła się natomiast młoda żona, Alkestis. Życzenie jej natychmiast zostało wysłuchane. W miarę jak Admetos krzepł coraz więcej i dźwigał się z łoża boleści, ona marniała. Lada dzień spodziewano się posłyszeć szmer skrzydeł Tanatosa. Wreszcie Alkestis umarła.

Właśnie koło domu Admeta przechodził Herakles; szedł po konie Diomedesa i szukał noclegu. Admetos, aby nie psuć gościowi humoru, nie zdradził żalosnej tajemnicy. Owszem, zastawił dlań ucztę i po kryjomu kazał pochować zmarłą. Bohater jadł i pił za czterech, a podchmielony zaczął hałasować, śpiewać i tańczyć. Wtedy zgorszona służba powiedziała mu smutną prawdę. Herakles pobiegł do grobu i przyszedł w chwili, gdy Tanatos zbliżał się do świeżej mogiły, aby zabrać duszę zmarłej królowej. Herakles chwycił boga śmierci w swe potężne ramiona i mówił, że nie puści, póki mu ten nie odda Alkestis całej i zdrowej. Cóż miał począć Tanatos? Zląkł się olbrzyma. Przecież pamiętał, jak on samego Plutona zranił w Hadesie. Odszedł tedy smutniejszy niż kiedykolwiek, a Herakles

odprowadził do domu wróconą do życia Alkestis.

W jednej Sparcie miał Tanatos własną świątynię. Poza tym nie kwapiono się z okazywaniem mu czci zbyt głośno. Starano się nawet nie wypowiadać jego imienia. Malowano go na urnach, które dawano zmarłym do grobu, a posągi jego ustawiano na mogiłach. Zrazu wyobrażany jako piękny, silny mężczyzna, zmienił się następnie w chłopca podobnego do Erosa. Ma skrzydła u ramion i pochodnię w ręce; stoi cichutki i smutny z pochyloną głową, jakby opłakiwał nieboszczyka, nad którym mu czuwać kazano.

Temida

Temis albo, jak my ją dziś nazywamy, Temida, była jednym z najstarszych bóstw, córką Nieba i Ziemi. Zanim Dzeus pojął w małżeństwo Herę, Temida była jego żoną i wtedy urodziła mu trzy piękne córki: wesole, kwitnące boginki pór roku, hory, które strzegą złocistych bram Olimpu. Nawet i potem, gdy się już rozstali, Temida była najzaufańszą powiernicą Dzeusa, który przed nią nie miał żadnych tajemnic.

Była to bowiem bogini mądra i doświadczona. Patrzyła na wiele rzeczy zakrytych przed oczyma reszty bogów, których jeszcze nie było na świecie, gdy ona już na nim królowała. Uważano ją za boginię sprawiedliwości, obyczaju i porządku i stawiano jej ołtarze w miejscach zgromadzeń ludowych, aby swą obecnością ożywiała narady w duchu dobra i prawości. Nazywano ją wybawicielką i ucieczką uciśnionych, gdyż na równi z Dzeusem czuwała nad tym, aby nie wyrządzano krzywdy ludziom biednym i potrzebującym pomocy.

W wielu miastach greckich miała świątynie, często w pobliżu świątyń Ziemi lub Demetry. Pojawia się na pomnikach jako surowa postać niewieścia z rogiem obfitości, a tradycyjnie przedstawia się ją do dziś z zawiązanymi oczyma; w jednej ręce trzyma miecz, w drugiej wagę.

Tyche (Fortuna)

Sprzeczne podawano wiadomości o jej pochodzeniu. Jedni uważali ją za siostrę nereid, uroczych boginek morskich, drudzy za córkę Prometeusza, jeszcze inni za córkę samego Dzeusa. Było to już poniekąd zwyczajem w mitologii greckiej, że w wątpliwych wypadkach zawsze Dzeus, pospólny rodzic bogów i ludzi, uchodził za ojca. Tyche była boginią szczęścia — czczona w wielu miastach, które chętnie uciekały się pod jej opiekę, sławiona przez poetów, wzywana w gorących modlitwach przez ludzi opuszczonych. Pod jej okiem okręty zdążają do bezpiecznej przystani, za jej sprawą wojna bierze obrót pomyślny i pokój wytrąca ludziom krwawy oręż z ręki.

Znaczenie jej urosło do niezwyklej potęgi, gdy upadła wiara w dawnych bogów. O niej to pisał Pliniusz w I wieku n. e.: "W całym świecie, we wszystkich miejscach i o każdej porze, wszystkich głosy samej tylko Fortuny wzywają i ją samą tylko wymieniają, oną oskarżają i winią, o niej myślą i chwala, oną samą tylko strofują i ze złorzeczeniami cześć jej oddają, wielu zaś poczytuje ją za skrzydlatą i ślepa, niestałą, płochą, zmienną, sprzyjającą niegodnym. Mówią, że wszystko od niej pochodzi..."

"Ślepa losów szafarkę", jak ją nazywa Naruszewicz, przedstawiano zwykle z rogiem obfitości i ze sterem, na znak, że jest dawczynią urodzaju i bogactwa, a jednocześnie kierowniczką losów ludzkich. Na głowie ma często diadem w kształcie murów obronnych, jako bóstwo opiekuńcze miast. Wiele bowiem z tych, które założyli Grecy po wyprawach Aleksandra Wielkiego w obcych i dalekich ziemiach, obierało sobie boginię Tyche za patronkę.

Rzymianie mieli własne bóstwa, podobne do Tyche — Fortunę, której kult w Rzymie sięgał czasów królewskich i rozwijał się w ciągu wieków: było kilkanaście jej świątyń pod różnymi wezwaniami, a za cesarstwa jeszcze się ten kult wzmógł i rozszerzył. August, po zakończeniu wojen na Wschodzie, ustawił jej ołtarz pod imieniem Fortuna Redux — dobrego powrotu — i corocznie 12 października odbywały się przy nim uroczystości dziękczynne z udziałem arcykapłana i westalek, z igrzyskami trwającymi osiem dni, zwanymi Augustalia.

BOHATEROWIE

Podania bohaterskie

Postacie podań greckich nazywamy bohaterami lub herosami. Zazwyczaj byli to synowie bogów urodzeni z kobiety śmiertelnej. Obdarzeni nadludzkim wzrostem i niepożytą siłą, kochali się w wojnach i wyprawach awanturniczych. Podejmowali wyjątkowe trudy i znoje dla całej ludzkości lub dla umiłowanego kraju czy miasta. Różnili się między sobą znacznie co do istoty i pochodzenia. Jedni (Dioskurowie, Helena) byli niegdyś samodzielnyimi bóstwami lub demonami, póki ich nie zepchnęły na bardziej podrzędne stanowisko nowe pojęcia religijne; drudzy noszą znamiona postaci historycznych (Minos, Tezeusz), których prawdy odgadnąć nie możemy; jeszcze innych zrodziła chełpliwa fantazja rodów szlacheckich, szukających wśród istot boskich swych najdalszych przodków. Osobno stoją eponymowie ludów, krajów, miast stworzeni wyobraźnią pospółstwa lub poetów dla wyjaśnienia nazw poszczególnych państw, plemion i osad. W końcu nie brak i czystych tworców poezji, nie związanych z tradycją ludową, powołanych do życia jakimś wierszem lub pieśnią.

Liczba greckich bohaterów, podobnie jak bogów, jest niezmierna. Zaludniają wszystkie morza, wyspy, miasta, góry, jaskinie, odwieczne zamki, prastare domostwa lub groby z zamierzchłych czasów.

Otocza ich niezwykle barwny krąg podań, które wikłają się i płaczą dokoła tych samych osób — wiecznie zmienne, niepewne, w setkach odmian, w każdej okolicy na inny sposób opowiadane, przez każde pokolenie wzbogacane nowymi szczegółami. W tworzeniu i rozszerzaniu podań wszyscy brali udział: piastunka zabawiająca dzieci bajką i wędrowny śpiewak, który chodził po miastach z pieśnią o bogach i bohaterach, i historyk szukający w legendach źródła pierwotnych dziejów. Gdzie był jakiś kamień dziwnego kształtu, gdzie obrzęd niezrozumiały, gdzie zwyczaj krajowy, którego znaczenia ni początku wyjaśnić sobie nie umiano, gdzie wspomnienie jakiegoś sporu o granicę dwóch państw sąsiednich — w tych wszystkich i tym podobnych wypadkach tworzono wnet podania i wprowadzano do nich nowych lub dawnych ulubionych bohaterów. Bohaterowie walczyli ze smokami, ustalali granice państw, nadawali im swoje imiona, budowali świątynie, zaprowadzali nowe obrzędy religijne, wznosili mury obronne miast, których byli

pierwszymi królami, szerzyli dalekie podboje, utwierdzali pokój, powaśnionych jednali z bogami, a po śmierci opiekowali się nadal swymi ziomkami i nieraz na ich grobach powstawały wyrocznie. Szczególnie doniosłą rolę w tym kształtowaniu legend odegrała poezja epiczna i dramat grecki. Gdy mniej więcej od VI—V wieku wysycha źródło tradycji ludowej, która odtąd prawie nic nowego nie tworzy, poezja opracowuje nagromadzony od wieków materiał podań i baśni, ubiera je w coraz nowe formy, powiększa je własnym natchnieniem, wielu postaciom nadaje rysy znamienne i nieśmiertelne. Epicy zbierają w jedną całość tzw. mity cykliczne, dotyczące jakiegoś jednego, szczególnie ważnego wydarzenia (np. wojna trojańska, wyprawa Argonautów), tragicy zaś zajmują się poszczególnymi jednostkami (Edyp, Medea, Orestes) i aby z luźnych gadek wydobyć postać całkowitą i żywą, wiążą ze sobą różnorodne podania, oświetlają je ogólnoludzką psychologią, stawiają na ruchliwym tle życia niby figury ze spiżu, wyrażające ból i smutek, zemstę lub poddanie się losowi. Dzięki tej pracy poetów greckich podania Hellady przeszły do wszystkich narodów cywilizowanych zapładniając ich sztukę i literaturę.

Herakles (Herkules)

Herakles (u Rzymian: Herkules) był synem Dzeusa i królowej Alkmeny. Ojciec, chcąc mu zapewnić nieśmiertelność, zabrał go raz do nieba i położył przy śpiącej Herze, aby chłopak mógł ssać pierś bogini. Hera jednak obudziła się i odtrąciła cudze dziecko. Kilka kropel jej mleka rozlało się po niebie i powstała z nich Mleczna Droga, a kilka spadło na ziemię i wyrosły z nich białe lilie. Hera nienawidziła Heraklesa i prześladowała go przez całe życie.

Kiedy miał dziesięć miesięcy, zdarzyło mu się po raz pierwszy okazać swą nadludzką siłę. Alkmena, wykąpowszy synów (bo miała jeszcze drugiego: Ifiklesa), ułożyła ich w tarczy spiżowej, która służyła za kołyskę. Dzieci już spały, gdy w połowie nocy Hera wysłała dwa potworne węże, by udusiły Heraklesa. Najeżone ostrymi łuskami, wpełzły do pokoju z przeraźliwym syczeniem, a z oczu ich bił ogień i z paszcz ciekła jadowita ślina. Wielka jasność rozgorzała w całym pałacu. Młodszy, Ifikles, z krzykiem uciekł. Herakles zaś chwycił obydwie potwory i zaczął je dusić. Przybiegła Alkmena, a za nią jej mąż, Amfitrion, z mieczem. Rozbudzona służba zapełniła pokój dziecinny. Wszyscy patrzyli w zdumieniu, jak mały Herakles gniótł węże, które wrychle martwe opadły na kamienną

posadzkę. Pokazując matce i ojczymowi zdławione gady, chłopak śmiał się z radości i skakał.

Herakles rósł zdrowo jak drzewo w sadzie. Amfitrion wcześniej zaczął go uczyć sztuki powożenia końmi i dobrał najlepszych mistrzów, aby go kształcili w zapasach, w strzelaniu z łuku i rzucaniu oszczepem, w całkowitym rzemiośle wojennym. Sypiał na twardym łożu, pod skórą dzikich zwierząt, a żywił się obficie mięsem i chlebem. Matka chciała, żeby nie zaniedbywał nauk, ale on nie miał zamiłowania do książek. Kiedy raz nauczyciel zaprowadził go do biblioteki i zachęcał do wybrania sobie któregoś z tomów, Herakles wziął książkę kucharską. Zgorzony pedagog zaczął go strofować, a porywczy chłopak tak się uniósł, że uderzył starego i zabił. Wtedy Amfitrion wypędził go z domu i kazał mu paść w górach stado wołów.

Herakles nie bardzo się tym zmartwił. Używał teraz swobody, jakiej nie znał przedtem. Rozrósł się okrutnie. Gdy był głodny, mógł zjeść całego wołu. Puchar do wina miał tak ogromny, że go dwóch ludzi nieść musiało. Mając lat osiemnaście zabił lwa i z jego skóry zrobił sobie okrycie. Lwi łeb nosił na głowie niby hełm. Bogowie go polubili, Hermes dał mu miecz, Apollo strzały, Hefajstos kołczan pięknej roboty, Atena pancerz. Herakles wyrwał w lesie drzewo oliwne z korzeniami i sporządził sobie potężną maczugę, z którą się nigdy nie rozstawał.

A właśnie wybuchła wojna. Bohater ruszył z pomocą królowi tebańskiemu, którego ziemię najechał nieprzyjaciel. Z garstką żołnierzy złamał szeregi wrogów i wrócił zwycięzcą. Król z wdzięczności dał mu swą córkę za żonę. Herakles przez kilka lat siedział w domu i bawił dzieci. Ale razu pewnego, gdy składał ofiarę przy ołtarzu, ogarnęło go nagle szaleństwo. Nie wiedząc, co czyni, porwał się z nożem ku żonie, zabił ją, a dzieci udusił. Skoro znów odzyskał rozum, poszedł do wyroczni delfickiej po radę, jak ma odpokutować swą zbrodnię. Pitia kazała mu iść do Myken i zaciągnąć się na służbę u króla Eurysteusa: co mu ten robić każe, ma wypełnić, póki nie dokona dwunastu prac. Herakles poszedł.

Ów Eurysteus był wielkim tchórzem. Ujrzawszy przed sobą tak potężnego siłacza zląkł się i, chcąc go się pozbyć, prędko wymyślił dlań robotę dość niebezpieczną, aby mógł być pewny, że bohater przyptaci ją życiem: kazał mu przynieść lwa z Nemei. Był to potwór okrutny, który zniszczył spokój cichych winnic podmiejskich. Pustoszył pola i porwał bydło pasterzom. Cała okolica jakby wymarła, a nawet nimfy ukryły się

głęboko w gąszczach. Herakles strzelał doń najpierw z łuku, ale było to nadaremne, ponieważ żelazo nie mogło przebić grubej skóry zwierza. Wtedy ruszył na niego z maczugą. Lew schronił się do jamy. Tam przyparł go Herakles i zdusił. Zdechłego lwa wziął na plecy i przyniósł do Myken. Eurysteus tak się przeraził, że na przyszłość zabronił Heraklesowi wchodzić do miasta, a dowody spełnianych prac kazał składać pod jego bramami. Mówią, że ze strachu sporządził sobie pod ziemią kryjówkę obitą spizem, z Heraklesem zaś porozumiewał się tylko przez herolda.

Teraz polecił mu zabić hydrę lernejską. Koło miejscowości Lerna, niedaleko Argos, rozlewały się szerokie bagniska otoczone ze wszech stron skałami. Brzegiem owych bagien przemykała się wąska ścieżka, którą musiał przejść każdy, kto zdążał z Argolidy do Lakonii. Tam właśnie osiadł ów płaz ohydny i czyhał na ludzi. Gdy mu zabrakło pożywienia, zapuszczał się między wsie okoliczne, rozszarpywał bydło i niszczył plony. Hydra była niezmiernie wielka i miała dziesięć głów, z których jedną, w samym środku, nieśmiertelną. Herakles przyjechawszy do Lernity zatrzymał konie i zaczął strzelać w głąb smoczej jamy. Rozjuszona bestia opuściła kryjówkę, a wtedy on chwycił ją za gardziel. Macki hydry oplotły się dokoła jego nogi, tak że musiał dobrze uważać, żeby nie upaść. Po długiej walce oberwał jej parę głów, ale to się na nic nie zdało, bo na miejsce jednej uciętej zaraz odrastały trzy nowe. Na pomoc hydrze przywłókł się olbrzymi rak, który Heraklesa boleśnie szczypał po nogach. Bohater rozgniół go obcasem i kazał swemu woźnicy, Jolaosowi, zapalić pobliski las. Gdy się to stało, Herakles na nowo ucinął hydrze jedną głowę po drugiej, a rany natychmiast wypalał i łby więcej nie odrastały. Na koniec wyrwał jej ową nieśmiertelną głowę, zakopał na polu i przywalił ogromnym głazem. Kadłub zaś rozciął i w żółci potwora zatruł swoje strzały. Wyszedł z tej walki strasznie pokąsany i całe ciało go piekło. Któryś z bogów poradził mu, aby poszukał sobie takiego ziele, które kształtem przypomina hydrę. Herakles znalazł to ziele i ozdrowiał.

Wtedy Eurysteus kazał mu sprowadzić do Myken łanię ceryntyjską. Było to bardzo piękne zwierzę, które miało złote poroże i racice ze spizu. Nikomu nie wyrządzało krzywdy, biegając sobie po górach Arkadii. Łania była ulubienicą Artemidy. Z tego powodu Herakles nie chciał jej ani zabić, ani zranić, i gonił ją przez cały rok. Na koniec

dopał jej w jakiejś gęstwinie i wzięwszy na ramiona ruszył z powrotem. Po drodze spotkał Artemidę, która mu chciała odebrać łanię. Ale jej nie dał, a kiedy zaczęła go lżyć, wytłumaczył jej, że robi wszystko z nakazu niedobrego Eurysteusa, i uspokoił rozgniewaną boginię.

Ledwo Herakles stanął u wrót Myken z ową łanią, gdy herold mu oznajmił, że ma znów ruszyć do Arkadii, gdzie w okolicach Erymantu pojawił się dzik, bardzo wielki, który zagraża ludziom i zwierzętom. Była wtedy zima. Herakles wypłoszył dzika z gęstwiny i tak długo pędził go po głębokim śniegu, aż zwierz padł omdlały. Wówczas dźwignął go na plecy i zaniósł Eurysteusowi.

Ale ten już obmyślił coś nowego: niechaj Herakles w jednym dniu oczyści stajnię Augiasza. Augiasz był królem Elidy i miał nieprzebrane stada bydła — samych wołów trzy tysiące. W stajniach zebrało się tyle nawozu, że wszyscy mieszkańcy Elidy nie mogliby tego uprzątnąć, gdyby się zabrali do roboty. Wobec tego pozostawiono wszystko, jak było: od trzydziestu lat nie wymiatano, chyba tak sobie, po wierzchu. Herakles poszedł, jak mu Eurysteus kazał, i obiecał Augiaszowi, że mu stajnię w jeden dzień oporządzi. Nic nie wspominał o tym, kto go posłał, lecz żądał dziesiątej części trzody jako zapłaty. Król zgodził się tym chętniej, iż rzecz wydała mu się niemożliwa do wykonania. Ale Herakles rozkopał z jednej strony grunt pod oborą i za pomocą osobnego kanału skierował niedaleko płynącą rzekę Penejos tak, że strumień przepływał przez stajnię i w kilka godzin woda wszystko wymyła. Niegodziwy Augiasz odmówił zapłaty, za co Herakles nawiedził kraj wojną i wiarołomnego króla zabił.

W Arkadii była miasto Stymfalos nad jeziorem tej samej nazwy. Okolica ludna i bogata zaczęła powoli marnieć i obracać się w pustkowie, odkąd w sąsiednim lesie zagnieździły się niesłychane roje ptaków, jakich świat nie widział: miały bowiem dzioby z żelaza i w skrzydłach pióra ostre, które mogły wyrzucać niby strzały z łuku. Żywiły się mięsem ludzkim. Gdy Eurysteus o tym się dowiedział, natychmiast posłał Heraklesa, żeby wytępił te szkarady. Ale ptaki siedziały w lesie i trzeba je było najpierw wypłoszyć. Bohaterowi przyszła z pomocą Atena i przyniosła mu cudowne grzechotki ze spizu, które dla niej wykonał Hefajstos. Herakles umieścił te grzechotki na wzgórzu pod lasem i okropnym grzechotaniem wystraszył

ptaki z gęstwiny. Przerażone latały po niebie, a on je niechybnymi strzałami po kolei uśmiercił.

Eurysteus nie posiadał się ze złości, że syn pięknej Alkmeny najtrudniejsze zlecenia wykonywa tak łatwo i bez żadnego dla siebie niebezpieczeństwa. Obawiał się przy tym, że Heraklesowi może kiedyś znudzić się niewola, a wtedy przyjdzie do Myken, strąci go z tronu, zabije i sam panować będzie. Ale Herakles wiedząc, że spełnia pokutę za dzieciobójstwo, był uległy i wykonywał każde zlecenie. Właśnie powrócił z Krety, niosąc na barkach olbrzymiego byka, którego Eurysteus żywcem kazał mu sprowadzić. I znów posłusznie ruszył w drogę po klacze króla Diomedesa.

Była to droga daleka, albowiem król Diomedes mieszkał na północy, w Tracji. Miał on czwórkę cudownych klaczy, które żywił mięsem ludzkim. Oszczędzając swoich poddanych, rzucał zwierzętom na pożarcie cudzoziemców przybywających do jego kraju. Herakles wpadł jak burza do pałacu, powalił straż i wyprowadził konie ze stajni. Tymczasem nadbiegł król Diomedes na czele wojska. Bohater mocno w garści ścisnął maczugę, kilka razy puścił ją młyńcem i zbrojna zgraja uciekła. Na polu zostało mnóstwo zabitych, wśród nich sam król Diomedes.

Jeszcze nie otrzepał Herakles sandałów z prochu pól trackich, a już Eurysteus wysłał go po pas Hipolity. Hipolita była królową Amazonek, wojowniczego plemienia kobiet, które mieszkały na wybrzeżach Morza Czarnego. Amazonki wychowywały ze swego potomstwa tylko dziewczęta, chłopców zaś zabijały. Wypalały sobie prawą pierś, aby mieć więcej swobody w rzucaniu dzidą, lewą zaś karmiły dzieci. Utrzymywały się z grabieży i rozbojów. Ubierały się w skóry dzikich zwierząt, świetnie ciskały oszczepem i strzelały z łuku. Miały tarcze w kształcie półksiężyca i hełmy ozdobione piórami. Podobno takie same Amazonki widział na ziemiach polskich cesarz Otto i opowiadał o nich podróżnikowi arabskiemu z IX wieku, Abrahamowi, synowi Jakuba, który tę wiadomość w kronikach swoich umieścił.

Hipolita, jako królowa, nosiła na zbroi pas ozdobny, który otrzymała w darze od boga wojny Aresa. Ten właśnie klejnot zapragnęła posiadać córka Eurysteusa. Herakles zebrał garść zuchów i ruszył z nimi do kraju Amazonek. Hipolita, dowiedziawszy się o celu jego przybycia, zgodziła się

oddać pas, byle nie wszczynać wojny. Ale nienawistna Hera wzięła na siebie postać Amazonki i poszła nocą do obozu, gdzie pobudziła wszystkie kobiety, mówiąc, że jacyś cudzoziemcy porwali królową. W obozie Amazonek zawrzało. Uzbroiły się, dosiadły koni i zaczęły ścigać Heraklesa. Ów myśląc, że to podstęp, zabił Hipolitę, zdarł z niej pas i po zwycięskiej walce z Amazonkami odjechał.

Wylądował w Troi. Miastu groziło wielkie nieszczęście przez gniew Apollina i Posejdona. Przed rokiem dwaj bogowie przyszli do króla Laomedona i obiecali otoczyć Troję potężnymi murami za umówioną zapłatą. Kiedy jednak mury stanęły, Laomedon nie chciał zapłacić. Wówczas Apollo zesłał na miasto zarazę, a Posejdon smoka, który nagle wyłoniwszy się z morza sprowadził zalew i ludzi porywał z pola. Wróżbici orzekli, że chcąc kraj uratować od zagłady, król musi własną córkę wydać smokowi na pożarcie. Laomedon nie mógł się opierać żądaniu swoich poddanych i kazał dziewczynę przywiązać do skały nadmorskiej. Smok nie zdążył jeszcze jej zjeść, gdy Herakles zjawił się w Troi. Stanął przed królem i obiecał, że smoka zabije, jeśli dostanie cudowne konie, które Laomedon ma w swojej stajni. Zgodzili się. Herakles porąbał smoka i uwolnił królową. Ale kiedy niebezpieczeństwo minęło, Laomedon wypędził bohatera i nie dał mu koni. Herakles odjechał grożąc krzywoprzysięcy wojną. Tymczasem wrócił do Myken i oddał Eurysteusowi pas Hipolity.

Twardy pan nie pozwolił mu wypocząć, lecz kazał iść po woły Gerionesa. Herakles zwędrował całą Europę i przeszedł do Afryki, a na pamiątkę tego zdarzenia ustawił między dwiema częściami świata dwie skały, które odtąd nazywano "słupami Heraklesa" — dzisiejszy Gibraltar i Ceuta. Wreszcie odnalazł woły, których strzegł dwugłowy pies i siedmiogłowy smok. Herakles zabił psa i smoka, a bydło zabrał. Wtedy zjawił się sam Geriones. Był to olbrzym, który miał ciało nie jednego męża, ale trzech, a więc trzy głowy, trzy pary rąk i trzy pary nóg. Mógł walczyć od świtu do nocy bez zmęczenia, bo gdy jedno ciało ogarnęło znużenie, dwa inne były zdrowe i wypoczęte. Herakles położył go kilku strzałami. W Mykenach ofiarowano woły Gerionesa na ołtarzu bogini Hery, a Heraklesowi nie dano nawet kawałka mięsa, lecz natychmiast wysłano go

po złote jabłka.

Gaja podarowała Herze z okazji jej ślubu z Dzeusem śliczną jabłoń, która rodziła złote owoce. Hera zasadziła drzewo w ogrodzie bogów, na najdalszym zachodzie, gdzie dzień z nocą się spotyka, i kazała je pilnować trzem siostrą, Hesperydą. Na drzewie siedział stugłowy nieśmiertelny smok, mówiący wszystkimi językami ziemi. Herakles nie myślał walczyć ze smokiem. Zaszedł więc do Atlasa, jednego z tytanów, który trzyma na barkach firmament niebieski. Pozdrowił go grzecznie i prosił, żeby mu sam przyniósł owe jabłka, a on tymczasem zamiast niego dźwigać będzie niebo. Atlas się zgodził, poszedł i zerwał trzy złote jabłka, lecz gdy wrócił, nie chciał już wziąć na swe barki ciężkiego firmamentu mówiąc, że teraz sobie trochę odpocznie, a Herakles niech się potrudzi, bo mu z tym niebem gwiaździstym bardzo do twarzy. Bohater przeląkł się nie na żarty, gdyż wcale nie miał ochoty stać tak całe życie z ciężarem na plecach. Ale nie dał tego poznać po sobie mówiąc, że owszem, robota mu się podoba, tylko że, nieprzyzwyczajony do niej, źle ułożył firmament na ramionach i prosi, żeby mu go jeszcze przez chwilę Atlas pottrzymał. Dobroduszny olbrzym położył jabłka na ziemi i znów wziął na plecy sklepienie. Herakles bez słowa zabrał jabłka i odszedł.

W Mykenach Eurysteus szalał z radości. Wymyślił na koniec, w jaki sposób pozbyć się na zawsze Heraklesa. Niech sprowadzi Cerbera z piekła! Zatrokał się bohater i z tęsknotą spojrzął na słońce. Życ mu się jeszcze chciało, wypocząć trochę po trudach, a tu posyłają go na niechybną zagładę. Prędko jednak otrząsnął się z tych myśli. Przecież to już dwunasta praca — ostatnia. Spełni, co mu nakazano. Lecz wprawdzie chciał się przygotować odpowiednio na drogę. Udał się do Eleuzis i prosił, żeby go wtajemniczano w misteria.

Oczyściwszy się ze wszystkich grzechów przybył do miasta Tajnarus, gdzie było wejście do podziemia. Nie zwierzał się nikomu i nocą wśliznął się do zakłętej pieczary, która prowadziła do Hadesu. Zjawił się tak nagle, że na widok olbrzymiego męża z maczugą cienie, upiory i szkarady piekielne zaczęły uciekać. To mu dodało otuchy. Śmiało stanął przed Plutonem i powiedział, po co przychodzi. Bóg rozgniewał się i chciał uderzyć go berłem, ale Herakles prędko strzałę położył na cięciwie i dotkliwie zranił nieśmiertelnego. W podziemiu nie było lekarza, musiał

więc Pluton pojechać na Olimp, gdzie medyk niebieski opatrzył mu ranę. Tymczasem bohater odszukał Cerbera, który ze strachu zaszył się w najciemniejszy kąt Tartaru. Psisko broniło się rozpaczliwie, lecz Herakles trzymał je mocno, aż wyprowadził na światło dzienne. Wtedy Cerber spokorniał i tylko wył żałośnie, nieprzyzwyczajony oddychać powietrzem ziemi. Eurysteus schował się do piwnicy, gdy mu dano znać, że Herakles niesie Cerbera. Kazał mu powiedzieć przez herolda, żeby psa puścił i sam sobie szedł precz, bo już ukończył wszystkich prac dwanaście. Uwolniony Cerber jednym susem znalazł się w Tartarze i ze skomleniem przywarł do nóg Plutona, jakby prosząc, żeby go więcej nie wypędzano na świat, gdzie pali się takie jaskrawe słońce.

A Herakles, spełniwszy swoją pokutę, postanowił drugi raz się ożenić. Właśnie nadarzyła się po temu sposobność, gdyż pewien król, bardzo bogaty, ogłosił, że wyda swą jedynaczkę za tego, kto go przewyższy w strzelaniu z łuku. Herakles stanął do zawodów i zwyciężył. Ale bracia królowy nie chcieli mu oddać siostry. Mówili, że Herakles miewa czasem napady szału i znów mógłby pozabijać żonę i dzieci. Bohater tak się rozgniewał, że jednego z nich uśmiercił.

Za rozlanie krwi niewinnej bogowie nawiedzili go ciężką niemocą. Aby się wyleczyć, poszedł do Delf zasięgnąć rady wyroczni. Lecz Pitia nie chciała z nim mówić, co doprowadziło go do takiej wściekłości, że splądrował świątynię. Apollo stanął z nim do walki i nie wiadomo, jak by się skończył spór boga z olbrzymem, gdyby ich Dzeus nie rozdzielił piorunem. Na radzie olimpijskiej postanowiono oddać Heraklesa za karę na trzyletnią służbę do królowej Omfali.

Dziwna to była osoba. Miała piękne państwo, wielki dwór i niezmierne bogactwa, lecz wszystko u niej szło odmiennym porządkiem: kobiety harcowały na koniach i prowadziły wojnę, a mężczyźni pełnili wszelkie domowe posługi. Herakles więc musiał zrzucić okrycie z lwiej skóry i przywdziać szaty niewieście, a zamiast ukochanej maczugi dano mu kądziel do ręki i posadzono przy krosnach. Była to niewola cięższa i bardziej haniebna niż u Eurysteusa. Omfala przystroїła się w zbroję bohatera i na oczach całego dworu biła go pantoflem po gębie.

Gdy po trzech latach skończył się okres pokuty, Herakles ubrał się po dawnemu i opuścił pałac królowej bez pożegnania. Owiąło go szerokie powietrze ziemi, którą tyle razy wzdłuż i wszerz przemierzył — poczuł się na nowo zdrow i silny. Zakładał miasta, dusił potwory i zbójców wieszał na gałęziach. Oprócz Hery kochali go wszyscy bogowie. Atena osłaniała go nieraz swoją tarczą, Hermes wyprowadzał go z manowców na dobrą drogę. Dionizos zapraszał do stołu, przy którym lało się wino ciemnymi strugami. W jednym kraju zakochał się w cudnej królewnie i pojął ją za żonę.

Dejanira (bo tak nazywała się królewna) patrzyła na swego małżonka z zachwytem i podziwem. W istocie Herakles nie był podobny do innych ludzi. Długoletnie zmagania z potworami i olbrzymami spotęgowały jego wielką siłę i rozparły ciało w groźne kłębowisko mięśni. Podeszwy nóg tak stwardniały, że były grubsze i mocniejsze od sandałów. W biegu prześcigał dzikie kozy i jelenie. Był nieczuły na skwar i niepogodę. Skóra, wysmażona na wszystkich słońcach — pociemniała jak brąz. Biło od niego zdrowie szerokich pól, nocy przespanych pod niebem, tłustych ćwierci mięsa, którymi nasycił swój głód potężny. W płaszczu z lwiej skóry, ze wspaniałą grzywą włosów opadających na ramiona, z gwiazdami oczu błyszczących wśród gęstwy czarnego zarostu na ogorzałej twarzy — był piękny jakąś niesamowitą, pierwotną urodą.

Dejanira była przy nim drobna i maleńka. Brał ją co chwila na ręce, by nie utrudziła swych stóp na kamienistej drodze. A gdy przenosił ją przez głębokie strumienie, jego długa broda zanurzała się w wodzie i wówczas wyglądał niby bóg rzeczny, dobry i potężny. Tak wędrowali. Herakles chciał teraz założyć gdzieś własny dom, w którym mógłby odpoczywać, mieć jakiś kawałek ziemi, aby sadzić kapustę i wieczorami przy kielichu opowiadać sąsiadom swoje przygody. Kiedy stanęli nad pewną rzeką szukając brodu, spotkali centaury Nessosa, który ofiarował się przenieść na grzbiecie Dejanirę. Ale gdy Herakles oddalił się o kilka kroków, fałszywy centaur porwał kobietę i zaczął uciekać. Herakles strzelił doń z łuku i zabił. Nessos umierając rzekł do Dejaniry: "Jeżeli chcesz mieć niezawodny środek, aby na zawsze zachować dla siebie miłość twego męża, nabierz trochę mojej krwi, która jest w tych sprawach cudownym lekarstwem". W tej chwili Herakles zawołał z przeciwnego brzegu: "Co robisz tam tak długo? Pozostaw go, niech zgnije, i chodź do mnie". — "Idę już" — odkrzyknęła Dejanira i prędko schowała pod suknią flakonik z krwią Nessosa.

Dejanira była bardzo zazdrosna. Zdawało się jej, że każda kobieta jest niebezpieczną rywalką. Myliła się, oczywiście, albowiem Herakles kochał ją całym sercem. Chcąc być bardziej pewną wierności męża, postanowiła wypróbować centaurowe lekarstwo. Krew Nessosa wylała do

miednicy i wyprała w niej koszulę Heraklesa. Koszula zabarwiła się pięknym szkarłatem i Herakles ubrał się w nią, gdy szedł składać ofiarę Dzeusowi. Centaur się zemścił, zemścił się straszliwie. Jego krew była okrutnym jadem, który przesiąkł w ciało, wżarł się w nie i zaczął je trawić ogniem szalonego bólu. Herakles krzyczał i darł z siebie szaty, aż strzępy odpadały razem z kawałkami mięsa. Płakał. Ten olbrzym, który nie ugiął się pod najgroźniejszymi niebezpieczeństwami, który gniótł potworne cielska smoków i z bogami mógł walczyć zwycięsko — załamał się pod ciężarem niezmiernych katuszy, jakie nań sprowadziła słaba, kochająca niewiasta. Nie było już ratunku. Dejanira powiesiła się z rozpacz. A bohater zawlókł się na górę wysoką, sam sobie ułożył stos pogrzebowy, rozesał na nim skórę lwa, która mu dotąd wiernie służyła za okrycie, pod głowę podłożył maczugę i tak legł, aby żywcem spłonąć. Ledwie jednak pierwsze płomienie objęły bolesne ciało, rozległ się huk gromu i błyskawice zorały pociemniałe niebo. Wtedy przestał cierpieć. Podpłynęła ku niemu chmura i na niej, jak na statku powietrznym, odjechał do nieba. U wrót Olimpu czekała Iris z boginią zwycięstwa, Nike, aby mu włożyć wieniec na skronie. Dzeus zeszedł z tronu i wziął go w ramiona. Uczynił go nieśmiertelnym, a Hera, zapomniawszy gniewu, oddała mu za żonę swą córkę Hebe, boginię młodości. Niebiosa rozbrzmiewały przez całą noc wielką radością.

Herakles był ulubionym bohaterem greckim. Każdy kraj i nieomal każde miasto chciało się pochwalić, że bodaj przez dzień gościło na swej ziemi syna Alkmeny. Legendy o Heraklesie w swym nieprzebranym bogactwie oplotły cały świat helleński. Śpiewano o nim pieśni i pisano sztuki teatralne. Chwilami stawał się zażywnym pocziwcem, siłaczem jarmarcznym, z którego naśmiewano się w komediach. Ale jednocześnie kochano go więcej niż bogów, pamiętając, że był niegdyś człowiekiem. Stał się symbolem ludzkości pracowitej i cierpiącej, symbolem trudu i nieugiętej wytrwałości. Mickiewicz z niego wziął przykład, gdy w *Odzie do młodości* chciał pokazać ideał odwagi:

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze

*Ten młody zdusi Centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury.*

Poddany władzy niegodziwego tchórza ugiął twarde kark w niezachwianej pokorze. Był niewolnikiem swej nadludzkiej siły. Nieraz ciążyła mu straszliwa maczuga, na której przysychało tyle krwi niewinnej. Był nabożny i gdzie mógł, stawiał ołtarze i świątynie. Pełnił służbę bożą z wylaniem człowieka, który wciąż potrzebuje pomocy niebios. Był sprawiedliwy. Drogi, które tyle razy deptał swą potężną stopą, oczyszczał z łotrzyków i rabusiów. Był dobry. Srogie doświadczenia rozszerzyły mu duszę i otwały ją na różnorodność życia, zaprawiając słodyczą jego wrodzoną dobroć. Wśród pożogi i mordów, które szerzył, pozostał nieskalany, albowiem wszystko, co uczynił, czynił z nieubłaganej konieczności. Tępił wszelką nieprawość i okrucieństwo, marząc o dniu, w którym wilk widząc uspięne jagnię nie będzie śmiał wyrządzić mu krzywdy.

Po całym świecie greckim miał świątynie, ołtarze i posągi, na równi z bogami. Składano mu ofiary i wyprawiano na jego cześć igrzyska. Przedstawiano go jako silnego mężczyznę bądź nago, bądź w zbroi lub w lwiej skórze, narzuconej na gołe plecy. Poznać go łatwo po sękatej maczudze, którą trzyma w ręce. Poszczególne wypadki z jego życia były ulubionym tematem dla rzeźbiarzy ozdabiających fryzy, metopy i przyczółki świątyń.

Legendy ateńskie

Każde miasto w Grecji miało własne podania, obejmujące dzieje jego założenia i pierwszych władców. Ateńczycy opowiadali o sobie z dumą, że do kraju, który był ich ojczyzną, nie przywędrowali z daleka, lecz siedzieli tam od niepamiętnych czasów, gdyż praojcowie wyszli wprost z łona ziemi. Takim właśnie synem gleby attyckiej był pierwszy król, Kekrops, mający postać pół człowieka, pół węża. Zagospodarował się na Akropolu, którą otoczył murami i uczynił z niej warowną górę zamkową. Późniejsi władcy żyli w bojaźni bożej i budowali trwałe państwo. Bogowie schodzili na ziemię i opiekowali się swoimi ulubieńcami. Królowie uczyli się od Demetry

uprawy roli, od Dionizosa szczepienia winnej latorośli, a ich żony i córki chowały się pod okiem Ateny, która je kształciła w sztukach i robotach domowych.

Za panowania króla Pandiona wybuchła wojna z Tebami. Ateńczykom źle się wiodło, więc wezwali na pomoc króla Tereusa ze śnieżystej Tracji. Przybył i odniósł zwycięstwo. Pandion z wdzięczności dał mu za żonę swą córkę, Prokne. Małżonkowie odjechali do Tracji, gdzie żyli bardzo szczęśliwie, ciesząc się swym synkiem Itysem. Pewnego, dnia Prokne rzekła do męża: "Dobrze mi u ciebie, wszelako tęsknię za siostrą Filomelą. Pozwól, aby tu przyjechała". Tereus zgodził się i obiecał, że ją sam przywiezie. Ale w czasie podróży zakochał się Tereus w Filomeli i wyznał jej swoją miłość. Oburzona panienka zawołała, że gdy tylko staną na ziemi trackiej, natychmiast wszystko opowie siostrze. Wówczas niedobry Tereus uciął jej język. Przybiwszy do lądu wysadził ją gdzieś w lesie, a żonie skłamał, że siostra umarła.

Tymczasem Filomelą żyła sama jedna w leśnym domku. Nie mogąc nikomu zwierzyć swej tajemnicy utkała piękną szatę, wyhaftowała na niej całą swoją przygodę i posłała siostrze. Te wyszywane obrazki były tak wymowne, że Prokne bez trudu odgadła los Filomeli. Właśnie wypadły święta Dionizosa. Góry rozbrzmiewały spiżowym zgiełkiem cymbałów i śpiewami nocnymi. Prokne wyszła z pałacu w stroju bachantki, uwieńczona bluszczem. Z orszakiem kobiet wpadła do lasu i uwolniła Filomelę z więzienia. Potem oszalała i własne dziecko rozerwała na kawałki. Wieczorem kazała ugotować ciało syna i podała je Tereusowi. A gdy ów zapytał, gdzie jest Itys, odrzekła: "Masz go właśnie w ustach". I pokazała mu skrwawioną głowę chłopca. Bogowie zmienili Tereusa w dudka, Filomelę w słowika, a Prokne w jaskółkę. Król Pandion umarł ze zgrzyoty.

Po nim panował Erichonios, który, podobnie jak Kekrops, nie miał ani ojca, ani matki, lecz urodził się wprost z ziemi, niby kłos zboża. Do pasa miał postać ludzką, a zamiast nóg ogon węża. Tym dziwnym noworodkiem zaopiekowała się Atena, która włożyła go do kosza i kazała pilnować trzem dziewczynom: Aglauros, Herse i Pandrosos. Zabroniła im surowo otwierać kosz i zaglądać do wnętrza. Lecz panny były ciekawe,

więc uchyliły wieko, a ujrawszy tajemnicze monstrum, tak się przeraziły, że dostały obłędu. Rzuciły się ze skały Akropolis i umarły.

Erichtonios żył długo, doczekał się dzieci i wnuków. Wnuczkę Prokris wydał za królewicza tesalskiego Kefalosa. Był to dzielny łucznik i łowca niestrudzony, który z domu wychodził o świcie, a wracał późną nocą. Prokris w samotności snuła myśli smutne i podejrzliwe. Zdawało się jej, że Kefalos ją zdradza, albowiem niepodobna, żeby nad jej towarzystwo przenosił głuchy las i pola wilgotne. Postanowiła go śledzić i ukryła się raz w gęstwinie. Przekonała się naocznie, że podejrzlenia jej były niesłuszne, i już miała wyjść z ukrycia, aby przeprosić Kefalosa za swą nieufność, gdy wtem on, posłyszawszy szelest rozsuwanych gałęzi i przypuszczając, że to zwierz jakiś się zbliża, cisnął w tę stronę oszczepem. Aż nadto celny był rzut! Na zielonym mchu leżała Prokris z piersią przebitą. Przez ranę czerwoną uleciała jej dusza bez słowa pożegnania.

Jej siostra Orejtyja była jeszcze niezamężna i bawiła się z nimfami na łąkach. Gdy zbierała kwiaty nad brzegiem Ilissosu, porwał ją bóg wiatru, Boreasz, i uniósł do Tracji, gdzie miał pałac na górze wysokiej. Orejtyja była ze swym małżonkiem szczęśliwa, Ateńczycy zaś cieszyli się z tego związku, albowiem okazał się dla nich bardzo korzystny. W czasie najazdu Kserksesa flota grecka zebrała się koło Chalkis i Artemizjon na Eubei, gdzie oczekiwała zbliżenia się nieprzyjaciół, nie bez trwogi o przyszłość wobec przeważających sił wroga. Wtedy wyrocznia delficka doradziła Ateńczykom, aby zwrócili się o pomoc do swego zięcia. Domyślono się wnet, że mowa o Boreaszu, który był ongi zięciem jednego z ich królów. Złożyli tedy ofiary Boreaszowi i Orejtyi, modląc się do nich o pomoc. Jakoż natychmiast zerwał się gwałtowny wiatr północno-wschodni, który trwał trzy dni i wyrządził niepowetowane szkody flocie perskiej, stojącej na pełnym morzu. Boreaszowi wzniesli Ateńczycy po wojnie nową świątynię nad brzegiem Ilissosu, mniej więcej w tym miejscu, gdzie po raz pierwszy ujrzał on Orejtyję zbierającą kwiaty.

Najświetniejszy bohater ateński, Tezeusz, był obcego pochodzenia. Ojciec jego Ajgeus (Egeusz) zawojował Attykę orężnie. Matką jego była Ajtra, królowa z Trojzeny. Ajgeus porzucił ją, lecz zanim się rozstali, pokazał jej miecz i sandały, które ukrył pod ogromnym głazem, i powiedział, że gdy ich syn dorośnie, niech mu każe dźwignąć ów kamień i zabrać leżące tam rzeczy. Tezeusz chował się zdrowo, a kiedy miał lat pięć, poznał Heraklesa, który przejazdem bawił w Trojzenie. Bohater pogłodził chłopca po głowie i wróżył mu wielką przyszłość. Odtąd Tezeusz chciał być takim jak Herakles. Nadszedł wreszcie czas, kiedy matka zaprowadziła go do owego kamienia. Młodzieniec z łatwością głaz odwalił, zabrał miecz i sandały i ruszył do Aten do ojca, Ajgeusa.

Po drodze walczył ze zbójcami. Pokonał Skirona, który podróżnych zrzucał ze skały do morza — i Sinnisa, który mordował ludzi w ten sposób, że nachyliwszy dwie sosny ku sobie przywiązywał ich tak, aby drzewa rozprężając się darły ciało na dwie połowy — i okrutnego Prokrustesa, który każdego spotkanego zapraszał do domu i kładł do łóżka, a wedle tego, czy łóżko było dlań za krótkie, czy za długie, wyciągał mu kości w stawach lub obcinał nogi.

Nie znany nikomu wszedł Tezeusz do Aten. Wypadło mu iść koło budującej się właśnie świątyni Apollina. A był on jeszcze bardzo młodzieńcy, miał delikatną cerę, białe ręce i długie włosy. Matka dała mu płaszczek szkarłatnej barwy. Na jego widok mularze, pracujący przy świątyni, zaczęli się śmiać, a jeden z nich powiada: "Hej, bracia, słuchajcie no, od kiedy to nastał zwyczaj, żeby panienki same włóczyły się po ulicach?" Tezeusz nie rzekł nic, tylko odprzągnął od stojącego obok wozu parę wołów, wziął je mocno w obie garście i cisnął w powietrze wyżej, niżli sięgał dach świątyni. Zaraz rozeszła się po mieście wiadomość, że zjawił się jakiś młodzieniec nadludzkiej siły. W Atenach wówczas niedobrze się działo. Ajgeus był już stary i zniedołężniały. Ze wszystkich stron szarpali go nieprzyjaciele. Wielka więc była radość, gdy po mieczu i sandałach poznał w Tezeuszu własnego syna.

Chcąc pozyskać miłość ludu, młody bohater wyprawił się na olbrzymiego byka, który grasował w okolicach Maratonu. Ujarzmił go żywcem i oprowadziwszy po całym mieście złożył na ofiarę Apollinowi. Ale nikt się z tego nie cieszył, bo w Atenach panowała powszechna żałoba. Oto przyjechali z Krety od króla Minosa posłowie z żądaniem dorocznego haraczu. Straszny to był haracz. Siedem dziewcząt i siedmiu chłopców wybierano losiem z rodzin obywatelskich, aby ich zawieźć na żer dla kreteńskiego potwora o byczej głowie, Minotaura. Tezeusz oświadczył, że pojedzie zabić owo krwi chciwe monstrum. Ajgeus dał mu czerwony żagiel, prosząc, aby go rozpiął w razie szczęśliwego powrotu. Jeżeli zaś wszyscy

zginą, niech majtkowie pozostawią czarny żagiel, który już z daleka zwiastować będzie nieszczęście.

Kiedy Tezeusz przybył na Kretę i zjawił się na dworze Minosa, oczy wszystkich patrzyły nań złowrogo i podejrzliwie. Tylko córka królewska, Ariadna, patrzyła nań inaczej:

*Tam skoro go królewska dziewczka oglądała,
Która na wonnym łożu przy matce siedziała...
Nie drzewiej oka z niego chciwego spuściła,
Aż ognia nieobacznym sercem zachwyciła,
Który w niej wszystkich członków zmacał aż do kości
i rozpalił niebogę w okrutnej miłości.**

Miłość królewny ocaliła Tezeusza.

Minotaur żył we wspaniałym gmachu, zwanym labiryntem. Było tam tyle pokoi, przejść, sieni, schodów i krużganków, że ktokolwiek wszedł, już drogi powrotnej znaleźć nie mógł. Lecz Ariadna dała pięknemu Ateńczykowi kłębek nici i pouczyła, co ma robić. Tezeusz przywiązał nić u wejścia do labiryntu i w miarę, jak się zapuszczał w zawrotną głąb gmachu, rozsnuwał kłębek. Wreszcie spotkał Minotaura, zabił go i wyszedł tą samą drogą, nawijając nici na kłębek. Po czym wsiadł na okręt i odpłynął. A z nim Ariadna.

Kochali się bardzo, coś jednak musiało się po drodze odmienić, gdyż Tezeusz kazał wynieść śpiącą Ariadnę i zostawić ją na wyspie Naksos.

Chłód ranny budzi ją ze snu. Ariadna rozgląda się dokoła i widzi jakieś obce i puste wybrzeże, nad którym świeci poblady księżyc. Woła Tezeusza i słyszy, jak skały powtarzają za nią to imię. Wbiega na górę i zdaje się jej, że w oddali widać żagiel okrętu. Zaczyna krzyczeć. Krzyczy z całych sił, lecz głos łamie się pod szumem fal. Zdejmuje z ramion szkarłatny szal i powiewa nim długo, aż ręce opadają omdlałe. Płacze. Idzie wybrzeżem i nie spotyka śladu ludzi. Płacze z żalu za ojczyzną, za domem i ze strachu, że w tym pustkowiu rzuci się na nią zwierz dziki. Tezeuszu!

* Jan Kochanowski: *Pamiętka teńczyńskiemu*.

Tezeuszu! Ramiona wyciąga ku morzu, jakby go chciała prosić, żeby z drogi jeszcze zawrócił — i pada bez zmysłów na ziemię.

W tej chwili góry napełniają się zgietkiem i ku dziewczynie zbiega tłum satyrów, menad i bachantek. Gdy Ariadna otwiera oczy, zbliża się do niej Dionizos, piękny jak dzień, bierze ją za rękę i mówi: "Piękna pani! Kocham cię i pragnę, żebyś była moją żoną". Ariadna przymyka powieki, bo zdaje się jej, że śni. Ale już bachantki wzięły ją na ramiona i zaniósły na rydwan zaprzężony w tygrysy. Porzucona kochanka Tezeusza została małżonką boga wina i ślub odbył się na tej samej wyspie Naksos, która swym kształtem przypomina liść winnej latorośli.

Tymczasem Tezeusz wesoło wracał do Aten. Ale zapomniał zmienić na okręcie żagiel czarny na szkarłatny, jak o to prosił Ajgeus. Stary król patrzył z wysokości skały nadmorskiej. Słabe oczy niewiele już mogły dojrzeć na migotliwej powierzchni wody. Pytał więc co chwila otaczających, czy nie widzą okrętu Tezeusza i jaki na nim żagiel. Nagle wszystkich twarze sposepniały: zbliżał się znany statek, o czarnych żaglach. Ajgeus, pewny, że syn zginął, rzucił się z rozpaczą do morza.

W tej chwili właśnie okręt Tezeusza zawinął do portu Faleron. Bohater wysiadł i zabrał się przede wszystkim do ofiar, które ślubował bogom. Jednocześnie wysłał do miasta herolda, aby zaniósł ojcu dobrą nowinę. Herold spotkał na gościńcu tłum ludzi opłakujących śmierć króla, wielu jednak powitało go radosnymi okrzykami, jako zwiastuna pomyślnych wieści, i ofiarowało mu wieńce w nagrodę. Herold przyjął wieńce, lecz zamiast ustroić nimi głowę, zawiesił je na lasce i tak wrócił do portu. Ponieważ Tezeusz nie skończył jeszcze ofiary, herold trzymał się z daleka, aby mu nie przeszkadzać. Dopiero gdy wylano libację, zawiadomił go o śmierci ojca. Połyszawszy to Tezeusz i wszyscy, którzy z nim byli, skierowali się ku miastu płacząc i wznosząc okrzyki. Pamięć tego dnia święcono podczas Oschoforiów, dokładnie odtwarzając dwojaki nastrój uroczystości: żałobny z powodu śmierci Ajgeusa i radosny z powodu szczęśliwego powrotu Tezeusza.

Święto Oschoforiów pełne było pamiątek po Tezeuszu. I tak opowiadano, że kiedy Tezeusz miał wyjeżdżać z żywym haraczem na

Krete, nie wziął wszystkich siedmiu dziewcząt, wybranych losem, lecz dwóch młodzieńców przebrał za dziewczyny. Mieli oni rysy delikatne, a Tezeusz kazał im przed odjazdem brać często ciepłe kąpiele, namaszczać się olejkami i przebywać w ciemności, aby zachować świeżość i miękkość cery. Nauczył ich udawać głos, ruchy i chód dziewcząt. Wreszcie dał im przebranie kobiece, oni zaś tak wyglądali, że niepodobna było domyślić się ich płci. Po powrocie zarządził Tezeusz procesję, w której brali też udział owi młodzieńcy w szatach niewieścich, i odtąd było zwyczajem w Oschoforie przebierać za dziewczyny chłopców, którzy nieśli święcone gałązki. W procesji szły jeszcze kobiety, które wyobrażały matki dzieci wylosowanych na śmierć; niosły wszelakie prowianty, jakby na drogę dla swych synów i córek, i opowiadały różne bajki, na podobieństwo tych, którymi wówczas matki pocieszały młodych skazańców.

Po śmierci Ajgeusa dokonał Tezeusz wielkiego dzieła zjednoczenia wszystkich rodów i gmin attyckich w jedną całość państwową, ze stolicą w Atenach. Równocześnie zrzekł się władzy królewskiej i utrwalił pierwsze zasady ustroju republikańskiego. Urządziwszy w ten sposób sprawy krajowe ruszył nad Morze Czarne, aby idąc śladami Heraklesa spróbować walki z Amazonkami. Skończyło się na tym, że porwał królową Amazonek, Antiope, i wplątał Ateny w długotrwałą wojnę z tym dziarskim plemieniem kobiet. Antiope umarła, pozostawiając mu syna, Hipolita.

Ponownie ożenił się Tezeusz z Fedrą, córką króla Minosa. Hipolitos chował się w domu macochy. Tezeusz często wyjeżdżał, a raz nieobecność jego przeciągnęła się tak długo, że Fedra go już odżałowała, mniemając, iż zginął gdzieś na obczyźnie. Wówczas postanowiła wyjść za mąż za Hipolita. Ale młody książę miał dziwne usposobienie: nie lubił kobiet, nudził się na zabawach dworskich, myśląc tylko o polowaniu i wojnie. Plany małżeńskie Fedry odrzucił ze wstrętem. Tymczasem Tezeusz powrócił. Niegodziwa Fedra oskarżyła Hipolita przed mężem, że chciał ją uwieść. Płakała przy tym tak szczerze, że Tezeusz uwierzył. W ślepym gniewie przeklął syna, prosząc Posejdona o wykonanie zemsty. Wygnany z domu Hipolit wsiadł na rydwan i odjechał. Konie spłoszyły się i Hipolit zginął, rozbity o kamienie. Na wieść o tym Fedra się powiesiła.

Tezeusz miał wypróbowanego przyjaciela w księciu tesalskim, Pejritoosie. Razem chodzili na wyprawy wojenne i dzielili zgodnie każdą zdobycz. Kiedy Pejritoos żenił się z piękną Hipodamią, Tezeusz przyjechał na wesele. Uroczystość odbywała się w stolicy Lapitów, nad którymi panował Pejritoos. Na ucztę zaproszono kilkunastu centaurów. Była to nieostrożna uprzejmość. Ci centaury, pół ludzie, pół konie, wiedli życie dzikie, na łowach i rozbojach. Karmili się surowym mięsem i łatwo się upijali. Na godach Pejritoosa i Hipodamii przebrali miarę, zaczęli wyprawiać brewerie i porwać kobiety. Zawrzała walka, a ponieważ zbiegli się centaury z całej Tesalii, wynikła groźna wojna. Wreszcie wypędzono dzikusów z kraju. Wielu z nich przeszło do Dionizosa, który miał w tych monstrach jakby oddział kawalerii, inni rozbiegli się po lasach i górach na życie koczownicze. W Tesalii został tylko mądry centaur Chejron, którego otaczała cześć powszechna. W jego grocie ucztowali bogowie i do niego bohaterowie przynosili swoje dzieci na wychowanie.

Te zmagania Lapitów z centaurami, bohaterstwa Tezeusza i Pejritoosa dokonane podczas wojny — stały się ulubionym tematem w rzeźbie i malarstwie greckim.

Tezeusz, mając już lat pięćdziesiąt, popełnił wielki błąd: porwał ze Sparty Helenę, córkę króla Tyndareosa, wówczas siedmioletnią dziewczynkę. Po co to uczynił — nie wiadomo. Podobno chciał ją sobie wychować na żonę i dlatego umieścił w jednym ze swoich zamków, pod okiem matki staruszki, Ajtry. Synowie króla Tyndareosa zebrali wojsko i stanęli pod Atenami. Tezeusz był z Pejritoosem na jakiejś dalekiej wyprawie. Ateńskie zgromadzenie ludowe kazało wydać Helenę, a nieobecnego Tezeusza obłożyło karą wygnania. Jakoż więcej nie wrócił. Resztę dni przeżył na wyspie Skyros, u króla Likomedesa. Pewnego razu przechadzał się po górach, pośliznął się i spadł w przepaść.

Po wojnach perskich wyrocznia delficka nakazała Ateńczykom sprowadzić kości bohatera do ojczyzny. Nie było rzeczą łatwą znaleźć zwłoki od tak dawna zapomniane, a cóż dopiero przewieźć je z wyspy zamieszkaanej przez lud barbarzyński, który nie utrzymywał żadnych stosunków z resztą świata. Lecz wódz ateński Kimon, opanowawszy wyspę, odnalazł grób Tezeusza. W czasie poszukiwań ujrzał orła, który wzleciał na wzgórek i, uderzając raz po raz dziobem w ziemię, dał murawę pazurami,

jakby chciał się dostać do wnętrza. Kimon, widząc w tym znak boży, kazał kopać w tym miejscu: jakoż znaleziono tam trumnę, a w niej szkielet mężczyzny wielkiego wzrostu, obok zaś żeleźce włóczni i miecz. Kimon przeniósł te drogocenne szczątki na okręt i zawiózł do Aten. Ateńczycy, upojeni radością, przyjęli je z procesją i ofiarami, i z takim przepychem, jak gdyby Tezeusz we własnej osobie zawitał do miasta. Działo się to w roku 474 przed n. e.

Pochowano go w środku miasta, a grób bohatera stał się azylem dla niewolników i wszystkich, którzy obawiali się jakiejś krzywdy. Był to najpiękniejszy hołd dla Tezeusza, który w ciągu swego żywota był dobroczyńcą uciśnionych. Ateńczycy obchodzili ku jego czci uroczyste święto w 8 dniu miesiąca Pyanopsion (październik), tj. w dniu, w którym on powrócił z Krety po zabiciu Minotaura. Lecz i w każdy ósmy dzień każdego miesiąca święcono jego pamięć.

Tezeusz był ulubionym bohaterem ateńskim, a duma narodowa tego najświetniejszego miasta Grecji starożytnej pragnęła zeń uczynić szczęśliwego współzawodnika Heraklesa. Garncarze ateńscy, ozdabiający naczynia malowidłami mitologicznymi, od połowy VI wieku prawie zupełnie zapominają o Heraklesie i zamiast niego przedstawiają czyny Tezeusza. Ulice i place ateńskie zapełniają się jego posągami, budują mu świątynie, obchodzą ku jego czci uroczystości. Mimo to Herakles pozostaje zawsze pierwszym z bohaterów, a Tezeuszowi przyznają drugie po nim miejsce. W sztuce przypomina bardzo Heraklesa (maczuga), od którego różni się młodzieńczym wyglądem i smukłością kształtów. Stanowi idealny typ ateńskiego efeba.

Legends argolidzkie

W północno-wschodniej części Peloponezu rozciąga się dość znaczna równina, szumiąca zbożem, żyzna i słoneczna, którą w starożytności zwano Argolidą, od głównego miasta Argos, ukrytego wśród skał siodła górskiego Larisy. Główną rzeką Argolidy był strumień Inachos, ściekający wolno po kamienistym, łatwo wysychającym łożysku.

Bóg owej rzeki miał córkę imieniem Io. Była ona tak piękna, że Dzeus

w niej się zakochał. Ilekroć pragnął ją odwiedzić, otaczał całą okolicę gęstą chmurą, aby go Hera nie zobaczyła. Ale przenikliwe oczy zazdrosnej żony dojrzały go poza czarnym obłokiem, jak szedł z Io, rozmawiał i śmiał się wesoło. Nazajutrz Hera zamieniła uroczą nimfę w krowę, zamknęła w jednej ze swoich świątyń i kazała strzec niejakiemu Argosowi, który miał sto ocz i nie spał nigdy. Gdy się Dzeus o tym dowiedział, posłał Hermesa, by ją uwolnił. Sprytny bożek przyszedł do Argosa w nocy i zaczął opowiadać bajki. Stuoki potwór słuchał melodyjnego głosu, nie kończące się opowiadania mieszały mu się w głowie, wiecznie czujne oczy zamykały się jedno po drugim, wreszcie Argos, stuoki Argos, zasnął jak dziecko! Hermes uciął mu głowę i wyprowadził Io z więzienia, Io była wolna, lecz pozostała krową. Hera zaś nie poniechała zemsty. Wysłała na nieszczęsną jałówkę złośliwego bąka, który nie dawał jej ani chwili spokoju. Kłuta ciągłymi ukąszeniami, które jątrzyły się i krwawiły, Io miotana szaleństwem uciekała wciąż dalej i dalej. Przebiegła tak cały świat, aż stanęła w Egipcie. Tu padła na kolana i modliła się do Dzeusa, aby jej wrócił postać kobiety. Bóg prośby wysłuchał i oblekł ją w dawny kształt nimfy. Wówczas Io wydała na świat syna, Epafosa, który był królem Egiptu.

Od Epafosa pochodzili dwaj bracia Danaos i Ajgiptos. Nie było między nimi zgody i Danaos musiał uchodzić z kraju. Podróż dla niego nie była rzeczą łatwą, gdyż miał pięćdziesiąt córek. Tułał się po Azji i Europie, nie mogąc nigdzie znaleźć stałej siedziby, bo nikt nie chciał długo żyć tak licznej rodziny. Kiedy wreszcie przybył do Argos, zastał tam wojnę domową. Tak umiał skorzystać z powszechnego zamieszania, że naród jemu oddał koronę.

Wiść o tym doszła do Ajgiptosa i, jak to zwykle bywa, mocno przesadna: o potędze i bogactwach nowego królestwa Danaosa. Ajgiptos nagle się rozrzewnił i wyprawił poselstwo do brata, mówiąc, że nie pamięta dawnych uraz i odtąd zawsze w zgodzie żyć z nim pragnie. Żeby zaś zacieśnić te więzy, prosi, by wydał wszystkie swoje córki za jego pięćdziesięciu synów. Danaos zgodził się, lecz podczas wesela przypomniał sobie nagle, co mu raz stara wróżka powiedziała: że zięciowie sprowadzą na jego dom nieszczęście. W obawie o własne bezpieczeństwo i los państwa Danaos rozkazał córkom w nocy pozabijać mężów. Bogowie jednak strasznie pomścili tę zbrodnię. Po śmierci zepchnięto Danaidy w

głęb Tartaru i zadano im niesłychaną karę: nabierały sitami wody, aby napęłnić beczkę bez dna. Dzień i noc trzdują się, a woda zawsze z sit upływa, zanim ją doniosą do beczki, a co jeszcze w sitach zostanie, wsiąka w ziemię, bo beczka dna nie ma.

Po Danaosie panował w Argos król Akrizjos, który miał śliczną córkę, Danae. Ale nie był szczęśliwy, gdyż wyrocznia mu przepowiedziała, że zginie z ręki własnego wnuka. Kiedy więc Danae powiła syna, Perseusza, w obawie o swoje życie zamknął ich oboje w skrzyni, którą rzucił do morza. Biedną matką zaopiekowali się bogowie. Skrzynia dołynęła do wyspy Serifos, gdzie Danae znalazła wraz z dzieckiem przytułek. Perseusz wyrósł na silnego i pięknego młodzieńca i wszystko byłoby dobrze, gdyby król wyspy, Polidektes, nie zakochał się w Danae. Chciał się z nią ożenić, ale obawiał się Perseusza, który sprzeciwiał się temu małżeństwu. Król więc rozmyślał, jak by się go pozbyć: Udawał tymczasem miłość i przywiązanie; często go zapraszał do siebie i bawił opowiadaniem o znakomitych przewagach bohaterów, rozpalając w młodzieńcu pragnienie sławy. Pewnego zaś dnia w kole przyjaciół i znajomych, gdzie znajdował się i Perseusz, nagle oświadczył, że zamierza starać się o rękę Hipodamei, córki króla Elidy, Ojnomaosa. Natychmiast wszyscy, jak to bywa w takich razach, wymieniać zaczęli podarki, które mu złożą w dniu ślubu. Jeden tylko Perseusz siedział cicho, bo był biedny i nie miał nic do ofiarowania. Kiedy więc przyszła kolej na niego, wstał i obiecał Polidektesowi głowę Meduzy jako ślubny prezent. Tego tylko czekał Polidektes. Oczywiście zgodził się chętnie, w mniemaniu, że Perseusz śmierć prędzej znajdzie, niżli dostanie głowę Meduzy, jednej z trzech strasznych Gorgon.

Perseusz wybierając się w drogę nie wiedział nawet, gdzie mieszka owa Meduza. Atena, opiekunka bohaterów, poradziła mu, aby wpiery poszedł do trzech sióstr, zwanych starkami (graje). Żyły one w jaskini, do której nigdy nie docierał promień słońca. Były siwe od urodzenia i miały tylko jedno oko i jeden ząb, które sobie wzajemnie pożyczają. Perseusz wykradł im to oko i ten ząb, a oddał nie prędzej, aż wskazały mu dokładnie miejsce, gdzie siedziały Gorgony. Dostał jeszcze hełm, który go czynił niewidzialnym, i buciki skrzydlate, aby mógł latać w powietrzu. Na ostatku Hermes przyniósł mu ostry sierp, aby miał czym uciąć głowę Meduzie.

Na brzegu oceanu znalazł Gorgony śpiące. Wszystkie były okropne: włosy z węzłów uwite, kły jak u dzikiej świni, ręce z brązu, a skrzydła ze złota. Lecz najmłodsza, Meduza,

była najstraszniejsza, kto na nią spojrzał, obracał się w kamień. Perseusz stanął tyłem do śpiących i patrząc w miedzianą tarczę, w której odbijała się postać Meduzy, uciął jej głowę, schował do torby i odleciał. Z rozciętej szyi Meduzy wyskoczył koń skrzydlaty, Pegaz. Gorgony obudziły się i zaczęły ścigać Perseusza, lecz z powodu owej czapki-niewidki, którą miał na głowie, nigdzie nie mogły go dojrzeć.

Gdy Perseusz przelatywał nad Etiopią, zobaczył nad brzegiem morza nagą dziewczynę, która leżała przykuta do skały i głośno płakała. Podszedł więc do niej, a ona najpierw zawstydzona się bardzo, zaczęła opowiadać całe swoje nieszczęście. Nazywała się Andromeda i jest córką króla tego kraju. Matka jej, Kasjoepa, chlubiła się, że jest piękniejsza od nereid. Boginki morskie poskarżyły się Posejdonowi, a ten zalał Etiopię wodą i wysłał smoka, który czynił dzikie spustoszenie. Aby kraj uwolnić od zagłady, kazano królową oddać smokowi na pożarcie. Ledwo skończyła opowiadanie, gdy morze straszliwie się zakotłowało i z fal wynurzył się smok z sykiem piekielnym. Ale Perseusz zabił go, odwiązał Andromedę i zaprowadził do pałacu, gdzie uszczęśliwiony ojciec oddał mu ją za żonę.

Po weselu wrócił na wyspę Serifos, do matki. Było z nią źle bardzo. Polidektes, nie mogąc uzyskać od Danae zgody na małżeństwo, zaczął ją prześladować i na koniec zamknął w ciemnej piwnicy o chlebie i wodzie. Dowiedziawszy się o tym Perseusz wszedł do zamku Polidektesa i stanąwszy u progu, wyjął z torby głowę Meduzy. W tej chwili niegodziwy król wraz z całym dworem skamieniał: wyglądali jak marmurowe posągi ustawione dla ozdoby sali.

Nie było już co robić na tej wyspie przeklętej. Wszyscy troje: Perseusz, Andromeda i Danae wsiedli na okręt i odjechali do Argos, aby odszukać starego dziadka, Akrizjosa. Zdarzyło się właśnie, iż kiedy przybyli, odprawiano w Argos igrzyska. Perseusz przepadał za popisami gimnastycznymi, zaraz więc rozebrał się i stanął do zawodów. Ale podczas rzucania dyskiem krążek wymknął mu się z ręki i trafił Akrizjosa. Tak spełniła się przepowiednia. Perseusz żył jeszcze długo z Andromedą, a umierając oddał głowę Meduzy bogini Atenie, która ją umieściła w środku swej tarczy na postrach wrogom.

Ród Tantalosa

Król Tantalos czuł się szczęśliwy. Bogowie zapraszali go na Olimp i

sadzali przy swoim stole. Z początku zachowywał się nieśmiało, ale po pewnym czasie nabrał na tyle odwagi, że kradł nektar i ambrozię i częstował tymi przysmakami niebieskimi swoich własnych dworzan. Dzeus na to patrzył przez palce, bo bardzo go lubił. Tantalos nie umiał ocenić tej przyjaźni władcy bogów. Rozzuchwalił się tak dalece, że zaczął podejrzewać, czy bogowie są naprawdę bogami. Postanowił o tym się przekonać. Zaprosił co znacniejszych Olimpijczyków do swego zamku i ugościł ich sutą wieczerzą. Potraw było wiele i wszystkie wyborne. Na koniec wniesiono na złotym półmisku pieczeń, którą Tantalos szczególnie zachwalał. Ale nikt z bogów nie tknął tego mięsa. Poznali bowiem, że było to ciało królewicza Pelopsa. Jedną tylko Demeter, której tęsknota za córką odebrała zwyczajne bogom jasnowidzenie, zjadła kawałek łopatki. Dzeus wrócił chłopcu życie, a w miejsce nadjedzonej łopatki wstawił płytkę z kości słoniowej. Odtąd wszyscy z rodu Pelopsa mieli białe znamię na łopatce.

Okrutnego Tantalosa strącono do Tartaru i przykładowo ukarano. Postawiono go w sadzawce, nad którą rosnęło drzewo pełne cudnych owoców. Tantalos czuje głód i pragnienie, lecz zaledwie wyciągnie rękę po jabłko, gałąź odchyła się gwałtownie, jakby wichrem szarpnięta — chce się napić wody, wśród której stoi, natychmiast woda gdzieś znika. A dla większej jeszcze męki zawieszono nad nim skałę, która ustawicznie chwieje się, jakby miała upaść. W strachu, głodzie i pragnieniu dręczy się przez wiek wieków zbrodniczy król.

Pelops po śmierci ojca poszedł w świat i zatrzymał się w Pizie, niedaleko Olimpii, gdzie panował Ojnomaos. Miał on śliczną córkę, Hipodameję, którą obiecywał oddać temu, kto go zwycięży w wyścigach. Ale stawiał jeden warunek: zwyciężonemu utnie głowę. Pelops nie dał się odstraszyć, bo mu bardzo do serca przypadła złotowłosa królewna. Wyścigi odbywały się na wozach zaprzężonych w czwórkę koni. Pelops przekupił woźnicę królewskiego, niejakiego Myrtilosa, który wyjął jeden ćwiek z piasty tylnego koła i tym sprawił, że król w czasie wyścigów wypadł z wozu i zabił się na miejscu. Okazało się wtedy, że Pelops jest prawym synem Tantalosa: zamiast podziękować owemu Myrtilosowi, zrzucił go podstępnie

ze skały. Bogowie przeklęli go wraz z całym potomstwem.

Dwaj synowie Pelopsa, Atreus i Tiestes, nienawidzili się okrutnie. Tiestes, z natury łagodniejszy, dążył do zgody. Atreus postanowił wyzyskać tę miękkość brata i udał, że, niepomny dawnych uraz, chce odtąd być mu przyjacielem. Posłał z przeprosinami i błagał, by ów przybył doń w gościnę. Tiestes nie odmówił. Zjedzono smaczną kolację, wypito moc wina, rozczulono się i ucałowano. Lecz pod koniec biesiady, gdy już pomodlono się do bogów i Tiestes miał wracać do domu, Atreus kazał przynieść koszyk i podał go bratu. Były w nim głowy dwóch synów Tiestesa, a pieczeń, która mu tak smakowała, przyrządzono z ciał tych dzieci. Słońce się wówczas schowało, aby nie patrzeć na tak ohydne zbrodnie.

Działo się to wszystko w Mykenach, w zamczysku ponurym, otoczonym murami z olbrzymich głazów. Wśród gór jałowych i nagich, o rdzawej barwie, jakby na nich krew przyschła, panowali królowie twardzi, kochający złoto. Żaden z nich nie umierał zwykłą śmiercią, lecz ginął od miecza, sztyletu lub trucizny, aby później jako upiór straszyć wśród grobów królewskich. Nocami wychodziły te mary krwawe, w lśniących pancerzach, ze złotymi pektorałami na piersiach, z maskami złotymi na twarzy, w purpurowych płaszczach, naszywanych złotymi blaszkami. Aby przebłagać te błyszczące strachy, spełniano sute ofiary na ich mogiłach i dawano im pić krew, którą tak hojnie rozlewali za życia.*

Legendy tebańskie

Onego czasu ze wszystkich kobiet na ziemi najurodziwsza była Europa, córka Agenora, władcy fenickiego miasta Sydonu. Lubiła chodzić nad brzeg morza, gdzie bawiła się z rówieśnikami. Dziewczęta zbierały kwiaty i tańczyły. Razu pewnego zobaczyły na łące pięknego białego byka. Miał sierść lśniącą, rozłożyste rogi i bardzo rozumne spojrzenie. Przechadzał się wśród kwiatów, a stąpał tak delikatnie, że nie zgniótł ani łodyżki szczypiąc wonną trawę. Dziewczęta oblegały go dokoła, podawały mu zioła soczyste, a on jadł i szerokim językiem lizał ich białe dłonie. W

* Zob. Jan Parandowski: *Dwie wiosny*, rozdział pt. "Złote Mykeny".

końcu oplotły go wieńcami i królowna Europa usiadła mu na karku. Wtedy jednym susem skoczył i porwał się do ucieczki. Wpadł do morza, popłynął.

Był to sam Dzeus, który zakochał się w ślicznej pannie. Posejdon wygładził przed nim powierzchnię morza, że była jak stół równiutka. Nereidy jechały na delfinach i klaskały w ręce z uciechy. W wielkiej muszli, którą ciągnęły rozhukane trytony, stała Afrodyta i obsypywała Europę kwiatami. Tak dopłynęli do Krety. Dzeus przygotował swej lubej mieszkanie w cudownej grocie, którą osłaniał klon cienisty.

Tymczasem w Sydonie stary Agenor rozpacział po stracie córki. Zawołał swego syna, Kadmosa, kazał mu szukać siostry i zabronił wracać do domu bez Europy. Kadmos poszedł, ale po długich, bezskutecznych wędrowaniach stracił wszelką nadzieję i bojąc się gniewu ojca postanowił osiedlić się na obczyźnie. Przede wszystkim jednak poradził się wyroczeni, gdzie ma założyć nowe gniazdo. Powiedziano mu, żeby szedł za spotkaną w pustym polu jałówką i pozostał tam, gdzie się ona zatrzyma. Tak się stało. Jałówka wiodła go przez łąki, lasy i góry, aż przystanęła, obejrzała się wokoło i legła na trawie. W istocie, miejsce było wyborne do założenia miasta. Kadmos chciał zaraz podziękować bogom i wysłał towarzyszy po wodę potrzebną do ofiar. Ale gdy przez kilka godzin nikt z nich nie wracał, poszedł ich szukać. W lesie, przy źródle, ujrzał smoka, który chęptał gorącą krew pomordowanych dworzaków. Złote kolce jeżyły mu się na grzbiecie, w pysku błyszczały rzędy drapieżnych zębów, a całe cielsko wzdymało się jadem. Na widok Kadmosa zaczął się wić w tysiącnych splotach, zakreślając olbrzymie łuki. Bohater złożył się oszczepem i rzucił tak celnie, że zabił potwora na miejscu. Potem wyjął mu z paszczy wszystkie zęby i zasiał je w ziemi. W kilka dni wyrósł ze smoczycich kłów orszak zbrojnych mężów, którzy stoczyli między sobą krwawą walkę. Ocalało z nich tylko pięciu i ci stali się wiernymi towarzyszami Kadmosa, który z ich pomocą założył miasto Teby. Rządził mądrze i sprawiedliwie, a bogowie widząc, że jest dobrym królem, chętnie przebywali w jego domu i dali mu za żonę Harmonię, córkę Aresa i Afrodyty.

Ale nie zaznał szczęścia w rodzinie. Oto bowiem wnuk jego, Akteon, skończył haniebną śmiercią pod kłami własnych psów; córka Semele

splonęła wśród gromów i błyskawic; druga córka, Agaue, zabiła własnego syna, Penteusa; trzecia córka, Ino, w szaleństwie rzuciła się do morza. Kadmos nabrał takiego wstrętu do złowrogiej ziemi tebańskiej, że na starość przeniósł się wraz z żoną do odległej Ilirii. Bogowie zamienili ich oboje w węże.

Po Kadmosie działo się w Tebach coraz gorzej. Jeden z jego następców, Lykos, co znaczy po prostu "wilk", miał za żonę Dirke, kobietę niegodziwą. W pałacu królewskim żyła ich krewna Antiope wraz z dwoma synami, Amfionem i Dzetosem. Dirke kazała chłopców wyrzucić i książęta chowali się u pewnego pasterza wołów. Kiedy jednak podrośli, nie chcieli dłużej znosić poniżenia. Zebrali garść tęgich chłopców, zdobyli zamek królewski, zabili Lykosa, a Dirke przywiązali do rogów byka, który ją na śmierć po ziemi zawłóczył.

Grób Dirke w późniejszych Tebach był trzymany w tajemnicy. Wiedział o nim tylko każdorazowy dowódca konnicy (hipparchos) i ustępując ze swego stanowiska pokazywał go nowo wybranemu następcy. Szli w nocy, spełniali ofiarę bez ognia, zacierali ślady i rozchodzili się w przeciwne strony.

Amfion i Dzetos stawszy się władcami Teb postanowili otoczyć je murami. Przyszło im to bardzo łatwo, gdyż Amfion miał cudowną harfę i tak pięknie grał na niej, że kamienie, poruszone czarodziejską muzyką, same się zbierały i układały rzędkiem.

Amfion ożenił się z córką Tantalosa, imieniem Niobe. Z tego małżeństwa urodziło się czternaścioro dzieci: siedmiu synów i siedem córek. Niobe była okrutnie dumna z tak liczного potomstwa. Mówiła, że nie rozumie, jak ludzie mogą oddawać cześć Latonie, która ma tylko dwoje dzieci. Powinni raczej czcić ją — potężną królową i błogosławioną matkę. Latona, dotknięta zniewagą, poskarżyła się swoim dzieciom: Apollinowi i Artemidzie. Oboje natychmiast zeszli z Olimpu i kilkunastu strzałami z łuku uśmiercili całe potomstwo Niobe. Osierocona matka porzuciła ziemię tebańską. Wróciła do swego ojczystego miasta, do Sipylos. Dniami i nocami przesiadywała na podmiejskiej górze, póki jej bogowie nie zamienili w kamień. Lecz i wtedy jeszcze cierpiała. Z kamienia, w którym była zaklęta jej dusza, płynęły łzy strugą jasnego źródła.

Po Amfionie i Dzetosie posiadał tron tebański Lajos, od którego wyszło pokolenie najniezwyklejszych władców. Wyrocznia ostrzegła go, że polegnie z ręki własnego syna, który w następstwie ożeni się z jego żoną, a

swoją matką, Jokastą. Gdy im się więc syn narodził, przekłuli mu pięty żelaznymi kolcami, związali i wyrzucili w górach. Dziecko znaleźli pasterze i zanieśli do Koryntu, aby oddać na wychowanie królowej, która nie miała własnego potomstwa. Chłopak miał nogi nabrzmiałe od przekłucia, przezwano go więc Ojdipus (Edyp) — "człowiek o spuchniętych nogach".

Edyp nie czuł się szczęśliwy. Rówieśnicy nazywali go podrzutkiem, a nikt nie chciał wyjawić tajemnicy jego pochodzenia. Pojechał zatem do Delf, do wyroczni. W ciemnym sanktuarium dał się słyszeć głos boży, który go upominał, aby nie wracał do ojczyzny, gdyż zabije ojca i ożeni się z matką. Edyp sądząc, że królestwo Koryntu są jego rodzicami, postanowił w innych stronach dom sobie założyć. Po drodze jednak spotkał wóz, na którym siedział jakiś pan w otoczeniu kilku dworzan. Było to w ciasnym wąwozie górskim i służba krzyknęła na Edypa, aby ustąpił ze ścieżki. Butny młodzieniec nie usłuchał. Powstała kłótnia i bójka, w której tamci śmierć ponieśli. Edyp poszedł dalej, nie domyślając się, że ów pan na wozie — to Lajos, jego własny ojciec.

W Tebach objął rządy szwagier zabitego króla, Kreon. Ale w kilka dni później w górach podmiejskich pojawił się dziwny potwór, który zaczął porywać ludzi i rzucać w przepaście. Nazywał się Sfinks. Miał twarz i piersi kobiety, a resztę ciała lwa, ze skrzydłami jak u ptaka. Powiedział, że dopiero wtedy ustąpi z ziemi tebańskiej, jeśli się znajdzie ktoś, co rozwiąże jego zagadkę. Tej zagadki nauczył się od muz, a sens jej był taki: "Co to za zwierzę, obdarzone głosem, które z rana chodzi na czworakach, w południe na dwóch nogach, a wieczorem na trzech?" Na próżno odbywano wiece, zgromadzenia i narady: nikt nie umiał dać rzetelnej odpowiedzi.

Wielka żałoba spadła na miasto, albowiem Sfinks co dzień porywał ludzi. Wówczas Kreon ogłosił, że kto wyjaśni zagadkę, otrzyma królestwo tebańskie i ożeni się z Jokastą, wdową po zamordowanym Lajosie. W tym właśnie dniu przybył do stolicy Edyp. Myślał przez cały dzień o zagadce, a wieczorem położył się spać i miał sen wróżebny, który mu poddał właściwe rozwiązanie. O świcie poszedł do Sfinksa i powiedział: "Człowiek chodzi rano, to jest w dzieciństwie, na czworakach; gdy urośnie, staje się zwierzęciem dwunożnym; a w starości, która jest życia wieczorem,

podpiera się laską, jakby mu trzecia noga przybyła". Usłyszawszy to Sfinks rzucił się w przepaść.

Kreon dotrzymał słowa, Edyp ożenił się z Jokastą i zaczął panować. Z początku wiodło się wszystko dobrze. Jokasta urodziła dwóch synów: Polinejkesa i Eteoklesa, oraz dwie córki: Antygonę i Ismenę. Ale nad domem królewskim wisiała klątwa bogów. Podwójna zbrodnia Edypa oddała Teby w moc złych duchów. Kraj nawiedzały bezprzykładne klęski. Ziemia leżała twardym ugorem i ziarno rzucone w glebę nie puszczało kielków. Dzieci przychodziły na świat nieżywe. Zwierzęta nie rozmnażały się. Wezwano wieszczą, Tejrezjasza.

Był to ślepy starzec z długą, białą brodą. Najpierw był kobietą i pod wpływem czarów stał się mężczyzną. Utracił wzrok w młodości, gdy ujrzał Atenę nagą w kąpeli. Dzeus dał mu życie siedem razy dłuższe niż zwykłych ludzi. Pozbawiony widoku rzeczy ziemskich, znał tajemnice przyszłości, wiedział to, o czym nikt nie wie, i rozumiał mowę ptaków. Straszny był dzień, kiedy Tejrezjasz zjawił się w pałacu Edypa. Milczał długo, aby odwlec chwilę nieszczęścia. Na koniec odkrył prawdę: król Teb jest winien zbrodni ojcobójstwa i kazirodztwa. Na wieść o tym Jokasta powiesiła się, a Edyp wykuł sobie oczy, odział się w łachmany żebracze i o kiju wywłókł się z miasta, dziad stary i złamany. Prowadziły go córki. Szukał ziemi, w której by się do grobu położył. Zaszedł do miejscowości Kolonos, niedaleko Aten, i tam umarł. Pochowano go w gaju, do którego z wiosną zlatywały się roje słowików.

W Tebach zostali dwaj bracia: Eteokles i Polinejkes. Zgodzili się, że co rok inny z nich będzie panował. Eteokles pierwszy wziął berło, lecz po upływie roku nie chciał ustąpić bratu i wygnał go z kraju. Polinejkes schronił się do Argos, do króla Adrastos. Znalazł gościnne przyjęcie, ożenił się z córką królewską i namówił teścia do wyprawy przeciw Tebom. Adrastos zebrał wojsko i obiegł miasto. Ale Tebańczycy uczynili wypad i odnieśli zwycięstwo. Wszyscy wodzowie nieprzyjacielscy polegli. Eteokles również padł na polu bitwy.

Rządy objął ponownie Kreon. Ciało zdrajcy Polinejkesa kazał wyrzucić krukom na pożarcie i zabronił pod karą śmierci uczcić go pogrzebem. Ale

siostra Antygona, biały kwiat lilii wyrosły ze skrwawionej ziemi tebańskiej — nie usłuchała rozkazu. Własnymi rękami wykopała grób i pochowała zwłoki brata. Za karę zamurowano ją żywcem w sklepionej piwnicy.

W dziesięć lat później synowie wodzów pokonanych pod Tebami przygotowali nową wyprawę. Miasto nie miało sił do obrony. Tejrezjasz doradził Tebańczykom wysłać do nieprzyjaciół poselstwo z prośbą o pokój, a tymczasem, korzystając z rozejmu, uciec z oblężonych murów. Tak się stało. Kiedy rozważano warunki pokoju, wszyscy mieszkańcy naładowali wozy dobytkiem, wsadzili na nie żony i dzieci i opuścili miasto. Po drodze Tejrezjasz umarł, napiwszy się wody z pewnego źródła. Tymczasem wojska nieprzyjacielskie weszły do Teb, zburzyły je doszczętnie i co jeszcze ze skarbów zostało, posłały w ofierze świątyni delfickiej.

Legandy korynckie

Król Syzyf panował w Koryncie. U szczytu skalistej góry, zwanej Akrokoryntem, stał jego pałac, otoczony czarnym i zielonym kręgiem starodrzewu. Z rana, po kąpeli, wychodził król na terasę zamkową i rozglądał się po swoim państwie. Słońce wilgotne i czyste przydawało słodczy fali pagórków biegnących nad wybrzeżem sarońskim. W dole, na obszernej piaszczystej równinie, rysowały się proste i białe ulice Koryntu, lekko nachylonego ku morzu. W błękitnej zatoce czerniły się pękate kadłuby okrętów, które porastał las masztów. Pomimo wczesnej pory roje ludzi, na podobieństwo mrówek, krzątały się dokoła magazynów portowych. Z drugiej strony słycać było zgiełk stoczni, kuźni i warsztatów, a z dzielnicy farbiarzy płynęły rynsztokami strumienie barwionej wody. Wszystko to było dziełem króla Syzyfa, który założył miasto i uczynił je bogatym, wybrawszy miejsce na port tak dogodny, że można w nim było pobierać daninę od wszystkich statków jadących ze wschodu i zachodu.

Król Syzyf był ulubieńcem bogów. Dzeus zapraszał go na uczyty olimpijskie. Pomimo lat był wciąż rześki i silny, albowiem nektarem i ambrozją odświeżał swoje ziemskie ciało. Lecz miał jedną wadę: lubił plotki. Ilekroć wracał z Olimpu, zawsze coś niecoś przebąknął o tym, co się tam mówiło. Bogowie puszczali to płazem, gdyż były to sprawy dość błahe. Raz jednak wygadał się Syzyf przed ludźmi z jakiegoś sekretu Dzeusa. Rzecz była naprawdę poufna i władca bogów miał z tego powodu przykrości. Rozgniewał się i posłał plotkarzowi bożka śmierci, Tanatosa, aby go sprzątnął ze świata. Snadź chytry

królik spodziewał się tego, bo urządził zasadzkę na Tanatosa, uwięził go i mocno zakuwszy w kajdany zamknął w piwnicy.

Ludzie przestali umierać, jak w Sabałowej bajce. Hades poszedł ze skargą do Dzeusa. Wysłano Aresa, by uwolnił boga śmierci. Pierwszy umarł Syzyf. Ale konając nakazał żonie, aby zostawiła jego zwłoki nie pochowane. Tak się stało. Ponieważ dusza, której ciała nie pogrzebano, nie mogła wejść do państwa cieniów, Syzyf błąkał się nad brzegami Styksu jęcząc i narzekając. Tak długo się użalał, aż go zaprowadzono przed Plutona. Z głośnym płaczem opowiadał Syzyf, że ma niegodziwą żonę, która jego trupa wyrzuciła na śmietnik i nie chce mu sprawić pogrzebu. Pluton pozwolił mu raz jeszcze wrócić na ziemię, aby ukarać niedbałą i zarządzić, co potrzeba.

Król Koryntu poszedł, ale nie wrócił. Bogowie, którzy rządzą całym wielkim światem, zapomnieli o nim, a on sam zachowywał się teraz tak cicho i ostrożnie, żeby jak najmniej o nim mówiono. Żył bardzo długo, lecz na koniec przypomniano sobie w piekle o przebiegłym uciekinierze. Znienacka zaskoczył go Tanatos, uciął mu pukiel włosów i krnąbrną duszę zabrał do podziemi. W Hadesie wymierzono mu ciężką karę: miał wynieść wielki kamień na bardzo wysoką i stromą górę. Syzyf natychmiast zabrał się do roboty, sądząc, że z łatwością to uczyni, a potem już będzie miał spokój. Wydzwignął ów głaz prawie pod sam szczyt, gdy wtem skała wysliznęła mu się z rąk i spadła z powrotem na dół. Za drugim razem to samo, i za trzecim, i za dziesiątym. Tak zawsze. Już jest Syzyf bliski celu i zawsze coś mu kamień z rąk wrywa, i musi biedak pracę zaczynać na nowo. Być może, iż podanie o "pracy Syzyfowej" powstało stąd, że w odległej starożytności zbiegłych zbrodniarzy i niewolników przywiązywano do ciężkiego kamienia lub belki, którą zawsze ze sobą wlec musieli.

Wnukiem Syzyfa był piękny Bellerofon, któremu zdarzyło się w młodości zabić przez nieostrożność własnego brata. Uważano go za zbrodniarza i wygnano z kraju. Wygnaniec schronił się do króla Projtososa, lecz tu zakochała się w nim podstarzała królowa. Bellerofon opierał się jej zalotom, co ją tak rozeźliło, że oskarżyła go przed mężem, jakoby ją chciał porwać. Projtosos nie miał odwagi sam ukarać młodzieńca. Posłał go więc do Azji Mniejszej, do króla Licji, Iobatesa, dając na drogę list, mocno opieczętowany. Bellerofon nie wiedział, że jest tam wyrok śmierci na niego. Iobates, odczytawszy Projtososowe orędzie, postanowił zgładzić nieszczęśnika w sposób dyskretny i zażądał, by stanął do walki z Chimajrą (Chimerą). Był to potwór dziwaczny: z przodu lew, z tyłu smok, a pośrodku

koza. Ze wszystkich trzech paszcz buchał ogień okropny. Przeciw Chimajrze Iobates wysyłał całe zastępy wojska, lecz z takiej wyprawy nikt nigdy nie wracał. Ludzie zamykali się po domach, drżąc z trwogi przed potworem, który włóczył się po lasach i polach.

Bellerofon wcale się nie bał. Wieczorem pomodlił się do Ateny i usnął. Gdy się obudził nazajutrz, ujrzał obok siebie złote wędzidło. Wziął je, ale nie wiedział, co to znaczy. Dopiero w ogrodzie spotkał skrzydlatego konia, Pegaza, i zrozumiał, że to na niego wędzidło i że wszystko dzieje się za sprawą Ateny. Wskoczył więc na grzbiet rumaka i wzbił się w powietrze. Teraz mógł walczyć z Chimajrą. Potwór ciskał się, dymił, warczał, strzelał ogniem, ale Bellerofon wysoko ponad nim drwił z jego wściekłości i co chwila podlatywał, aby go ukłuć oszczepem. Na koniec udało mu się wrazić Chimajrze oszczep w gardło. Pocisk miał ostrze z ołowiu, który stopił się w ogniu buchającym z paszczy i zalał wnętrzności. Potwór zdechł, a Bellerofon w triumfie wrócił do Iobatesa.

Król rozczulił się, podarł list Projtosa, dał bohaterowi własną córkę za żonę i podzielił się z nim królestwem. Kraj odżył, albowiem Bellerofon ochraniał go swym męstwem. Żaden wróg nie ważył się wtargnąć w jego granice. Owe powodzenia tak oszołomiły wnuka Syzyfa, iż zdawało mu się, że wszystkiemu podoła. Ziemia była dla niego za mała. Zamyślał Olimp zdobyć i Dzeusowi piorun wydrzeć. Tu był kres jego dumy i chwały. Ledwo wzniósł się w powietrze na swym skrzydlatym rumaku, otoczyły go gęste chmury i piorun zważył jeźdźca na ziemię. Spadł w przepaście górskie, osmalony ogniem niebieskim, ranny i bezsilny. Z oczyma obłąkanymi, których światło ćmiła nędza klęski, odszedł na pustynię, gdzie unikając ludzi przeżuwał swą hańbę w samotności i zapomnieniu.

Legendy lakońskie

W Sparcie, stolicy Lakonii, tam gdzie Eurotas prowadzi swe jasne wody wśród ciemnej zieleni krzewów mirtowych, panował przed wiekami król Tyndareos z małżonką swoją, Ledą. Ale oboje byli smutni, ponieważ

nie mieli dzieci. Gdy raz pod wieczór siedzieli przed pałacem i spoglądali na słońce, zapadające za ośnieżone szczyty Tajgetu, zjawił się nagle Hermes i położył Ledzie na kolanach wielkie jaje, takie jak zwykle znoszą łabędzie. Leda schowała je w złotej puszcze, wyścielonej miękkim puchem. Po pewnym czasie jaje pękło i wyszło z niego czworo ślicznych dzieci: dwie dziewczynki i dwóch chłopców. Chłopców nazwano: Kastor i Polideukes, a dziewczęta: Helena i Klitajmestra. Nie mieli rodziców, więc mówiono, że pochodzą od Dzeusa.

Kastor i Polideukes odebrali surowe wychowanie. Uczono ich biegać, strzelać z łuku, rzucać oszczepem i dzidą, kielznać dzikie ogiery i harcować po równinach lakońskich. Puszczano ich na samotne wyprawy w tajemnice Tajgetu. Idąc stromymi ścieżkami, wśród drzew morwowych i kasztanów, wpadali w wąwozy nagie, bezdrzewne, bez źdźbła trawy, w szerokie korytarze kamienne, śliskie i niebezpieczne. Darli się po przepaściach, połyskujących niby studnie o ścianach z alabastru, gdzie z hukiem lecą wodospady, szukali dojścia do parowów otchłannych, w których ginie echo zrzuconych kamieni, ogarniały ich pustkowia, napełnione powietrzem dusznym i gorącym, i oddawały w chłód dziwnych wylotów skalnych, gdzie czuje się smak wiatru od morza. Tajget wychował ich, obdarzył siłą nadludzką, zdrowiem ciała i duszy.

Kiedy podrośli, ruszyli w świat i dokonali wielu świetnych czynów. Morze Egejskie oczyścili z piratów, walczyli z olbrzymami i potworami, szli z każdą wyprawą bohaterów. Polideukes był straszny w walce na pięści, Kastor zaś nie miał równego sobie w ujeżdżaniu najdzikszych koni. Byli wzorem miłości braterskiej. Przyzwyczajono się nie wymieniać ich oddzielnie, lecz obejmować wspólnym imieniem Dioskurowie — synowie Dzeusa. Była w nich bowiem jakaś moc boża. Kiedy raz płynęli statkiem i rozszalała gwałtowna burza, tak że już nikąd nie oczekiwano ratunku, nagle dwie gwiazdy jak dwa płomyki spadły z nieba i osiadły na głowach braci. Natychmiast nawałnica przeszła i morze wygładziło się — szerokie i spokojne. Żeglarze znają te ogniki, które wśród burzy zapalają się na szczytach masztów, i nazywają je dzisiaj ogniami św. Elma.

Gdy Kastor w pewnej bitwie padł martwy, Polideukes nie chciał

pozostać sam na świecie i Dzeus obydwu przeniósł między gwiazdy, gdzie błyszczą jako Bliźnięta.

Czasem jednak schodzą na ziemię. Raz odwiedzili Spartę i zaszli do niejakiego Formiona, który zajmował dom niegdyś ich własny. Podali się za podróżnych i prosili, aby ich przenocował w pokoju wychodzącym na ogród. Formion nie chciał, bo tam mieszkała jego córka. Dał im inną komnatę, ale Dioskurowie odjechali zagniewani, że im nie pozwolono spędzić jednej nocy w ich ulubionym pokoju dzieciennym. Nazajutrz Formionówna znikła bez śladu, a przy jej łóżku znaleziono posągi Dioskurów.

W wielu miejscach, zwłaszcza w ojczystej Lakonii, mieli Dioskurowie świątynie i odbierali cześć równą bogom. Modliły się do nich wojska przed bitwą i żeglarze podczas burzy prosili o ratunek. Przedstawiano ich jako młodzieńców bez zarostu, konno jadących. Ich kult przeniósł się później do Rzymu, gdzie byli patronami rycerzy. Na Forum Romanum do dziś stoją trzy piękne kolumny ocalałe z ich świątyni.

Siostra Dioskurów, Helena, była najpiękniejszą kobietą na świecie i o nią właśnie toczyła się wojna trojańska. Ale gmin lakoński nie troszczył się o to, co o pięknej Helenie opowiadają poeci, gdyż czcił ją od niepamiętnych czasów na swój sposób — jako boginię urodzajów. Najślawniejsza jej świątynia stała w miejscowości Terapne, gdzie był jej wizerunek cudowny, do którego przynoszono słabe i brzydkie dzieci, aby bogini obdarzyła je urodą.

Legendy kreteńskie

Europa, którą porwał Dzeus, przedzierzgnięty w byka, zamieszkała na Krecie i urodziła dwóch synów: Minosa i Radamantysa. Po jej śmierci synowie zostali królami wyspy, a że nie mogli się zgodzić, przeto się rozłączyli. Radamantys odpłynął z kilku okrętami i założył własne państwo na wyspach Archipelagu Egejskiego. Rządził mądrze i sprawiedliwie, a ludy jemu podległe wspominały z wdzięcznością, że je z barbarzyństwa wyprowadził ku cywilizacji. Pod koniec życia przeniósł się do Beocji, gdzie ożenił się z matką Heraklesa, Alkmeną, wdową po Amfitrionie. Po śmierci

bogowie ustanowili go sędzią w podziemiu, dla jego wielkiej prawości.

Tymczasem Minos panował na Krecie. Był to rozumny król, który swoją potęgę umiał rozszerzyć bez podbojów, jedynie przez umiejętne współzycie z innymi krajami, skąd ciągnął zyski rozległym handlem. Miał wielką flotę i był prawdziwym władcą mórz. Nie było jednak szczęścia w domu. Jego żona, Pazyfae, urodziła dziecko, które miało kształt byka i człowieka. Ten syn szkaradny wyrósł na groźnego potwora i nazwano go Minotaurem. Król obawiając się, aby straszycie nie szkodziło jego poddanym, postanowił je zamknąć w jakimś bezpiecznym miejscu. W tym celu wybudowano wspaniały gmach, labirynt, o niezliczonej liczbie pokoi, z których gmatwaniny Minotaur wypłatać się nie mógł. Gdy go Tezeusz zabił, król kazał gmach wyprzątnąć i oczyścić i zamienił go na pałac, gdzie odtąd mieszkał, a po nim jego następcy.

Budowę labiryntu prowadził Ateńczyk Dedal (Dajdalos). Był on mistrzem we wszystkich sztukach. Miasta zamawiały u niego posągi bogów i bohaterów i ludzie zjeżdżali się z daleka, na uroczyste święta, aby podziwiać kunszt tego artysty, o którym mówiono, że umie w drzewo lub kamień tchnąć duszę żywą, tak iż ma się wrażenie, jakby postacie jego ruszały się, chodziły, patrzyły. W niektórych świątyniach kapłani przywiązywali jego statuy łańcuchami w obawie, żeby nie uciekły. Herakles idąc raz w nocy zobaczył jeden z owych posągów, a sądząc, że ma przed sobą jakiegoś przeciwnika, zaczął rzucać weń kamieniami. Późniejszym Grekom nie wydawały się one ani takie piękne, ani żywe. Przed wszystkim śmieszne. Niejaki Parmeniskos z Metapontu, który ślubował nie śmiać się nigdy, wybuchnął głośnym śmiechem na widok jednego z tych czcigodnych zabytków.

Lecz za króla Minosa nikt nie śmiał się ani z Dedala, ani z jego tworów. Tym bardziej że był godny sławy, ponieważ wynalazł mnóstwo rzeczy pożytecznych, np. świder, grundwęgę. Król kochał go tak bardzo, że nie chciał się z nim rozstać nawet wtedy, gdy Dedal, trapiiony tęsknotą za ojczyzną, usilnie prosił o pozwolenie wyjazdu. Król nie pozwolił. Miał w tym trochę słuszności, gdyż Dedal zbyt długo był jego powiernikiem i zbyt dobrze znał różne tajemnice państwowe: taki człowiek za granicą mógł

łatwo stać się niebezpieczny.

Wówczas Dedal wymyślił nowy i niesłychany sposób ucieczki. Z piór ptasich, sklejonych woskiem, sporządził olbrzymie skrzydła dla siebie i dla swego syna, Ikarą. Obaj przytwierdzili sobie skrzydła do ramion, a zanim ruszyli w drogę, rzekł ojciec do syna: "Pamiętaj, synu, żebyś zawsze latał środkiem, między morzem a niebem. Nie wolno ci zbyt wysoko szybować, gdyż gorąco promieni słonecznych roztopi wosk, który spaja skrzydła; ani nie zlatuj zbyt nisko, aby wilgocią wody nie nasiąknęły pióra".

Dedal leciał pierwszy i pokazywał drogę synowi. Rybak, który zakładał sieci wśród sitowia, pasterz idący za swymi trzodami, oracz postępujący za pługiem — wszyscy podnosili zdziwione oczy ku niebu, gdzie w obłokach szybowali ci dwaj niezwyčajni latawcy. Zdumienie ogarnęło ludzi na widok czarodzieja, który ptakom wydarł tajemnicę lotu i pokonał powietrze, dotychczas niedostępne dla mieszkańców ziemi. Minęli wkrótce wyspę Samos, Paros i Delos. Lecz Ikar, uniesiony zachwytem nad potęgą wynalazku, zapomniał o przestrożach ojca i coraz wyżej wzbijał się w błękitne przestworza. I wówczas stało się to, co przewidywał Dedal. Pod wpływem żaru słonecznego wosk stopniał i pióra, jedno po drugim, zaczęły opadać. Ikar, jak gromem rażony runął z wysokości na ziemię i zabił się na miejscu. Po długich poszukiwaniach odnalazł ojciec żałosne szczątki syna. Wyspę, na którą spadł Ikar, nazwano Ikarją, a morze dookoła niej — Morzem Ikaryjskim. Rozmyślając nad tym smutnym zdarzeniem poczciwy nasz Klonowic taką wypisał we *Flisie* przestrożę wszystkim lotnikom:

*Dał ci Ikarus znać swym testamentem,
Byś się nie bawił cudzym elementem...*

Dedal pochował syna, a sam udał się w dalszą drogę. Przybył na Sycylię, gdzie u pewnego króla został nadwornym budowniczym. Wykopał wielkie sztuczne jezioro i na stromych skałach zbudował gród warowny, w którym jego nowy pan przechowywał swoje skarby. W kilka lat później Minos z wielką flotą ruszył na Sycylię, aby upomnieć się o Dedala. Lecz zginął podczas wojny, która się wywiązała, a Dedal dożył głębokiej starości, powszechnie czczony.

W legendach o królu Minosie jest podłoże prawdy, którą odstoniły

wykopaliska dokonane na Krecie w naszym stuleciu. Odnaleziono w Knossos labirynt, który był pałacem królewskim i przez swą rozległą, kilkupiętrową, prawie nowoczesną konstrukcję mógł dawać starożytnym pojęcie jakiejś wyjątkowej zawikości. Wszystko, co w tym pałacu odkryto — malowidła, rzeźby, naczynia ozdobne, kosztowności — świadczy o wysokiej cywilizacji. Nazywano ją od imienia Minosa minojską lub egejską, albowiem obejmowała wyspy i pobraża Morza Egejskiego. Twórcą jej był jakiś lud niegrecki, nieznanego pochodzenia i języka. Kiedy cywilizacja egejska stała u szczytu, Greków nie było jeszcze ani na Krecie, ani w późniejszej Grecji. Nadciągnęli oni jako barbarzyńcy z północy i nagłym wtargnięciem zburzyli kwitnące miasta władców kreteńskich, sami jednak poddali się ich kulturze, przejęli od nich pismo, które, niedawno odcyfrowane, podaje nam wieść o tych odległych czasach, co dla samych Greków stały się epoką mitów i legend.

Połowanie na dzika kalidońskiego

W Etolii, kraju leżącym między pienistym strumieniem Acheloosu a rozlewnymi wodami Euenosu, panował król Ojneus, z żoną swoją, cudną królową Altea. Szczęście ich było zupełne, gdy przyszedł na świat syn, Meleager. Ale siódmego dnia po urodzeniu miała Altea dziwny sen. Zdawało się jej, że do komnaty weszły trzy Mojry, boginie przeznaczenia, i stanęły przy ognisku. Kloto wróżyła Meleagrowi dzielność, Lachezis siłę niezwykłą, Atropos zaś powiedziała, że będzie miał ciało odporne na wszelkie rany i życie będzie tak długo, dopóki nie spali się doszczętnie głownia, która teraz właśnie płonie na ognisku. Altea obudziła się w strachu śmiertelnym. Pobiegła, chwyciła ową głownię przeznaczenia, zgasiła ją i ukryła głęboko w okutej skrzyni.

Mijały lata, Meleager rósł na pociechę rodzicom. Jakoś raz, po żniwach, które były w tym roku tak obfite jak nigdy, król Ojneus składał bogom dziękczynne ofiary. Co chwila to krowa, to cielę, to wół padały pod nożem ofiarnika i ku niebu wznosił się słup tłustego dymu. Wszystkim bogom po kolei oddano cześć należną, zapomniano jedynie o Artemidzie,

władczyni lasów. Córka Latony rozgniewała się i za karę wpędziła na dobra królewskie olbrzymiego dzika, który pustoszył pola, chaty obracał w perzynę, ludzi pożerał. Na kraj padł strach boży.

Meleager był wtedy w kwiecie wieku. Pragnął się odznaczyć i jednocześnie ojczyznę wybawić z nieszczęścia. Uderzył w tarczę spiżową i po całej Grecji rozesłał heroldów z zaproszeniem na łowy, na wielkie łowy! Ze wszystkich stron szli bohaterowie. Tezeusz, Ateń-czyk, wiódł swego tesalskiego przyjaciela, Pejritoosa, z bogatej Ftyi nadciągnął Peleus, ojciec Achillesa, z Lacedemonu przybyli Kastor i Polideukes, dwaj bracia, podobni do siebie jak dwie krople wody, z piaszczystego Pylos zjawił się młodzieńki Nestor, ten sam, który później setki lat dożył i wodzom trojańskim służył radą i doświadczeniem. Dworzyszczce Ojneusa rozbłysło świetnością zbroić, zaroilo się mnogimi pocztami sług, a podwórze od rana do nocy wrzało gonitwą ogarów, których liczne sfory przywiedli panowie.

Gdy już wszystko było gotowe do łowów, zjawił się jeszcze jeden gość — nieoczekiwany: Atalanta. Miała na sobie męską zbroję, włosy upięte w jeden węzeł, na ramionach zawieszony kołczan dzwonił strzałami, w lewej ręce trzymała łuk, w prawej dwa oszczepy. Liczko miała na poły dziewczynskie, na poły chłopięce i śmiałe, czyste, spojrzenie. Była córką królewską. Ale ojciec chciał mieć tylko męskie potomstwo i małą Atalantę kazał wyrzucić w niedostępne góry, aby tam szczęła. Niedźwiedzica zaopiekowała się dzieckiem i wykarmiła je własną piersią. W bartogu niedźwiedzim znaleźli ją myśliwi, którzy zabili jej przybraną matkę. Odtąd chowała się w chacie leśnej, wśród puszczy, i wyrosła na dziewczynę zdrową, silną i trochę dziką. Lecz gdy jeden z opiekunów zaczął się do niej zalecać, uciekła, albowiem powiedziała sobie, że nigdy nie wyjdzie za mąż i zostanie panną, jak Artemida. Po drodze napadli ją centaury, lecz ich wytłukła i przepędziła. Żyła samotnie, wiecznie uzbrojona od stóp do węgła włosów upiętego na głowie, po lasach ścigała zwierzynę, a gdy jej się pić chciało, uderzeniem włóczni dobywała ze skały strumień jasnej i zimnej wody.

Król Ojneus powitał Atalantę serdecznie, bohaterowie okrzyknęli ją swoim towarzyszem. Meleager poczuł, że ją może pokochać. Nazajutrz o świcie ruszono na łowy.

Zima w tym roku była ostra i spadł śnieg puszysty — dobra wróżba

dla myśliwych, którzy łatwiej mogli na ponowie wytropić ślady zwierza. Lasy kalidońskie otoczyła szerokim kołem nagonka. Bito w kotły miedziane, potrząsano grzechotki, krzyczano, aby wypłoszyć dzika. Snadź się gdzieś zawieruszył, bo ani go słyszeć nie było. Spuszczono ogary wiatru doskonałego, ale po godzinie wróciły zawstydzone, z popuszczanymi ogonami. Na bezskutecznych poszukiwaniach zeszło do wieczora. Trzeba było zanoć w lesie. Pobudowano naprędce szałas z choiny i wysłano je wewnątrz suchymi gałązkami. Meleager urządził sobie szałas tuż obok Atalanty, której przyniósł kilka naręczy zeschniętych liści, aby się jej spało bardziej miękko. Pośrodku obozowiska rozpalono wielki ogień i co kto przez dzień upolował, dawano na rożen. Wszyscy mieli w żołądkach próżnię niesłychaną, więc jedli, aż im żuchwy trzeszczały. Dla psów zostały jeno co grubsze kości.

Jeszcze wszyscy spali, gdy nagonka zaczęła hałasować o pierwszych brzaskach. Zerwali się, uzbroili i stanęli poza drzewami na czatach. Wtem nagonka umilkła i posłyszano się trzask łamanych drzew. Dzik ruszył. W głębi lasu był strumień osłonięty wikliną. Potworny zwierz przedarł się przez wiklinę, lód na potoku prysnął pod jego racicami i woda zachlupotała. Jeszcze go nie było widać spoza czarnych gąszczów. Ale słyszano się już blisko złowrogie rechtanie, ze świstem, szumem, jak gdyby burzy nadciągającej. Jeden był, a zdawało się, że całe stado idzie. Wreszcie wydarł się z kniei i stanął na polanie. Zjeżony, z pianą u ryja, kłapał olbrzymimi jak szable kłami i gniótł śnieg racicami, jakby deptał wroga. Był ogromny, do czarnej góry podobny, w której paliły się dwie krwawe otchłanie jego ślepiów. Wyleciała strzała jedna i trafiła odyńca w oko. Tak Atalanta rozpoczynała łowy. Natychmiast po strzale umknęła się zwinnie i ukryła o parę kroków dalej. Dzik skoczył w to miejsce, skąd wyszła strzała. Wściekły obiegł drzewo dokoła, póki kilkanaście oszczepów, rzuconych jednocześnie, nie ugrzęzło mu w cielsku. Obsiadły go psy i zaczęły szarpać. Otrząsał się, odpychał je, tratował, wyszarpywał im wnętrzności, a przecież słabł coraz bardziej z upływu krwi. Wreszcie zabił go Meleager trafiwszy dzidą w samą komorę.

On był zwycięzcą i jemu należała się nagroda: skóra dzika. Spierano

się o to długo, lecz na koniec przyznano. Wtedy stała się rzecz nie do wiary. Meleager, zaślepiony miłością do Atalanty, oddał jej głowę zwierza jako dar zaszczytny za pierwszą strzałę. Podniósł się wrzask. Kobiętę odznaczył przed tyłu mężami i tak świetnymi bohaterami! Goście, posępni i obrażeni, odeszli na stronę, ale do Meleagra przypadli wujowie, bracia królowej Altei, z wyrzutami, z pogrózkami. W następstwie kłótni wywiązała się walka i Meleager pozabijał wujów.

Królowej Altei natychmiast doniesiono o wszystkim. Wysłuchiwała relacji spokojnie. A więc jej syn przestał być jej synem. Dla miłości kobiety sponiewierał honor domu, cześć rodu królewskiego. Pewna i niewzruszona, jak mściwa bogini, otworzyła Altea okutą skrzynię, stojącą w rogu sypialni. Było w niej mnóstwo szat ozdobnych, przekładanych wonnymi ziołami. Wybierała jedną po drugiej, rozścielała na zydlu, wygładzała fałdy. Pod ostatnią suknią, na samym spodzie, leżał czarny kawał osmolonego drzewa. Gdy brała tę głównię przeznaczenia, zadrżała jej ręka. Powoli, ciężko, jakby to było nieudźwignięte polano, zaniosiła ją do ognia i rzuciła w płomień. Żar objął ją łakomie i zapalił. Królowa Altea nie mogła oderwać oczu od tej główki, która płonęła krwawo, trzeszcząc i jęcząc. A w tej samej chwili, pośród obozowiska leśnego, młody Meleager zaczął się słaniać i poczuł gorący, straszliwy ból we wnętrzościach. Upadł, zbladł, jakby wszystka krew z niego uciekła, żrenice przygasły, umarł.

Atalanta wróciła do ojca. Po tylu latach przyjmował to odrzucone dziecko jak niezasłużony dar bogów. Otoczył ją ramieniem i wygodą. Widząc, że spotkało ją coś smutnego, o nic nie pytał. Zresztą, domyślał się wiele, bo i między góry arkadyjskie doszły wieści o łowach kalidońskich. Lecz po kilku tygodniach powiedział jej, bardzo ostrożnie i łagodnie, że powinna wyjść za mąż. Śmiał się pocziwie, że mu już czas wnuki piastować. Atalanta zgodziła się nad podziw prędko i spokojnie. Ale postawiła jeden warunek: odda swą rękę temu, kto ją w biegu prześcignie. Kogo zaś ona zwycięży, zabije go jak psa. Tak powiedziała: jak psa! Z początku nie wydawało się to groźne, ale kiedy już kości kilkunastu zalotników białeły na słońcu, wówczas uczyniło się dokoła niej pusto. Tego właśnie pragnęła dzika dziewczyna.

Pewnego dnia zjawił się nagle nowy konkurent. Nazywał się Hippomenes. Nie był brzydki; owszem, młody był i silny, ale nikt o nim dotąd nie słyszał. Stanął do wyścigów. Pobiegnął pierwszy, za nim Atalanta. W biegu upuścił złote jabłko. Dziewczyna pochyliła się, aby je podnieść: było bardzo ładne. Po chwili drugie — i to podniosła. Trzecie, czwarte, jedno od drugiego piękniejsze, jakże je tak zostawić?... Ale oto już meta. Cóż to? A tak, Hippomenes już u celu, dawno tam przybył, jeszcze wtedy, gdy Atalanta zbierała po ziemi złote jabłka. Podstęp to był, podstęp, którego wyuczyła go sama bogini Afrodyta. Lecz cóż było począć? Atalanta wyszła za Hippomenesa. Szczęście ich nie trwało zbyt długo. Ściągnęli na siebie gniew Demetry, która ich oboje zmieniła w parę lwów.

Wyprawa Argonautów

Król tesalskiego miasta Jolkos, pobożny Ajzon, miał niegodziwego brata, Peliasa, który knuł przeciw niemu wieczne spiski. Słaby król zawsze mu przebaczał, aż w końcu Pelias, zebrawszy garść zuchwalców, opanował zamek i strącił Ajzona z tronu. Wtedy właśnie urodził się Ajzonowi syn, Jazon. Uzurpator, chcąc zatrzymać berło dla swoich następców, postanowił zabić niemowlę. Dowiedział się o tym dawny sługa Ajzona i ostrzegł rodziców. Ci zaś rozgłosili wieść, że ich jedynak jest chory, a w kilka dni później, że umarł. Niewolnice wybiegły z płaczem przed dom i zawodziły żale. Tymczasem, pod osłoną nocy, jedynej powiernicy tego podstępu, matka, owinąwszy Jazona w pieluszki z purpury, zaniosiła go do pieczary centaura Chejrona.

Pod okiem mądrego półboga chował się chłopiec do dwudziestego roku życia, w czystości języka, myśli i obyczajów. Nie wiedział nic o swoim pochodzeniu. Lecz kiedy już był dojrzałym młodzieńcem, podziękował Chejronowi za gościnę i poszedł w świat szukać przygód i sławy. Któregoś dnia stanął nad rzeką, szeroko rozlaną i, jak się zdawało, dość głęboką. Szukając brodu dotarł do miejsca, gdzie rzeka tworzyła szczerk obszerny i łatwy do przebycia. W tej chwili zjawiła się przed nim zgrzybiała staruszka i prosiła, by ją przeniósł na drugą stronę. Jazon z ochotą wziął ją na plecy i po kamieniach przebiegł na brzeg przeciwległy. Kobięcina pozdrowiła go pięknie, życzyła szczęścia i znikła. Królewicz nie wiedział, że to była bogini Hera, która chciała w ten sposób wypróbować jego dobre serce. Jakoż od

tej chwili pani niebios stała się jego najłaskawszą opiekunką.

Czas był śliczny i Jazon, przepętniony radosną młodością, szedł tak spieszenie, że nie zauważył, iż w mule rzeczonym zostawił jeden sandał. Około południa dojrzał mury miasta. Było to Jolkos. Za miastem rósł gaj święty, a w nim stał odwieczny ołtarz Posejdona, na którym właśnie składano ofiarę. Pośród kapłanów błyszczą w złocie i szkarłatach król Pelias, modlący się, niespokojny i chmurny. Trawiła go bowiem zgryzota. Oto niedawno wysłał heroldów do Delf i wyrocznia dała mu groźną przestrozę: "Unikaj spotkania z człowiekiem, który będzie cudzoziemcem i obywatelem zarazem, który zejdzie z gór, obuty w jeden sandał, a dążąc na zachód wkroczy do sławnego Jolkos".

Odtąd Pelias nie miał spokoju. I w tej chwili, składając ofiary i modląc się do bogów, rozglądał się trwożnie i pilnie spozierał na nogi wszystkich, którzy przechodzili mimo ołtarza. Nagle spostrzegł Jazona i zadrzał. Stał przed nim młodzieniec jasny i urodziwy, krzepkiej i wyniosłej postawy, z szerokim kapeluszem podróżnym zawieszonym na taśmie na plecach, z oszczepem w prawej dłoni, obuty w jeden tylko sandał. Pelias wskazał go marszałkowi i polecił prosić do zamku.

Jazon nigdy dotychczas nie rozmawiał z królami, ale się nie uląkł znalazłszy się w obliczu Peliasa. Powiedział śmiało, jak się nazywa, a wtedy król:

— Co byś uczynił, Jazonie — zapytał — gdybyś był królem i gdybyś wiedział, że masz zginąć z ręki jednego z twoich gości?

— Posłałbym tego gościa na poszukiwanie złotego runa.

— Pięknie — rzecze król. — Wiedz zatem, że ty nim jesteś. Idź więc i przynieś złote runo.

Jazon oniemiał. Do dziś był jeszcze niczym, a oto stał się człowiekiem, którego obawiają się królowie. Gdy wychodził z pałacu, zbliżył się doń stary sługa, ten sam, który ongi ostrzegł jego rodziców przed gniewem Peliasa, i opowiedział mu historię jego rodu. Zaczem sprowadził go do domu Ajzona. W nędznej chacie mieszkał dawny król, z żoną i kilku niewolnikami, żyjąc cicho i w odosobnieniu, aby nie ściągnąć na siebie uwagi mściwego brata. Płakał ujrawszy wyrosłego syna. Jazon, do głębi poruszony niedolą ojca, wyrwał się z jego uścisków i pobiegł do pałacu.

Peliasowi w twarz rzucił jego niegodziwość i żądał zwrotu dóbr i władzy. Chytry król rzekł:

— Słaby jestem. Oddam ci berło, które już ciąży mej dłoni. Ale mówiliśmy o złotym runie. Otóż wiedz, że król Jolkos musi wpierw przywieźć runo złotego baranka, inaczej ściągnie na siebie gniew bogów. Idź, przynieś je, jakieś to obiecał, i wracaj z błogosławieństwem bożym, aby zasiąść na tronie w Jolkos urodzajnym.

Dziwna była historia owego złotego runa. Jazon znał ją dokładnie z opowiadań Chejrona.

W starożytnym mieście beockim Orchomenos był król Atamas, któremu żona Nefele urodziła dwoje dzieci: synka Fryksosa i córeczkę Helle. Po śmierci Nefele Atamas ożenił się z Ino, córką tebańskiego Kadmosa. Ino była złą macochą i chciała się pozbyć pasierbów. Namówiła tedy kobiety z Orchomenos, aby ziarno przeznaczone na zasiewy sprzążyły wrzątkiem i w ten sposób sprowadziły na kraj klęskę nieurodzaju. Tak się stało i gdy zboże nie wzeszło, Atamas posłał do wyroczni z zapytaniem, co czynić, aby odwrócić gniew boży. Ino przekupiła postów, którzy zanieśli królowi odpowiedź, jaką im przygotowała: bogowie domagają się ofiary z dzieci królewskich.

Ale i Nefele czuwała. Dusza matki zjawiała się Fryksosowi we śnie i kazała mu wraz z siostrą uciekać. W nocy mieli wyjść za miasto, gdzie będzie na nich czekał baranek, który ich zanieśie, gdzie zechcą. Fryksos zbudził się natychmiast, a ponieważ jego mała siostrzyczka spała, wziął ją na ręce i wyszedł z miasta. Z daleka już posłyszał beczenie baranka. Było to zwierzę cudowne, boskiego pochodzenia, całe pokryte złotym runem, umiało przemawiać głosem ludzkim i latać w powietrzu. Dzieci wsiadły mu na grzbiet i trzymając się złotej wełny jechały jak na koniku. Baranek przelatywał ponad górami, wypami i morzem z chyżością jaskółki. Lecz w wąskiej cieśninie, która oddziela brzegi Azji od Europy, zerwała się gwałtowna burza. Mała Helle, strwożona wzdętymi falami i wyciem huraganu, straciła przytomność i spadła do morza, które od jej imienia nazwano Hellespontem. Fryksos wylądował w Kolchidzie, krainie nad Morzem Czarnym, gdzie żył spokojnie do końca swych dni. Baranka chował, pieścił, aż się ów zestarzał i sam prosił, aby go zabić. Fryksos złożył go w ofierze Dzeusowi; a złote runo król Kolchidy, Ajetes, zawiesił na dębie w świętym gaju Aresa.

Jazon przypomniał sobie to wszystko wracając od Peliasa. Był w tym wieku, w którym o niczym się tak gorąco nie marzy jak o wielkich czynach i sławie. Przestał się więc wahać, gdy nadarzała się w istocie osobiwa sposobność. Rozesłał po całej Grecji wici na zamorską wyprawę. Nigdy

Jolkos nie widziało w swoich murach tylu wspaniałych mężów. Ludzie porzuciwszy zajęcia stawali u bram miasta i patrzyli, jak każdy z nich przybywał z wielkim pocztem, potężny, rostry, w zbroi błyszczącej, świetny chwałą przewag znakomitych. Zjawili się przede wszystkim ci, których nigdy nie brakło, ilekroć szło o popis siły lub odwagi: więc bogom podobny Herakles ze swoim synem, pięknym jak dzień Hylasem, więc Tezeusz, Peleus, Pejritoos, Kastor i Polideukes, Meleager, Nestor, bystrooki Linkeus, którego wzrok przenikał do głębi morza. Zaczem zjawili się mniej znani, lecz nie mniej mężni bohaterowie, aż zebrano się pięćdziesięciu uczestników. Przyłączył się natchniony śpiewak Orfeusz i syn Apollinowy, Asklepios.

Zbudowano wielki statek i nazwano go Argo, co znaczy: szybki. Sama Atena czuwała nad tą robotą. W dziobie nawy ukryto kawał drzewa ze świętego dębu w Dodonie. To drewno przemawiało głosem zrozumiałym i wskazywało drogę na morskich rozstajach. Szukano wodza. Oczy wszystkich zwracały się na Heraklesa. Ale on rzekł:

— Niechaj nikt nie waży się tym zaszczytem ani mnie, ani siebie obdzielać. Ten, czyje nieszczęście nas zebrano, ma nami dowodzić.

Jazon więc został wodzem wyprawy Argonautów. Złożył ofiary bóstwom morskim. Orfeusz zagrał na harfie i chybka Argo, odczepiona z cumów, wypłynęła na bławe obszary morza. Pogoda była wyborna. Lekki, lecz mocny wiatr wydał żagle, tak że nie trzeba było wiosł. Bohaterowie jedli, popijali słodkie wino i opowiadali swoje przygody. W najlepszych humorach przybyli do Lemnos i wysiedli na brzeg dla odpoczynku i rozrywki.

Na wyspie panowały dziwne stosunki. Nie było wcale mężczyzn, rządziły same kobiety. Albowiem kilkanaście lat temu Lemnijki ściągnęły na siebie gniew Afrodyty. Pod klątwą bogini nabrały tak przykrego zapachu, że mężowie poczuli do nich wstręt i rozwiódłszy się z nimi zamyślali sobie sprowadzić inne kobiety z niedalekiej Tracji. Wtedy Lemnijki uknuły spisek i w ciągu nocy wymordowały wszystkich mężczyzn. Snadź później odleciał ich ten odór, skoro Argonauci spędzili w tym państwie niewieścim dwa lata, a Jazon, zakochany w królowej, w ogóle nie

chciał słyszeć o dalszej wyprawie. Dopiero Herakles srogimi wyrzutami rozbudził w nim uśpionego ducha.

Z Lemnos popłynęli Argonauci ku wyspie, na której wznosi się miasto Kyzikos. Ale nie mogli stamtąd wyjechać z przyczyny przeciwnych wiatrów. Wtedy poszli na pobliską górę, poświęconą Wielkiej Matce Bogów, i modlili się żarliwie. Bogini okazała im niezwykłą łaskę. Drzewa okryły się owocami, a ziemia pod stopami bohaterów umiała się kwieciami nieprzebranym. Lwy porzuciły swoje pieczary i wyszły ku nim, przypochlebiając się ogonami. Ze świętej góry wytrysło źródło obfite, które mieszkańcy nazywali odtąd krynicą Jazona. Argonauci, pełni otuchy, zeszli do przystani, lecz znaleźli tam Heraklesa walczącego z olbrzymami. Oto podczas ich nieobecności dzicy ludzie, ogromnej siły i postawy, zbiegli ku morzu i zaczęli port zasypywać głazami, aby okręt schwytać, jak się łowi zwierza w dole. Herakles dał sobie z nimi radę, a niedobitków powalili herosi, którzy w czas nadeszli.

Mając dobrą pogodę i pomyślne wiatry, jechali brzegiem Tracji, aż dotarli do miejsca, gdzie żył ślepy król-wróż, Fineus. Za to, że samowolnie ludziom przepowiadał przyszłość, ukarali go bogowie ślepotą i na domiar niedoli zesłali nań harpie, monstra okrutne, o twarzy kobiecej, a ciele ptaka. Przylatywały, ilekroć Fineus zasiadł do stołu, porywały jedzenie albo zanieczyszczały je w taki sposób, że go tknąć nie było można. Biedny król umierał po prostu z głodu. Z wdzięczności za nieomyłne przepowiednie, jakich im Fineus udzielił, Argonauci uwolnili go spod władzy harpij; synowie boga wiatru Boreasza, Kalais i Dzetos, puścili się za nimi w pogoń i przepędzili daleko poza granice Bitynii; harpie więc nie wróciły.

U wejścia do Morza Czarnego, tam gdzie dzisiaj otwiera się srebrzysty korytarz Bosforu, zamykały wjazd dwie dziwne skały, zwane Symplegadami. Co chwila przyskakiwały ku sobie, jakby się chciały objąć, i znów odskakiwały, uwalniając przejście na jedno mgnienie oka. Żaden okręt nie mógł się tamtędy przedostać, gdyż groziło mu zgruchotanie w kamiennym uścisku tych głazów. Argonauci, idąc za radą Fineusa, zatrzymali się tuż przed Symplegadami — i wypuścili najpierw gołębia. Ptak przeleciał tak żwawo, że zwierające się skały uszczknęły mu jeno parę

lotek z ogona. Bohaterowie, korzystając z chwili, gdy urwiska odskoczyły od siebie, wzięli się rażno do wiosł i przepłynęli tak szybko, że następne zwanie się skał strzaskało zaledwie kawał drzewa na tyle okrętu. Symplegady stanęły w miejscu i odtąd nie ruszyły się więcej. Orfeusz, który przez cały czas niebezpiecznej przeprawy grał na harfie i śpiewał pieśni nabożne, opowiadał później, że to jego czarodziejska muzyką znieruchomiła Symplegady.

W kilka dni potem przybyli do brzegów Kolchidy. Bohaterowie uwiązali okręt mocnymi cumami do skał w przystani i ruszyli do stolicy. U stóp Kaukazu, na którym niegdyś cierpiał Prometeusz, stał zamek królewski, dziwo dla oczu. Na kolumnach z brązu wspierały się balkony i terasy, zarosłe bluszczem, winoroślą i kwiatami. Nad dziedzińcu były cztery fontanny. Dwie z nich płynęły mlekiem i winem, trzecia dawała wonne olejki, ostatnia zaś wylewała strumień cudowny, który zimą był gorący, a latem zimny jak lód. Herakles nie podzielał zdumienia towarzyszy. Mówił, że takie rzeczy widział już u królowej Omfali i gdzie indziej.

Król Ajetes w grzecznym uśmiechu pokrył zmieszanie, w jakie go wprowadziło zjawienie się tylu potężnych wojowników. Wysłuchawszy, z czym przychodzą, rzekł:

— Nie odmawiam szlachetnemu Jazonowi złotego runa, chociaż jest to talizman przynoszący szczęście mojej ziemi. Ale zwyczajem rycerskim żądam, aby wpierw wypełnił warunki, które stwierdzą jego siłę i męstwo. Oto mam parę byków — dar Hefajstosa. Są one ze spiżu, a z ich pysków i nozdrzy bucha ogień niszczący. Niech Jazon zaprzęgnie te wołki do pługa, zaorze Pole Aresa, posieje zęby smocze, które mu dam, i pokona mężów zbrojnych, jacy się z tego siewu narodzą. A potem będzie już miał do czynienia tylko ze smokiem, który w gaju strzeże złotego runa.

Nazajutrz, ledwo jutrzienka spędziła z nieba gwiazdy błyszczące, szedł kto żyw na święte Pole Aresa. Osobno stanął lud kolchidzki, osobno zaś Grecy z Jazonem na czele. Król Ajetes, w purpurze i z berłem w dłoni, siedział na wzniesieniu. Pośrodku był wolny majdan szeroki. Na nim niecierpliwily się byki Hefajsta wyrzucając płomień przez nozdrza diamentowe. Od ich oddechu płonęła trawa dokoła. Uczyniła się cisza,

albowiem oto Jazon szedł ku nim, nagi, błyszczący oliwą, którą członki namaścił, piękny jak posąg boga. Straszliwe łby z żelaznymi rogami odwróciły się w stronę nadchodzącego, spiżowe racice z chrzęstem złowrogim biły o ziemię, groźny ryk rwał się ku błękitnemu niebu. Jazon szedł bez obawy. Zbliżył się do potworów, jakby nie czuł zatrutego ich tchnienia, śmiałą ręką podgiął im karki pod jarzmo, założył do pługą i tak pędził przez pole. Zdumieli się Kolchowie. Grecy wydali okrzyk radości.

Gdy pole już było zorane, bohater zasiał na nim zęby smocze. W kilka chwil potem z jadowitej gleby wyrósł zastęp zbrojnych mężów, którzy swój oręż skierowali przeciw królewiczowi z Jolkos. Znow nie uląkł się, lecz porwawszy głaz ogromny, rzucił go w sam środek synów smoczych. I oto dziw niewymowny: ci, którzy przed chwilą szli ławą na niego, zwrócili się teraz ku sobie i zaczęli walczyć z zaciekłością nieubłaganych wrogów. Zanim słońce zaszło, już wszyscy leżeli martwi na ziemi, z której przed kilku godzinami powstał. Wówczas przerwano szranki dzielące lud od majdanu. Towarzysze ściskali i całowali Jazona, Kolchowie zaś w niemym podziwieniu patrzyli na pięknego młodzieńca, co w tym dniu zdobył sławę nieśmiertelną.

Jeden Herakles coś mrucał i potrząsał głową. Zdawało się, że czemuś nie dowierza. Jazon unikał jego wzroku, albowiem te wątpliwości były słuszne. Królewicz z Jolkos dokonał wszystkiego z pomocą kobiety. Córka Ajetesa, Medea, zakochała się w nim, jak niegdyś Ariadna Minosówna w Tezeuszu. Zakochała się od pierwszego wejrzenia, gdy wszedł na dwór ojca śmiały, urodziwy i taki inny niż mężczyźni, których widziała dotychczas. Była czarodziejką i dopomogła wybrańcowi swego serca: dała mu balsam cudowny. Jazon namaścił nim ciało i uczynił je odpornym na rany i poparzenia. Siła nadludzka weszła w jego członki, a zioła magiczne sprawiły, że nie szkodził mu zatruty oddech potworów.

Bez niej nie zdołałby nigdy zwyciężyć byków spiżowych ani wziąć złotego runa ze świętego gaju Aresa. Jazon poszedł tam w nocy. Na rozłożystym odwiecznym dębie wisiła skóra boskiego baranka, świecąc w ciemności jak niebo gwiazdziste. Przy drzewie czuwał smok, który nigdy nie spał. Bohater oblał go odwarem z traw czarnoksięskich i trzykrotnie

wypowiedział słowa nieodparte, które morze wzburzone i wezbrane rzeki wstrzymują. Medea była przy nim. Szła z niej moc wielka i pod urokiem jej oczu, słów magicznych i odwaru z ziół czarodziejskich sen zamknął powieki gada. Smok rozciągnął się w migotliwej nieskończoności swych zwojów, niby fala, która bezszelestnie kładzie się na wybrzeżu. W tej chwili Jazon uciął mu głowę i zdarł z drzewa złote runo. Nasz zacny Klonowic nie mógł darować Jazonowi, że dla baraniego futerka puścił się w długie, zamorskie wędrowanie, i wypisał mu we *Flisie* wiersz uszczypliwy:

*Czarownica to Medea sprawiła,
Że go tą złotą wełną nabawiła.
Rozkoszny Jazon bywszy bohaterem
Został kusznirzem.*

Jazon, oczywiście, był innego zdania. Z dumą i radością uwoził z Kolchidy złote runo, a z nim cieszyła się Medea, która uciekła z domu ojca. Wyłynęli wczesnym rankiem. Około południa dostrzegli na widnokręgu okręt, za nim drugi, trzeci, całą flotę. Król Ajetes ścigał Argonautów. Statki kolchidzkie zbliżały się coraz bardziej. Wówczas Medea zabiła swego brata, małego Absyrtosa, którego uciekając porwała z domu, ciało pokrajała na kawałki i rozrzuciła je po morzu. Gdy Ajetes ujrzał na falach członki syna, zatrzymał okręty, aby je pozbierać. Tymczasem szybka Argo odpłynęła daleko.

Nikt nie dziękował czarodziejce za wybawienie. Zgroza ogarnęła bohaterów. Dzeus, mszcząc niesłychaną zbrodnię, odwrócił się od Argonautów. Zaczęły się dni klęski i bezpłodnego wędrowania. Niewielką przestrzeń, dzielącą brzegi Azji od Grecji, przemierzali wiele lat, odpychani od powrotu burzą lub groźną przygodą. Nie było po prostu miasta, na zachodzie czy północy, które by nie przechowało o nich jakiegoś wspomnienia: tu wzniesli świątynię, ówdzie ustanowili igrzyska, gdzie indziej stoczyli bitwę z dzikimi plemionami. Wracali okryci chwałą.

Całe Jolkos wybiegło na powitanie Jazona. W tłumie zebranych brakło tylko starego ojca. Złożony ciężką chorobą, dogorywał w domu. Gdy Jazon

wszedł, staruszek nie poznał go mając oczy już obrócone w zaświaty. Królewicz tak wierzył we wszechmoc Medei, że i teraz patrzył jej pilnie w twarz, czy nie wyczyta w niej jakiejś radosnej obietnicy. Czarodziejka skinęła głową.

W istocie miała moc wielką. Służyły jej duchy powietrza, ziemi, nieba, wiatry, góry, rzeki, jeziora, wszelakie bóstwa leśne i nocne. Z ich pomocą umiała strumienie zawracać do źródła, wstrzymywać bieg rzek, spokojne morze wzburzyć, chmury zgromadzać i rozpędzać, wiatry odwracać i przyzywać, skały przenosić i lasy z ziemi wyruszyć; na jej rozkaz drżały góry, jęczała ziemia, umarli wychodzili z grobów, słońce, a nawet różowa jutrzienka pokrywała się trupią bladością.

Na niebie świeciła pełnia. Medea wyszła z domu, sama, w szacie nie przepasanej, bosa, z włosami spadającymi na nagie plecy. W ręku miała sierp. Szła przez doliny i wąwozy Tesalii i krzywizną spiżowego sierpa cięła zioła o ukrytej mocy. Na dziewiątą noc wróciła z naręczem traw czarodziejskich. Z darni ułożyła dwa ołtarze: dla Hekale, bogini czarów, i dla bogini Młodości. Uwieńczyła je zielonymi gałązkami i liśćmi i bóstwom podziemnym zabiła na ofiarę czarną owcę, wylewając krew do wykopanych koło ołtarzy dołów. Potem jeszcze uczyniła trzykrotną obiatę z miodu zmieszanego z mlekiem, z wina i z wody — na uproszenie bóstw śmierci, by nie sięgały po życie Ajzona. Na jej rozkaz wyniesiono ciało starca i złożono na trawie. Teraz kazała wszystkim odejść. Z rozpuszczonymi włosami, jak bachantka, obeszła dokoła płonące ołtarze, wzięła pochodnie, zanurzyła je w krwi zwierząt, zapaliła u ofiarnego ognia i trzykrotnie oczyściła ciało Ajzona ogniem, wodą i siarką.

Tymczasem w kotle miedzianym warzyły się zioła. Dodała do nich rosy spadłej z księżycy i piór strzygi, i tajemniczych kamieni, przyniesionych z najdalszych rubieży Wschodu, i trochę piasku obmytego odpływem morza, i kilka strzępów skóry jadowitego węża, i jeszcze tysiąc innych rzeczy. Gdy się to wszystko zagotowało, że aż piana wystąpiła na brzegi naczynia, Medea ostrym mieczem rozcięła szyję starca i do rany wlała przyrządzony odwar. Wstał Ajzon jako rześki czterdziestoletni mężczyzna.

Wieść o tym cudownym odmłodzeniu rozeszła się szeroko po świecie. W samym Jolkos mówiono o tym po całych dniach i nocach. A najwięcej w pałacu króla Peliasa, który stary był i chory. Córki jego naradzały się długo między sobą, aż w końcu poszły do Medei i poprosiły, aby to samo uczyniła dla ich ojca. Medea wiedziała, jakie krzywdy wyrządził Pelias rodzinie Jazona, a że serce miała okrutne, więc okrutną obmyśliła zemstę. Przygotowała wszystko jak wprzódy i kocioł postawiła na ogniu, jeno do środka wrzuciła nie te zioła, ale inne, zgoła bezsilne. Potem kazała córkom zabić ojca i porąbać jego ciało na kawałki. Gdy to uczyniły, włożyła krwawe zwłoki do kotła i odeszła. Mimowolne ojcobójczynie oszalały z rozpacz. Nie było teraz bezpiecznie pozostawać Jazonowi w Jolkos. Wszyscy zapomnieli dawnych grzechów Peliasa i zwrócili swą nienawiść przeciw czarodziejce z Kolchidy. Małżonkowie cichaczem wynieśli się z miasta.

Od czasu wyprawy Jazon stał się bohaterem narodowym i wszędzie otwierały się przed nim gościnne podwoje. Najżyczliwiej przyjął go król Koryntu, Kreon. Oddał mu część pałacu na mieszkanie i nie pozwalał mówić o wyjeździe. Zresztą sam Jazon o tym nie myślał, odkąd poznał córkę Kreona, śliczną Kreuzę. Prawda, że Medea była również piękna. Miała włosy czarne i czarne oczy, gorejące niezwykłym płomieniem. Sam Dzeus w niej się kochał, ale go odrzuciła. Kreuza natomiast, prosta i cicha Greczynka, ciągnęła serce Jazona swoim łagodnym wdziękiem. Przy niej było mu dobrze i spokojnie. Medei bał się zawsze. Posiadała moc okrutną, o której nie mógł myśleć bez zgrozy. Przeświadczenie, że przecież jej wszystko zawdzięcza, było dlań przykre, niewygodne i paliło go wstydem. Poza tym czuł w niej jakąś obcość. Nosiła szaty jaskrawe, wschodnie, które dziwacznie odbijały przy skromnych strojach Kreuzy.

Widząc, że królowna koryncka coraz bardziej mu sprzyja, zebrał się na odwagę i powiedział Medei prawdę: że jej nie kocha, i że te śluby zamorskie są w Grecji nieważne, że zamierza żenić się z Kreuzą. I aż się zdziwił, jakie to na niej uczyniło małe wrażenie. Z pokorą pocałowała go w rękę, dziękowała za wszystko dobre, które miała od niego, mówiąc, że przechowa o nim najdroższe wspomnienie. A dla narzeczonej złożyła podarunek ślubny — szatę przecudnej roboty.

Nazajutrz miały się odbyć zrękowiny Jazona i Kreuzy. Królowna zwlekła z siebie peplos i chiton i na nagie ciało włożyła szatę Medei. Suknia oblepiła się dokoła jej członków, przyległa, przywarła mocno i parzyła jak ogień. Wieniec złoty na skroniach żarzył się również i płomienie pełzały po jej białych licach. Próbowano gasić, ale woda zamieniała się w parę i okrywała królownę mleczną chmurą. Nic nie pomogło. Szata,

zatruta w jadowitych sokach ziół, wżarła się w ciało i biedna dziewczyna żywcem płonęła. Krzyczała w męce śmiertelnej. Medea zaś, posłyszawszy jęki Kreuzy, zabiła własne dzieci i na wozie zaprzężonym w smoki skrzydlate uciekła do Aten. Zwłoki jej synów pochowali Koryntianie w świątyni Hery i na ich grobie odbywały się doroczne nabożeństwa.

Nie wiadomo, co się stało z Jazonem. Mówią, że w jakiś czas potem znów spotkał się z Medea. Oboje przebaczyli sobie winy i odjechali do Kolchidy. Stary Ajetes rad był z powrotu zięcia, gdyż nie miał następcy i królestwu zagrażali wrogowie.

HISTORIA WOJNY TROJAŃSKIEJ

Oblężenie Troi

Boginka morska Tetyda była tak piękna, że Dzeus i Posejdon, kiedy byli jeszcze kawalerami, ubiegali się o jej rękę. Ale ostrzegła ich Temida przypominając starą przepowiednię, że owa śliczna panna urodzi syna, który będzie potężniejszy od swego ojca. To wnet ostudziło zapały bogów. Żaden nie chciał dochować się potomka możniejszego od siebie. Postanowiono wydać Tetydę za człowieka. A właśnie księżę tesalski, Peleus, zakochał się w bogince. Ale ona go nie chciała. Ilekroć znalazł się przy niej, uciekała, a gdy ją próbował chwytać, wymykała się nagle, zmieniając swą postać. Stawała się raz ogniem, to znów wodą, lwem, wężem, brała na się wszelkie kształty, od najbardziej nieuchwytnych do najokropniejszych. Rozkochany młodzieniec nie zrażał się, a gdy ją ujął w ramiona, nie puszczał, czy płomień go palił, czy lwie pazury szarpały. Na koniec stało się tak, jak śpiewają dziewczyny polskie na wiosennych rozłogach:

*Widzę ja, widzę, że boże sądy —
Kędy się skryję, znajdziesz mnie wszędy —
Twoją miłą muszę być,
Twoją wolę uczynić.*

Wesele odbyło się w pieczarze dobrego centaura Chejrona, który zastępował panu młodemu ojca. Poprzedzeni przez Hermesa i Irydę zjawili się wszyscy bogowie składając nowożeńcom dary wspaniałe: Chejron wyborną włócznię z jesionowego drzewa, Posejdon parę koni nieśmiertelnych, Hefajstos miecz hartowny, Afrodyta puchar złoty, Hera cudną szatę, Atena flet o dźwiękach niezastłyszanych — każdy przyniósł coś pięknego lub pożytecznego, a teść, Nereus, stary dziad morski, puszkę cudownej soli, która pobudza apetyt i ułatwia trawienie. Strumieniami lał

się nektar i ambrozja roznosiła woń tak upajającą, że nimfy lasów i gór, których oczywiście nie zaproszono, podpełzały pod wrota, aby się nasycić cudownym zapachem i coś niecoś zobaczyć z przepysznych toalet bogiń olimpijskich.

Kiedy tak wesoło ucztowano, zjawił się nagle gość niepożądany: Eris, bogini niezgody. Dzeus, znając jej swarliwy charakter, nie kazał jej posłać zaproszenia. Przyszła, aby się zemścić. Rzuciła na stół biesiadny złote jabłko z napisem: "Dla najpiękniejszej". Pomiędzy boginiami zakotłowało. Najgłośniej krzyczały: Hera, Atena i Afrodyta. Każda chciała mieć jabłko dla siebie. Powstało takie piekło, że Dzeus musiał się wmieszać. Gdy się uciszyło, zapowiedział, że sędzią sporu czyni młodego pasterza, Parysa: której ów przyzna złote jabłko, ta je mieć będzie.

Parys był synem Priama, króla Troi, miasta leżącego na wybrzeżu Azji Mniejszej. Na kilka dni przed jego urodzeniem matka, Hekabe, miała sen, że wydała na świat żagiew, od której spłonęło całe miasto. Wróżbici wyjaśnili, że syn, którego urodzi, stanie się przyczyną zagłady państwa. Noworodka więc oddano pasterzom, aby go wynieśli między wąwozy góry Ida i tam porzucili. Tak się stało. Ale w parę dni później jeden z owych pasterzy, przechodząc obok miejsca, gdzie zostawiono dziecko, ujrzał, jak niedźwiedzica, własną piersią karmiła Parysa. Wzruszył się i zabrał chłopaka do domu. Pasąc trzody przybranego ojca wyrósł Parys na ślicznego pasterza, który nic nie wiedział o swym królewskim pochodzeniu.

Z kawałka uciętej trzciny obłuskiwał zieloną korę, gdy Hermes stanął przed nim. Parys zdjął czapkę i czekał, co powie ten obcy, piękny pan. Ale to, co usłyszał, było tak nieprawdopodobne, że prosił, aby mu to jeszcze raz powtórzyć. Na koniec zrozumiał, usiadł na kamieniu i zaczął sądzić trzy boginie, które podeszły blisko, by mógł je dobrze obejrzeć.

Pierwsza Hera uczyniła krok i rzekła: "Jestem królową nieba. Jeśli mnie oddasz jabłko, będziesz wielkim królem i narody kłaniać ci się będą, znosząc daniny bogate". Parys pomyślał, że jest w istocie biedny, a szafas, w którym mieszka, zacieka wodą w porze deszczów. Pałace monarchów są bardzo piękne i można się w nich wysypiać do południa na purpurowych poduszkach. Myśląc tak, patrzył na góry osrebrzone śniegiem, na łąki zielone, lasy ciemniejące w oddali i nagle zdało mu się, jakby go ktoś odgradzał od tych radosnych przestrzeni spiżowymi drzwiami zamku

królewskiego, które się za nim zamykały z długim pojękującym zgrzytem.

Otrząsnął się i zatrzymał wzrok na wyniosłej postaci Ateny. Ta rzekła: "Uczynię cię najmądrzejszym z ludzi, jeśli wydasz wyrok sprawiedliwy, przyznając mi jabłko". Młody pasterz przypomniał sobie pewnego siwego staruszka, który raz przechodził przez wieś: mówiono o nim, że jest bardzo mądry. Ale miał twarz pomarszczoną i smutne oczy. Rozmyślenia przerwał mu słodki głos Afrodyty: "W dalekiej Sparcie, w domu króla Menelaosa, żyje najcudniejsza kobieta na świecie, Helena. Dam ci ją". Parys bez wahania oddał złote jabłko Afrodycie.

Jakoś w niedługi czas po owym sądzie na górze Ida urządzano w Troi publiczne igrzyska. Parys stanął do zawodów, a odniósłszy zwycięstwo tak zjednął wszystkich urodą i wdziękiem, że wzięto go na dwór królewski. Po kilku dniach odkryła się tajemnica jego pochodzenia. Stary król Priam płakał z radości, płakała dobra królowa Hekabe, zapomniano o złej wróżbie i przyjęto go do grona książąt. Teraz mógł Parys wykonać z dawna planowany zamiar. Dobrał sobie świtę dworzan, wsiadł na statek i podążył "mokrymi słonych wód ścieżkami do przeźroczyстых Eurotowych brodów", nad którymi stała Sparta.

Na dworze lacedemońskim podejmowano gościa serdecznie. Wszyscy byli mu radzi, a król Menelaos nie mógł odżałować, że ważne sprawy zmuszały go do wyjazdu. Żegnając się z Parysem prosił, aby jego dom uważał za własny i gościł w nim tak długo, dopóki on sam nie powróci. Tymczasem królewicz trojański jeszcze tej nocy porwał mu żonę, Helenę, i odjechał z nią do Troi. W całej Grecji zawrzało na wieść o tym, jak zamorski barbarzyńca podeptał święte prawo gościnności. Postanowiono wojnę. Naczelne dowództwo objął Agamemnon, król Argos i Myken, brat Menelaosa.

Na równinie pod miastem beockim Aulis stanęły wojska całej Hellady, a na fiołkowym morzu kołysały się czarne okręty, gotowe do drogi. Król Agamemnon, w złotej zbroi, z płaszczem purpurowym na szerokich ramionach, czynił przegląd rycerstwa. Stał na wzgórzu, a pod jego okiem przechodziły szeregi wojowników. Olbrzymi Ajaks, syn Telamona, ze swoim bratem Teukrem, łucznikiem niechybnym, prowadził Megarejczyków i salamińskich wyspiarzy; drugi Ajaks, syn Oileusa, czterdzieści okrętów napełnił swoimi Lokrami: mniejszy o wiele od

Telamończyka, chodzi i w pancerzu płóciennym, pyszny swą sztuką rzucania dzidą, w której przewyższał wszystkich Achajów; Diomedes, o głosie donośnym, dowodził młodzieżą argejską; z dalekiego Pylos i pięknych dolin Areny szedł stary Nestor, za którym płynęło dziewięćdziesiąt obszernych okrętów: dzielny to jeszcze wojownik, ale zwłaszcza niezastąpiony w radzie, bo wielkie i dawne czasy pamięta; z Itaki, spod Nerytu szumiącego lasami wypłynął przebiegły Odyseusz na dwunastu okrętach o ścianach czerwonych; Kreteńczykami dowodził Idomeneus, kopijnik wyborny; mieszkańcy głębokiego Lakedajmonu, Fary, Sparty i Messy, gdzie stada gołębi latają — słuchali skinienia Menelaosa, który jawił się z sześćdziesięciu łodziami. Szli wojownicy ze wszystkich stron: Bojotowie i Fokejczycy, Abanci o sercu odważnym i ci, którzy dzierżyli Ateny, krainę wielkodusznego Erechteusa, i spod Mantinei uroczej, i ze świętych Wysp Echinadzkich, i z Rodos, i z kwiecistych błoni Pyrassu, i Fery mieszkańcy, leżącej nad Bojbejskimi wodami, i ci, co żyją w mroźnej Dodonie. Za królem Agamemnonem ciągnęło najliczniejsze wojsko: z Myken strojnych w domostwa i z bogatego Koryntu, i z pięknych ulic Kleony — z całego argińskiego wybrzeża.

Brakło tylko jednego Achillesa, syna Peleusa i Tetydy. Od tego młodzieńca zależał los wyprawy, albowiem wróżbici zapowiedzieli, że bez niego Troja nie będzie zdobyta. Na wieść o tym matka przebrała go za dziewczynę i ukryła na dworze Likomedesa, wśród córek królewskich. Młodziutki książę był tak delikatnej urody, że w sukniach panieńskich wydawał się siostrą królewien. Agamemnon wysłał tam najchytrzejszego z wodzów, Odyseusza.

Odyseusz przebrał się za wędrownego kupca roznoszącego po dworach i zamkach różne śliczności. Straż w pałacu Likomedesa przepuściła go bez trudu. Królowny krzyknęły z podziwu, gdy przed nimi swój kram rozłożył. A były tam i wielkie złote zausznice z perłami, i bransolety z masywnego srebra, pełne pięknych rzeźb; ozdoby z bursztynu i kości słoniowej; materie barwy purpury, hiacyntu i jak morze niebieskie lub jak łąka zielone, a wszystkie wzo-rzyście wyszywane w kwiaty lub gwiazdeczki; pachniały wonne olejki zamknięte w kosztownych naczynkach, z alabastru lub z nie znanego w Grecji szkła fenickiego. Wszystko to rozkładał przed zachwyconymi oczyma córek Likomedesa, a

jednocześnie pilnie uważał, jak która z nich się zachowuje. I oto spostrzegł jedną, stojącą trochę na uboczu, bez żywszej ciekawości patrzącą na te wszystkie przepychy. Wówczas wysunął gdzieś z zanadru piękny miecz w pochwie spiżowej. Zalśniły oczy tej dziewczyny i z dziwnym rumieńcem chwyciła za złotą rękojeść. Jeszcze szybciej chwycił ją Odyseusz za rękę: "Tyś Achilles?" — "Jam jest!" Odyseusz powiedział mu, jaka wspaniała wyprawa wojenna się gotuje i jaka sława niezmierna go czeka, gdy pójdzie z nimi. Achilles poszedł. Tymczasem wynikła nowa przeszkoda. Cisza morska. Ilekroć spuszczano z lin statki, żagle opadały wzdłuż rej, nie mogąc zaczerpnąć oddechu. Mijały tygodnie, a najśłabszy podmuch nie poruszał wygładzonych wód. Wróżbita Kalchas objawił, że zagniewana Artemida domaga się ofiary z córki Agamemnona, młodej Ifigenii. Posłano więc po nią do Myken. Przyjechała wraz z matką, Klitajmestrą — spokojna i wesół, bo mówiono, że odbędą się jej zrękowiny z Achillesem. Lecz nie przyodziano jej w strój weselny, ale spowito wełnianymi wstęgami, niby zwierzę ofiarne, i podprowadzono ku ołtarzowi. Kalchas podniósł nóż. Agamemnon zakrył twarz płaszczem. Wtem zesła z nieba bogini Artemida prowadząc łanię. Kazała złożyć ofiarę z łani, a dziewczynę zabrała ze sobą i uczyniła ją kapłanką w swojej świątyni w Taurydzie.

Powiał wiatr pomyślny. Wodzowie, uszykowawszy wojsko na statkach, zebrali się na modlitwę. Ołtarz stał na polanie pod jaworem, spod którego wypływał jasny strumień wody. Nagle spoza ołtarza wysunął się wąż o łusce ognistej. Wspiął się na jawor, gdzie pod osłoną liści, na najwyższej gałęzi było gniazdo, a w nim stado wróbli. Było ich osiem, a matka dziewiąta. Wąż pożarł je wszystkie. I w tej chwili skamieniał niby widomy znak cudu. Kalchas wróżbę tak wyłożył: dziewięć lat wojować będą, a dopiero w dziesiątym roku zwyciężą Trojan.

Przybiwszy do brzegów Azji, wodzowie achajscy wystali do Troi Odyseusza i Menelaosa żądając wydania Heleny. Pomimo przestróg mądrego Antenora Trojanie odmówili propozycji pokojowej, jak to przedstawił Kochanowski w *Odprawie posłów greckich*. Zaczęła się wojna. Nad brzegiem morskim rozłożył się obóz grecki, przy okrętach wyciągniętych na piasek. Szare płótna namiotów pokrywały rozległą

przestrzeń obwiedzioną dokoła wałem obronnym, pod którym wykopano głęboki rów, najeżony ostrymi palami. Poza obozem rozciągała się szeroka równina, porznięta biegiem dwóch rzek: Simoisu i Skamandra. W oddali na wzgórzu stała Troja, wprawiona w kamienny pierścień murów, z wysokimi basztami, wśród których błyszczą spizowymi ozdobami szczyt świątyni Ateny. Miastem i państwem rządził stary król Priam. W środku miasta wznosił się jego pałac, podtrzymywany terasami, do których wiodły schody z gładkiego kamienia. Było tam pięćdziesiąt pięknych komnat, przeznaczonych dla synów królewskich, mieszkających razem ze swoimi rodzinami. Po przeciwnej stronie z wnętrza dziedzińca były apartamenty córek królewskich, również zamężnych. Był to dwór okazały, prowadzony sposobem wschodnim, bogaty, kochający się w ucztach i zabawach.

Działania wojenne postępowały dość opieszale. Miasto broniło się dzielnie i sprawnie odpierało wszystkie szturmy, a nawet Trojanie, którym na pomoc przybyło wielu królów azjatyckich, czynili częste wypadki. Miejszem starcia była równina nad Skamandrem. Z jednej i z drugiej strony stawało świetne rycerstwo w zbrojach kosztownych, walczące na rydwanach ciągnionych przez pyszne rumaki w złocistych uprzężach. Z obozu Greków wypadał Diomedes, niby strumień wezbrany wiosennymi wodami, i obalał całe zastępy; olbrzymi Ajaks walił się jak góra na Trojan i druzgotał uciekające w popłochu szeregi; Menelaos, Agamemnon, Odyseusz, nawet stareńki Nestor mieli swoje dni chwały, w których dokonywali cudów męstwa lub siły. Dokoła wodzów szło pospolite ruszenie łuczników, procarzy i kopijników i z okrutną wrzawą, podnosząc tumany kurzu, ciskało się wzajem na siebie, póki dnia starczyło. Z nadejściem nocy wrogie wojska cofały się: Grecy do swoich namiotów, gdzie służba i jeńcy przygotowywali wieczerzę, Trojanie do miasta, gdzie u bram czekały ich żony, matki, siostry z winem dla pokrzepienia sił i z wodą dla obmycia się z krwi i pyłu.

Niekiedy odbywały się jakby turnieje poszczególnych rycerzy. Występowali naprzeciw siebie, mocno krzycząc, i tak długo cięli się wzajemnie mieczami i kłuli dzidami, dopóki jeden z nich nie poległ. Zwycięzca zdierał zbroję z pokonanego i odchodził w triumfie. I w pojedynkach, i w bitwie pospólnej najstraszliwszy był Achilles. Nie darmo karmiono go za młodu sercami lwów i szpikiem niedźwiedzi. Na rydwanie, ciągnionym przez nieśmiertelne konie, wrzynał się w najgęstsze szeregi nieprzyjaciół, ranił, zabijał, przewalał się nad tłumami jak pożar, sam nieczuły na zmęczenie, nieuległy ranom. W dzieciństwie bowiem Tetyda kąpała go w Styksie, w świętej rzece bogów, i uczyniła jego ciało odpornym

na wszelką broń. Lecz zanurzając syna w wodzie, trzymała go za piętę, i tylko w to miejsce, jako nie obmyte cudownym strumieniem, można go było zranić. Trojanie bali się go, nawet Hektor, najtęższy z bohaterów trojańskich, unikał spotkania z Achillesem.

Wypełniała się przepowiednia Kalchasa. Dziewięć lat upłynęło. Sami bogowie brali udział w tych bezprzykładnych zmaganiach. W dziesiątym roku wojny wybuchła w obozie greckim zaraza. Dusze bohaterów ciżbą tłoczyły się do bram Hadesu. Za zbrodnię Aga-memnona mścił się Apollo. Król bowiem porwał córkę Apollinowego kapłana, Chryzesa. Achilles zwołał wiec wszystkich wojsk.

Postanowiono, by naczelny wódz oddał brankę. Agamemnon musiał się zgodzić. Lecz wściekły na Achillesa, odebrał mu jego własną niewolnicę, śliczną Bryzeidę. Znieważony syn Peleusa zaprzysiągł, że odtąd zaniecha walki i nie wpierw weźmie miecz do ręki, aż Trojanie podejną do jego namiotów.

Zaczęły się ciężkie dni dla Danaów. Dzeus, z życzliwości dla Achillesa, wspomagał Trojan. Hektor rozłożył się obozem na równinie. Agamemnon szukał zgody z Achillesem. Obiecywał złote góry. Bohater zaciął się i nie ruszał się z namiotu. Jadł tłuste ćwierci wołów, pił słodkie wino i całymi wieczorami grywał na lutni. Któregoś dnia Hektor śmiałym atakiem przeszedł rów i wdarł się na wały. Grecy w popłochu uciekali do okrętów. Patroklos, najdroższy przyjaciel Achillesa, przypadł mu do kolan; niech mu pozwoli wyjść z wojskiem na pomoc rodakom. Pozwolił. I dał mu własną zbroję — cudną, szczerozłotą, jakiej nikt nie miał na świecie. Trojanie, widząc znajomy rynsztunek, myśleli, że sam Achilles wychodzi do bitwy. Uciekali, przykryci zgiełkiem niby chmurą szumiącą. Patroklos odrzucił ich aż pod Troję. Dopiero Hektor go powstrzymał. Pod mieczem olbrzymiego Trojańczyka padł Patroklos. Hektor obdarł jego zwłoki ze zbroi i chciał porwać ciało. Ale w tej chwili na okopach stanął Achilles i krzyknął tak głośno, jakby wszystkie naraz trąby zagrały. Trojanie odstąpili. Grecy wynieśli z zamętu nagie ciało Patroklosa.

Achilles posypał głowę popiołem, tarzał się po ziemi i płakał. Wyszła doń matka z głębi morza i przyniosła mu nową zbroję, jeszcze piękniejszą

od tej, którą złupił Hektor. Giermkowie krzatali się dokoła wodza. Achilles wdział nagolennice, które sprzął srebrnymi haftkami. Piersi okrył pancerzem, przez ramię przewiesił miecz, do lewej ręki wziął tarczę błyszczącą jak księżyc. Na głowie, niby gwiazda, jaśniał hełm z chwiejącą się, pyszną kitą. Prawą dłońią ujął dzidę, długą i ciężką, jakiej by nikt dźwignąć nie zdołał. Rozszalały Achilles obalał całe szeregi nieprzyjaciół, pędził ich przed sobą jak stado baranów, trupami ścielił pole i gnał ku murom. Wtem drogę zagroziła mu rzeka, Skamander. Już miał ją przeskoczyć, gdy nagle bóg rzeki ozwał się doń broniąc przejścia. Nie usłuchał. Wówczas bóg z nim stanął do walki. Rzeka wzdęła się z głuchym pomrukiem, groźne fale uderzyły o puklerz Achillesa. Bohaterowi sił nie starczyło, prąd począł go unosić. Chwycił się wiązu rosnącego na brzegu. Wysoki wiąz położył się na wodzie, jak most. Achilles wskoczył nań i uciekł na równinę. Rycerz sadził wielkie skoki, na rzut oszczepu, ale woda biegła za nim z szumiącym łoskotem. Woda sięgała coraz wyżej, słabły kolana, ziemia zdawała się spod nóg wymykać. Byłby niechybnie utonął, ale Hera wezwała na pomoc Hefajsta. Bóg ognia szedł teraz przeciw bóstwu wody. Tę walkę niesamowitą, o jakiejś kosmicznej sile, oddał Słowacki w swych fragmentach przekładu Iliady:

*Zaraz ją wysłuchawszy duch elementarny
Błysnął złotym płomieniem, dym wyrzucił czarny,
Biegnie, zapala trupy, zwiędnięte wywędza,
Wodę w wrzątek zamienia, w koryto odpędza;
A jako pod jesiennym Boreasza tchnieniem
Srebrzą się pola, letnim spalone płomieniem,
Podobnie grunt się szary i kośćmi biały
Świecił w ogniu, już cały żałośnie zwiędniały,
Prędko po trzcinach płomień chwyta się, przelata,
Rzekę jakoby w pierścień ognisty oplata;
Drzewa się popalone węglem, prochem wałą,
Lilije więdną, czarne tamarynty palą,
Cyprys w piramidalne zamienia się zgliszczce —*

*Ogniem dotknięta woda burzy się, wre, świszczce,
Zajmuje się płomieniem... W roztworzone płuca
Ryba chwytą powietrze, z wody się wyrzuca,
Znów nurtuje i zimna szuka w ciemnej skale
i wywrócona, brzuchem wychodzi na fale.
Aż nareszcie duch rzeki sitowianą głowę
Podniósł, spojrzął ogniowi w oczy, schwycił mowę
Razem z krótkim oddechem i rzekł: "Ognia boże!
Któż twoim płomienistym skrzydłom dotrzeć może?
Słabszy — mdleję. Niech będzie los, niech Troja kona!
A ty zdejm ze mnie twoje ogniste ramiona".*

Wyswobodzony Achilles pobiegł na równinę. Oto już całe wojsko trojańskie ucieka. Okrył je tuman kurzu, z którego wylatują błyski zbroi i krzyki mężów. Ludzie i konie w popłochu walą ku murom Troi. Otwarte się bramy, wpuściły uciekających i znów je z hałasem zamknęto.

Na równinie pozostał jeden tylko wojownik trojański, Hektor. Z wież miasta wzywał go do powrotu ojciec, wzywała go matka płacząc i jęcząc. Nie ruszył się z miejsca. Czekał. Ku niemu szedł Achilles w złocistej zbroi świecąc jak promień wschodzącego słońca. Gdy go ujrzał z bliska, jak szedł taki ogromny, straszny, z obliczem okrytym czarną chmurą gniewu, zadrżał Hektor i począł uciekać. Trzykrotnie miasto obiegli dokoła. Gdy czwarty raz dwaj rycerze stanęli u źródeł rzeki Skamandra, Dzeus siedzący na szczycie Olimpu wziął do rąk złote szale i położył na nich dwa losy: Achillesa i Hektora. Zważył — i los Hektora spadł do Hadesu. Od męża trojańskiego odsunęli się bogowie w milczeniu. Po krótkim starciu ugodził Achilles przeciwnika tam, gdzie kość łączy szyję i ramiona. Był to cios śmiertelny.

Achilles zdarł z niego zbroję, ostrym żelazem przekłuł nogi, do ran otwartych włożył miedziane kolce i powrozem przywiązał ciało do rydwanu. Wielki płacz podniósł się z murów Troi, gdy ujrzano, jak Hektor w prochu wlecze się za wozem zwycięzcy. Nacieszywszy się hańbą wroga, wrócił Achilles do obozu i cisnął Hektora na piasek, tuż przy marach Patrokla.

Ale pod osłoną nocy, okryty mgłą nieprzeniknioną, za przewodem

Hermesa, stary król Priam wjechał do obozu Greków na wozie pełnym złota i srebra. Chciał wykupić ciało syna. Gdy stanął przed namiotem Achillesa, zatrzymał wóz, zostawił przy nim służącego i sam jeden wszedł do środka. Bohater kończył wieczerzę. Król padł na kolana. Zamiatął siwą brodą podłogę i całował ręce świeżo obmyte z krwi Hektora. Achilles wzruszył się. Dwie łzy ściekły po młodych policzkach. Podniósł z ziemi starca, posadził go na krześle, nakarmił, napoił, pocieszył. Zwołał kobiety, kazał umyć i namaścić zwłoki Hektora, a gdy je przykryto całunem, sam wziął je na ręce i złożył na wozie.

Dwanaście dni trwały uroczystości pogrzebowe. Troja zaniosała się skargami i lamentem. Każdy wiedział, że odeszła dusza czysta i szlachetna, że zabrakło rycerza bez skazy, co żarliwie miłując ojczyznę oddał za nią swe młode życie. Nad każdą myślą Hektora rozpalało się krwawe widzenie ginącej Troi. Wiedział, że walczy za sprawę przegraną i niesłuszną, lecz walczył do ostatka z poczuciem obowiązku i w obronie własnego honoru. Płonący stos, który pożarł jego zwłoki, zdawał się być zwiastunem ostatecznej klęski.

Achilles niedługo przeżył Hektora. Ugodzony strzałą Parysa padł jak młody dąb podcięty u samego korzenia. Wojska greckie ostrzygły włosy na znak żałoby. Opłakiwała go matka, Tetyda, w kole nereid. W złotej urnie złożono kości bohatera i przy śpiewie muz pochowano pod wielkim kurhanem, który mu żołnierze usypali. Ajaks i Odyseusz kłócili się o zbroję po Achillesie. Przyznano ją Odyseuszowi. Ajaks z gniewu oszalał i rzucił się na stado baranów, biorąc je za ludzi króla Itaki. Narznął sporo niewinnych zwierząt, oprzytomniał, a widząc swą hańbę odebrał sobie życie.

W tym czasie zginął również Parys. Helenę wydano za jego brata Deifoba. Ale ona już chciała wracać do swoich. Z nieopisaną radością ujrzała pewnej nocy Diomedesa i Odyseusza skradających się w przebraniu ku świątyni Ateny. Szli wykraść palladion, cudowny posąg bogini, który miał taką siłę, że dopóki znajdował się w Troi, miasto nie mogło być zdobyte. Helena przeprowadziła obu bohaterów tajemniczymi korytarzami. Gdy nazajutrz rozniosła się wieść o porwaniu drogocennej świętości, nikt z Trojan nie wątpił, że nadszedł dzień ostatecznej klęski. Wszyscy opuścili ręce.

A w kilka dni później radość nie do wiary. Grecy odjeżdżają. Kto żyw,

biegł na mury. Oczom własnym nie wierzono. Okręty greckie kołysały się na morzu. Obóz był pusty. Na wszystkich statkach ozwały się trąby, podniesiono żagle, wiosła zaryły się w spienioną wodę i czarne kadłuby jęły się odsuwać w błękitną przestrzeń. Trojanie wysypali się na równinę. Na opuszczonych okopach greckich bawiły się dzieci trojańskie. W dolinie Skamandra nie było już ani jednego namiotu nieprzyjacielskiego. Tylko ślady: stare żelazki — kości zjedzonych wołów — brudne szmaty. Fale, bijące o wybrzeże, zbierały te odpadki.

I nowe dziwo: za kurhanem Achillesa drewniany koń. Trojanie się zbiegli, obmacywali, ostukiwali — nic. Wielki, jak machina wojenna, koń wyrobiony z drzewa. Ktoś doradził, żeby tę zdobycz wprowadzić do miasta. Zgodzili się, przyklasnęli. Oczywiście! Wtem nadbiega kapłan Laokoon z dwoma synami, krzyczy, perswaduje, błaga: nie brać, zniszczyć, spalić, to może być jakiś podstęp. Jaki podstęp? — śmieją się. Wychodzą z morza dwa węże ogromne, rzucają się na kapłana i w oczach wszystkich, razem z jego synami, duszą go, pożerają. Oto znak boży. Bluźnił, więc go bogowie ukarali. Przyniesiono powrozy. Ciągną drewnianego konia do miasta. Jasnowidząca Kasandra krzyczy: nie puszczaj! Wariatka. Koń jest tak ogromny, że trzeba więzienie muru rozebrać, aby go można było wtoczyć. Rozwalają mur i ciągną konia na zamek — jako ofiarę bogini Atenie. A potem zabawa. Piją, tańczą, śpiewają. Noc. Sen pokrywa miasto.

Tak, to był podstęp. Miał słuszność kapłan Laokoon. W brzuchu drewnianego konia siedziało dwunastu najprzedniejszych rycerzy achajskich z Odyseuszem, który podstęp wymyślił. W nocy wyszli, otworzyli bramy miasta. Okręty, ukryte za pobliską wysepką Te-nedos, wróciły. Grecy wpadli do Troi. Zaczęła się rzeź. Zdawało się, że bogowie zapomnieli o Trojańczykach. Ginał każdy, kto wpadł w ręce zdobywców — zarówno stuletni król Priam, jak i Hektorowe niemowlę, Astianaks. Kobiety wiązano i brano w niewolę.

Menelaos wpadł do domu, gdzie mieszkała Helena. Zabił Deifoba i jak burza przeleciał po jego trupie do wewnętrznych komnat pałacu. Nagle otworzyły się jakieś drzwi — na progu stała Helena, bardzo blada. Przez jedną chwilę wisiał nad jej głową błyszczący miecz męża. Lecz prawie

natychmiast wysunął się z omdlałej dłoni i upadł z brzękiem na kamienną posadzkę. Na widok tej cudnej, tak kochanej i tak wytęsknionej kobiety odeszła Menelaosa moc i żądza karania. Małżonków pogodziła słodka bogini Afrodyta.

Powrót bohaterów

Niektórzy z wodzów w kilka dni po zburzeniu Troi powrócili do ojczyzny. Stary Nestor, Diomedes i syn Achillesa, Neoptolemos, najwcześniej. Również król Agamemnon bez przeszkód dobił do argolidzkich wybrzeży.

Wojsko rozesłał do domów i z własną gwardią, z jeńcami wojennymi, z wozami ciężkimi od łupów przedzierał się białymi drogami ku wzgórzom mykeńskim. Gdy z wysokiej strażnicy dano znak, że na równinie widać poczty królewskie, zamek ogarnął się w ciszę pełną trwogi i oczekiwania. Królowa Klitajmestra zdradziła swego męża. Od kilku lat nie nadchodziły z Troi żadne wieści. Powszechnie myślano, że Agamemnon wraz z całą wyprawą zginął, Klitajmestra uważała się za wdowę i oddała swą rękę pięknemu Ajgistosowi (Egistowi). Skrzypienie wozów królewskich na drodze brzmiało w uszach obojga winowajców jak zgrzyt piasku w klepsydrze odmierzającej im ostatnie godziny. Spojrzeli po sobie i bez słów, jednym błyskiem oczu, uknuli plan. Klitajmestra wyszła na dziedziniec witać męża. Agamemnon. był zmęczony. Przygotowano mu kąpiel w łaźnicy. Ledwo wszedł do wanny, wpadli oboje: Ajgistos i Klitajmestra. Siekierami zarąbali bezbronnego.

Na tronie Atrydów zasiadł przybłęda Ajgistos. Lud szemrał, ale giął kark w twardym jarzmie. Tymczasem na obczyźnie dorastał mściciel: syn Agamemnona, Orestes. W pałacu mykeńskim chowała się jego siostra, Elektra, przejęta myślą o zemście. Nareszcie Orestes przybył do Myken. Spotkał się z siostrą przy grobie ojca. Postanowiono, że Elektra wprowadzi go do pałacu, nie mówiąc, kim jest. I znowu krew oblała tron Atrydów: Orestes zabił Ajgista i matkę.

Matkobójcę opadły nieustępliwe wyrzuty sumienia. Biegły za nim

Erynie, goniąc go z miejsca na miejsce uderzeniami biczów splecionych ze żmij jadowitych. Każdy nieokreślony przedmiot przybierał postać Klitajmestry, a jej skrwawiona twarz pojawiała się przed nim w tych krótkich chwilach, gdy go nachodził sen ciężki i dręczący. Nareszcie dowlóknął się przed ołtarz Apollina w Delfach. Bóg kazał mu iść do Aten, gdzie nastąpi kres jego cierpień. Jakoż odbył się tam sąd nad matkobójcą i równą ilość głosów za i przeciw, rozstrzygnęła na korzyść Orestesa bogini Atena.

Lecz dusza Orestesa pozostała chora. Wyrocznia doradziła mu, żeby pojechał na Krym i sprowadził stamtąd cudowny posąg Artemidy, który go uleczy. Syn Agamemnona wybrał się w drogę z nieodstępnym przyjacielem Pyladesem. Ledwo stanęli na ziemi tau-rydzkiej, porwali ich strażnicy, zakuli w kajdany i przywiedli przed kapłankę Artemidy. Istniało tam bowiem prawo nakazujące wszystkich cudzoziemców zabijać na ofiarę bogini. Kapłanką była siostra Orestesa, ta sama Ifigenia, którą Artemida zabrała sprzed ołtarza w Aulidzie. W ponurej świątyni nastąpiło poznanie między bratem a siostrą, i w nocy wszyscy troje uciekli unosząc ze sobą cudowny posąg.

Menelaos nie wiedział o tym, co zaszło w Mykenach. Wypłynął z Troi wcześniej od Agamemnona, lecz wiatr przeciwny zapędził go na manowce długich wędrówek. Przez siedem lat kołatał się po morzu. Był w Egipcie i w Fenicji, a wszędzie uzbierał sporo złota bądź handlem, bądź z darów gościnności albo po prostu grabieżą. Gdy wrócił do Sparty, stary zamek pradziadów tak przyozdobił, że na zewnątrz obronny, wewnątrz lśnił jak błysk słońca lub księżyca migotanie. W malowanych pokojach było pełno złota, kości słoniowej i osobliwego bursztynu, który za wielką cenę sprowadzano znad mórz północnych, osłoniętych mgłą i legendą. Szczęśliwy król żył długo u boku Heleny, od czasu powrotu — małżonki przykładnej, a zawsze jednako pięknej. Ilekroć zjechali się goście, schodziła ze swoich komnat, strojna i pachnąca, zasiadała przy mężu z robótką i opowiadała, co się działo w mieście Priama, gdy wojska greckie stały na równinie.

Po śmierci Menelaosa rodzina wypędziła Helenę z zamku

spartańskiego. Wgnana królowa schroniła się do swojej dawnej przyjaciółki, Polikso, na wyspę Rodos. W czasie drogi zatrzymała się w Lindos i złożyła w świątyni Ateny bursztynowy odlew swej prawej piersi, na znak skruchy i żalu za grzechy. Lecz na Rodos nie zaznała spokoju. Polikso nienawidziła Heleny, albowiem jej mąż poległ pod Troją walcząc w szeregach Greków. Kiedy raz Helena udała się do kąpieli, Polikso wysłała do niej służące, przebrane za Erynie. Przyszły czarno ubrane, z wężami w rękę, rzuciły się na nią, związały powrozami i powiesiły na drzewie. Helena umarła z myślą, że w istocie piekielne potwory za życia wymierzyły jej karę. Ale w wiele lat później mieszkańcy Rodos zaczęli jej oddawać cześć boską i drzewo, na którym umarła, uważali za święte. W pewne dni namaszczeni oliwą i zawieszali na nim wieńce.

Tułaczką Odyseusza

Kiedy wybuchła wojna, Odyseuszowi piękna Penelopa właśnie urodziła syna. Kołysać dziecko, słyszeć jego pierwsze gaworzenie, brać je na ręce i nieść do dziadka Laertes, siedzieć w cieniu drzew i patrzeć na żonę karmiącą niemowlę, pod wieczór odbierać raporty zarządców i naczelnych pasterzy, jakie urodzaje, ile cieląt, a ile prosiąt przybyło, wyjść o świcie do wilgotnego sadu i podcinać gałązki drzewek lub krzątać się dokoła winnych latorośli, urządzić biesiadę z przyjaciółmi — mięso wyborne, chleb świeżutki, dobre wino — posłuchać pieśni wędrownego śpiewaka lub opowiadań ludzi starych i bywałych — w takich codziennych, zdrowych radościach zamykał się krąg wszystkich jego pragnień. Wojna, odbierająca mu to wszystko nagle i gwałtownie, odrzucająca go w strony obce i dalekie — wydawała mu się potworną niesprawiedliwością. Z początku udawał szaleńca, aby nie pójść. Ale podstęp wykryto.

Porzucając żonę i syna Telemacha, obiecywał jak najrychlej powrócić. Tymczasem lata mijały, a wojna trwała. Gdy wreszcie Troja padła, nie było w całym obozie greckim człowieka, który by gorliwiej sposobił się do drogi. Odyseusz był przekonany, że najdalej za dwa

tygodnie, licząc konieczne postoje i nieoczekiwane przeszkody — dobieje do brzegów Itaki. Los pokierował inaczej.

Na morzu srożyła się burza. Huragan połamał maszty i poszarpał żagle. W jakiejś przypadkowej przystani znalazło się schronienie, gdzie naprawiano uszkodzone okręty. Przełynęli całe Morze Egejskie, gdy nagle zerwał się wicher i zaniósł statki Odyseusza ku nieznanym wybrzeżom. Był to kraj Lotofagów. Zamiast zboża rosły tam łany lotosów o smaku tak wybornym, że kto skosztował owego czarodziejskiego ziele, nie chciał już wracać do ojczyzny. Kilku towarzyszy Odyseusza zjadło parę lotosów i musiano ich gwałtem zabrać na pokład, bo wydzierali się i krzyczeli, że zostaną.

Żeglując po Morzu Sycylijskim przybiły statki Odyseusza do ziemi ze wszech miar urodzajnej, na której wypasały się nieprzeliczone stada kóz i owiec. Wszystko to należało do cyklopów, olbrzymów o jednym oku w środku czoła. Najpotężniejszy wśród nich był Polifem, syn Posejdona. Odyseusz wziął dwunastu towarzyszy, bukłak wybornego wina, trochę zapasów i ruszył w głąb kraju chcąc poznać obyczaje dziwnych mieszkańców. Pieczara, w której mieszkał Polifem, była pusta: gospodarza nie było w domu. Weszli tedy i czekali. Przyszedł dopiero pod wieczór. Na jego widok struchlały im serca. Był wielki jak góra. Zapędził trzodę do pieczary, a wejście zamknął głazem tak ogromnym, że dwadzieścia cztery woły nie ruszyłyby go z miejsca. Wydoił kozy i owce, rozpalił ognisko i przy świetle ujrzał w kącie gromadkę ludzi. Odyseusz powiedział, że nazywa się: Nikt, ale on nie słuchał, tylko porwał dwóch, rozszarpał na kawałki i zjadł. Tak mu smakowało, że szpik z kości wysysał. Na śniadanie zjadł znowu dwóch i obiecał Odyseuszowi — nazywał go: Nikt — że go sobie na ostatek zachowa.

Syn Laertesa odparł, że umie ocenić ten zaszczyt, i poczęstował olbrzyma kubkiem starego wina. Polifem nigdy nie pił nic równie doskonałego. Kazał sobie jeszcze raz nalać i pił, aż go odeszła przytomność i runął powalony snem bezwładnym. Odyseusz rozpalił ogień, włożył doń tęgi kół z drzewa oliwnego, a gdy się drzewo zajęło, wraził rozżarzoną głownię w oko Polifema. Oślepiiony cyklop ryczał z bólu, aż

drżały ściany pieczary. Lecz nie mógł pochwycić ani Odyseusza, ani jego towarzyszy, którzy zwinnie uciekali po zakamarkach jaskini. Wtedy siadł przy wyjściu i czekał. Tymczasem chytry król Itaki obmyślił nowy podstęp. Przywiązał siebie i towarzyszy pod brzuchami baranów i tak razem z trzodą wymknął się z więzienia.

Na koniec przekonał się Polifem, że zdrajca uszedł. Zwołał swoich ziomków, olbrzymich jak sam cyklopów, i prosił, żeby go pomścili. Oni zaś pytali, kto mu oko wypalił; "Nikt! Nikt" — krzyczał Polifem, bo tak mu się Odyseusz przedstawił pierwszego dnia. Ale wszyscy myśleli, że cyklop oszalał: mówi, że nikt mu oka nie wypalił, a jednocześnie wzywa pomocy. I odeszli do swoich domów. Odyseusz zdążył wsiąść na okręty, a odbijając od brzegu zaczął się przechwalać: "Słuchaj, cyklopie, jeśli ktokolwiek zapyta, kto cię oślepił, powiedz: ten, co zburzył Troję, syn Laertes!" Było to w złej chwili powiedziane. Polifem stanął na wybrzeżu i zaczął się modlić do ojca swego: "Usłysz mnie, Posejdonie, władco ziemi błękitno-grzywy, jeśli ja twój syn, a ty moim ojcem, spraw, aby Odys grodoburca nie wrócił do domu. A jeśli mu przeznaczone wrócić do ziemi ojczystej, niechaj późno przybędzie i w nędzy, straciwszy wszystkich towarzyszy, na cudzym okręcie, a w domu niech go spotka niedola". Usłuchał go Posejdon i klątwa Polifema miała się spełnić co do słowa.

Zawinąwszy do wyspy Eolii, zjednął sobie Odyseusz króla Wiatrów, Eola, który tak go polubił, że na odjeźdnym dał mu miech skórzany, gdzie były zamknięte wszystkie wiatry. Odyseusz mógł teraz spokojnie płynąć do domu, wypuściwszy z worka tylko wiatry pomyślne. Jakoż dziewięć dni i dziewięć nocy żeglował bez żadnych przeszkód, pewny, że dziesiątego dnia zobaczy dymy ojczystej Itaki. Ale gdy usnął w nocy, towarzysze zebrali się i jęli radzić o tym tajemniczym miechu, w którym domyślali się wielkich skarbów. Wreszcie postanowili się przekonać. Ledwo worek rozwiązali, wyleciały srogie wiatry, porwały okręty i zapędziły je na dalekie przestwory morza.

Zaczął się nowy okres tułaczki. Po tygodniu dopłynęli do jakiejś wygodnej przystani, gdzie Odyseusz uwiązał statki, a sam wdrapał się na szczyt najbliższego wiszaru. Nigdzie nie widać było ani pól uprawnych, ani

pasących się stad bydła, tylko w jednym miejscu unosiły się gęste dymy i opary, jakby tam leżało ludne miasto. Posłano na zwiady dwóch ludzi, którzy rychło przedarli się przez las do owego miasta. W pierwszym domu, do którego weszli, mieszkał król potężnego ludu Lajstrygonów, a był to okrutny olbrzym. Porwał jednego z przybyszów i zjadł na surowo. Drugi uciekł, co miał sił, bo mu ten dom zapachniał pieczarą Polifema. Odyseusz nie zdążył przysposobić okrętów do drogi, gdy na wybrzeżu zaroilo się od dzikich Lajstrygonów. Potworne głazy, gęsto jak grad, sypały się na okręty biednego tułacza, niosąc śmierć załodze, łamiąc maszty, gruchocąc kadłuby, które nasiąkały wodą i tonęły. Ocalał tylko statek Odyseusza: jedenaście innych, wraz z całą zdobyczą trojańską, pochłonęło morze.

Okręt Odyseusza wymagał naprawy, ludzie potrzebowali wytchnienia i posiłku. Przybili więc do wyspy, która wydała im się nie zamieszkaną. Lecz doświadczenie nakazywało ostrożność. Podzielili się zatem na dwa oddziały. Odyseusz z połową załogi został na statku, a reszta, dobrze uzbrojona, poszła w głąb lądu. Niedaleko wybrzeża, w prześlicznej dolinie wyścielonej miękką trawą stał godny zamek z ciosowego kamienia. Wokół przechadzały się oswojone lwy i wilki. Z pałacu słychać było słodkie śpiewanie. Był to głos pani tej ziemi, córki Słońca, uroczej czarodziejki Kirke. Dojrawszy gości w progach, przerwała robotę na krosnach, wyszła do nich i zaprosiła na pokoje. Dała im jeść i pić, a kiedy swój głód nasycili, wypędziła ich różdżką do obory. Wówczas spostrzegli, że czarownica zamieniła ich w świnie.

Jeden z nich zdołał uciec w postaci ludzkiej i przybiegłszy do okrętu opowiedział przygodę, Odyseusz wziął miecz i sam poszedł do pałacu. W drodze spotkał Hermesa, który mu dał ziele zabezpieczające przed czarami. Kirke nakarmiła i напоiła syna Laertes, a widząc, że mu nie szkodzi posiłek przyrządzony na ziołach czarodziejskich, chciała go dotknąć swą różdżką. Lecz on skoczył ku niej z mieczem. Czarownica padła na kolana i prosiła o przebaczenie. Wróciła jego towarzyszom kształt ludzki, a była taka łagodna i kochająca, że Odyseusz rok przesiedział w jej gościnnym odtąd pałacu. A kiedy odjeżdżał, Kirke objawiła mu, że z woli bogów musi udać się na najdalsze krańce zachodu, gdzie jest wejście do

podziemia, wywołać duszę wróżbity Tejrezjasza i wziąć od niego rady na dalsze życie.

Długo żeglował, zanim dotarł do mrocznej krainy Kimeryjczyków, którzy nigdy słońca nie widzą. A gdy w końcu przybył do miejsca oznaczonego przez Kirke, wyciągnął statek na brzeg i wraz z towarzyszami poszedł do gaju Persefony, gdzie było wejście do podziemia. Mieczem wykopał dół w ziemi i zaczął obiady: najpierw lał miód i mleko, potem wino, wreszcie wodę, zmieszaną z odrobiną mąki. Wybrał kilka czarnych owiec, a poderżnąwszy im gardła, krew wypuścił do ofiarnego dołu. Zapach świeżej krwi zwabił błędne dusze zmarłych, które poczęły zlatywać się niby muchy. Każda z nich pragnęła napić się krwi ciepłej, aby na chwilę odzyskać świadomość, myśl i słowo. Ale Odyseusz odpędzał je mieczem, czekając na Tejrezjasza. Przyszedł na koniec, podpierając się złotym berłem, i napojony krwią, wróżył. Przepowiedział mu dalszą tułaczkę i powrót do ojczyzny, a potem rzekł: "I znowu musisz pójść na morze i wędrować wciąż dalej i dalej, póki nie spotkasz takiego ludu, który nigdy nie widział morza i nie wie, co znaczy okręt albo wiosło, i nie używa soli. Abyś się nie omylił, dam ci znak jeden: przechodzień, widząc cię z wiosłem na ramieniu, powie, że niesiesz łopatę do przesiewania zboża. Wtedy wbij wiosło w ziemię, złóż ofiarę Posejdonowi i wracaj do ojczyzny. Tam, u kresu szczęśliwej starości w twym państwie kwitnącym, oczekiwać będziesz słodkiej śmierci, która do ciebie wyjdzie z morza".

Odszedł Tejrezjasz, przyszły inne dusze. Piły krew i rozmawiały. Najpierw matka, Antikleja, później Agamemnon, Achilles, Patroklos, Antilochos, Ajaks. Przez otwór w ziemi ujrzał Odys głąb piekieł: Minos, sędzia umarłych, siedział na tronie ze złotym berłem w ręce, cień Oriona gonił po łąkach asfodelowych cienie zwierząt, jakby łowy sprawował. Tytios, który ongi znieważył Latonę, leżał ogromny, rozciągnięty na ziemi, i dwa sępy darły z niego trzewia... Odys nie mógł się dość wszystkiemu napatrzeć. Lecz zaczęły się ściągać takie dusz gromady, że zdjęty przerażeniem bohater uciekł, spędził towarzyszy na pokład okrętu, odczepił liny i odpłynął.

Wracał tą samą drogą, którą odbył w tamtą stronę, jadąc do podziemi z wyspy,

gdzie mieszkała Kirke. Raz jeszcze odwiedził swą przyjaciółkę, otrzymał od niej zapasy w jadle i napoju i cenne rady, jak wymijać niebezpieczeństwa dalszej podróży. Pomyślny, łagodny wiatr zaniósł okręt Odyseusza do wyspy syren. Król Itaki wiedział, co mu grozi. Syreny były to stwory morskie, do pół ciała piękne panny, resztę miały upierzoną jak u ptaka. Zakrzywionymi szponami trzymały się skał nadwodnych i trzepotały skrzydłami. Miały głos tak cudny, że kto je posłyszał, odkładał wiosło i zapominał o falach. Wtedy prądowny znosiły łódź ku wyrwom, między rafy, i rozbijały. Na wyspie syren bieleły niezliczone kości zatopionych żeglarzy. Aby towarzysze nie ulegli czarowi syreniego śpiewu, zalepił im Odyseusz uszy woskiem.

Sam zaś kazał się przywiązać do masztu mocnymi powrozami: "Gdybym płakał, gdybym się rwał, gdybym was prosił, żebyście zdjęli ze mnie więzy — nie słuchajcie, ale przywiążcie mnie jeszcze silniej".

Syreny wabiły żeglarzy najpiękniejszym śpiewem, ale załoga okrętu ich nie słyszała. Odys zaś, widząc, że mijają te czarodziejki o słodkim głosie, stęskniony za ich śpiewem, pod magicznym urokiem, szarpał trzymające go powrozy i czynił znaki, żeby go odwiązano. Nikt go nie usłuchał. Tak przepłynęli. Lecz już czekała ich nowa, groźniejsza przygoda. Pomiedzy wyspą Sycylią a wybrzeżem Italii otwierał się bardzo wąski przesmyk morza. Po obu jego stronach były dwie skały. W jednej, stromej i gładkiej jak szklana góra, była pieczara, a w niej mieszkała owa Skylla, w której niegdyś kochał się Glaukos. Potwór za zbliżeniem się okrętu porywał z pokładu ludzi. W drugiej zaś skale, nad którą rosło drzewo figowe, mieszkała Charybda, poczwara straszliwa, która trzy razy na dzień wciąga morze w swą gardziel bezdenną i trzy razy wypłuwa połkniętą wodę. Cokolwiek się zdarzy na powierzchni, leci w rozwartą paszczę jak w otchłań, z której nie ma ratunku. Gdy statek Odyseusza podjechał do tego miejsca, właśnie Charybda chłoneła w siebie spienione wody, z ogromnym, żarłocznym bulgotem. Odys kazał wziąć się do wiosł i podpłynąć pod drugą skałę, pod pieczarę Skylli. W tej chwili wysunęło się stamtąd sześć paszcz okrutnych i porwało z pokładu sześciu towarzyszy. Była to strata konieczna, aby ocalić okręt i resztę załogi. Wyminąwszy Charybdę, która z tej odległości nie mogła dosięgnąć statku, wyruszyli tułacze w dalszą drogę, oplakując los sześciu przyjaciół.

Stamtąd dopłynęli do wyspy boga Słońca. Odyseusz, tknięty złym przeczuciem, chciał ją wyminąć. Lecz załoga nie usłuchała. Ludzie byli

pomęczeni i głodni. Wyciągnęli na brzeg okręty i rzucili się na stado wołów, które się pasło na łące. Zabili co najtłustsze sztuki i zjedli. W najlepszych humorach odczepili liny, podnieśli żagle i ruszyli w dalszą drogę. Wtem słońce się zaćmiło i rozszalała taka burza, iż wszystkie statki zatoneły. Bóg Helios ukarał świętokradców, którzy ważyli się zabić woły z jego stada. Ocalał tylko Odyseusz. Siedząc okrakiem na belce, przez dziewięć dni walczył z nawałnicą. Na koniec na wpeł nieżywego fale wyrzuciły na piaszczysty brzeg wyspy Ogigii.

Rozbitka znalazła nimfa Kalipso. Mieszkanie miała w ślicznej grocie, dokoła której rosły cyprysy, topole, osiki. Górą pięła się winna latorośl. Z czterech źródeł wybiegały srebrne strumienie, a wiecznie zielone łąki pachniały fiołkami. Kalipso poiła Odyseusza nektarem i karmiła ambrozją. Wrychle wrócił do sił i zdrowia. Okazało się wówczas, jak pomimo lat, trudów i cierpień syn Laertesu był wspaniałym mężczyzną. Wysokiego wzrostu, kark miał potężny, pierś szeroką, barki rozłożyste, lędźwie i nogi mocne. Czarne włosy opadały mu na ramiona w bujnych, wijących się kędziorach. Boska wybawicielka obiecywała mu nieśmiertelność, wieczną młodość, prosiła, żeby został jej mężem. A on po całych dniach przesiadywał nad brzegiem morza i patrzył w stronę rodzinnej Itaki.

W ósmym roku tej miłosnej niewoli zjawił się nagle posłaniec bogów, Hermes. Wszedł do pieczary. Na ognisku paliło się żywiczne drzewo cedrowe. Kalipso krzątała się około krosien i śpiewała. Na widok przybysza z Olimpu zamilkła. W pokorze wysłuchała rozkazu Dzeusa i wolniutko powlokła się nad morze szukać Odyseusza. Siedział, jak zwykle, zapatrzony w siną odległość. Położywszy mu rękę na ramieniu, mówiła. Oto Dzeus rozkazuje, by się sposobił do powrotu. Ona, mała, nic nie znacząca nimfa, nie może się sprzeciwiać woli pańskiej. Łzy zbiegły jej po twarzy. Wspomniała dzień, kiedy go znalazła bez duszy na brzegu i jak go później do życia przywiodła, i jak kochała. A on woli odjechać, woli porzucić boginię i wracać do żony, która jest zwykłą kobietą.

Odyseusz stłumił w sobie radość, która mu piersi rozsadzała. Ledwo Kalipso odeszła, zabrał się do roboty. W kilka dni sporządził mocną tratwę, której daleko było do pięknych łodzi, z jakimi wyjechał pod Troję, ale która

nagle wydała mu się i domem, i szerokim, swobodnym światem. Kalipso dała mu zapasy na drogę i w milczeniu odeszła. Odbił się wiosłem od skały przybrzeżnej i poddał się wiatrom i życzliwemu biegowi fal.

Samotnego wędrowca dojrzał na wielkiej przestrzeni wód Posejdon. Bóg przypomniał sobie prośbę Polifema. Trójzębem wzburzył morze i kazał dąć wichrom. Przez dwa dni i dwie okropne noce, wśród wycia huraganu i jaśnienia błyskawic Odys, znów pozbawiony statku, jedynie siłą swych ramion opierał się przeraźliwej mocy bałwanów. Na koniec uczepił się jakiegoś wybrzeża i w omdleniu padł w ilaste zasiąklą, poroście rzadkimi krzakami.

Nazajutrz obudził go śmiech dziewcząt. Kilkanaście panien grało w piłkę nad brzegiem morza. To królewna Nauzykaa, ukończywszy pranie bielizny, zabawiała się ze swoimi dworkami. Kiedy Odyseusz wyszedł z krzaków — nagi, okryty mułem rzeczonym, straszny — dziewczyny uciekły. Została tylko królewna, w której litość dla nieszczęśliwego człowieka zwyciężyła lęk. Dała mu jeść, pić i świeże szaty. Gdy się wykąpał i ubrał, z nędzarza zmienił się w króla. Widząc go takim pięknym, przeprosiła Nauzykaa, że go nie może wziąć ze sobą na wóz: powstałyby z tego plotki, gdyby ją zobaczono, jak jeździ po mieście z obcym mężczyzną. Pokazała mu więc drogę do pałacu i odjechała.

Odyseusz znajdował się na Scherii, wyspie zamieszkałej przez Feaków. Z dala od reszty ludzi wiodą oni życie zbożne i spokojne. Są wybornymi żeglarzami, lecz wyprawiają się na morze jedynie dla przyjemności: nie znają ani handlu, ani wojen.

Okręty ich lecą po morzu prędzej niż myśli. Nie potrzebują steru, albowiem statki posiadają własną duszę, która rozumie zamiary podróżników. Są to jakby okręty widma i mkną wśród fal otoczone chmurami i mgłą. Nie wiedzą, co to niebezpieczeństwa; morze dla nich jest zawsze gładkie i spokojne, Feakom życie upływa jakby na wiecznym ucztowaniu. Lubią muzykę i wszystkie igrzyska, ubierają się bogato, mieszkają wspaniale, mają łóżka miękkie, w których wypoczywają po ciepłej kąpeli. Wolą tańczyć niż wywijać mieczem lub dzidą. Skołatanemu rozbitkowi Scheria wydawała się bajką, wylęgłą z tęsknot w długie ponure

godziny nawałnicy morskiej.

Pałac króla Alkinoosa miał ściany ze spiżu, a drzwi ze złota. Na wysokich postumentach stały posągi młodzieńców z pochodniami, które zapalano, ilekroć uczty przeciągały się do nocy. Po drugiej stronie pałacu był sad, gdzie grusze, figi, granaty, śliwy, jabłonie rodziły przez cały rok wyborne owoce, albowiem w kraju Feaków nie znano zimy. Gdy Odyseusz wszedł do sali biesiadnej, ujrzał książąt feackich, siedzących na ozdobnych krzesłach, wyścielonych haftowanymi dywanami. Wszyscy pili, śmiali się i rozmawiali, a wesołemu zebraniu przewodniczył król Alkinoos, na tronie, u boku swej małżonki. Syn Laertesa opowiedział im swoje przygody, prosząc o statek, który by go zawiózł do Itaki. Król i książęta złożyli mu dary tak bogate, że przewyższały wartością zdobycz trojańską przepadłą na morskich włóczęgach. Na wygodnym łożu, które ustawiono na pokładzie statku, Odyseusz zasnął zmożony trudami i nadzieją powrotu. Na sennych powiekach długo trwał obraz smutnej Nauzykai, która go pożegnała milczącym spojrzeniem.

Odyseusz spał, gdy Feakowie przybili do Itaki. Wyniesiono więc śpiącego na brzeg, a skarby ukryto w załomach skalnych. Słońce już było wysoko, gdy się obudził. Nie poznał własnej ziemi. Wtedy zjawiła się Atena i otworzyła mu oczy i pamięć. Rwał się biec do domu, do żony, do syna. Bogini go powstrzymała. Trzeba być ostrożnym. Wszyscy uważają go za zmarłego. Z sąsiednich wysp zjechali się młodzi książęta zalotnicy. Starają się o rękę Penelopy i o dziedzictwo po zaginionym. Królestwo marnieje. Wierna żona już nie ma sił walczyć z natarczywością zalotników. Zwodzi ich, jak może. Powiedziała, że nie wpierw wyjdzie za mąż, póki nie uszyje szaty pośmiertnej dla ojca. Aby zyskać na czasie, szyła tę szatę coś ze dwa lata: co w dzień uszyła, to pruć nocą. Na koniec podstęp się wydał. Książęta nalegają, aby któregoś z nich ostatecznie wybrała. Gdyby Odyseusz zjawił się nagle wśród nich, zabiliby go niechybnie.

Bogini dotknęła tułacza różdżką czarodziejską. Członki skurczyły się, postać zgięła się we dwoje, skóra obwisała na wychudłych piszczelach. Brudne, dziurawe łachmany okryły żebraka, w którym nikt by się nie domyślił świetnego rycerza spod Troi. Przemieniony Odyseusz wziął kostur, zarzucił na plecy biesagi i w przebraniu nędzarza ruszył na podbój własnego domu i królestwa.

Jakoż nikt go nie poznał. Zachodził wszędzie swobodnie, karmiony miłosierną ręką, jako żebrak, stojący pod opieką Dzeusa. Dopiero kiedy

wszedł na dziedziniec swego pałacu, stała się rzecz nieoczekiwana. Pod bramą, na kupie gnoju, leżał Argos — stare, bezsilne psisko. Jadło go robactwo, głód dobijał. Nagle do jego parszywych, otępiełych uszu doleciał głos znajomy. Spod mierzwy lat i nędzy wydobyły się wspomnienia dalekie, a przegniłe chrapy porwały nieoczekiwanie spod łachmanów wędrownego żebraka — znajomą woń pana. Poruszył się, chciał się przyczołgać do nóg Odyseusza, całym wysiłkiem psiej wierności dźwignął się na zmartwiałe łapy — i zdechtł.

Odyseusz wszedł do pałacu. Widział rozpustę zalotników i siedząc na progu świetlicy żuł w milczeniu hańbę swego domu i myślał o zemście. Wreszcie nadeszła pora. Nazajutrz odbywał się turniej o rękę Penelopy. W podłogę sali biesiadnej wbito jednym rzędem dwanaście toporów. Każdy z zalotników brał ogromny łuk Odyseusza i próbował tak strzelić, aby grot przeszedł przez otwory wszystkich, rzędem stojących toporów. Lecz nikt nie miał nawet dość siły, aby napiąć łuk bohatera. Jeden drugiemu broń ze wstydem oddawał. Na koniec żebrak, siedzący na progu, prosił, żeby i jemu pozwolono. Telemach, któremu ojciec zdradził swą tajemnicę, kazał podać łuk. Nieznacznie zamknięto wszystkie wyjścia. Odyseusz naciągnął łuk, aż cięciwa odbrzękła jaskółczym gwizdem, wypuścił strzałę i grot przeszedł przez wszystkie topory.

Opadły zeń łachmany żebracze. Nagi, potężny, gniewny stał przy drzwiach niby bóstwo zemsty. Podniósł łuk. Brał jedną strzałę po drugiej i szył w zbitą gromadę zalotników. A gdy skończył, odłożył broń, wielce utrudzony. Służba wyniosła trupy ze sali, stoły i stołki z krwi obmyto, wymieciono, wykadzono siarką.

W górnych pokojach wszczął się rwetes. Penelopa spała. Przybiegła do niej stara klucznica z krzykiem, że pan wrócił i wymordował zalotników. Królowa zeszła na dół. Odyseusz siedział pod słupem, na środku pustej sali biesiadnej. Niedaleko stał syn Telemach, wpatrzony w ojca. Oddzielony dwudziestu latami rozłąki, utrudzony krwawym żniwem, którego właśnie dokonał, wydał się jej mąż jakimś obcym, dalekim, nie wiedziała, jak witać, jak mówić. Dopiero gdy odświeżył się kąpielą, przebrał, zagadał o rzeczach im tylko obojgu wiadomych — padła mu z płaczem w ramiona.

Pod jaworem na dziedzińcu lub w ogrodzie siadywali we czworo: stary ojciec Laertes, Penelopa, Telemach i Odyseusz, który opowiadał

wszystko, czego doświadczył: dzieje wojny trojańskiej i swoją tułaczkę. Z dalekich stron zjeżdżali się krewni i znajomi albo i obcy ludzie, żeby zobaczyć człowieka, który był w podziemiu i słyszał śpiew syren, i był kochankiem nimf mieszkających w grotach tajemniczych. A gdy nadszedł czas, Odyseusz odczepił okręt i odjechał na nową tułaczkę, wywrózoną przez Tejrezjasza, posłuszny bogom i przeznaczeniu. Powrócił po wielu latach i osiadł w dworzyszczu — król z siwą brodą, czekający na śmierć, która miała doń wyjść z morza.

Rzym

CHARAKTER RELIGII RZYMSKIEJ

Pierwotna religia rzymska zasadniczo różniła się od greckiej. Trzeźwi Rzymianie, których uboga fantazja nie stworzyła eposu narodowego na podobieństwo *Iliady* i *Odysei*, nie znali również mitologii. Ich bogowie mieli w sobie mało życia. Były to postacie nieokreślone, bez rodowodu, bez owych związków małżeńskich, ojcowskich i synowskich, które bogów greckich łączyły w jedną wielką rodzinę. Nie mieli nawet często imion prawdziwych, lecz jakby przydomki określające granice ich władzy i działania. Nie otaczały ich żadne legendy. Ów brak podań, w którym upatrujemy dzisiaj pewien niedostatek twórczego popędu, w oczach starożytnych uchodził za chlubę Rzymian, uważanych za najpobożniejszy naród. Sami Grecy podziwiali tę religię, która nie posiadała mitów uwłaczających czci i dostojności bóstwa. Świat rzymskich bogów nie znał Kronosa, który okaleczył ojca i pożerał własne dzieci, nie znał zbrodni ani występków.

W najdawniejszej religii rzymskiej objawiała się prostota pracowitych chłopów i pasterzy, zajętych wyłącznie codziennymi sprawami swego skromnego życia. Z głową pochyloną ku bruździe, którą wyorywała jego drewniana socha, i ku łąkom, na których pały się jego trzody, nie czuł pierwotny Rzymianin chęci odwracania oczu ku gwiazdom: nie czcił ani słońca, ani księżyca, ani tych wszystkich zjawisk niebieskich, które wypełniły swoją tajemnicą wyobraźnię innych ludów indoeuropejskich. Dość było dla niego tajemnic zawartych w najzwyklejszych sprawach życiowych i w najbliższym otoczeniu. Kto by przeszedł przez starożytną Italię, ujrzałby ludzi modlących się w gajach, ołtarze na polu uwieńczone kwiatami, groty ubrane zielenią, drzewa ozdobione rogami i skórami zwierząt, których krew nasyciała rosnącą pod nimi murawę, wzgórza szczególną czcią otoczone, kamienie namaszczone oliwą. Wszędzie widziało się jakieś bóstwo i nie darmo powiedział jeden z pisarzy

łacińskich, że w tym kraju łatwiej spotkać boga niż człowieka.

W rozumieniu Rzymianina życie ludzkie we wszystkich, choćby najdrobniejszych okolicznościach podlegało władzy i opiece rozmaitych bogów, tak że człowiek na każdym kroku czuł zależność od jakiejś siły wyższej. Obok takich bóstw, jak Jowisz lub Mars, których potęga zataczała coraz szersze kręgi, istniała nieprzebrana moc bogów mniejszych, opiekuńczych duchów poszczególnych czynności w życiu lub gospodarstwie. Szczupły obręb ich działania dotyczył jedynie pewnych momentów w uprawie roli, wzroście zboża, chowie bydła, w bartnictwie, w życiu człowieka. Vaticanus otwierał dziecku usta do pierwszego krzyku, Cunina była opiekunką kołyski, Rumina troszczyła się o pokarm niemowlęcia, Potina i Edusa uczyły dziecko jeść i pić po odłączeniu od piersi, Cuba czuwała nad jego przenoszeniem z kołyski do łóżeczka, Ossipago pilnowała, by kości dziecka należycie się zrastały, Statanus uczył je stać, a Fabulinus mówić; Iterduca i Domiduca prowadziły dziecko, które po raz pierwszy wychodziło z domu.

I tak było ze wszystkim. Każde niepowodzenie, choćby najbliższe, i każde powodzenie, choćby najniklejsze, mogło być objawem gniewu lub zadowolenia bóstwa. Rzymianin znał boginię Febris — od gorączki, boga Verminus, zsyłającego robaki na bydło, obchodził święto moli i myszy, stawiał kaplice bogini kaszlu. Nieraz śmiano się z tej przesadnej drobiazgowości: "Każdy w swoim domu — powiada św. Augustyn — ma jednego odźwiernego, i ten w ogóle wystarcza, ponieważ jest człowiekiem. Ale oni tu aż trzech bogów umieścili: podwoje oddali pod opiekę Forculus, zawiasy bogini Cardea, a próg bogu Limentusowi. Widocznie ów Forculus nie potrafił strzec jednocześnie i zawiasów, i progu!"

Te wszystkie bóstwa były zupełnie bezosobowe. Rzymianin nie ośmielił się twierdzić, że z całą pewnością zna właściwe imię boga lub że umie odróżnić, czy jest to bóg, czy bogini. W modlitwach zachowywał tę ostrożność. Mówił: "Jowiszu Najlepszy, Największy, czy też jakim innym imieniem chcesz być nazywany", a składając ofiarę: "Czyliś ty bóg, czy bogini, czy mężczyzna, czy kobieta". Na Palatynie do dziś stoi ołtarz, na którym nie wypisano żadnego imienia, tylko wymijającą formułę: "bogowi lub bogini, mężczyźnie lub kobiecie", i już sami bogowie mieli rozstrzygać, komu należą się ofiary składane na tym ołtarzu. Dla Greka podobny stosunek do bóstwa byłby niepojęty. On wiedział doskonale, że Dzeus jest mężczyzną, a Hera kobietą, i ani przez chwilę nie miał

co do tego wątpliwości.

Bogowie rzymscy nie schodzili na ziemię i nie ukazywali się ludziom tak chętnie jak greccy. Trzymali się z dala od człowieka i nawet gdy mieli go przed czymś ostrzec, nigdy nie jawili się bezpośrednio: słyszano wówczas z głębi gajów, z mroku świątyń lub ciszy pól nagłe tajemnicze wołania, którymi bóg dawał znaki ostrzegawcze. Między bogiem a człowiekiem nie dochodziło nigdy do poufałości. Odys przekomarzający się z Ateną, Diomedes walczący z Afrodytą, wszystkie kłótnie i miłostki bohaterów greckich z Olimpem — były dla Rzymianina niezrozumiałe. Jeżeli w czasie ofiary lub modlitwy Rzymianin zakrywał głowę płaszczem, czynił to zapewne nie tylko dla większego skupienia, lecz również z obawy, by nie spojrzeć w twarz boga, gdyby temu spodobało się nagle stanąć w jego pobliżu.

Wszystko, co w najdawniejszym Rzymie wiedzano o bogach, streszczało się właściwie w tym, jak ich czcić należy i w jakiej chwili wzywać ich pomocy. Doskonale i ściśle opracowany system ofiar i obrzędów wypełniał całe życie religijne Rzymian. Wyobrażali sobie, że bogowie są podobni do pretorów i że wobec nich, jak wobec sędziego, przegrywa sprawę ten, kto nie zna się na formalnościach urzędowych. Istniały zatem księgi, w których wszystko było przewidziane i gdzie znaleźć można było modlitwy na wszelkie okoliczności. Przepisy musiały być dokładnie przestrzegane i lada przeoczenie niweczyło błogie skutki służby bożej.

Rzymianin trwał w ciągłej obawie, że nie spełni obrzędów jak należy. Najmniejsze opuszczenie w modlitwie, jakiś ruch niewskazany, nagła przeszkoda w tańcu religijnym, zepsucie się instrumentu muzycznego podczas składania ofiary — wystarczało, aby ten sam obrzęd powtórzyć na nowo. Bywały wypadki, że zaczynało tak ze trzydzieści razy od początku, dopóki ofiar nie dokonano zadowolająco. Przy odprawianiu modłów błagalnych kapłan musiał uważać, żeby nie opuścić jakiegoś wyrazu albo żeby nie wypowiedzieć go w niewłaściwym miejscu. Dlatego kto inny czytał najpierw, a kapłan za nim słowo w słowo powtarzał, czytającemu zaś przydany był pomocnik do uważania, czy ów dobrze czyta. Był też osobny sługa kapłański, który pilnował, aby obecni zachowywali milczenie, a

jednocześnie trębacz dął z całych sił w trąbę, aby nic innego nie słyszano prócz słów wypowiedzianej modlitwy.

Z tą samą ostrożnością i sumiennością przeprowadzano wszelkie wróżenia, które u Rzymian miały wielkie znaczenie, zarówno w życiu publicznym, jak i prywatnym. Przed każdą ważniejszą czynnością badano w pierw wolę bogów, objawiającą się rozmaitymi znakami, które spostrzegać i objaśniać umieli kapłani nazywani augurami. Grom lub błyskawica, nagłe kichnięcie, upadek jakiegoś przedmiotu w świętym miejscu, atak epilepsji na placu publicznym, wszelkie podobne zjawiska, nawet najbardziej błahe, ale zachodzące w niezwykłej albo doniosłej chwili, nabierały znaczenia przestrogi boskiej. Najulubieńszym sposobem było wróżenie z lotu ptaków. Gdy senat lub konsulowie mieli powziąć jakieś postanowienie, wydać wojnę, ogłosić pokój, obwieścić nowe prawa, zwracali się przede wszystkim do augurów z zapytaniem, czy chwila jest po temu sposobna. Augur zaś składał ofiarę, modlił się, a o północy szedł na Kapitol, najświętsze wzgórze Rzymu, i z twarzą zwróconą ku południowi patrzył w niebo. O świcie przelatywały ptaki. A on według tego, z której strony nadleciały, jakie były i jak się zachowały — wróżył, czy rzecz zamierzona wypadnie pomyślnie, czy niepomyślnie. Chowano również kury w klatkach i przed ważnymi wypadkami kolegium kapłanów rzucało im ziarna. Jeżeli kury jadły chciwie, było to dobrym znakiem, jeżeli zaś odwracały się od jadła — wróżyło klęskę. Te grymaśne kury rządziły najpotężniejszą rzeczpospolitą i wodzowie w obliczu nieprzyjaciela musieli podlegać ich kaprysom.

Tę pierwotną religię zwano religią Numy, od imienia drugiego z siedmiu królów rzymskich, któremu przypisywano ustanowienie najważniejszych urzędów religijnych. Była ona bardzo prosta, pozbawiona wszelkiej okazałości, nie znała ni posągów, ni świątyń. Nie przetrwała długo w stanie czystym i dzisiaj z trudem możemy sobie odtworzyć jej obraz zatarty późniejszymi wpływami. Przenikały do niej wyobrażenia religijne ludów sąsiedzkich, obcy bogowie z łatwością znajdowali gościnność w Rzymie. Było bowiem zwyczajem Rzymian, że po podbiciu jakiegoś miasta przesiedlali do swojej stolicy bogów zwyciężonych, chcąc

ich sobie zjednać i uchronić się przed ich gniewem.

Oto w jaki sposób Rzymianie zapraszali do siebie np. bogów kartagińskich. Kapłan wygłaszał uroczyste zaklęcie: "Czyś jest bogiem, czy boginią, ty, który roztaczasz opiekę nad narodem i państwem Kartagińczyków; ty, który przyjąłeś opiekę nad tym miastem, do ciebie modły zanoszę, tobie cześć oddaję, was o łaskę proszę, abyście naród i państwo Kartagińczyków opuścili, abyście porzucili ich świątynie, abyście od nich odeszli. Przejdźcie do mnie, do Rzymu. Niech nasze miasto i świątynie będą wam przyjemniejsze. Łaskawi bądźcie i przychylni dla mnie i dla narodu rzymskiego, i dla naszych wojowników tak, jak tego chcemy i jak to rozumiemy. Jeśli tak uczynicie, przyrzekam, że wzniosę wam świątynię i sprawię igrzyska".

Zanim Rzymianie zetknęli się bezpośrednio z Grekami, którzy tak przemożny wpływ wywarli na późniejsze ukształtowanie się ich pojęć religijnych, inny lud, bliższy terytorialnie, dał odczuć pierwotnym Rzymianom swą wyższość umysłową. Byli to Etruskowie, naród niewiadomego pochodzenia, których dziwna kultura, przechowana do dziś w tysiącnych zabytkach, przemawia do nas niezrozumiałym językiem napisów, niepodobnych w swym brzmieniu do żadnej mowy na świecie.

Zajmowali północno-zachodnią część Italii, od Apeninów do morza — kraj żyznych dolin i słonecznych wzgórz, zbiegający ku Tybrowi, rzece, która ich połączyła z Rzymianami. Bogaci i potężni, panowali Etruskowie nad olbrzymim szmatem ziemi z wysokości swoich miast obronnych, stojących na stromych, niedostępnych górach. Ich królowie ubierali się w purpurę, siedzieli na krzesłach wykładanych kością słoniową, a otaczała ich straż honorowa, nosząca jako broń — pęk różg z zatkniętym weń toporem. Etruskowie mieli flotę i od bardzo dawna utrzymywali stosunki handlowe z Grekami na Sycylii i na południu Italii. Od nich wzięli pismo i wiele wyobrażeń religijnych, które jednak po swojemu przekształcili.

O bogach etruskich mało da się powiedzieć. Spośród ich wielkiej liczby wybija się na czoło trójca: Tini, bóg piorunów w rodzaju Jowisza, Uni, bogini-królowa, podobna do Junony, i skrzydlata bogini Menrfa, odpowiadająca łacińskiej Minerwie, a więc razem wzięwszy, prototyp sławnej trójcy kapitołińskiej. Czcili z przesadnym nabożeństwem dusze zmarłych, jako istoty żądne krwi i okrutne. Na grobach zabijali ludzi na ofiarę i pierwsi dali Rzymowi przykład walk gladiatorów, które w początkach były objawem kultu zmarłych. Wierzyli w rzeczywiste piekło,

dokąd dusze sprowadza starzec na pół zwierzęcej postaci, ze skrzydłami, uzbrojony w ciężki młot — Charun. Na malowanych ścianach grobów etruskich przesuwa się pełno podobnych demonów: Mantus, król piekieł, również skrzydlaty, w koronie na głowie, z pochodnią w ręce; Tuchulcha, potwór o dziobie orła i uszach osła, który zamiast włosów ma węże na czaszce — i wiele innych, oblegających złowrogą czeredą biedne, zalęknione dusze ludzkie.

Legendsy etruskie podają, że raz pewnego, w okolicy miasta Tarkwinie, w chwili gdy chłopci orali ziemię, wyszedł z wilgotnej bruzdy człowiek, który miał postać i twarz dziecka, a włosy i brodę siwą jak u starca. Nazywał się Tages. Kiedy się tłum zebrał dokoła niego, zaczął dyktować przepisy wróżenia i ceremonii religijnych. Król tych okolic kazał ze słów Tagesa ułożyć księgę. Odtąd Etruskowie uważali siebie za lud najlepiej powiadomiony o tym, jak należy korzystać ze znaków i przepowiedni boskich. Specjalni kapłani, haruspikowie, zajmowali się wykładaniem wróżb. Gdy zwierzę zabijano na ofiarę, oglądali pilnie jego wnętrzności: kształt i położenie serca, wątroby, płuc, i wedle pewnych zasad przepowiadali przyszłość. Wiedzieli, co oznacza każda błyskawica, i po jej barwie poznawali, od którego boga pochodzi. Stworzyli z tego całą naukę, olbrzymi skomplikowany system zjawisk nadprzyrodzonych, który później wprowadzili do Rzymu.

KULT ZMARŁYCH I BÓSTWA DOMOWE

Duchy przodków nazywali Rzymianie manes — czyste, dobre duchy. Było w tej nazwie więcej pochlebstwa niż istotnej wiary w dobroć dusz umarłych, które po wszystkie czasy i u wszystkich ludów budziły lęk. Każda rodzina czciła duchy własnych przodków, a w dniach 9, 11 i 13 maja obchodzono powszechne Lemuria — święto mar — i wierzono, że w te dni dusze wychodzą z grobów i błądzą po świecie w postaci upiorów, które nazywano lemurami lub larwami. W każdym domu ojciec rodziny wstawał o północy i boso chodził po wszystkich pokojach, odpędzając duchy. Po czym mył ręce w wodzie źródlanej, wkładał do ust ziarna czarnego bobu, które następnie przerzucał przez dom, nie oglądając się za siebie. Przy czym dziewięć razy wymawiał takie zaklęcie: "To wam oddaję i tym bobem wykupuję siebie i swoich". Duchy zaś niewidzialne idą za nim i zbierają bób rozrzucony po ziemi. Gdy się to dzieje, głowa rodziny znów się obmywa wodą, bierze miedzianą miednicę i bije w nią z całych sił, prosząc, aby duchy dom jego opuściły.

W dniu zaś 21 lutego było inne święto, zwane Feralia, podobne do słowiańskich Dziadów; w tym dniu zastawiano uczty dla zmarłych.

Duchy nie wymagają zbyt wiele, od hojnych ofiar miłsza jest dla nich tkliwa pamięć żyjących. Można im złożyć w darze dachówkę z wieńcem uwiędłym, chleb rozmoczony w winie, trochę fiołków, parę ziarn pszenicy, szczyptę soli. Nade wszystko zaś pomodlić się do nich sercem gorącym. I trzeba o nich pamiętać. Raz, podczas wojny, zapomniano odprawić Feralia. Miasto nawiedził pomór, a po nocach wychodziły z grobów dusze całymi gromadami i głośnym płaczem napełniały ulice. Skoro im jednak złożono ofiary, wróciły do ziemi, a pomór ustał. Krainą umarłych był Orcus, jak u Greków Hades, podziemne, głębokie pieczary w niedostępnych górach. I tak samo zwał się władca tego królestwa mar. Nie znamy jego wizerunku, bo nigdy go nie miał, żadnej również świątyni, żadnego kultu. Niedawno natomiast odkryto na stoku Kapitolu świątynię innego bóstwa śmierci, Veiovis, którego imię jakby oznaczało zaprzeczenie dobroczynnej siły Jowisza.

W bliskim pokrewieństwie z duchami przodków pozostają geniusze, przedstawiciele siły życiowej mężczyzny, i junony, będące czymś w rodzaju aniołów-stróżów kobiet. Każdy człowiek, zależnie od płci, ma swego geniusza lub swoją junonę. Z chwilą przyjścia na świat geniusz wstępuje w

człowieka, a opuszcza go w godzinę śmierci, po czym staje się jednym z manów. Geniusz czuwa nad człowiekiem, pomaga mu w życiu, jak może i umie, i dobrze jest w ciężkich chwilach zwracać się doń jako do najbliższego orędownika. Niektórzy znów utrzymywali, że człowiek, rodząc się, dostaje dwóch geniuszów: jeden namawia go ku dobremu, drugi zaś prowadzi do złego i zależnie od tego, za którym z nich się pójdzie, po śmierci spotyka człowieka los błogosławiony lub kara. Lecz była to już raczej teologia niż wiara powszechna. W dniu urodzin składał każdy swemu geniuszowi ofiarę. Geniusza przedstawiano albo pod postacią węża, albo w stroju obywatela rzymskiego, w todzie, z rogiem obfitości.

Do tej samej rodziny duchów opiekuńczych należą lary, które czuwają nad polem i chatą wieśniaka. Nie było w Rzymie kultu bardziej popularnego nad kult larów. Każdy w swoim domu modlił się i czcią nabożną otaczał te bożki dobre, którym przypisywał wszelkie powodzenie, zdrowie i szczęście rodziny. Wyjeżdżając żegnał się z nimi, powracając, od nich zaczynał powitanie. One patrzyły nań od dzieciństwa ze swojej kapliczki ustawionej koło ogniska domowego, były obecne przy każdej wieczerzy, dzieliły ze wszystkimi domownikami ich radość i smutki. Ile razy rodzina zasiadała do stołu, pani domu najpierw larom dawała porcyjkę, a w specjalnie im poświęcone dni składała w ofierze wieniec świeżych kwiatów. Kult larów, z początku ograniczony do poszczególnych domów, rozszerzył się na miasto i jego dzielnice i na całe państwo. Na skrzyżowaniu ulic stały kapliczki larów dzielnicowych. Mieszkańcy okoliczni otaczali je wielkim szacunkiem. Corocznie, w pierwszych dniach stycznia, obchodzono święto larów dzielnicowych. Była to wielka uciecha dla prostego ludu. Pojawiali się komedianci i grajki, atleci i śpiewacy. Bawiono się wesoło i niejednen dzban wina wychylono za zdrowie larów.

W tej samej kapliczce, razem z larami, czczone były przy ognisku domowym równie dobroczynne bóstwa, penaty. Opiekowały się one spiżarnią. Chcąc zrozumieć pierwotny kult larów i penatów, trzeba sobie uprzytomnić najdawniejszy dom rzymski, chatę wieśniaczą z jedną główną izbą, świetlicą, atrium. W atrium stało ognisko, na którym gotowano i które zarazem ogrzewało mieszkańców, głównie skupionych w tej komnacie. Przed ogniskiem stał stół, dokoła którego wszyscy zasiadali do wspólnego posiłku. Przy śniadaniu, obiedzie i wieczerzy stawiano penatom na ognisku miseczkę z jedzeniem, z wdzięczności za dostatek domowy, którego one były stróżami. Przez tę ofiarę nabierały wszystkie potrawy znaczenia pewnej świętości i jeśli na ziemię upadła bodaj kruszynka chleba, trzeba ją było podnieść nabożnie i wrzucić do ognia. Państwo uważano za wielką rodzinę, były więc i penaty państwowe, czczone w jednej świątyni z Westą.

Spokrewniona samym imieniem z grecką Hestią, była Westa również uosobieniem ogniska rodzinnego. Czczono ją w każdym domu i w każdym

mieście, a najwięcej w samym Rzymie, gdzie świątynia jej była niejako ośrodkiem stolicy, a przez nią całego państwa. Kult Westy był prastary i wielce czcigodny. Świątynia wraz z gajem leżała na stoku Palatynu, ku Forum, tuż przy Via Sacra, przy tej drodze świętej, którą szły pochody triumfalne zwycięskich wodzów. Obok było tzw. atrium Vestae, jak byśmy dziś powiedzieli — klasztor westalek. A nie opodal stała Regia, mieszkanie arcykapłana (pontifex maximus); nazywano je "pałacem królewskim", dlatego że ongi król tam mieszkał, a będąc najwyższym kapłanem był jednocześnie bezpośrednim zwierzchnikiem westalek.

Sama świątynia była mała, okrągła, przypominająca swym wyglądem pierwotne chaty z gliny najdawniejszych, wieśniaczych jeszcze mieszkańców Rzymu. Dzielila się na dwie części: w jednej płonął ów wieczny ogień Westy, i ta była dostępna za dnia dla wszystkich, nocą zaś nie wolno było tam wejść żadnemu mężczyźnie, druga część, niejako "święte świętych", była zakryta przed oczyma ludzi i nikt nawet dobrze nie wiedział, co się tam mieści. Przechowywano w niej pewne tajemnicze świętości, od których zależało szczęście Rzymu. W samej świątyni nie było posągu Westy; stał on w przedsionku, wykonany według wzoru greckiej Hestii.

Służbę w świątyni pełniły westalki, których było sześć. Wybierał je pontifex maximus z najlepszych rodzin arystokratycznych. Dziewica wstępowała do klasztoru między 6 a 10 rokiem życia i pozostawała w nim przez lat trzydzieści, ślubując czystość i wyrzeczenie się świata. Przez pierwsze dziesięć lat uczono ją wszelkich obrzędów, przez następne dziesięć lat sama pełniła służbę świątynną, a w ostatnim dziesiątku nauczała nowo przybyłe nowicjuszek. Po tych trzydziestu latach westalka mogła opuścić klasztor, wrócić do życia, wyjść za mąż i założyć własną rodzinę; lecz zdarzało się to nader rzadko, powszechnie bowiem utrzymywało się przekonanie, że westalka, która opuszcza świątynię, nie znajdzie szczęścia w życiu. Większość tedy wolała do końca dni swoich pozostać w klasztorze, ciesząc się szacunkiem towarzyszek i społeczeństwa.

Głównym zadaniem westalek było utrzymywanie wiecznego ognia na ołtarzu bogini. Czuwały nad nim dzień i noc, wciąż dokładając nowych szczap, aby nigdy nie zagasł, gdyż wygaśnięcie ognia było nie tylko wielką zbrodnią opieszalej kapłanki, lecz zapowiadało również nieuniknioną klęskę dla państwa. Rozpalenie nowego ognia było aktem bardzo uroczystym. Dokonywano tego przez pocieranie dwóch kawałków drzewa,

czyli sposobem najbardziej pierwotnym, sięgającym epoki kamiennej, a spotykanym dziś u ludów zaszytych w ustronia ziemi, dokąd jeszcze nie dotarła cywilizacja. Tak samo żaden sprzęt — nóż, topór, siekiera — nie mógł być z żelaza, tylko z brązu, bo kult Westy nieprzerwanie zachowywał formy bytu najdawniejszego okresu dziejów Italii. Westalkom nie wolno było wydalac się z miasta i musiały być zawsze w pobliżu świętego ognia. Kapłankę, z której winy zgasł ogień, poddawano śmiertelnej chłóście.

Równie surowa kara spotykała westalkę, która złamała ślub czystości. Sądano ją do lektyki szczelnie zamkniętej, aby nikt nie mógł jej widzieć ani nawet słyszeć jej głosu. Niesiono ją przez Forum. Za zbliżeniem się lektyki przechodnie zatrzymywali się w milczeniu i z pochylonymi głowami szli za orszakiem na miejsce stracenia. Znajdowało się ono koło jednej z bram miasta, gdzie już czekał otwarty dół, dość obszerny, aby móc tam umieścić łóżko i stół, na którym zapalano małą lampę i zostawiano nieco chleba, wody, mleka i oliwy. Liktor otwierał lektykę, a tymczasem arcykapłan, z rękoma wzniesionymi ku niebu, odprawiał modły. Skończywszy modlitwę, wyprowadzał skazaną, którą osłaniał płaszcz tak, żeby jej twarzy nie mogli widzieć obecni, i po drabinie kazał jej zejść do przygotowanego dołu. Drabinę wyciągano z powrotem i dół zamurowywano. Westalka umierała zwykle po kilku dniach. Czasem jednak udawało się rodzinie uwolnić ją po kryjomu. Oczywiście taka uwolniona westalka musiała się usunąć na zawsze z życia publicznego.

Westalki otaczano wielkim szacunkiem. Gdy która z nich wychodziła na ulicę, poprzedzali ją liktorzy jak najwyższych urzędników; dawano im zaszczytne miejsca w teatrach i cyrkach, a w sądzie świadectwo ich miało znaczenie przysięgi. Gdy zbrodniarz prowadzony na śmierć spotkał jedną z tych biało ubranych dziewczyc, mógł przypaść do jej nóg i jeśli westalka wyrzekła słowo łaski, puszczano go na wolność. Modlitwom dziewczyc westalskich przypisywano szczególną ważność; co dzień modliły się one za pomyślność i całość państwa rzymskiego. W dzień zaś 9 czerwca, w uroczyste święto Vestalia, matrony rzymskie odbywały pielgrzymkę do świątyni Westy, niosąc w glinianych naczyniach skromne ofiary. W tym dniu młyny ozdabiano wieńcami i kwiatami, a piekarze hucznie świętowali.

NACZELNI BOGOWIE

Janus

Janus był duchem opiekuńczym drzwi i bram, a stał się później bogiem wszelkiego początku. Jemu był poświęcony pierwszy brzask dnia, początek każdego miesiąca, a styczeń, jako pierwszy miesiąc w roku, wzięt od niego nazwę — Januarius. Pierwszego stycznia panowało powszechne święto. W tym dniu nowi dygnitarze obejmowali uroczyście władzę, składali bogom ofiary, odbierali powinszowania od przyjaciół i znajomych. Zresztą wszyscy obywatele odwiedzali się wzajemnie i przynosili sobie różne drobne podarki, szczególnie słodczyce, figi, daktyle, ciastka — na dobrą wróżbę.

Janusowi poświęcone były wszystkie drzwi (po łac. ianua), przy których nieraz umieszczano jego posągi. Główna jego świątynia stała w północnej stronie Forum rzymskiego, niedaleko kurii, gdzie zbierał się i urzędował senat. Była to po prostu prastara brama z najdawniejszych obwarowań, którą dla szczególnej świętości zachowano, gdy owe mury rozsypały się po wzroście miasta. Jej czarne, omszałe ściany, zbudowane z nierównych bloków kamienia, okryto płytami brązowymi, a wewnątrz ustawiono posąg boga, który był wielką osobliwością. Przedstawiał poważną postać męską o dwóch brodatych obliczach, zwróconych ku sobie tyłem, z których jedno patrzyło na wschód, drugie na zachód. Ze świątynią był związany starodawny obrzęd zamykania jej drzwi na czas pokoju i otwierania, gdy Rzym wojnę prowadził. Gdy następował powszechny pokój, tak że w granicach państwa rzymskiego nie słychać było szczęku oręża, zamykano bramę Janusa wśród przepychu uroczystości, ofiar i wielkiej radości narodowej. W ciągu całej historii rzymskiej, tak pełnej wojen, zamykano ją zaledwie kilka razy.

W dalszym rozwoju religii rzymskiej przechodziło pojęcie tego bóstwa rozmaite zmiany. Ze zwykłego boga drzwi stał się i bogiem źródeł, i początkiem wszechrzeczy, niejako pierwszym bóstwem, twórcą bogów i

ludzi. I nawet wówczas, kiedy Jowisz wyrósł na naczelnego boga Rzymian, Janus zachował część swojej godności: we wszystkich modłach wymieniano go na pierwszym miejscu. Jeszcze później, pod wpływem greckich mędrkowań teologicznych Janus z boga zmienił się w króla, który miał przywędrować z Tesalii do Rzymu i lud, naówczas dziki, nauczyć praw i zakonów. Mówiono, że mieszkał na owym wzgórzu, które od niego wzięło nazwę: Janikulum. Ale takie rzeczy opowiadali uczeni lub poeci. Lud po dawnemu wierzył w starego Janusa, stróża drzwi, i z nabożeństwem przechowywał pierwsze monety rzymskie, stare, ciężkie, spleśniałe kawały brązu, na których widniało dwuobliczne wyobrażenie boga.

Jowisz — Junona — Minerwa

Rzymski Jupiter (nazwa ta powstała z Jovis pater) miał wielkie podobieństwo do greckiego Dzeusa. Był przede wszystkim bogiem światłości. Zwano go często Lucetius — światłodawca, a dniem poświęconym Jowiszowi był każdy idus, połowa miesiąca, na którą przypada pełnia księżyca. On był panem wszystkich zjawisk niebieskich i jakby samym niebem. Rzymianie mówili: sub Jove — pod gołym niebem, sub Jove frigido — na mrozie, itp. I rola, i winnica pozostawały pod jego łaską lub gniewem. On zsyłał deszcze i nawiedzał posuchą. W okresie dojrzewania winnych jagód składano mu w ofierze jagnię. Bronią jego był piorun. Grom uważano zawsze za objaw złej lub dobrej woli Jowisza. Była to kara lub wskazówka. Wróżbici starali się odgadnąć znaczenie gromu. Miejsce ugodzone piorunem stawało się święte. Otaczano je obmurowaniem i składano przy nim ofiary.

Bóg ogni niebieskich wcześniej przyjął na siebie rolę boga wojny. Rzymianie widzieli w nim swojego najwyższego sojusznika, którego pomoc daje zwycięstwo. Budowali mu świątynie pod rozmaitymi wezwaniami: Stator, ten, co zatrzymuje w miejscu chwiejące się szeregi rzymskie; Versor, który zmusza nieprzyjaciół do ucieczki; Victor, dawca zwycięstwa. Wódz przed wyruszeniem na wojnę modlił się w świątyni Jowisza, składał śluby przyszłych ofiar i gdy wracał jako triumfator — znów korzył się przed posągiem boga.

Triumf był najokazalszą uroczystością ku czci Jowisza. Nie było to samo tylko wywyższenie zwycięskiego wodza, ale właśnie i przede wszystkim akt religijny, akt czci i wdzięczności względem

najdostojniejszego patrona narodu rzymskiego, dawcy zwycięstw i chwały, Jowisza Najlepszego Największego. Uroczystość nieporównana, o której marzyli wodzowie rzymscy przez wszystkie wieki republiki, a którą w końcu cesarze zachowali wyłącznie dla siebie, nie dopuszczając, aby ktokolwiek obok nich wywyższał się tak niezmiernie nad poziom innych poddanych.

Na długo już przed oznaczonym dniem czyniono przygotowania. W cyrkach, na placach publicznych i po całym mieście, we wszystkich punktach, skąd tylko można było swobodnie przyglądać się pochodowi, ustawiano trybuny z drzewa, które potem zajmowały nieprzebrane tłumy widzów ubranych w białe togi. Otwierano w tym dniu wszystkie świątynie, majono je festonami kwiatów i zieleni, a na ołtarzach bez przerwy palono najdroższe kadzidła. Porządek utrzymywali liktorzy i inna służba miejska, czuwając nad tym, aby wąskie ulice Rzymu dawały dość swobodnego miejsca do przejścia procesji.

Wczesnym rankiem, przy Bramie Triumfalnej, na Polu Marsowym, zbierał się senat i najwyżsi urzędnicy, aby powitać triumfatora. Stąd ruszał pochód przez cyrk Flaminiusza do miasta, przechodził przez Forum Boarium do Wielkiego Cyрку, aby Świętą Drogą wejść na Kapitol. Czasami pochód taki trwał parę dni, zwłaszcza jeżeli łupy wojenne były szczególnie obfite i bogate; wszystko trzeba było pokazać ludowi. Jechały tedy na wozach posągi i obrazy, zrabowane po świątyniach i miastach zdobytych; za nimi, również na wozach, broń pokonanych nieprzyjaciół ze spiżu lub ze stali, ozdobiona złotem i drogimi kamieniami. Stosami całymi leżały hełmy, tarcze, pancerze, nagolennice, kołczany, a spośród nich sterczały nagie miecze i ostrza dzid jak żywe płomyki. Wszystko to jadąc migotało w słońcu i dzwoniło. Za czym szli piesi niewolnicy niosąc srebrne i złote monety w koszach i naczyniach; inni znów dźwigali kratery srebrne, rogi, puchary, rozmaite kosztowności, nierzadko arcydzieła sztuki złotniczej. Wśród nich widziano ludzi niosących napisy z nazwami miast i ludów podbitych, niekiedy też obrazy przedstawiające stoczone bitwy.

Z dala już słyhać było granie trąb. Wśród odświętnie przybranego miasta huczała pobudka wojenna legionów rzymskich. Za trębaczami postępowały białe byki ofiarne, ze złożonymi rogami, całe spowite we

wstęgi i girlandy kwiatów. Prowadzili je chłopcy w fartuszkach bogato haftowanych, a za nimi szli młodzieńcy ze złotymi naczyniami ofiarnymi. Jeżeli pokonano jakiegoś króla, wieziono wszystkie jego skarby, niewolników i niewolnice, a na osobnym wozie jechała jego broń i korona królewska. Po czym szły jego dzieci ze swymi nauczycielami i sam król, czarno ubrany, płacząc i prosząc o łaskę. Otaczała go ciżba przyjaciół i dworzan.

Na koniec jechał sam triumfator, którego zbliżenie się zwiastowały coraz rosnące okrzyki tłumów. Jechał na wspaniałym rydwanie zaprzężonym w cztery białe konie; miał na sobie tunikę haftowaną w palmy i wizerunki bogini zwycięstwa, a na niej togę purpurową, przetykaną złotem; w ręce trzymał berło z kości słoniowej i twarz miał czerwono malowaną, jakby żywy obraz Jowisza Kapitońskiego; skronie otaczał wieniec laurowy. Za nim postępowała w ordynku cała armia, z gałązkami oliwnymi, śpiewając pieśni rozmaite, nierzadko bardzo swobodne, gdyż w tym dniu wszystko było wolno, a nawet wierzono, iż śmiechy i żarty odbierają siłę złym demonom, które mogły urok rzucić na triumfatora.

U stóp wzgórza kapitońskiego orszak się zwykle zatrzymywał: odprowadzano jeńców do więzienia i tam ich tracono. Otrzymawszy wiadomość, że jeńcy już nie żyją, triumfator zsiadał z rydwanu i pieszo wchodził do świątyni Jowisza. Była to wielka i uroczysta chwila. Juliusz Cezar, chociaż niewierzący, tak był w podobnym momencie wzruszony, że na klęczkach przeszedł całą tę przestrzeń i ze łzami w oczach dziękował wielkiemu bogu za zwycięstwo. Po modlitwie składał triumfator na kolanach Jowisza swój wieniec laurowy i gałąź palmową. Po czym następowała ofiara i wspólna uczta w świątyni, w której udział brali senatorowie i dygnitarze. Po uczcie odprowadzano triumfatora do domu; do późna w noc brzmiały po mieście śpiewy i wiwatowania.

Ze wszystkich świątyń Jowisza i w samym Rzymie, i w najdalszej okolicy, główną i najbardziej szanowaną była świątynia na Kapitolu. Miał ją założyć ostatni król, Tarkwiniusz Pyszny. Była z początku dość skromna, na podobieństwo świątyń etruskich, jaskrawo malowana, a w środku stał posąg boga, z gliny palonej, o twarzy barwionej na czerwono. Jowisz

Najlepszy Największy z wysokości tej świątyni wzniesionej na wzgórzu czuwał nad miastem, jak król. Dygnitarze przychodzili do niego, gdy obejmowali urządowanie, aby swoje czynności zacząć od ofiar i modlitwy. Na pierwsze uroczyste posiedzenie w nowym roku zbierał się senat w tej świątyni i zdawało się, jakby sam bóg przewodniczył obradom. Na ścianach Kapitolu przybijano brązowe tablice z układami międzynarodowymi, które w ten sposób stały pod opieką Jowisza, i złamanie złożonych tam przysięg sprowadzało gniew najwyższego stróża praw.

Kapłan Jowisza zwał się flamen Dialis. Nie wolno mu było pełnić żadnego innego urzędu, a całe jego życie normowały surowe przepisy. Nie mógł dosiadać konia ani wziąć do rąk broni, ani nawet patrzeć na ludzi uzbrojonych. Nie wolno mu było przysięgać, nosić na ręku pierścieni, a w szacie jego nie powinien się być znajdować ani jeden węzeł. Brodę i włosy strzygł mu człowiek wolny, i to nożycami z brązu; obrzynki jego paznokci i włosów zakopywano pod drzewem rodzącym owoce. Nie wolno mu było dotknąć ani owcy, ani psa, ani mięsa surowego, ani bluszczu, ani bobu poświęconego umarłym, ani gotującego się ciasta — nawet wspomnieć o tych rzeczach nie godziło się kapłanowi Jowisza. Nogi jego łóżka musiały być z lekka posmarowane gliną i nikomu nie wolno było spać w jego łóżku. Poza domem nosił zawsze swą spiczastą czapkę, a każdy dzień był dlań dniem świątecznym. On sam i jego dom był asylum: jeśli zbrodniarzowi udało się wejść do jego domu, musiano go puścić wolno. Żenić się mógł tylko raz jeden i gdy żona mu umarła, składał swój urząd. Nie wolno mu było przebywać w miejscu, gdzie znajdował się grób, ani dotykać zmarłego, ani brać udziału w pogrzebie. Podobne przepisy normowały życie jego małżonki, która, jako flaminica Dialis była kapłanką Junony.

W bocznych nawach świątyni kapitoliińskiej stały posągi Minerwy i Junony, które wraz z Jowiszem stanowiły trójcę bogów stworzoną na wzór etruski.

Minerwa była dawnym bóstwem italskim. Jej imię oznaczało siłę duchową, myśl — stąd uważano ją za opiekunkę wszystkich sztuk i rzemiosł, jak grecką Atenę. Ale nigdy nie nabrała w religii rzymskiej tego

znaczenia, jakie miała dostojna opiekunka Aten.

Inaczej Junona. Pod wpływem greckich pojęć uczyniono z niej małżonkę Jowisza, królową bogów. Była uosobieniem "matrony" rzymskiej — idealnej żony i matki. W dniu 1 marca, który miał być rocznicą urodzin Marsa, kobiety obchodziły święto Junony, zwane Matronalia. Składano ofiary za pomyślność związków małżeńskich, mężowie dawali podarki żonom, panie domu zastawiały ucztę dla niewolnic.

Jowisz Kapitołiński miał jeszcze jednego sublokatora. Był nim skromny Terminus, bóg między i granicy. Gdy Tarkwiniusz zaczynał budować świątynię na Kapitolu, zastał na tym miejscu kapliczkę tego boga i kapłani orzekli, że niepodobna ruszyć z miejsca tego, który czuwa nad nienaruszalnością granic. Terminus był odwiecznym bóstwem chłopskim, pilnował kamieni granicznych. Wieńczono je po wsiach girlandami i kwiatami w dniu święta zwanego Terminalia i składano wówczas niekrwawe ofiary z mleka, miodu i owoców. Uroczystości kończyły się wspólną ucztą sąsiadów.

Mars

Wyruszający do boju wódz rzymski wołał: "Marsie, czuwaj!" To wezwanie wciągało jakby pod komendę legionów wiecznego wojownika, patrona wszystkich zwad i waśni. Był on dobrze znany Rzymianom od prapoczątków ich historii. Mars był ogólnoiwitalskim bogiem wojny. Jego pierwotnym wizerunkiem był fetysz w postaci włóczni. Wilk uchodził za święte zwierzę Marsa, a odkąd wilczyca wykarmiła bliźnięta Marsowe, Romulusa i Remusa — otoczono ród wilków czią niemal religijną: wilk był na sztandarach wojskowych i w odlewanych z brązu figurach widziało się go pośród świątyń. A i dzisiaj, kto wchodzi na Kapitol, po lewej ręce od wielkich, szerokich schodów ujrzy bluszczem obrosłą klatkę, gdzie para wilków żyje, karmiona przez miasto, żalonym wyciem dająca znać o swej tęsknocie za chłodnymi górami i ciemnym lasem.

Jako obrońca granic, był Mars jednocześnie stróżem pól i urodzajów. Składając mu *suovetaurilia* — ofiarę ze świni, owcy i wołu — rolnik modlił się doń w ten sposób: "Ojcze Marsie, błagam i proszę, byś dla mnie, dla mego domu i całej rodziny był zawsze dobry i życzliwy. Aby zjednać twą łaskę, dookoła mej roli, mej ziemi, mego gruntu oprowadzam ulubione twoje zwierzęta ofiarne — świnię, owcę i wołu. Zachowaj nas od wszelkiej choroby, widzianej lub niewidzianej, od powietrza i głodu, i od wszelkiej szkody. Wszystkim płodom ziemi, zbożom i winnicom, i sdom użyj urodzaju. Strzeż pasterzy i bydła, a mnie, memu domowi i całej mojej rodzinie daj zdrowie i szczęście".

Kapłani Marsa nazywali się *saliowie*, czyli *skoczkwie*. O ich pochodzeniu opowiadano taką legendę. Za panowania króla Numa wybuchła w Rzymie zaraza. Ludzie padali jak muchy. Pobożny król Numa wychodził co rano przed swój dom i wznosząc ręce ku niebu modlił się o zmiłowanie bogów. Pewnego dnia, gdy tak stał, pogrążony w modlitwie, spadła mu do rąk z nieba mała tarcza spiżowa i jednocześnie ozwał się z góry głos, który mówił, że państwo rzymskie tak długo trwać będzie i rosnać w potęgę, jak długo tarczę tę zachowa wśród największych świętości. Wówczas król Numa, za radą boginki Egerii, która była jego powiernicą i doradczynią we wszystkich sprawach dotyczących religii — kazał sporządzić jeszcze jedenaście takich samych puklerzów. Pewien sprytny kowal wykonał jedenaście tarcz tak podobnych, że wśród nich sam Numa nie mógł poznać, która z nich jest ową prawdziwą, spadłą z nieba. Pieczę nad świętymi tarczami powierzył kolegium dwunastu kapłanów, zwanych *saliami*. Podczas świąt Marsa, w miesiącu marcu, *saliowie*, pod przewodnictwem kapłana Marsa (*flamen Martialis*), udawali się do mieszkania arcykapłana, gdzie przechowywano owe tarcze. Tam ubierali się w tuniki purpurowe i płaszcze ozdobione purpurą. Na głowie każdy miał hełm, przy boku miecz, na lewym ramieniu jeden z owych świętych puklerzów, a w prawej ręce trzymał włócznię. W tym stroju wychodzili *saliowie* na ulicę, poprzedzani przez fletnistów. Zachowując rytm muzyki, uderzali włóczniami w tarcze i dokoła ołtarzy bogów wykonywali prastary taniec wojenny. Jednocześnie śpiewali pieśni ku czci Janusa, Marsa, Jowisza

i innych bogów, pieśni ułożone w tak starożytnej łacinie, że ich późniejsi Rzymianie prawie nie rozumieli.

Najwspanialszą świątynią Marsa była ta, którą mu zbudował w Rzymie August pod wezwaniem: Mars Ultor (Mściciel) na pamiątkę ukarania zabójców Cezara. Świątynia stała na forum Augusta. W niewielkiej od niej odległości była stara świątynia Bellony, wojowniczej bogini, spowinowacanej z Marsem.

BÓSTWA ZIEMI, PÓL, LASÓW I ŹRÓDEŁ

Najdostojniejszym z bóstw ziemskich była prastara bogini pola uprawnego Tellus Mater — Ziemia Matka, która przyjmuje ziarno rzucone ręką siewcy i pozwala mu kiełkować w żyznej glebie.

Zwracano się do niej pod imieniem Dea Dia — Jasna lub Boska Bogini. Kult jej sprawowali tzw. Bracia Rolni (Fratres Arvales). Było ich dwunastu. Corocznie, w połowie stycznia, przewodniczący bractwa wstępował na stopnie którejś ze świątyń i zwrócony ku wschodowi, z głową nakrytą płaszczem, ogłaszał ludowi dzień, kiedy będzie święto Dea Dia. Przypadało ono zwykle z końcem maja, gdy we Włoszech kłosa już dojrzewają i zbliża się czas żniw. Święto trwało trzy dni. W pierwszy i trzeci dzień bracia zbierali się w Rzymie, w domu przewodniczącego. Schodzili się tam wczesnym rankiem, ubrani w togi obramione purpurą i składali Boskiej Bogini ofiarę z wina i kadzidła. Po czym zasiadali na stołkach i kładzono przed nimi chleb uwieczony liśćmi wawrzynu, kłosa zboża z poprzedniego i bieżącego roku, i oni dotykali ich jakby udzielając błogosławieństwa. Na tym się kończyła ranna uroczystość. Po południu znowu wracali, zasiadali każdy w swoim miejscu, myli sobie ręce i zmieniali szaty na wygodniejsze, po czym następowała uczta wydawana na koszt państwa. Podczas uczty rozpoczynano modlitwy przy zapalonych lampach. Palono kadzidła i wylewano wino na ofiarę bogini. Współbiesiadnicy wstawali od stołu, przy czym jeden drugiemu ofiarowywał bukiet róż i żegnali się z życzeniami wszelkiej pomyślności.

Drugi dzień świąt był najważniejszy. Ceremonie odbywały się poza Rzymem, w świętym gaju, w którym wznosiła się niewielka, okrągła świątynia bogini. Niedaleko gaju stał czworoboczny budynek — miejsce zebrań Braci Rolnych. Wewnątrz tego budynku znajdowała się sala biesiadna, otoczona czterema rzędami kolumn. O świcie tego dnia przewodniczący bractwa składał u wejścia do gaju ofiarę przebłagalną. Rzymianie bowiem wierzyli, że bóstwa lasów nie lubią, aby im mącić spokój. Po południu zaś bracia, ubrani odświętnie, z wieńcem kłosów na głowie, szli w uroczystej procesji do świątyni, gdzie przewodniczący zabijał tłuste jagnię na ofiarę. W tej chwili dwóch z braci szło na pobliskie pole, aby przynieść parę młodych kłosów. Te kłosa przechodziły teraz z rąk do rąk: każdy przyjmował je lewą ręką i prawą oddawał następnemu. Tę ceremonię powtarzano dwa

razy. Wracano do świątyni. Tutaj każdy brał książkę zawierającą starą modlitwę, tak starą, że w późniejszych czasach żaden z nich nie mógłby jej powtórzyć bez omyłki, gdyby nie miał przed sobą pisanego tekstu. Po modlitwie śpiewali i tańczyli. Święto kończyło się wspólną biesiadą. Modłom Braci Rolnych przypisywali Rzymianie urodzaj swych pól.

Obok dostojnej Matki Ziemi istniała od wieków inna, podrzędniejsza bogini, Ceres, patronka urodzajów, którą jednak poezja wyprowadziła z ukrycia na miejsce naczelne. Stało się to za sprawą greckiej Demetry, z którą utożsamiano italską Ceres. Odtąd pod jej imieniem powtarzano wszystkie mity o "bolesnej matce" i dano jej córkę Prozerpinę, wcielenie greckiej Persefony.

W pierwotnej religii rzymskiej było wiele bogów opiekujących się ziemią i jej plonami. Z czasem imię niejednego z nich starło się z ludzkiej pamięci i zaginęło, a tylko szczupła garstka ocalała do końca świata starożytnego. Consus, bóg żniw, miał w Wielkim Cyrku (Circus Maximus) ołtarz podziemny, który odkopywano w dni świąteczne. Bogini Ops niosła dostatek i czczona w mnogich kapliczkach odbierała sute ofiary. Jej kult sięgał najdalszej starożytności. Ongi w pałacu królewskim było jej sanktuarium, do którego wstęp miały tylko westalki z arcykapłanem. Później zbudowano jej świątynię na Forum i drugą na Kapitolu. Obchodzono dwa jej święta — Opiconsivia 25 sierpnia, po żniwach, i Opalia 13 grudnia, po siewach. Wypadały one w cztery dni po świętach Consusa, współtowarzysza jej kaplic i ołtarzy. W te dni nawet bydlę domowe było wolne od pracy. Opiekunką ogrodów warzywnych, dobrym duchem dyni, grochu i pietruszki była Venus, której imię oznacza "wdzięk", oczywiście wdzięk kwitnącej przyrody. Stała się później piękną panią wiosny, kwiatów i wszelkiego uroku natury. Ogrodnicy, kwiaciarki i sprzedawcy jarzyn uważali ją za swą patronkę. Na koniec utożsamiono ją z grecką Afrodytą, a najbujniejszy rozkwit jej kultu datuje się od Cezara, który podawał się za potomka bogini i wznosił jej wspaniałą świątynię pod wezwaniem Venus Genetrix (Rodzicielka) na Forum Iulium. Obok Venus Flora była boginią kwiatów i radości wiosennej, a święta jej odznaczały się nadmierną, trochę swawolną wesołością.

Sady i drzewa owocowe polecono pieczy boga zmieniających się pór roku imieniem Vortumnus, z którym blisko spokrewniona była bogini

dojrzałych jabłek, Pomona.

Śliczną bajkę o tej parze bogów opowiada poeta Owidiusz. Pomona była nimfą sadów. Po całych dniach chodziła z nożem, obcinała zeschnięte gałęzie drzew i doglądała młodych szczepów. Ilu było tylko bogów i bożków wśród pól, lasów i ogrodów, wszyscy ubiegali się o jej rękę. Ale Pomona, zajęta swą pracą, nie zwracała na nich najmniejszej uwagi. Nie wiedziała również, że kocha się w niej bóg Vortumnus. Ale miłość jego naprawdę była szczerą i stateczną. Aby pozyskać serce Pomony, przedstawiał się jej zakochany bożek pod rozmaitymi postaciami: jako kosiarz, poganiacz wołów, ogrodnik, żołnierz, rybak. Raz przyszedł do jej sadu przebrany za staruszkę. Siwiuteńki był jak gołąb i ciężko się wspierał na lasce sękatej. Zaczął przekonywać Pomonę, że powinna wyjść za męża, i to nie za kogo innego, jak właśnie za Vortumna, który równie jak ona kocha sady i drzewa owocowe. Gdy jednak i to nie pomogło, zjawił się we własnej postaci. Okazało się, że tak najlepiej, albowiem młody był i niezwykle piękny. Pozyskał serce Pomony i odtąd nigdy się z nią nie rozłącza. W promieniach ich szczęśliwej miłości dojrzewają sady — wspólne ich ukochanie.

Z bóstw urodzaju najbardziej popularny był Saturnus, bóg zasiewów, później zupełnie z greckim Kronosem zmieszany. Ku jego czci odbywały się doroczne święta Saturnalia. Przypadały w drugiej połowie grudnia i trwały cały tydzień. W mieście panował wówczas nastrój karnawałowy. W niezmaconej radości, wśród uczt, podczas których panowie ugaszczali własnych niewolników, wspomniano niepamiętne czasy "złotego wieku". W te dni zniknęła nie tylko wszelka nierówność stanów, lecz i wszelka nieprzyjaźń, zawieszano sądy i wykonywanie wyroków na skazańcach, a nawet nie godziło się w tym czasie rozważać planów wojennych. Podczas Saturnaliów przesyłali sobie znajomi rozmaite podarki. Były to zwykle chustki, łyżki, puchary, a przede wszystkim świeczki woskowe i małe gliniane laleczki. Dołączano do tego list dowcipny, a kto potrafił — to i wiersze zabawne. Po całym mieście chodziły wesole i podochocone gromady; po nocach, okrzykiem io Saturnalia, wyciągano śpiochów z łóżek. Cesarze w te dni urządzali wspaniałe igrzyska i na przedstawieniach, podczas przerwy, kazali rozrzucać między publiczność drobne podarunki. Młodzież szkolna miała ferie.

Bogiem lasów był Faunus. Imię jego oznacza: dobry, łaskawy. Był to w istocie dobry duch lasu, który swą wolę objawia dziwnym szmerem drzew. Z głębi mroków leśnych nieraz słyszano jego głos ostrzegawczy, a ludzie świątobliwi szli nocą do świętych gajów i opowiadali potem, jak

Faunus z nimi rozmawiał i rad im udzielał. Ze względu na swe podobieństwo z greckim Panem, Faunus wcześniej został z nim utożsamiony, a w końcu zaczęto mówić o faunach w liczbie mnogiej i uważano ich za jedno z greckimi satyrami. Lecz najstarsza religia rzymska znała tylko jednego Fauna i czciła go w sposób bardzo oryginalny.

Na północno-wschodnim stoku Palatynu była święta grotka, zwana Lupercal, od niepamiętnych czasów ośrodek kultu Fauna. Mówiono, że w tej właśnie grocie wilczyca karmiła bliźnięta: Romulusa i Remusa. Kult boga lasów sprawowali kapłani, luperci. Święto jego nazywało się Lupercalia i obchodzono je 15 lutego. Zaczynano od ofiary z kozła, po czym ze skóry tego zwierzęcia sporządzali sobie kapłani przepaski na biodra i rzemienie. Nadzy, jedynie okryci tymi przepaskami, biegali luperkowie po ulicach miasta i spotykanych przechodniów uderzali rzemieniami.

Uważano Fauna nie tylko za ducha leśnego, lecz i boga pól, a przede wszystkim trzód, których broni przed wilkami. Poeta Horacy odzywa się doń z taką modlitwą: "Faunie, kochanku nimf płochliwych, wejdź łaskawie na moje pola i niwy słoneczne i bądź życzliwy dla młodej trzódki mojej. Dla ciebie corocznie zabijam nieletnie kozłatko i stawiam ci wina pełne puchary, dla ciebie stary ołtarz otacza się dymu kłębam. Skoro twe święto nastaje, bydełko igra na bujnych pastwiskach i cała wieś wyległa na łąki, i owce nie boją się wilków. Dziki las sypie ci liście, a rolnik ku twej chwale tańczy i bije wesoło o ziemię uprzykrzoną".

Później zjawia się obok Fauna, jako wyłączny bóg lasów, Silvanus, często z Sylenem identyfikowany. Wygląda jak człowiek leśny z brodą, nagi, w ręce trzyma sierp, a w odwiniętej skórze kozłej niesie wszelkie płody ziemi; u stóp jego siedzi pies, czujny towarzysz nieustannych łowów. Kult jego miał tę dziwną regułę, że nie wolno w nim było brać udziału kobietom; nie mogły one nawet patrzeć na posągi Sylwana. Aby je ustrzec przed mimowolnym świętokradztwem, ustawiano te posągi najchętniej w łaźniach męskich.

Bóstwem zaś wyłącznie kobiecym, którego ofiar nie godziło się oglądać żadnemu mężczyźnie, była Fauna, nie wiadomo: żona, siostra czy córka Faunusa. Nazywano ją Bona Dea — Dobrą Boginią. Była bóstwem płodności i urodzaju. Święto jej obchodzono w grudniu, pod przewodnictwem żony któregoś z najwyższych dostojników państwowych:

konsula lub pretora. W tym dniu wszyscy mężczyźni musieli dom opuścić. Pozostawały same kobiety, ubierały pokoje gałęzmi winnej latorośli, modliły się i pełniły ofiary pod nadzorem westalek. W r. 62 n. e. wywołał niesłychany skandal młody panicz, Klodiusz, który dla pustoty wszedł w przebraniu kobiecym do domu, gdzie odprawiano święto Dobrej Bogini. Poznano go jednak i z wielką hańbą wypędzono, po czym wytoczono mu proces o świętokradztwo.

Z bóstw pasterskich najpopularniejsza była bogini Pales. Opiekowała się bydłem i życiem pasterskim. Obchodzono jej święto, zwane Palilia, 21 kwietnia, tym uroczystsze, że w tym dniu wypadła rocznica założenia Rzymu. Nie wolno było składać krwawej ofiary. Natomiast palono dziwną mieszaninę, którą westalki przygotowywały w ten sposób: krew, zebraną z konia zabitego w ofierze Marsowi podczas zeszłorocznych świąt czerwcowych, mieszały z popiołem ze spalonego kilka dni przedtem jagnięcia i dodawały różnych ziół, a przede wszystkim wyschłych łodyg fasoli. To wszystko razem palono jako oczyszczalną ofiarę. Rankiem zaś dnia tego wszystkie stajnie wymiatano nowymi miotłami i bydło skrapiano wodą źródlaną, a na drzwiach zawieszano wieńce. Na kuchni rozkładano ogień z gałązek rozmarynu, fig, oliwek i drzewa laurowego, a jeśli mocno trzaskały, uważano to za dobrą wróżbę. Ofiarę stanowiło ciasto z prosa i trochę mleka. Modlono się, aby bogini użyła błogosławieństwa trzodom, a jednocześnie żeby przebaczyła pasterzom, jeśli który z nich zapędził niebacznie bydło na jakieś miejsce święte lub uciął gałąź w świętym gaju; proszono o dobrą trawę, zdrową wodę, o jak największy przychówek w dobytku, o odwrócenie pomoru i wszelkiej choroby. Modlitwę tę wypowiadano cztery razy i, z twarzą zwróconą ku wschodowi, wypijano kubek mleka, zmieszanego z moszczem tegorocznego wina, i skakano przez płonące snopy słomy, jak u nas w noc świętojańską.

Te wszystkie bóstwa pól, lasów i urodzajów, aczkolwiek szanowane i prastare, coraz bardziej schodziły na drugi plan, wypierane przez nowomodnych bogów, którzy potrafili imiona swe złączyć ze sławnymi postaciami greckiego Olimpu. Diana była jedną z tych bogiń, które wcześniej odrzuciły surową szatę rzymską i, odziane w lekki strój grecki, stały się natchnieniem poetów i artystów. Przy tej przemianie Diana, którą utożsamiono z Artemidą, straciła wiele ze swego pierwotnego charakteru.

Była bowiem dawniej boginią kwitnącej przyrody, panią gajów zielonych, opiekunką zwierząt. Jak przystało na Rzymiankę, była boginią poważną i stateczną. Zapatrzwszy się zaś na Artemidę, oddała się namiętnie polowaniu i, o czym dawniej nawet nie myślała — sprawiła sobie rydwan srebrzysty, aby co noc, jako bogini księżycy, jeździć po niebie. Mimo to pamiętano jeszcze czasy, kiedy jedynymi jej świątyniami były gaje. Biedota miejska i wiejska uważała ją za swą szczególną patronkę, albowiem dobra bogini niosła pociechę w niedoli i leczyła choroby umęczonego ciała. Król Serwiusz Tuliusz miał jej na Awentynie zbudować świątynię właśnie w dzielnicy ubogich.

Najgłośniejsza jednak świątynia Diany znajdowała się w Arycji, niedaleko Rzymu. Była to dzika okolica, otoczona zewsząd górami, wśród których błyszczało cudne jezioro o wodach tak przezroczystych, że je nazywano "zwierciadłem Diany". Rzymianie, w których Grecy zdołali wmówić, że wszystko, co mają, przyjęli z Hellady, opowiadali, iż Diana z Arycji była tą samą Artemidą, którą czczono w Taurydzie, okrutną boginią, wymagającą ofiar z ludzi. Przy czym zmyślono taką bajkę: kiedy Orestes uciekł z Taurydy, uwożąc siostrę i cudowny posąg Artemis, zawędrował do Italii, osiadł w Arycji i tu zaszczylił kult bogini taurydzkiej. Podanie to zdawało się potwierdzać dziwny obyczaj w świątyni Diany z Arycji. W środku gaju świętego rosnęło pewne drzewo, z którego nie wolno było zrywać gałęzi. Kto zaś to uczynił i zerwał gałąź, miał prawo zabić kapłana i sam zająć jego miejsce. Kapłan nosił tytuł rex Nemorensis — król świętego gaju. Był on nietykalny. Największy zbrodniarz mógł się cieszyć zupełnym bezpieczeństwem, skoro został "królem", gdyż wszelka władza ziemską kończyła się u pierwszych drzew świętego gaju. Ale życie jego nie było słodkie. Dzień i noc ów "król" strzegł z mieczem w ręku świętego drzewa. Każdej bowiem chwili mógł się spodziewać wroga. Zimą i latem, w pogodę i słotę musiał czuwać sam jeden i pamiętać, że sen może mu przynieść śmierć. Starość — o ile dożył starości — była dlań wyrokiem, gdyż będąc zniedołężniały nie mógł się oprzeć nawet słabemu przeciwnikowi. Taki "król" nigdy nie panował długo: zbyt wielu miał wrogów i współzawodników. Wśród nich zawsze się znalazł silniejszy od niego, który go z kolei pokonał i zabił, jak to on sam uczynił ze swoim poprzednikiem. Zbiegli niewolnicy, gladiatorzy, różnego rodzaju zbrodniarze — uciekali przede wszystkim do Arycji, gdzie za cenę nowego zabójstwa zdobywali na pewien czas życie bezkarne.

Świątynię Diany w Arycji — niedaleko owego gaju — obsługiwali kapłani, którzy jednocześnie trudnili się sztuką lekarską i utrzymywali szpital. Woda z tamtejszych źródeł była zdrowa, dobra i posiadała lecznicze właściwości. Ludzie, którzy za sprawą bogini odzyskiwali zdrowie, składali w świątyni eks-wota z gliny palonej lub z jakiegoś metalu. Były to

małe posążki Diany lub samego ofiarodawcy, bądź też wyobrażały członek uzdrowiony, a mogły być i rozmaite inne przedmioty, jak szpilki, bransolety, pierścienie, lampy, naczynia, monety, nawet szaty. Z tych darów rosły wielkie bogactwa świątyni, przechowywane w osobnych składach i kapliczkach.

Uroczyste święto Diany przypadało na dzień 13 sierpnia. W tym dniu Rzymianki, uwieńczone kwiatami, odbywały pielgrzymkę do Arycji, aby podziękować bogini za doznane łaski i prosić o nowe. Ponieważ uroczystość odbywała się w nocy, trzeba się było wybrać z Rzymu wczesnym rankiem, aby zdążyć na oznaczoną godzinę. Trzydzieści kilometrów dzieliło Arycję od Rzymu. Droga prowadziła przez Via Appia, "królową dróg rzymskich". Od świtu rojno było przy Porta Capena. Ubogie kobiety szły pieszo; zamożniejsze lub słabsze jechały na koniach i mułach albo na wozach; bogate damy kazały się nieść w lektyce, w otoczeniu licznej służby. Tłum pątniczek przybywał do Arycji wieczorem. Przeważna część rozmieszczała się dla odpoczynku w oberżach. Z tłumoczków dobywano zapasów żywności i popijano doskonałym winem arycyńskim, a na deser raczono się gruszkami, które były sławne na całą Italię. Z nastaniem nocy ciągnęły rzesze pobożnych górską drogą do świątyni.

Cudowna noc sierpniowa, pełna gwiazd, pachnąca sosnami, rozstępowała się przed szeregami kobiet idących z pochodniami i śpiewających hymny ku czci bogini, która "ucho łaskawe podaje na prośby dzieci". Niesiono statuetki, wieńce, girlandy kwiatów, obrazy przedstawiające cudowne uzdrowienia i składano to wszystko u stóp potężnej władczyni gajów. Pięknie musiało wyglądać to nabożeństwo nocne z oświeconą pochodniami świątynią, wśród płonących ołtarzy, wśród dymów kadzidlanych, z księżycem jak srebrna lampa wiszącym nad jeziorem Nemi, które nazywano "zwierciadłem Diany"!

Pełno było świętych gajów na ziemi łacińskiej, a nawet w samym Rzymie, mimo rozbudowy miasta, zdołało się utrzymać niejedno z tych czcigodnych ustroni. Tak na Polu Marsowym był gaj starożytnej bogini Feronii, pamiętającej Etrusków, od których może pochodził jej kult. Żaden niewolnik nie przeszedł tędy bez pobożnego westchnienia. Tu bowiem, w

świątyni Feronii, odbywały się wyzwoliny. Niewolnicy, których oczekiwano wolność, z ogolonymi głowami siedzieli na kamieniu świątynnym, a urzędnik upoważniony do tego aktu nakładał im kapelusz zwany pileus i mówił: "Zasłużeni niewolnicy, którzy tu siedzą, niech wstaną wolni".

Rzymianie czcili bóstwa wód. Ich ziemia, nie tak sucha jak grecka, tryskała ze wszystkich porów i szczelin źródłami i ruczajami, żywiąc w swych mieszkańcach wiecznie czujną miłość dla tajemniczych sił, które z głębi twardych skał i z niedostępnych oku pieczar wyprowadzają jasne, zbawienne strumienie. Przy każdym zdroju sadzono gaje święte, stawiano ołtarze i kaplice. Świętokradztwem było naruszać ustalony bieg rzeki i gdy za cesarza Tyberiusza zamierzano uregulować kapryśny i groźny Tyber, który wylewami rokrocznie niszczył plony ludzkiej pracy, zbiegły się do senatu tłumne poselstwa ze wszystkich okolic Tybrowego dorzecza z błaganiami, aby takich rzeczy poniechano: "Najlepiej — mówiono — o sprawach ludzkich radzi sama przyroda, która rzekom ustanowiła zarówno źródła i bieg, początek i kres; Tyber nigdy się nie zgodzi, by mu odjęto dopływy i by miał odtąd płynąć z mniejszą niż wprzód chwałą". W niektórych rzekach nie wolno było się kąpać, a na innych wszelka żegluga była wzbroniona.

Kto przechodził koło źródła, potoku, strumienia — rzucał kwiaty na jego wody, szeptał modlitwę lub składał ciastko na brzegu. Bóstwa wodne wdzięczne są za okazywaną im pamięć. Zwyczaj ten przechował się do dziś, mimo że nie zdajemy sobie już sprawy z jego znaczenia. Jest w Rzymie Fontana di Trevi, której wody obfite spadają w dźwięcznych, bujnych kaskadach pod murami Palazzo Poli. Każdy, kto zwiedza Rzym, uważa za swój obowiązek stanąć przed tą fontanną i z odwróconą twarzą wrzucić w jej wody szumiące miedzianą monetę; kto tego nie zaniedba, może być przekonany, że w krótkim czasie znów dane mu będzie wrócić do wiecznego miasta. Ten pieniążek jest ofiarą. I ofiara ta nie należy się ani groźnemu Neptunowi Pietra Bracci, ani otaczającym go boginkom zdrowia i płodności, lecz właściwej pani fontanny, nimfie Aqua Virgo. Podobnie jak przed wiekami i dziś wszyscy ci podróżni, z odwróconą twarzą, aby nie stanąć w obliczu bóstwa, nieświadomie spełniają

starożytną ofiarę. Tam właśnie, na Polu Marsowym, była świątynka bogini wód, Juturny, którą pono Jowisz zaszczycał swoją miłością. Jej święto obchodzono 11 stycznia i było to święto funkcjonariuszy wodociągów i fontann miejskich oraz straży pożarnej. Nic nie zostało z tej starożytnej świątyni, pod Palatynem natomiast, tuż koło ruin domu westalek, do dziś bije źródło noszące imię Juturny. Z niego westalki brały wodę do ofiar.

Wyobrażano sobie źródła w postaci męskiej, rzeki zaś i strumienie bądź jako niewiasty, bądź jako mężczyzn, zależnie od rwącej siły ich wód. Wiedzano, że bogowie wielkich rzek są starcami, o pogodnym, ojcowskim obliczu, a niegdyś byli królami kraju, przez który biegną ich strumienie. W źródłach mieszkają panny wodne, kameny, rozśpiewane boginki, które mają dar wieszczcy i poetom użyczają natchnienia. Pod jedną z bram Rzymu był im poświęcony gaj uroczy, wyścielony miękką murawą. Zajęte swymi igraszkami, miłe bóstwka nie wymagają ani ofiar bogatych, ani kapłanów, ani świątyń błyszczących złotem. Nie tak jak stary dziad Tiberinus, bóg Tybru, najważniejszej dla Rzymu rzeki, która zżyma się z lada powodu, grozi wylewem i kto wie, czy w dawnych czasach nie żądał, by mu na ofiarę ludzi zabijano.

W późniejszych czasach na czele bóstw wodnych stanął Neptun. Rzymianie widzieli w nim swojego Posejdona i przedstawiali go w taki sam sposób: z trójzębem, jako władcę morza. Z początku jednak był to podrzędny bóg chmur lub deszczu.

PERSONIFIKACJE

Charakterystyczną stroną religii rzymskiej jest tłum personifikacji, czyli uosobionych pojęć moralnych, uczuć ludzkich itp. Była Fides (Wierność), przedstawiana z kłosami i koszem pełnym owoców; Concordia (Zgoda), z rogiem obfitości; Honos i Virtus (Honor i Dzielność), oboje uzbrojeni; Spes (Nadzieja), z kwiatem w dłoni; Pudicitia (Wstydlivość), w grubej zasłonie; Clementia (Łagodność), z berłem w ręce, wyobrażająca łaskawość panującego cesarza; Pax (Pokój); Iuventus (Młodość), czczona w osobnej kaplicy w celi Minerwy kapitolńskiej; Hilaritas (Wesołość), a nawet Dies Bonus — Dzień Dobry!

Grecy potworzyliby z tych wszystkich bóstw miłe i zajmujące postacie mieszające się do życia ludzkiego, osnute jakimiś legendami, opromienione poezją. Rzymianie umieli tylko wybudować im mnóstwo świątyń, naznaczyć święta i ofiary. Tylko jedna z tych personifikacji nabrała więcej życia. Był to Mercurius (Merkury), uosobienie sprytu handlowego. Ale i on zawdzięczał swe powodzenie temu, że Grecy uznali go za swojego Hermesa. Rzymianie przekonali się wówczas, że mu w tych greckich szatach bardzo do twarzy, polubili go szczerze i po wszystkich krajach stawiali mu posągi jako opiekunowi rzymskiego handlu, który w ślad za zwyciężskimi legionami szedł na podbój świata.

Dnia 15 maja wszyscy kupcy obchodzili święto Merkurego. Z rana palili kadzidło przed posągiem boga, po czym w przepasanej tunice szli z konewką po wodę do świętego źródła przy Porta Capena. Przyniósłszy ją do domu zanurzali w wodzie gałąź wawrzynu i skrapiali wszystkie swe towary i siebie samych, po czym wygłaszali taką mniej więcej modlitwę: "Zmyj ze mnie, boże, wszystkie dotychczasowe krzywoprzysięstwa i jeśli kiedykolwiek brał ciebie na świadka, jeśli fałszywie przysięgał na imię Jowisza lub jakiegoś innego boga — niechaj te słowa niegodziwe puszczone będą na wiatr. Wszelako niech i na przyszłość wolno mi będzie oszukiwać i krzywoprzysięgać, a bogowie niech się nie troszczą o moje słowa". Musiał być bardzo wyrozumiały bożek Merkury, jeśli nie wahano się modlić do niego w ten sposób.

NAPŁYW RELIGII OBCYCH

Nadzwyczaj szeroki, tolerancyjny politeizm rzymski chłonał w siebie z łatwością obce wyobrażenia religijne, tak że ta dziwna religia przedstawiała się w końcu niby zjazd powszechny różnych bóstw ze wszystkich krańców świata. Nie dokonało się to, oczywiście, od razu. Zaczęło się jednak wcześniej, a w miarę jak ożywiały się stosunki Rzymu z odległymi krajami, obcy bogowie raźniej i tłumniej przybywali. Niewolnicy, sprowadzeni z daleka, kupcy obcoplemienni, żołnierze powracający z wojen, cudzoziemcy osiedlający się na stałe — wszyscy przynosili jakieś własne świętości.

Najgłębiej sięgał wpływ Greków. Ich religia zlała się z rzymską do tego stopnia, że pod koniec sami Rzymianie nie widzieli różnicy między swoimi bogami a bogami Greków. W żadnej epoce i u żadnego narodu nie spotykamy przykładu tak całkowitego poddania się religii obcej, tym dziwniejszego, że stało się to dobrowolnie, a nie pod jakimś przymusem. W wielkiej mierze przyczyniły się do tego księgi Sybillińskie.

Tych ksiąg historia legendarna jest następująca: Do króla Tarkwiniusza przysłała pewnego razu nieznana kobieta i przyniosła dziewięć ksiąg, w których, jak mówiła, zawierały się boskie przepowiednie. Tarkwiniusz zapytał o cenę. Nieznajoma wymieniła jakąś sumę, bardzo wielką, tak że król sądził, iż ma do czynienia z obłąkaną. Ale owa kobieta w jego obecności rozłożyła ognisko i spaliła trzy księgi z owych dziewięciu, po czym spytała króla, czy nie życzy sobie nabyć sześciu pozostałych ksiąg za tę samą cenę. To już, w istocie, wydało się Tarkwiniuszowi jawnym szaleństwem. Gdy jednak nieznajoma spaliła trzy następne księgi i za ostatnie trzy zażądała pierwotnej ceny, król domyślając się jakiejś tajemnicy wziął owe księgi i wypłacił żadaną sumę. Nieznajoma natychmiast opuściła pałac i nigdzie już jej później nie widziano. Mówiono, że była to wróżka, imieniem Sybilla. Owe zaś trzy księgi, zwane odtąd Sybillińskimi, oddał król na przechowanie do miejsca świętego i pieczę nad nimi powierzył specjalnym kapłanom.

Z początku tych kapłanów było dwóch, potem dziesięciu, wreszcie piętnastu. Ilekroć na kraj spadła klęska, senat rzymski osobną uchwałą wzywał ich, aby zajrzeli do ksiąg Sybillińskich i znaleźli w nich radę na usunięcie nieszczęścia. I, o dziwo, rada ksiąg Sybillińskich była zawsze jednaka: sprowadzenie do Rzymu jakiegoś nowego bóstwa. Były to bowiem po prostu książki zawierające greckie przepisy religijne i jakkolwiek by je czytano i wykładano, niezmiennie odnajdywano w nich wskazówki do nie znanego w Rzymie kultu. W ten sposób przywędrował do Rzymu grecki Apollo i zachował nawet swe imię, i jego syn, Asklepios, czczony nad Tybrem pod imieniem Eskulapa, i Dioskurowie: Kastor i Polideukes, Herakles, którego Rzymianie nazwali Herkulesem, i szereg innych. Rzymianie mieli takie nieprzebrane mnóstwo bogów, że zawsze któryś z nich mógł od biedy odpowiadać nowo wprowadzonemu bóstwu. Wtedy to Minerwa dała swe imię greckiej Atenie, Ceres Demetrze, Persefonę przezwano Prozerpiną, która u Rzymian była jedną z bogiń kiełkującego zboża. Wenus złąła się do niepoznania z Afrodytą. W końcu cała mitologia grecka przeniosła się do Rzymu, powitana nader przychylnie przez poetów łacińskich. Nieruchawe bóstwa rzymskie nabrały życia, połączyły się w pary małżeńskie, przyjęły za własne wszystkie podania greckie. Mitologia grecka wypełniła tę próżnię, jaką wiało od surowej religii rzymskiej.

Razem z greckimi napływały do Rzymu bóstwa wschodnie. Pierwsza przyszła "matka bogów", małoazjatycka Kybele. Stało się to w ciężkiej dla Rzymu chwili — podczas wojny z Hannibalem. Za radą ksiąg Sybillińskich senat postanowił sprowadzić z Pessinuntu, w Azji Mniejszej, posąg macierzy bogów. Okręt wiozący świętość przybił do ujścia Tybru. Na powitanie bogini wyszli senatorowie, rycerze, westalki, tłumy ludu. Posucha panowała wówczas i łąki były pożółkłe, spalone. Okręt, osiadłszy w zaroślach rzecznych, zatrzymał się i stanął jak uwięziony. Lud poczuł groźbę bożą. Wszelkie wysiłki wioślarzy nie mogły okrętu ruszyć z miejsca. Wszyscy mówią, że dopełnić tego zdoła jedynie niepokalana kobieta. Z grona mężatek wysuwa się Kwinta Klaudia. Dokoła niej burzy się szmer zgorszenia. Nie wierzą jej, nie wierzą w jej prawość. Mimo to ona idzie nad brzeg Tybru, trzykroć dłonią czerpie wodę i, trzykroć czoło zrosiwszy, rękę po trzykroć wznosi ku niebu. Lud stoi zdumiony. A ona padłszy na kolana, wzrok wpija w posąg bogini stojący na pokładzie statku i tak rzecze: "Wysłuchaj modlitwy mojej, miłosierna Matko błogosławionych, i okaż mi swoją łaskę. Uważają mnie za grzesznicę. Poddam się, jeśli ty mnie odtrącisz: sądem bożym rażona, okupię hańbę swą śmiercią. Lecz jeśli jestem niewinna, ty, pani niepokalana, wesprzyj mnie dotknięciem niepokalanej

dłoni". Rzekła i lekką dłonią ujmuje linę okrętową: ruszył się okręt i płynie jej śladem...

Tym cudem sprowadzona weszła do Rzymu wielka macierz bogów, otwierając drogę innym bóstwom wschodnim, które wkrótce miały za nią podążyć. Nie przychodziło im to jednak łatwo. Rzymianie z czasów republiki nie byli dla nich dobrze usposobieni uważając religie wschodnie za niemoralne i szerzące zepsucie. Lecz państwo rozrastało się coraz bardziej, a Rzym stawał się coraz wyraźniej stolicą świata. W jego ciasnych uliczkach zbierały się tłumy ludzi różnego pochodzenia, a w łaźniach publicznych, teatrach i salach odczytowych przemawiali filozofowie greccy głosząc nauki sprzeczne z wiarą ojców. Pod wpływem tych nauk religijność zaczęła coraz bardziej upadać i w wieku rewolucji poprzedzających powstanie cesarstwa rzymskiego, przez owe sto lat przed naszą erą, stare świątynie waliły się w gruzy, ołtarze dawnych bogów pokrywały się pyłem i pajęczyną, niektóre urzędy kapłańskie szły w zapomnienie. Cesarz August (r. 31 przed n. e. — 14 n. e.), ustalwszy ład i spokój w całym państwie, zajął się gorliwie odnowieniem religii rzymskiej: wznosił wspaniałe świątynie i naprawiał stare, wrócił dawny szacunek kolegiom kapłańskim, wszystkie uroczystości, obchody religijne i igrzyska urządzał z przepychem.

Niewiele to jednak pomogło. Ludzie cesarstwa rzymskiego stracili zaufanie do dawnych bogów*, a zadowolenia swej głębokiej potrzeby religijnej szukali w kultach wschodnich. W żadnym może czasie nie istniało tak żywe pragnienie wiary, które starano się zaspokoić wszelkiego rodzaju zabobonami. Wówczas to, po raz pierwszy, świat rzymski zapoznał się z astrologią, czyli tajemną nauką o gwiazdach, która miała odąd przez kilkanaście wieków panować nad umysłami ludzkimi. Astrologia pochodziła ze Wschodu, a najbieglejsi w niej byli kapłani chaldejscy. Nauka ta polegała na przekonaniu o niezmiennym porządku świata, którego dowodem i wyrazem jest niewzruszony bieg gwiazd. Ciała niebieskie mają duszę powstałą z tego samego eteru, z którego uczyniona jest i dusza ludzka. Życie gwiazd związane jest z życiem ludzkim, a z ich konstelacyj wyczytać można przyszłość z pomocą ścisłych obliczeń. Stąd astrologów nazywano "matematykami". W połączeniu z magią, która zyskiwała w tych czasach wyznawców wśród najwyższych sfer społeczeństwa, astrologia zaspokajała niższe instynkty religijne, przede wszystkim głód cudowności, tak znamieny dla społeczeństwa rzymskiego z I lub II wieku n. e.

* "Nawet dzieci nie wierzą już w duchy, królestwa podziemne, czarne żaby w Styksie i w przewoźników uzbrojonych w długie drągi i przewożących w jednej łódce tysiące ludzi" — pisał satyryk Juwenalis.

Jednocześnie dochodziła do głosu wyższa potrzeba: pewnego ładu w pojęciach religijnych. Rzymianin z II wieku n. e. otoczony był bogami rzymskimi, greckimi, egipskimi, wschodnimi, nie licząc tych, którzy cisnęli się z Północy i dalszego Zachodu. Na widok tego rojowiska bogów różnojęzycznych ogarniało ludzi znużenie. Nabrzmiwało w duszach mimowolne pragnienie jakiejś jednej wspólnej wiary. Starano się tedy usunąć sprzeczności między poszczególnymi wierzeniami, tysiące imion boskich uważano za rozmaite nazwy tego samego bóstwa, którego człowiek ani poznać, ani oglądać nie może. Zanim jeszcze chrześcijaństwo zapanowało nad światem, poznali starożytni niektóre pojęcia chrześcijańskie. Dowiedzieli się mianowicie, że drogą ascezy, wyrzeczenia się przyjemności życiowych, przez żywot czysty i pełny poświęcenia można się zbliżyć do niepoznawalnego bóstwa. Mówiono im o tym w misteriach wschodnich, które najzupełniej w cień usunęły dawne misteria greckie. Zjednywały one ludzi i przez to, że nie ograniczały się do jakiegoś kraju lub narodu, nie znały różnicy między Grekami lub Rzymianami a barbarzyńcami, ani między panami i niewolnikami, lecz do każdego człowieka, bez różnicy stanu i pochodzenia, odnosiły się jako do grzesznika szukającego pociechy. Nie dziw więc, że szeregi ich wyznawców zapełniali głównie niewolnicy, ludzie biedni i żołnierze. Po wszystkich krańcach starożytnego świata spotykamy świątynie, kaplice i ołtarze tych bóstw wschodnich.

Najszerzej rozwinął się irański kult Mitry. Legiony rzymskie, gdzie miał najwięcej wyznawców, zanosły go nad Dunaj i do lasów Germanii, na piaskach Afryki i wśród mgieł Brytanii stanęły ołtarze tego boga światłości. Zwał się Sol Invictus — Słońce Niezwyciężone. W misteriach Mitry nauczano, że każdy człowiek stoi między wrogimi potęgami światła i ciemności, a po śmierci walczą o jego duszę złe i dobre moce. Jedynie przed wtajemniczonym, który zna słowa zaklęcia, otwiera się osiem bram prowadzących do najwyższych regionów nieba, ku wiecznej szczęśliwości. Słabej i ułomnej istocie ludzkiej pomaga Mitra — tak w życiu doczesnym, jak i poza grobem. Albowiem sam niegdyś zstąpił na ziemię i znowu wrócił do nieba. Wtajemniczeni przechodzili różne stopnie i nadawano im różne imiona: kruków, żołnierzy, lwów. Najwyższy stopień określano mianem ojca. Mitraiści znali rodzaj chrztu, który z grzechów oczyszczał, i urządzali wspólne uczty na pamiątkę rozmaitych faktów z życia Mitry. Wszystkie obrzędy spełniano w grotach podziemnych.

Już teraz nikt nie walczył z obcymi bogami. W mrok bezpowrotnej przeszłości zapadły czasy, w których na rozkaz senatu i konsulów burzono kaplice Izydy. I senat, i konsulowie od dawna byli wyznawcami wschodnich religii. Należało to po prostu do dobrego tonu, odkąd sami cesarze popierali bóstwa obce na niekorzyść rodzimych. Zresztą i cesarze nie byli już rzymskiego pochodzenia. Taki np. Heliogabal, w którego cieniutkich żyłach płynęła krew syryjska, w r. 219 n. e. sprowadził do Rzymu kamiennego fetysza boga słońca, Baala, i kiedy w uroczystej procesji niesiono tę wschodnią świętość, posągi wszystkich bogów Rzymu szły za nią niby orszak służby. Ogień Westy po dawnemu płonął w czcigodnej świątyni. Bracia Rolni wciąż jeszcze powtarzali swe niezrozumiałe modlitwy, luperkowie biegali dookoła Palatynu jak za czasów Romulusa — ale religii rzymskiej już nie było. Istniała jakaś mieszanina wszelkich bóstw Wschodu i Zachodu, Północy i Południa, dziki rozgardiasz zupełnie sprzecznych pojęć religijnych, zbiorowisko wierzeń, kultów i obrzędów, w których nie było ani ładu, ani myśli przewodniej. Każdy wierzył, w co chciał, a naprawdę z dnia na dzień oczekiwał nowego objawienia. Dało je w końcu chrześcijaństwo i ze zdumiewającą łatwością odniosło zwycięstwo nad zgrzybiałymi, a po części martwymi religiami.

Najdłużej oparła się starorzyska religia wpływom obcym, a nawet zwycięskiemu pochodowi chrześcijaństwa — po wsiach italskich. Ci wieśniacy — pagani, stąd nasi "poganie" — pozostawieni w tym samym kręgu zajęć rolniczych, niezmiennych od prawieków, zasiedzieli na swych polach, pośród winnic i sadów, głusi byli na wołanie z dalekiego świata i wiernie przechowywali prastare przepisy dobrego króla Numy. Ich chata, taka sama jak ta, w której mieszkał Romulus, miała zawsze jako największą świętość — ognisko stojące pod opieką bóstw domowych. Religia ich polegała na uczuciach związanych z tajemniczym życiem ziemi i na zwyczajach mających niezłomną moc trwania. Poza tym miała w sobie jakąś dziwną dokładność. Zawsze ten sam dąb odwieczny, ten sam szczyt góry, ten sam gaj szumiący boskim szmerem — skupiał na sobie całą uwagę religijną ludności spokojnej, żyjącej z dala od gwaru i przewrotów wielkiego świata. Niepodobna określić, kiedy właściwie zginęła ta religia

wiejska — "pogańska" — ale musiało się to już stać bardzo późno: wtedy już w Rzymie na stolicy Piotrowej siedzieli arcykapłani nowej religii powszechnej.

KULT CEZARÓW

Niejeden się zdziwi, że w epoce tak wysokiego poziomu cywilizacji, jak za cesarstwa rzymskiego, powstaje tzw. kult cesarów, czyli ubóstwienie osoby panującego. Znajdowało ono oparcie w przekonaniu starożytnych, że człowiek przez swe zasługi, siłę lub rozum może zdobyć rzeczywistą nieśmiertelność i zrównać się z bogami. Zwłaszcza panujący, z racji swej nieograniczonej władzy, miał prawo do tytułu boga, któremu — zdawało się — był równy potęgą. Z dawien dawna faraonowie egipscy i władcy asyryjsko-babilońscy doznawali od swoich poddanych czci boskiej.

Bez wpływów zewnętrznych kult wielkich i sławnych ludzi rozszerzył się w Grecji, której religia, pełna bohaterów, nie znała ścisłych granic między człowiekiem i bogiem. Każdy założyciel nowej osady, a później i niejeden szczególnie zasłużony obywatel, odbierał w swym mieście cześć boską jako heros. Pierwotnie było zwyczajem, że do godności herosów wnoszono ludzi dopiero po śmierci, lecz około r. 400 przed n. e. spotykamy się z pierwszym na ziemi greckiej wypadkiem ubóstwienia człowieka za życia. Szczęśliwym wybrańcem był Lizander, admirał spartański, pogromca Aten, człowiek, który po wielu latach wojny zaprowadził spokój i ład w Grecji. "Jemu pierwszemu — pisze historyk Plutarch — greckie miasta wznosiły ołtarze jako bogu i ofiary składały, i na jego cześć po raz pierwszy śpiewano peany". Od tego czasu coraz więcej ludzi pomnaża i tak już zatłoczone szeregi bogów. Od Aleksandra Wielkiego ubóstwienie króla za życia staje się regułą we wszystkich nowo powstałych państwach hellenistycznych.

Rzymska religia również nadawała się do przyjęcia kultu panującego. Cześć boska okazywana zmarłym, których nazywano *divi* — dobrymi bogami, zacierała różnice między człowiekiem a bóstwem. Ubóstwienie, jak zresztą każda rzecz u Rzymian, otrzymało pewne stałe normy prawne. Dokonywało się ono po śmierci cesarza drogą uchwały senatu. Nazywało się to konsekracją. Konsekrowany cesarz nosił tytuł *divus* — boski, miał swoje świątynie i swoich kapłanów. Mógł również przybierać imiona i

atrybuty istniejących już bogów. Widzimy tedy cesarzy przedstawianych w postaci Jowisza, Herkulesa, Marsa, Apollina, cesarzowe jako Junony, Cerery, Wenery, nawet Westy. Pierwszy dostąpił tego zaszczytu Juliusz Cezar, któremu już za życia zaczęto stawiać po świątyniach posągi. W tym potomku Wenery widziano rzeczywiście jakąś istotę boską i opowiadano, że śmierć jego poprzedziły dziwne znaki. Z kłębowiska czarnych chmur odzywały się chrapliwe dźwięki trąb i rogów wojennych, słońce poblądło, pośród gwiazd pojawiły się jakieś twarze, padał deszcz krwawy i księżyc krwią nabiegał, a ze świątyni gajów dochodziły groźne nawoływania. Kiedy zaś zwłoki dyktatora złożono na stosie, na niebie pojawiła się kometa. Nikt nie miał wątpliwości, że to dusza Cezara idzie do nieba, by odtąd żyć między bogami.

W tym czasie ogarnęła ludzi jakby mania boskości. Każdy, kto miał choć trochę władzy, kazał sobie oddawać cześć boską. Najwięcej w tym względzie fantazji objawiał współzawodnik Oktawiana, Antoniusz. Otrzymałszy zarząd prowincji wschodnich więcej myślał o przyjemnym urządzeniu sobie życia niż o sprawach państwowych. Otoczył się tedy fletnistami, cytarzystami, komediantami azjatyckimi i wszędzie z nimi podróżował. Najlepiej lubił, gdy go nazywano Bachusem: podawał się za nowe wcielenie tego wesołego bóstwa. Do Efezu wjechał poprzedzany przez kobiety w stroju bachantek i młodzieńców przebranych za sylenów i satyrów. W całym mieście widać było tyrsy uwieńczone bluszczem, rozbrzmiewały dźwięki fletni, syring i okrzyki na cześć nowego dobrego boga. Na jego spotkanie wyjechała do Cylicji królowa Egiptu, Kleopatra. Po rzece Kydnos płynęła jej galera, cała ozdobiona złotem, z żaglami purpurowymi; wiosła srebrne poruszały się w takt fletni, których muzyka mieszała się z dźwiękami lir i fujarek. Królowa, przebrana za Afrodytę, spoczywała na łożu, które osłaniał baldachim haftowany złotem; pacholeta, przedstawiające amorki, chłodziły ją wachlarzami; najpiękniejsze niewolnice, jako nereidy i charyty, siedziały u steru lub przy linach okrętowych. Daleko ponad brzegami rzeki roznosił się zapach kadzideł, które bez przerwy palono na okręcie. Wielkie tłumy ludzi szły drogą lądową głosząc, że nowa Afrodyta jedzie na spotkanie z nowym Dionizosem.

Oto jaki był nastrój czasów, w których ugruntowano kult cesarów. Dokonał tego twórca cesarstwa rzymskiego Octavianus Augustus. Nie chcąc obrażać narodowych uczuć rzymskich przez wprowadzenie form wschodniego despotyzmu, postępował nader ostrożnie, usuwając własną osobę na plan drugi, a otaczając czcią swego przybranego ojca, Cezara. Przez ubóstwienie Cezara i rozszerzenie czci Wenery, uważanej za matkę Juliuszów, cały ród julijski został opromieniony glorią boskości. Zaczęły się

tworzyć dokoła niego legendy. Opowiadano np., że gdy raz Liwia, niedługo po ślubie z Oktawianem, jechała do swej willi podmiejskiej, zleciał nad nią orzeł i spuścił jej na kolana białą kurę, która w dziobie trzymała gałązkę wawrzynu. Kura ta wywiodła takie mnóstwo kurcząt, że odtąd willę Liwii nazywano ad gallinas — Pod Kurami, z zasadzonej zaś gałęzi wawrzynu wyrósł cały gaj, z którego cesarowie brali wici do przyozdabiania swoich triumfów. Każdy z cesarów zasadzał w tym gaju własne drzewo i zauważono, że w dniu jego śmierci drzewo to usychało. Kiedy zaś umierał Neron, ostatni z dynastii Juliuszów, cały gaj usechł, wszystkie kury zdechły, a w znajdującą się tam świątynię uderzył piorun; posągi cesarów upadły, rozbite na kawałki, a nawet z rąk samego Augusta wysunęło się berło złote.

Konsekracja, czyli ów akt prawny, którym senat zaliczał zmarłego cesarza w poczet bogów, uchwalał mu kapłanów i świątynie, stawała się coraz bardziej powszechna. Po Auguście wyniesiono na ołtarz Klaudiusza, co zresztą wywołało dużo wesołości, zachowała się satyra na to ubóstwienie zdzieciniałego staruszka. A o Wespazjanie mówią, że widząc się bliskim śmierci żartował: "Czuję, jak się już bogiem staję". Lecz Wespazjan, którego świątynia do dziś wita nas u stóp Kapitolu swymi pięknymi kolumnami, otworzył prawie nieprzerwaną serię ubóstwionych monarchów. Ich kult był szczególnie żywy w różnych prowincjach imperium, gdzie osoba władcy symbolizowała potęgę Rzymu. Łączono jego kult z kultem bogini Roma, opiekunki wiecznego miasta. Popierały go władze rzymskie.

Z wolna, pod wpływem pojęć wschodnich przyzwyczajano się w samym Rzymie uważać żyjącego cesarza za boga. Dawano mu tytuł: "bóg i pan nasz" i przed obliczem jego padano na kolana. Te stosunki przetrwały dość długo i pod rządami cesarzy chrześcijańskich. Im również nadawano imiona "boski" lub "święty", a nawet "wieczny", po śmierci zaś konsekrował ich senat osobną uchwałą na własnych bogów. Chrześcijański cesarz Konstantyn miał tak samo świątynie i ołtarze, jak pogański Marek Aureliusz.

W II wieku n. e. jeszcze jeden śmiertelny stał się bogiem. Piękny

Antinous. Cesarz Hadrian, podróżując po Grecji, spotkał osiemnastoletniego młodzieńca cudownej urody i wziął go na swój dwór. Antinous pochodził z Bitynii, lecz przodkowie jego przywędrowali tam z Arkadii, sławionej przez poetów krainy pasterzy. Antinous stał się nierozłącznym towarzyszem Hadriana. Intrzygi dworskie go nie dosięgły. Zauważono bowiem, że Antinous nie zajmuje się polityką. Było w nim coś tak ujmującego, że kochali go wszyscy. Antinous brał udział we wszystkich podróżach cesarza: w Azji Mniejszej, Syrii, Palestynie, w Egipcie. To był ostatni etap jego wędrówki życiowej. Umarł z miłości dla cesarza. Kiedy bowiem Hadrianowi przepowiedziano rychły zgon, Antinous postanowił oddać się bóstwom śmierci w zastępstwie swego przyjaciela — jak Alkestis. Wyjechał łodzią na zielone wody Nilu i utonął. Wielka była żałoba na dworze cesarskim. Hadrian ogłosił, że Antinous nie umarł, lecz wrócił do bogów, od których pochodził. Wówczas zaczęto mu stawiać świątynie, miasta nazywano jego imieniem, pod posągami cudnego młodzieńca palono kadzidła ofiarne.

LEGENDY RZYMSKIE

Wędrowki Eneasza

W tę straszną noc, kiedy Grecy wdarli się do Troi, bogowie postanowili ocalić z powszechnej rzezi Eneasza. Uchwała zapadła nagle i zdaje się pod nieobecność Junony, która jedna byłaby się temu sprzeciwiła. Od czasu smutnej historii z jabłkiem Parysa nienawidziła wszystkich Trojan. Poza tym Eneasza był synem Wenery, jej triumfującej rywalki. A wreszcie — i to była główna przyczyna nienawiści — Eneasza miał być założycielem potęgi Rzymu, a Junona opiekowała się powstającą właśnie Kartaginą, którą, wedle przeznaczenia, Rzymianie mieli zburzyć. Oprócz Junony nie miał on wrogów na Olimpie. Był to człowiek spokojny i bardzo pobożny. W wojnie trojańskiej nie odznaczył się szczególnie. Spełniał swoje obowiązki rycerskie bez pośpiechu i bez entuzjazmu.

Przez pożar, mord i zniszczenie, pod trzaskiem walących się domów, obok konających braci, wymknął się Eneasza z miasta sobie wiadomymi drogami. Słyszał ostatni, przedśmiertny krzyk sędziwego Priama, okropne wycie królowej Hekuby, oplakującej śmierć synów, i widział jak głowę Hektorowego chłopca, Astianaksa, roztrzaskano o ścianę. Uciekł z ojcem, Anchizesem, którego niósł na plecach, i małym synkiem, Askaniuszem, którego prowadził za rękę. Żona szła w tyle, aż ogarnięta zamętem bitwy zginęła pod mieczami Greków. Za miastem spotkał Eneasza gromadę ludzi, którym również udało się umknąć śmierci. Razem zbudowali okręty i wypłynęli na morze.

Bogowie obiecali Eneaszaowi nową ojczyznę. Lecz zwyczajem bogów powiedzieli mu o tym w sposób tak zagadkowy, że nie wiadomo było, gdzie jej szukać należy. Zaczęły się lata długiej wędrówki. Wygnańcy przybijali do obcych brzegów, przeżywali niebezpieczne przygody i, gdzie tylko mogli, zakładali miasta, ulegając co chwila złudzeniu, że znaleźli kres tułaczki. Uśmiechały im się żyzne pola, wzgórza dające obronę zamkom, przystanie dogodnie dla okrętów, trafiały im się takie cudowne okolice, w których można było wypocząć i zapomnieć o niedoli Troi, wszelako ledwo osiedli i trochę się zagospodarowali, zdarzyła się albo jakaś wróżba, albo drzewo nagle przemówiło ludzkim głosem, albo wybuchła zaraza, i te wszystkie przepowiednie, ostrzeżenia, znaki boże tak plątały ich plany, że

nieodmiennie wciąż wyptywali na morze, pod groźbą nowych burz i wichrów. Oczywiście, działo się to za sprawą Junony.

Pierwszą bardziej wyraźną wskazówkę o celu swej drogi otrzymał Eneasz tam, gdzie się tego najmniej spodziewał. Po trzech dniach i trzech nocach okrutnej zawieruchy na morzu dopłynęły okręty trojańskie do wysp Strofadów. Mieszkały na nich harpie, owe potwory niewieście, które niegdyś trapiły i prześladowały króla Traków, Fineusa. Jedna z harpij powiedziała Trojanom, że mają płynąć na zachód, a ziemię obiecaną poznają po tym, że taki srogi głód cierpieć będą, iż nawet stoły pozjadają.

Odtąd płynął Eneasz prosto do Italii. Był już nieraz blisko jej brzegów, lecz złośliwa Junona wciąż go odpędzała na nowe przygody. Całe szczęście, że w tych wędrówkach nie natknął się gdzieś na Odyseusza, za którym szedł jak cień. Był wszędzie tam, gdzie już przedtem był król Itaki. Po prostu kroki swe wstawiał w ślad stóp tamtego. Gdyby się byli spotkali, cała Odyseja skończyłaby się inaczej. Odyseusz nie mógłby się pogodzić z tym, że ktoś drugi wciąż za nim dąży, jakby kontrolował jego przygody. Nie będziemy więc opowiadali, jak Eneasz minął Skyllę i Charybdę i jak zabłądził na wyspę Polifema, bo w tym dziwnym zwierciadle obaj tułacze stanęliby ze sobą oko w oko, jak dwa kozły na wąskiej kładce nad przepaścią, gotowe rzucić się na siebie i bóść rogami.

W chwili gdy najchytrzejszy z Greków bawił u dobrego króla Alkinoosa, najpobożniejszy z ludzi, Eneasz, zawijał do portu kartagińskiego. Znów bowiem gniew Junony odrzucił go od brzegów Italii, choć już był na Sycylii, gdzie pochował ojca Anchizesa. Kartagina właśnie się budowała. W mieście rządziła królowa fenicka, Dydona. Była to śliczna panna. Gdy włożyła wysokie buciki myśliwskie i krótki płaszczyk purpurowy, z łukiem w ręce i złocistym kołczanem na plecach — wydawała się po prostu Dianą. Przy wielkiej dzielności miała czułe serce i ledwo zobaczyła Trojan, powzięła ku nim szczerą sympatię.

Były to czasy, kiedy po wszystkich dworach mówiło się wiele o wojnie trojańskiej, i Dydona ucieszyła się bardzo, że w końcu dowie się prawdy od naocznego świadka. Urządziła więc ucztę, na której Eneasz opowiadał zburzenie Troi i swoje własne przygody. Przez całą wieczór

trzymała na kolanach małego Askaniusza, śliczne pacholę, które całowała i pieściła. On zaś bawił się złotą strzałeczką i raz nawet z lekka zadrasnął królową w okolicy serca. Nikt na to nie zwrócił uwagi, ale Dydona w tej samej chwili zakochała się w Eneaszu.

Okazało się później, że na jej kolanach siedział nie prawdziwy Askaniusz, lecz Amor zmieniony w syna Eneasa. Był to niewinny podstęp Wenery. Bogini, w obawie, żeby Junona nie doradziła Dydonie zabić Eneasa, jako założyciela potęgi rzymskiej, postarała się zaszcześcić w niej miłość do bohatera. Mógł to zaś uczynić tylko Amor. Przebrała go więc za Askaniusza i wprowadziła na salę biesiadną. Prawdziwego Askaniusza uśpiła i przeniosła na górę Ida, gdzie chłopak przespał ucztę u Dydony. Ominęły go wszystkie ciastka i słodycze, które za niego zjadł Amor.

W istocie, Eneaszowi nie groziło już żadne niebezpieczeństwo. Zakochana królowa oprowadzała go po mieście, pokazywała, gdzie stanie zamek, gdzie arsenał, gdzie będzie port wojenny, a gdzie giełda, tak że Eneasze mógł być nakreślić dokładny plan Kartaginy i przekazać go w spadku Scypionowi. Nie uczynił tego, bo nosił w sobie poważne troski. Co dzień, po kilka razy powtarzał Dydonie, że musi jechać, szukać Italii. Ale ona urządzała zabawy i w parkach, i ogrodach, wydawała przyjęcia i mówiła, że Eneasze zostanie w Kartaginie, ożeni się z nią i będzie panował nad Fenicjanami. Oczywiście, niepodobna się było zgodzić na takie zamieszanie w historii. Eneasze potajemnie przygotował się do drogi i nocą odpłynął. Niewierność kochanka odebrała Dydonie ochotę do życia. Z rozpacz przebiła się mieczem.

Trojanie zaś po kilku dniach spokojnej żeglugi wylądowali koło miasta Kume, w Zatoce Neapolitańskiej. Niedaleko stąd było wejście do podziemia i Eneasze skorzystał ze sposobności, aby odwiedzić państwo cieniów. Była to bardzo pouczająca wycieczka, gdyż, prowadzony przez duszę ojca Anchizesa, widział nie tylko tych, którzy już pomarli, lecz i takich, co mieli się dopiero narodzić. Anchizes nazywał mu ich wszystkich po imieniu, rozmaitych Markusów i Lucjuszów, całą historię rzymską aż do cesarza Augusta. Ci wszyscy królowie, politycy, wodzowie czekali tylko na to, aby Eneasze przyjechał do Italii i zajął się założeniem Rzymu. Czas

naglił. Po wyjściu z podziemia bohater natychmiast odplynął na północ.

Wyskoczyli na ziemię w tym miejscu, gdzie Tyber wlewa do morza swoje żółte wody. Chcieli tylko wypocząć i jechać dalej, bo nikt nie przypuszczał, aby to miała być ziemia obiecana. Nie było ani sadów pomarańczowych, ani źródeł płynących mlekiem, ani gajów pełnych zwierzyny, która sama idzie w sidła, ani drzew pachnących, pod którymi sen splywa nawet wtedy, kiedy się spać nie chce — słowem, wszystkie rozczarowania, z dodatkiem tego, jakie rodzić może widok okolicy pustej, piaszczystej, miernie urozmaiconej kępami krzaków. Na całym obszarze rósł tylko jeden dąb, a pod nim trochę trawy. Tam się rozsiedli i wyciągnęli zapasy. Znalazło się nieco owoców i suche pszenne placki. Te placki położono na trawie, a na nich owoce. Gdy zjedli owoce, ten i ów zaczął łamać i gryźć twarde jak kamienie ciasto. "Oho! Stoły nawet zjadamy!" — zawołał mały Julus, który, odkąd stanęli na ziemi włoskiej przestał się nazywać Askaniuszem, aby mógł przez to nowe imię być protoplastą rodu Juliuszów. Postyszawszy nieoczekiwane słowa, pobożny Eneaszeź wzniosł ręce do nieba: "Oto kres naszych mozołów — rzekł. — Tu dom nasz, tu ojczyzna. Witaj mi, z losów przynależna niwo!" I powiódł dokoła wzrokiem, jak po swoim gospodarstwie.

Nie było to jeszcze jego. W tym kraju panował stary król Latynus, syn bożka leśnego, Fauna. Miał jedyną córkę, Lawinię, którą przeznaczył na żonę młodemu Turnusowi, wodzowi sąsiednich Rutulów. Ślub miał się odbyć niebawem. Ale w ten właśnie dzień, kiedy Eneaszeź z towarzyszami jadł pod dębem owoce i placki pszenne, zdarzył się wypadek, który wszystkim inaczej pokierował. Latynus składał ofiarę w cieniu odwiecznego wawrzynu. Przy nim stała dziewczica Lawinia. W pewnej chwili podeszła do ognia, aby rzucić garść kadzidła. Wszystkim obecnym zdawało się, że ją objął płomień: włosy i szaty rozgorzały jasno, a na głowie królowny ukazała się świetlista korona. Lawinia nie czuła nic, bo to był ogień cudowny, który nie parzył, tylko błyszczał jako znamię prorocze. Rzecz wyjaśniła się w nocy. Latynus we śnie postyszwał głos ojca, Fauna, a ten wyraźnie nakazywał oddać Lawinię cudzoziemcowi, który do niego przyjdzie.

Nazajutrz przyszedł Eneaszeź. Prosił, aby mu pozwolono osiedlić się w kraju Latynów.

Jakże się zdziwił, gdy Latynus, nie czekając na koniec przemowy, wziął go w objęcia i nazwał swoim zięciem. Pobożny bohater poznał w tym wolę bożą i od razu się zgodził, tym bardziej że Lawinia była śliczną panną. Ale do ślubu tak prędko nie doszło. Najpierw Amata, żona Latynusa, sprzeciwiła się małżeństwu, potem Turnus wystąpił ze swoimi pretensjami. Wszystko to działo się za namową Junony, która wywołała z piekieł jędzę niezgody i posiała waśń między Latynami a Rutulami.

Zaczęła się wojna. Obie strony uzbroiły się potężnie i zewsząd ściągnęły sprzymierzeńców. Eneasza, który nie miał konnicy, udał się o pomoc do króla Euandra. Był to Grek, pochodzący z Arkadii. Osiadł na wzgórzu pałatyńskim, w tym samym miejscu, gdzie w paręset lat później Romulus Rzym założył. Żył jak człowiek złotego wieku. Pod jego strzechą, pełną świegotliwego ptactwa, mieszkało szczęście. Z przyzby swojego domu spoglądał na trzody pasące się na Forum Romanum i doglądał dziewcząt zbierających mleko na sery, Eneasza przyjął łaskawie i dał mu wyborowy oddział jazdy pod dowództwem własnego syna, Pallasa. Wenera przyniosła Eneaszowi wspaniałą zbroję wykutą przez Wulkana. Gdy wódz trojański na czele swoich wojsk ukazał się w tej cudownej zbroi, wszyscy zrozumieli, że zaczyna się nowa Iliada. Główne role były obsadzone: Eneasza jako Achillesa, Pallasa jako Patroklosa, Turnusa jako Hektora. Stoczono mnóstwo utarczek, ściśle wzorowanych na wojnie trojańskiej. Wreszcie doszło do koniecznych pojedynków: Turnus zabił Pallasa, a Eneasza Turnusa

*

Przez cały ten czas słodka Lawinia szyła sobie wyprawę i czekała na koniec wojny. Nareszcie Eneasza wrócił okryty chwałą, ożenił się z królową i na jej cześć zbudował miasto: Lawinium. Ale w cztery lata później wybuchła nowa zwada z Rutulami. Podczas bitwy Eneasza przepadł bez wieści. Lawinia nie wiedziała, czy ma się uważać za wdowę. Wiarogodni ludzie zapewniali, że jej mąż utonął w rzece. Lecz inni podawali rzecz o wiele bardziej prawdopodobną: że Wenus wyniosła Eneasza z zamętu walki i zabrała do nieba. Po ojcu objął rządy syn z pierwszego małżeństwa, Julius; dawniej zwany Askaniuszem.

Powstanie Rzymu

Askaniusz założył własne miasto pod nazwą: Alba Longa, właściwą

* Wędrowki i wojny Eneasza opiewa poeta rzymski P. Vergilius Maro w poemacie pt. *Enelda*, tak gorliwie naśladowując Homera, że przygody jego bohaterów są nieraz dokładnym powtórzeniem Iliady i Odysei.

siedzibę dynastii Eneasza. Panowało tam wielu królów, których szereg jest równie długi jak patriarchów biblijnych. Na koniec Prokas miał dwóch synów: Numitora i Amuliusa. Numitor był starszy i wziął berło po ojcu. Amulius zazdrościł mu władzy. Zebrał własne wojsko i strącił brata z tronu. Chcąc zabezpieczyć tron swoim synom, córkę Numitora, Reę Sylwię, uczynił westalką. Wtedy zdarzyła się rzecz niespodziewana: westalka powiła bliźnięta, Romulusa i Remusa. Stało się to za zrządzeniem bogów. Ojcem tych dzieci był Mars. Wszyscy w to uwierzyli prócz Amuliusa. Ten westalkę kazał zamorzyć głodem, a bliźnięta wrzucić do Tybru.

Rzeka wówczas szeroko rozlała. Słudzy królewscy włożyli dzieci do koszyka i puścili z prądem. Woda odniosła go aż pod wzgórze Palatynu, gdzie rośło drzewo figowe. Koszyk zaczepił się o pień drzewa i tak został, aż Tyber wrócił do swego łożyska. Dzieci były głodne i płakały. Płacz posłyszała wilczyca i przysłała je nakarmić. Codziennie zjawiała się o tej samej porze i podawała im swe sutki do ssania. Ale wilczyca miała własne dzieci i zdarzało się, że bliźniętom przynosiła w wymionach bardzo mało mleka. Wtedy zlatywał dzięcioł, ptak Marsa, i rzucał chłopcom owoce i jagody leśne.

Pewnego dnia spostrzegł te dziwy pasterz królewski - Faustulus. Zaczajony w zaroślach, przeczekał, póki wilczyca się nie oddaliła i dzięcioł nie odleciał. Wtedy wyszedł z kryjówki i zobaczył śliczne bliźnięta, właśnie takie, jakich sobie oboje z żoną od dawna życzyli. Wziął je do domu. W chacie pasterza obaj królewicze wyrosli na tęgich młodzieńców. Przewodzili całej gromadzie swoich rówieśników. Urządzali łowy, wyścigi, zapasy, wyprawy na prawdziwych zbójców. Nikt nic nie wiedział o ich pochodzeniu. Raz wywiązała się bójka między pastuchami Numitora i Amuliusa. Romulus i Remus, będąc w służbie króla, stanęli po stronie ludzi Amuliusowych. Utruczka skończyła się porwaniem Remusa, którego dla rozstrzygnięcia sporu stawiono przed Numitorem. Stary zdetronizowany król zaczął pytać młodzieńca, czyim jest synem. Remus opowiedział mu to, co słyszał od Faustulusa: o drzewie figowym, wilczycy i dzięciole. Numitor poznał w nim swego wnuka i kazał potajemnie sprowadzić Romulusa. We trzech obmyślili plan obalenia Amuliusa. Dwaj bracia z kupą zbrojnych

napadli na pałac, straż wysiekli, uzurpatora skazali na śmierć i osadzili na tronie dziadka Numitora.

Nie chcieli zostać w Alba Longa. Chcieli założyć własne miasto i wybrali owo cudowne miejsce, gdzie ich Faustulus znalazł. Zaraz zaczęli się kłócić, kto z nich da nazwę nowej stolicy. Nie mogli się pogodzić i postanowili wybadać wolę bogów. Niby dwaj augurowie zasiedli nocą do czuwania: Romulus na Kapitolu, Remus na Awentynie. Pierwszy Remus zobaczył nadlatujących sześć sępów, ale nie zdążył jeszcze dać znaku, gdy nad Romulusem ukazało się dwanaście. Wszyscy uznali, że Romulusa bogowie wybierają na założyciela miasta. A on kazał sobie podać pług, zaprzął parę wołów i dookoła Palatynu oborał przestrzeń, na której miała stanąć Roma. Szeroka bruzda oznaczała granice przyszłego miasta i niejako pierwszy jego wał obronny. Przez cały ten czas Remus chodził po polu i pogwizdywał. Na koniec zatrzymał się nad rozoraną ziemią i zaczął się śmiać. "Silne miasto budujesz!" — zawołał do brata i przeskoczył przez bruzdę. Ale Romulus już nie był w tej chwili pastuchem i wychowankiem Faustulusa. Był już królem Rzymu, protoplastą wszystkich jego władców, wodzów i dyktatorów. Dobył miecza i zabił Remusa. A myśląc o historii, która od tej chwili gotowa była zanotować każde jego słowo, rzekł tak, aby go wszyscy słyszeli: "Tak niechaj ginie każdy, kto ośmieli się przekroczyć gwałtem granice mojego państwa".

Miasto było, ale nie było komu w nim mieszkać. Z Romulusem została niewielka drużyna. Młody król ogroził na Kapitolu gaj, który nazwał asylum, i ogłosił, że ktokolwiek tam wejdzie, choćby największą zbrodnię miał na sumieniu, może się czuć bezpieczny, jako obywatel nowo powstałej osady. Był to raj dla wszystkich okolicznych opryszków. Zbiegali się zewsząd podpalacze i koniokrady, zbóje i rzezimieszki, wierutna hołota, którym źle z oczu patrzyło, ale wszystko chłopcy tęgie i odważne, za Romulusem w ogień skoczyć gotowi. Z ich pomocą Rzym otoczył się murami, zabudował, ile tylko miejsca starczyło, miał wodę w twardo ubitych cysternach i na niczym nikomu nie zbywało.

Nagle wszyscy zauważyli, że w tym pięknie rozkwitającym państwie brak kobiet. Bez kobiety żadne gospodarstwo nie było gospodarstwem i

dom nie był domem. Romulus wybrał co przystojniejszych i wymowniejszych chłopaków, przyodział ich jak najstrojniej i wyprawił do gmin okolicznych z prośbą, żeby zechciały wejść z Rzymem w związki pokrewieństwa. Ale gdzie tylko zbliżyli się, wszędzie na gwałt zamykano bramy, podnoszono mosty, a każdy brał, co miał pod ręką: kij lub miecz. Zza wałów krzyczano im, że Rzym jest miastem drapichrustów i złodziei. "Niech wasz król — mówiono — ustanowi asylum dla kobiet. Są takie, co tam pójdą, godne żony godnych mężów!"

Romulus postanowił czekać. Przez ten czas trzymał na uwięzi swoich andrusów. Ani jedna owca nie zginęła z cudzego pastwiska, nie puszczono z dymem ani jednej strzechy, unikano zwad z sąsiadami i starano się ich sobie zjednać. Gdy się dookoła Rzymu naprawdę uspokoiło, Romulus zapowiedział, że urządzi wielkie uroczystości, igrzyska i festyny. Rozesłał zaproszenia do całej okolicy. Matki, żony i córki namawiały swoich mężów i ojców, aby przyjąć zaproszenie. Mężczyźni też mieli ochotę. Chcieli przecież zobaczyć to nowe miasto, o którym cuda opowiadano. Przyszli. Zaczęła się zabawa. Ustawiono stoły, wyniesiono stągwie wina, kobiety wzięto do tańca. Nagle Romulus dał znak i każdy z jego ludzi porwał tę kobietę, przy której stał. Wszczął się nieopisany zgiełk, noc zapadła i mężowie wrócili do domu bez żon, ojcowie bez córek.

Gminy poszkodowane zebrały się razem i ruszyły zbrojnie na Rzym. Prym wiedli Sabinowie, dzielni górale, którzy najwięcej ucierpieli, bo kobiety ich słynęły z urody i Rzymianie porwali najwięcej Sabinek. Sam Romulus miał Sabinkę za żonę. Na czele wojsk stał król sabiński, Titus Tatius. Zamek obronny Rzymu zdobyto i walka zawrzała na ulicach miasta. Tymczasem kobiety, które zdążyły już przywiązać się do swoich rabusiów, wypadły na miasto i rzuciły się między walczące szeregi. Krzykiem, łzami, prośbami zaklinały ojców, braci i mężów, aby zaprzestali wojny. Obaj królowie nakazali zawieszenie broni i poszli na naradę. Wrócili pogodzeni. Sabinowie połączyli się z Rzymem w jedno państwo. Romulus władał zgodnie z Titusem Tatiusem.

Pewnego razu Romulus, już bardzo stary, odbywał przegląd wojska. Zerwała się nagła burza i gęsta mgła zakryła przed oczyma ludu miejsce,

na którym król siedział. Skoro zaś chmury się rozwiały, zobaczono, że tron jest pusty, a król znikł bez śladu. Nie wiedzano, co o tym sądzić. Były poszlaki, że senatorowie zabili króla. Ale sprawa wyjaśniła się nazajutrz, gdy na zgromadzeniu ludowym pojawił się jeden z senatorów i opowiedział, że ukazał mu się Romulus, przemieniony w boga. Sami bogowie zabrali go spośród ludzi i dali mu miejsce w niebie. Lud wydał okrzyk zachwytu i rozszedł się do domów. Odtąd czczono Romulusa pod imieniem Kwirinus. Płakała po stracie męża Hersylia, owa Sabinka, którą w dzień porwania oddano królowi jako najpiękniejszą. Junona posłała do niej Irydę i ta rzekła:

— Pani, przestań płakać. Twój Romulus został bogiem. Jeśli chcesz zobaczyć małżonka, pójdz ze mną do gaju, który rośnie na wzgórzu kwirynalskim.

— O bogini — odpowiedziała królowa — prowadź mnie, dokąd chcesz. Zgodzę się nawet na niebo, bylebym mogła ujrzeć swego męża.

Poszły na wzgórze. Z nieba spadła gwiazda i rozświeciła niezwykłym blaskiem siwe włosy Hersylii. W ten sposób nastąpiła przemiana królowej w boginię. Za chwilę uniosła się do nieba, gdzie pozostała na zawsze przy boku Kwirinusa, pod nowym imieniem Hory. Pomimo tych boskich przemian Rzymianie z właściwą starożytnym niekonsekwencją czcili grób Romulusa na Forum Romanum. Było to miejsce święte, które każdy omijał nabożnie, miejsce z daleka widoczne, bo wyłożone płytami z czarnego kamienia. Ten grób dzisiaj odkryto. Na kwadratowej podstawie, przy której niegdyś stały lwy kamienne, jak przy grobach egipskich lub etruskich, wznosi się słup z tufu, a na jego czterech bokach biegnie napis w tak sędziwej łacinie, że uczeni ani dobrze odczytać, ani, tym bardziej, zrozumieć go nie mogą. Zaledwie parę wyrazów da się odcyfrować i widać, że tam mowa o królu i jakichś ofiarach. Jakoż przy odkopywaniu tego miejsca znaleziono sporo kości zwierzęcych, statuetek, ułamków wypalanej gliny. To wszystko świadczy o tym, że istotnie od zamierzonych czasów odbywały się tu jakieś nabożeństwa i że prawdopodobnie ów pomnik pochodzi z epoki królów.

*

Po Romulusie panowało jeszcze sześciu królów, po czym zaprowadzono republikę. Rola tych władców jest bardzo smutna. Historia nie chce ich uznać, chociaż niepodobna zrozumieć, dlaczego tak czyni. Przecież budowali mosty, świątynie, mury, zaprowadzali kanalizację, urządzali porty, ustanawiali prawa, święta i igrzyska — zajmowali się wszystkimi pożytecznymi rzeczami, za które historia sławi innych królów. Natomiast rodzili się, żenili i umierali przykładowo, wystrzegali się wszelkiej cudowności, nie pochodzili od bogów, nie utrzymywali bliższych stosunków ze światem, nadprzyrodzonym. Nie zrobili nic dla mitologii. Mitologia więc nie może ich przyjąć.